

# OTCHŁAŃ



MARCEL WOŹNIAK



# OTCHŁAŃ

MARCEL WOŹNIAK



Copyright © Marcel Woźniak, 2018

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadzący: ADRIAN TOMCZYK

Redakcja: WITOLD KOWALCZYK

Korekta: PIOTR FILBRANDT

Projekt typograficzny: BARBARA ADAMCZYK

Skład, łamanie: WITOLD KOWALCZYK

Projekt okładki i stron tytułowych: JAKUB CHWIESZCZENIK

Fotografia na okładce: ŁUKASZ BREITENBACH

Fotografia autora na skrzydełku: ŁUKASZ PIECYK

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-7976-892-9

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

[www.czwartastrona.pl](http://www.czwartastrona.pl)

*Wolność oznacza prawo do twierdzenia,  
że dwa i dwa to cztery.  
Z niego wynika reszta.*

GEORGE ORWELL, ROK 1984

*Ale zawsze nadchodzi godzina w historii,  
kiedy ten, co ośmiela się powiedzieć,  
że dwa i dwa to cztery,  
jest karany śmiercią.*

ALBERT CAMUS, DŻUMA

WYSTĘPUJĄ:

*W roli głównej*

LEON BRODZKI

detektyw sekcji kryminalnej, podkomisarz

*W pozostałych rolach*

BERENIKA VESPER – reporterka Marlowe Press Ltd.

CZŁOWIEK W KAPELUSZU – zabójca

GROMOSŁAW HALICKI – komendant komendy Toruń-Śródmieście

TOMASZ ŻÓŁTKO – aspirant, komenda Toruń-Śródmieście

CYRIAK MAUER – prokurator z Prokuratury Krajowej

ADAM JACYK – aspirant, komenda Toruń-Rubinkowo

HENRYK – taksówkarz

MAREK BENER – dziennikarz, tygodnik „Echo Torunia”

DAGMARA BRODZKA – żona Leona Brodzkiego

ŁUKASZ GROTOWSKI – barman

MAGIK – mechanik

MŁOT – oficjalnie kucharz, nieoficjalnie były gangster

ALF, ALFONS – project manager w burdelu

LACZU – amator szybkich samochodów

KOBIETA W CZERNI – emerytka

NATALIA KAKLIŃSKA – lekarka

JAN NOWAK – sierżant, komenda Toruń-Śródmieście

MALBORAS – policjant

SAWIK – policjant

PIOTRAS – strażak

SZPILMAN – technik policyjny

STARSKI – saper, co raz się myli

FILIP – dyspozytor z centrali 112

GRZEGORZ GIEDRYS – dziennikarz  
MARIUSZ SKŁADANOWSKI – dziennikarz  
TOMASZ BIELICKI – dziennikarz  
KRĘPKI – świadek, kierowca malucha  
SYLWIA – dziennikarka Marlowe Press Ltd.  
ANNA TEKLA – szefowa działu prasy Marlowe Press Ltd.  
GIŻYCKI – prokurator  
DARIUSZ KULKIEWICZ – strażnik więzienny  
BUŻKA – pracownik Biura Spraw Wewnętrznych  
RONALD BRYK – policjant z komendy Darłowo

ORAZ

MARCIN GŁADYCH – jako on sam, reżyser

*Wydarzenia przedstawione w utworze  
mają charakter fikcyjny.*

*Mojej przyszłej żonie*



## PROLOG

HUK WYBUCHU MIESZA się ze szczękiem blachy. Tysiące części, z których złożone jest auto, odrywa się teraz jedna od drugiej ze zgrzytem i piskiem.

Horyzont przewija się jak na końcu taśmy filmowej. Mgnienie za mgnieniem. Powtórka za powtórką. Klatka po klatce. „Znów ten cholerny most”, dudni w półprzytomnej głowie detektywa.

Leona Brodzkiego oblało ciepłe światło. Śledztwo jego życia właśnie dobiegło końca, a elementy układanki nareszcie trafiły na swoje miejsce.

I wtedy, bez pulsu, detektyw niczym ćma popłynął ku migoczącemu w otchłani światłu.

**10 WRZEŚNIA 2016**

LUZIE W TYM MIEŚCIE przestali mieć problemy z zasypianiem, odkąd ze strachu przestali zasypiać w ogóle.

W Toruniu koszmary śniono na jawie. Mieszkańcy nie potrafili już zmrużyć oczu na Bydgoskim Przedmieściu ani na Chełmionce. Nie było bezpiecznie na starówce ani nawet na pocziwych blokowiskach Rubinkowa. Wisła czerwieniała od krwi, a policjantów wysyłano do aresztów, szpitali lub na cmentarze. Snu doświadczały tylko bywalcy tych dwóch ostatnich placówek: pierwsi na skutek zażycia prochów, a drudzy – obróciwszy się w proch. Co rusz słyszano, że w ostatnich dniach kogoś poćwiartowano, uduszono metalową liną, utopiono, że kostucha zapukała do czyichś drzwi, i to wcale nie po cukier. Toruń zalała fala zbrodni i choć było jasne, że ktoś to szaleństwo musi powstrzymać, zdziętkowane oddziały lokalnej policji nie nadążały z robotą, bo najlepsze psy lizały odniesione w boju rany, a media sypały na nie kolejne porcje soli. Nie było już spokojnie nad Wisłą, której tafla przestała być gładka jak pamięć lustra. Był za to cholerny Wietnam.

– Zgodziłeś się kiedyś na bycie psem? To teraz zaszczekaj – syknął człowiek z twarzą skrytą pod rondem czarnej fedory. Z ciemności przezierał tylko błysk dumnych z własnych dokonań oczu. Ubrany był jak człowiek kompletujący garderobę w butikach na rynku: kurtka ze skaju, najtańsze antracytowe spodnie zaprasowane w kant. Średniego wzrostu, bardzo szczupły, o chudej szyi i małej głowie. – Szczekaj, kurwa!

Stary, łysawy policjant ani myślał odpowiadać, za to poczerwieniał na twarzy, przeżywając żal i złość na samego siebie. „Jak ja się w to, kurwa, wpakowałem” – myślał. „Tyle lat w służbie, perspektywa biurka w komendzie wojewódzkiej na wyciągnięcie ręki i teraz, kurwa, to. Dasz radę, nie takie rzeczy przechodziłeś w przeszłości”.

Zaraz potem poczuł na skroni lufę P83. Pistolet miał startą z suwadła zamka i magazynku oksydę. Wstrzymał oddech, spojrzął

powoli na Człowieka w Kapeluszu. Ten zbliżył się do jego twarzy i zamrugał sennie, jak to robią stare lampy na peronach. Potem skóra jego lewej rękawiczki zaskrzypiała, kciuk zwolnił bezpiecznik skrzydełkowy broni, a usta wyszeptaly:

– Jesteś psem, to zaszczekaj. Kundlu. Spójrz na Bundy'ego, on potrafi. – Tu powolnym ruchem prawej ręki wskazał na border collie, który postłusznie zawarczał. Funkcjonariusz kojarzył tego czworonoga. Do niedawna należał do jednego z detektywów.

Woń oddechu zbrodniarza – która nasuwała skojarzenie z zapachem korytarzy przychodni w Giżycku – wzbudziła w glińiarzu odrazę. Podobnie jak melina, w której się umówili. Wzdrygnął się na myśl, że mógłby tu zginąć. „Nie, nie tu. Nie, jak kundel z dziewięćmilimetrowym makarowem w czaszce” – pomyślał.

Zdezelowane mieszkanie na tyłach kamienicy przy ulicy Lindego najlepsze dni miało za sobą. Przypalona jodełkowa podłoga lepila się od wszystkich substancji, jakie może wyprodukować ludzkie ciało. Ściany pokrywała sadza. To dlatego, że piec rozebrano, więc zimą dzikim lokatorom pozostawało przyozdobić się w pióra, założyć Klub Przyjaciół Indian i rozpalić ognisko, które w pokoju stopiło wszystko prócz cegieł. Matko Święta, o przypalone budy, które niepodobna pomylić z gołębnikami, gdyby nie fakt, że śmierdzi w nich gównem nie ptaków, lecz ludzi. Pomieszkiwali tu menele i stulejarze, nocowały ćpuny, swego kąta szukał przemielony przez penitencjarke kwiat dawnej kultury gitowców. Ci wszyscy, co ich wypuła ruletka transformacji, i ci wszyscy, co ich szerokim łukiem omijały okazje, szczęśliwe zbiegi okoliczności, piękne kobiety, trafione zdrapki oraz wszyscy mieszkańcy osiedla Bydgoskie Przedmieście w Toruniu.

Jeden z tych bezdomnych królów życia miał dziś zapłacić wysoką cenę. Jego przedramiona zostały tak pokłute igłami, że gdyby dmuchnąć w ślady po nich, zagwizdałyby jak flet poprzeczny. Bruzdy ciągnące mu się po policzkach od oczu do brody wskazywały, że zamiast usług służby zdrowia wybrał homeopatię, ale nie odrobił lekcji z ziołolecznictwa. Był właściwie tak chudy, jak tektury w oknie i tak blady, jak księżyc, którego nie było przez nie widać. Spuchnięte

i zaropiałe powieki – z których jedna podnosiła się tylko do połowy – wskazywały na zapalenie spojówek.

Nie byli w pomieszczeniu sami. Jeden z najemników trzymał chudego za włosy, dwaj pozostali pilnowali wejścia. Wojskowe buty i nalane twarze sugerowały, że nie przyjęto ich do koła szachowego, za to świetnie się odnajdywali w Związku Broni Palnej.

– Nie szczekasz! – syknął. Nagle jego twarz złagodniała. Złapał się w okolicach nadbrzusza, jakby chciał się uspokoić w środku, i rzekł zupełnie odmienionym tonem: – W porządku. W takim razie skończysz kiedyś gorzej niż pies. – I opuścił broń.

W pokoju panował półmrok, przez co twarze całej szóstki wyglądały, jakby występowały w teatrze cieni. Człowiek w Kapeluszu miał nisko osadzony środek ciężkości i poruszał się sprężysto jak bokser lub mistrz tai chi. A ile lat miał na karku? Może pięćdziesiąt lub siedemdziesiąt. Wiele szczegółów w tej postaci było niedookreślonych. Choćby wzrost. Prostując się, gość potrafił nagle stać się wyższy o głowę. Swoje robiło również rondo kapelusza, które tak umiejętnie zespalało się z twarzą, że grając światłocieniem, nie odślaniało oblicza właściciela. Pistolet leżał mu w małej dłoni idealnie. Widać było, że miał tę broń wypróbowaną i że mu ona pasuje, pewnie z uwagi na niewielki ciężar i wysoki punkt podparcia. P83 albo starsze tetetki były ulubioną bronią gangsterów z lat dziewięćdziesiątych i gliniarz dobrze o tym wiedział.

Człowiek w Kapeluszu podszedł do Chudego i podniósł mu brodę lufą, a w ślad za brodą podniosło się całe ciało. Chłopak stał teraz obok policjanta i zamrugał do oprawcy, jakby chcąc odsunąć ten moment przynajmniej o akademicki kwadrans. Rondo fedory uniosło się nieznacznie i policjant dostrzegł teraz grymas na twarzy zabójcy, który bardzo się starał zachować spokój, ale widać było, że lada chwila wyjdzie z siebie i uczyni dokładnie to, czego można się po nim spodziewać.

– Przypomnij mi więc, jakich słów miateś nie wypowiadać na głos.  
– Jego głos brzmiał jak przestroga dla innych niesfornych wychowanków ulicy. Ćpun nie odpowiadał. – Jakich słów miateś nie

wypowiadać na głos, ale to zrobięś, i to w obecności ludzi w barze „Panda”? Powtórz nam to, co im.

Chudy podniósł głowę i spojrzął na oprawcę jednym okiem.

Ten uśmiechnął się i skinął, by zachęcić go do odpowiedzi.

– Ależ was trzeba dziś ciągnąć za język! – Kontynuował, wsadzając lufę w usta trzęsącego się Chudego. Broń trzymał w przedwojennym stylu, jedną dłonią. – No więc jak? Powiesz?

Oczy mężczyzn znajdowały się blisko siebie, a woltaż płynący po linii ich wzroku elektryzował całe pomieszczenie.

– Co zamierzasz? – spytał policjant.

– Nie rozmawiam z tobą. Rozmawiam z tym.

– Daj mu spokój, to... to śmieć. Robak. Odpuść.

– Chudy, masz sprzymierzeńca. I to nie byle kogo. Stróż prawa staje właśnie na straży porządku.

– E... – wydobył z siebie Chudy.

– Ale trochę za późno – syknął kapelusznik.

– Nie! – krzyknął gliniarz. Ale spust był szybszy.

P83 wystrzelił, a mózg chłopaka rozbryznął się swoją żelową konsystencją dokładnie na twarzy policjanta. Ciało uderzyło głucho o drewnianą podłogę, a gliniarz zamrugał jak człowiek wybudzony z długiego snu. Zalała go fala obrzydzenia i strachu.

– Mieliśmy nie wypowiadać tych słów – rzekł kapelusznik, sylabizując.

– W sumie to jedno słowo – zauważył pilnujący drzwi najemnik pozbawiony dolnych jedynek.

– Jakie to słowo?! – wrzasnął kapelusznik i podszedł do niego zdecydowanym krokiem. – Co? Jakie to słowo? Jakie to, kurwa, słowo?

– Nic nie mówiłem, szefie, mowa – zaparł się ochroniarz.

Herszt uśmiechnął się pobłaźliwie i klepnął go w policzek jak wyrozumiały wuj, po czym spojrzął na pobrudzoną lufę.

– Lubię te stare, solidne pistolety. Przy szybkim strzelaniu mają mały odrzut. Można strzelać jedną ręką, wiecie? – Najemnicy skinęli. Wtedy kapelusznik odwrócił się i strzelił raz jeszcze, ładując drugi

dziwięciomilimetrowy pocisk w głowę chuderlaka. A raczej w rozprute naczynie, które z tej czaszki zostało.

Stary gliniarz usiłował nie stracić przytomności. To jednak niełatwe, gdy się jest po pięćdziesiątce, a sen z powiek spędza mózg innego człowieka spływający po policzkach. Ręce mu drżały, a czerwona maź przyprawiała o zawroty głowy. Bo choć krew jest ciepła, lepka i słodka, to pachnie śmiercią.

Był obrazem rozpacz. Nie dość, że niski i tęgi, a sądząc po sylwetce, zaprawiony w siedzeniu za biurkiem, to jeszcze ta aparycja księgowego. Haczykowany nos, drobny wąsik w stylu francuskiego ministra, łysinka. Nosił płaszcz, w którym się topił, spodnie za duże o rozmiar i buty, kajakowate, kupowane prędzej w przystani AZS aniżeli w sklepie obuwniczym. Należał do tych ludzi, którzy wyglądali na o wiele starszych, niż wskazywała metryka. Jego ciało z każdym rokiem było coraz bardziej nie jego ciałem. Zmieniał się też jego chód, oddech, sposób gestykulowania. Świszczał, gdy się męczył, i sapał jak parowóz, kiedy był z żoną w łóżku. A teraz jeszcze to.

– On już nie odszczeka tego, co powiedział, ale ty wciąż możesz uratować swój tyłek. – Zabójca podszedł do gliniarza i złapał go mocno za twarz. – Wiesz, że psy idą do piachu tak samo jak ludzie? Powtarzam to wszystkim moim żołnierzom. Niektórzy mają to nawet wytatuowane na palcu wskazującym. Dzięki temu pamiętają o złotej zasadzie, gdy pociągają za spust. Pokażcie, panowie. – Najemnicy posłusznie pokazali pokryte napisem palce wskazujące. – Ale dziś w tym pokoju nikt już za spust nie pociągnie. W końcu jesteśmy przyjaciółmi. Co, ulga?

Drobna, silna dłoń kapelusznika ścisnęła szczękę łysiejącego stróża prawa, rozmazując po niej krew niby akwarelę.

– Mam dość. Ja zwariuję – mamrotał gliniarz. – Coś ty mu zrobił...

– Ja?

– Coś ty mu, kurwa, zrobił, coś ty mu... – policjant powtarzał beznamiętnie. Był w szoku.

Kapelusznik klepnął go w policzek na otrzeźwienie i szybko pstryknął palcami przed nosem.

– Ej, ej, pobudka. Jak tak możesz? Chcesz mnie zostawić w potrzebie? Co?

– O czym ty mówisz, coś ty zrobił?

– Tyle lat razem. – Położył mu ręce na ramionach. – Przypomnijmy sobie. Tajemniczy włam do składu budowlanego, dzięki któremu postawiłeś dom. Taki piękny dom. A skromne sumki za zwrot podatku z węgla, którego nikt nigdy nie kupił? A kto ci pilnował dupy, kiedy tyś latali po mieście? Kto ci spacyfikował skinów?

– No...

– No...?

– Przyjacieli...

– Właśnie. Bo od tego ma się przyjaciół. Jest nas trochę mniej, niektórzy musieli przedwcześnie zakończyć swe występy, ale karawana jedzie dalej.

– Mogliście zostawić Franka.

– Niestety. Mafia pamięta. – Kapelusznik ruszył przez pokój, przystanął przy zabitym oknie. – No i właśnie, à propos. Miałeś zająć się kimś jeszcze.

– Zająłem się.

– Czyżby?

– Opinia publiczna za bardzo się nim interesuje. Nie mogę go nagle sprzątnąć. Czeka go proces. Albo wcześniej śmierć w celi.

– A co z gliniarzem, który mnie widział?

– Jest w śpiączce. Ale została jeszcze trzecia osoba. Nie wiem, co z naszym archiwistą Maksem, który zniknął. Masz z tym coś wspólnego?

– Właśnie sobie odpowiedziałeś.

– Czyli zniknął. – Funkcjonariusz przytaknął samemu sobie. – Kto się nim zajmuje?

– Buźka. – Tu kapelusznik wskazał bronią na człowieka z poparzoną twarzą. – Buźce można ufać. Dasz wiarę, że przyjęli go do Biura Spraw Wewnętrznych? Tam naprawdę biorą każdego... – Buźka się zaśmiał. – Zobaczmy, co zrobi z archiwistą. Na razie trzymamy Maksa na czarną godzinę jak tabletkę z krzyżykiem.



– Czy wy go...

– Zrobimy, co trzeba... – zawiesił głos. – Jeśli będzie trzeba.

Policjant skinął głową, ale wzdrygnął się na myśl, co robią, być może właśnie teraz, Maksowi, który pracował na komendzie dłużej niż on. „Trudno – myślał – wtykał nos w nie swoje sprawy zamiast dawno być na emeryturze i grzać się gdzieś na plaży w Grecji”.

– Jestem niewidzialny, rozumiemy się? Nie ma mnie. Zostają po mojej obecności tylko powidoki. Co z tą naszą niebieską gwiazdą. Będzie siedzieć? – spytał zabójca.

– Prokuratora mamy w kieszeni, nad składem sędziów pracuję. Opinia publiczna też chce jego ukarania. W końcu cała Polska widziała nagranie, na którym najlepszy detektyw morduje świadka z zimną krwią.

– Jaki ojciec, taki syn – zaśmiał się kapelusznik.

– Tak że nic nam nie grozi.

– Naprawdę sądzisz, że nic ci nie grozi? – spytał kapelusznik, obracając broń przed twarzą gliniarza. – Skąd ta pewność?

– Bo dawno mieliśmy to zakończyć, obiecałeś już nigdy nie wypłynąć. Czemu wróciłeś?

– Mam swoje powody, żeby to miasto spłynęło krwią. Niedługo się dowiesz. Akcja „Muszla”.

– Co ty pieprzysz? Nigdy ci się to nie uda.

– Z twoją pomocą?

– Kurwa! Miałem dostać awans i przejść na spokojną emeryturę za te wszystkie lata krycia twoich szwindli. Jesteś mi to winien. Jesteś mi winien święty spokój! – Ręce policjanta ciągle drżały.

– Nic ci nie jestem winien. Zbyt wiele lat spędziłem za kratami, żeby wobec kogokolwiek mieć jakiś dług. A już zwłaszcza wobec policji i tego miasta. Wszyscy zapłacą za to cenę, kiedy przyjdzie czas. Zapłaci policja, zapłaci miasto. Wszyscy i każdy z osobna.

– Nie ryzykujesz za bardzo? Wiesz, że ja też mogę cię pociągnąć na dno. – Policjant próbował grać jak równy z równym, ale nawet bez czyjegoś mózgu na twarzy dałby po sobie poznać, że blefuje. Na jego słowa kapelusznik położył mu rękę na ramieniu i pokręcił głową

z politowaniem.

– Obawiam się, że jest między nami pewna różnica.

– Gówno prawda. Ty masz coś na mnie, a ja na ciebie – brnął dalej.

– Jak sądzisz, kto szybciej za to beknie? – Schylił się po dwie łuski po nabojach, a potem odsunął nogą martwe ciało. Obrócone na wznak przerażało osmoloną dziurą w potylicy. Kapelusznik przyjrzał się jodełkowej posadzce, po czym znalazł nabój i wydłubał go lufą. Następnie podszedł do ściany, by wydłubać drugi, który utkwiał w futrynie. I ruszył w stronę drzwi. – Ty jesteś człowiekiem na stołku, a ja... – zawiesił głos i poprawił nakrycie głowy. – A ja jestem tylko Człowiekiem w Kapeluszu. – I wyszedł.

– Zaraz, chwila, a co z ciałem?! – krzyknął gliniarz.

– Ciało rozpułynie się w powietrzu, nie martw się. I pozdrów żonę! Nie wspominaj jej tylko, że przejmujemy kontrolę nad tym miastem – dobiegło z głębi cuchnącego korytarza.

Nad Toruń nadciągnęły kłębiaste i czarne jak węgiel muszle chmur, przesuwając się z chrobotem po nieboskłonie. Gdy spadł deszcz, ulice Torunia spłynęły węglem, łzami i krwią.

## 2

„Framuga w jednym miejscu jest wyraźnie przytarta. O, tu. Właśnie w tym miejscu, setki kolejnych gości tego apartamentu odpalało zapałki. Nie zwróciłbym na to uwagi, gdyby mi fesse nie podpieprzyli na rewizji cameli w miękkiej. Połasili się na fanty, w końcu nie każdy ma chody w składzie celnym, a w sklepie takich nie znajdziesz. Najwyżej jin lingi na mecie, podróby z Białorusi, z kozą zamiast wielbłąda i trocinami zamiast tytoniu. Skurwysyny. Nie żebym palił jak kot w cementowni, ale dym mnie uspokaja jak znana melodia, którą puszczam, by się skupić. Na zdarzeniu, na sekcji albo na prowokacjach. Patrę wtedy, jak tańczy na wietrze. Mogłem znieść obcięcie mundurówek, ale zabrania papierosów, gdy cię sadzają na dołek, skurwysynom nie daruję”. I spojrzął przez lufcik blendy zasłaniającej okno na drugim piętrze. Grzmiało, a deszcz lał się

z nieba jak woda z sita.

Usłyszał kroki, choć nikogo nie było w polu widzenia. Wstał odruchowo. „Zawsze trzeba wstawać – myślał – zaraz jak otwierają furtę. Nawet tu, w celi przejściowej”. Usłyszał, jak ktoś zakręcił na palcu pękciem kluczy. Potem wsadzono któryś w zamek, ale nie otworzono go od razu. Wpierw czyjeś oczy zajrzały przez wizjer w obitych nitami stalowych drzwiach. Przeskanowały pomieszczenie, a potem w wizjerze pojawiły się usta i ktoś rzekł chłodno:

– Do ciebie! – Po czym przekręcił mechanizm jednostronnego zamka magnetycznego i drzwi się otworzyły.

Z korytarza wpłynął snop światła, kładąc się na posadzce klinowatym cieniem futryny. W jasny trapez wpisała się sylwetka rosnącego strażnika.

– Trzy minuty. Oficjalnie masz zakaz odwiedzin. Wiesz, że mogę za to beknąć, nie? – Starszy sierżant sztabowy Dariusz Kulkiewicz był w placówce starszym oddziałowym. Pracował tu ponad dwadzieścia lat. Jeździł starym punto, lubił hokej i nie spał po nocach. Wyglądał jak nadmuchany Barton Fink. Grube denka od musztardówek spoczywały na wydatnym nosie zajmującym centralną część włoskiej z charakteru twarzy. – Przypominam, że cele mieszkalne pozostają zamknięte przez całą dobę! – Kulkiewicz wypowiadał te słowa już tysiące razy. Obaj wiedzieli, że taka jest litera prawa i porządek rzeczy. Bez względu na to, kto komu wierzy. – A każda próba przekazywania wiadomości na bloku lub przekazywania wiadomości poza mury aresztu zakończy się wpisem do akt, który sprawi, że za tymi murami pognije jeszcze dłużej...

Gdy Kulkiewicz się odsunął, w drzwiach stanął chudszy od niego o połowę aspirant Tomasz Żółtko.

– Nie mamy dużo czasu – rzekł, ściszywszy głos, gdy zostali sami.

– Musisz dotrzeć do prawdy przed nimi, co nie będzie łatwe, skoro jestem po tej stronie krat. – Rosły mężczyzna ubrany był w ten sam trencz, w którym go zgarnęli. Teraz pasował mu bardziej niż kiedykolwiek. – Mam nadzieję, że nie wierzysz w to, co mówią. A mówią, że jestem złem.

– Wiem, że stoisz po właściwej stronie. Bo przecież go nie zabiłeś, prawda?

– Znasz odpowiedź.

Zamilkli na chwilę, a Żółtce stanęły przed oczami sceny sprzed kilku dni. „Brodzki raczej nie miewał skrupułów, ale nigdy nikomu nie wpakował kulki z zimną krwią” – myślał Tomek. „Ani nie poderznął gardła. Czy możliwe, żeby... Nie! Każdy, ale nie Brodzki”.

– Na razie musimy cię stąd wyciągnąć – rzekł, przerywając niezręczną ciszę. – Wyciągnąć, zanim cię zjedzą.

– Nie wiem, czy dożyję tu do rozprawy. Jeśli ktoś mógł tu wejść i sprzątnąć zabójcę, to co dopiero gliniarza. – Aresztant spojrzął pytająco na Tomka. Błyskawica przeszła niebo i na chwilę rozświetliła celę. Potem nadszedł dźwięk pioruna i runął na miasto.

– Zaufaj mojej intuicji, detektywie – rzekł Tomek, poprawiając okulary na swoim drobnym nosie. Miał szczupłą twarz. Nie bez powodu Sara nazywała go Harrym Potterem, choć pioruny spadające na miasto nie odznaczyły się mu blizną na czole.

Aresztant westchnął.

– Dobrze, detektywie. Muszę pogadać z żoną i z córką.

– Dagmara i Sara są bezpieczne. Niedługo zabierze je Bryk.

– Bryk?!

– Coś nie tak?

– Nie, wszystko w porządku – wycedził przez zaciśnięte zęby. Jakoś musiał przełknąć nazwisko policjanta z Darłowa, który co prawda uratował mu życie, ale swego czasu przystawiał się do jego małżonki. Te robaczywe myśli pod celą. – I ten chuj, Halicki. Nie ufaj mu, Żółtek. Pod żadnym pozorem nie ufaj komendantowi. Z prokuratorem chcą poprzestawiać w tym mieście wszystkie klocki. A mnie spuścić w kiblu jak klocka.

– Nie damy się. Słuchaj... Może i lepiej, że jesteś odcięty. Tam jest piekło. Niszczą cię. Każdego dnia toczy cię po kawałku medialny rak. Halicki idzie po stołek wojewódzkiego jak po swoje. Musimy go powstrzymać. Trzeba złapać tego, kto nie daje spać ludziom w mieście.

– Jak widzisz, jestem Calineczką w tej śmierdzącej łupince. Nie wiem, czy odnotowałeś.

– Ale wyciągniemy cię z tego! – zaoferował się Żółtko i ścisnął mu po męsku rękę. – Mam też gorszą wiadomość.

– Ach, czyżby...

– Twój pies zniknął. – Dopiero na te słowa Żółtki Brodzki naprawdę spochmurniał. Nie liczył, co prawda, że Szarik niczym Lessi będzie do niego wracać, ale jednak polubił tego czworonoga, który pojawił się znikąd. A teraz donikąd wrócił.

– Zapaliłbym.

– Przywiozłem... Ale zabrali mi na dole, wybaczone. Myślisz, że fajek by ci teraz pomógł?

– „Silniejszy lek od bólu?”

Gdy Tomek wyszedł, cela przejściowa zapadła w otchłań ciemności naświetlanej krótkimi błyskami nocnej burzy. Dopiero po minucie, a może po kilku minutach albo po godzinie wzrok aresztanta na powrót oswoił się z mrokiem.

Przeszedł po zimnej celi do przeciwległej ściany i spojrzał w czarne jak smoła lustro. Nie spoglądał w nie do tej pory za dnia, kiedy było jasno. Bał się.

W zwierciadle odbijały się dwa migoczące punkty. Kiedy spoglądał w otchłań, jak mawiał Nietzsche, ona również na niego patrzyła.

Deszcz ustał. Nocne niebo usłane chmurami przeredziło się na chwilę, wpuszczając między swoje włókna srebrne nici księżycowej poświaty.

Cienie na gotyckich i pruskich murach Torunia zmieniły swój układ jak za sprawą mechanizmu sprężynowego. Ze smolistej nocy wyłoniły się kolejno bramy, załomy, wieże, podcienie, arkady, baszty oraz kolejne metry muru, którego ściany zbiegały się na skrzyżowaniu ulic Fosa Staromiejska i Piekary. Bruk lśnił teraz jak posadzka sali balowej. Tej, w której tańczy się poloneza. Żółtko zwolnił u zbiegu Fosi Staromiejskiej i ulicy Franciszkańskiej i spojrzał za siebie. Księżyc rozbłyskał właśnie pełną mocą, a wydobyte z ciemności ściany aresztu śledczego wznosiły się majestatycznie

figurą ku niebu. Choć brzmi to groteskowo, była to piękna budowla. Postawiona według schematu Panoptikonu swoim walcowatym kształtem wbijała się w architekturę Starego Miasta jak trzpień.

„Trzymaj się, psie” – pomyślał Tomek. Spojrzał ostatni raz w ciemne kwadraty przesłoniętych okien, po czym ruszył brukiem w kierunku rozświetlonego neonami placu Teatralnego.

Ulicą Franciszkańską przemknął ktoś w czerwonym płaszczu przeciwdeszczowym. Gdzie indziej, w oddali, zawodził pies.

Człowiek przed lustrem obrócił się do światła i wówczas z ciemności zaczął się wyłaniać jak zeppelin obrys jego twarzy: mocna szczęka, pełne, ale zaciśnięte usta, prosty nos, wysokie czoło i krótkie, zwichrowane, ciemne blond włosy z kilkoma przebytymi siwizny na skroniach. Naprężona szyja otulona wysokim kołnierzem płaszcz ujawniała napięcie, a zmarszczone czoło – zamyślenie i gotowość do działania.

To właśnie wtedy po raz pierwszy zobaczył w odbiciu człowieka, który poszedł przez niego siedzieć.

Nazywał się Leon Brodzki i był podkomisarzem z komendy Toruń-Śródmieście. Niebieską gwiazdą, która spadła właśnie z nieboskłonu jak zardzewiały sputnik. Zestrzeliwują takie, kiedy tracą nad jakimś kontrolę. To dlatego od kilku godzin siedział w areszcie śledczym oskarżony o zabójstwo, którego miał się dopuścić w sali przesłuchań.

„Cholera – pomyślał – przecież więźniowie nie giną w areszcie. A gliniarze nie idą siedzieć”. I spytał na głos odbicia:

– Przecież go nie zabiłeś, prawda? – Lecz odbicie nie odpowiedziało.

A potem znów usłyszał kroki, choć nikogo nie było w polu widzenia. I chociaż bardzo nie chciał, powoli się do tej niepewności przyzwyczajał.

Ktoś uchylił lufcik w stalowych drzwiach i wrzucił do celi dwa papierosy. Brodzki od razu poznał swoje camele.

– To będzie dobra noc – rzekł do siebie, sięgając po leżące na posadzce fajki. – Taka w sam raz, żeby umrzeć.

Zbrodnia w mieście T.  
Reportaż Bereniki Vesper

Część pierwsza

*Już widzę te nagłówki w „Fakcie”: „Spóźniła się na roraty: nie żyje”. Albo: „Wszedł do kościoła: poszedł siedzieć”. Kto może mieć powód, żeby podnosić na kogoś rękę tutaj? W mieście pierników, Kopernika i Radia Maryja?*

*Co przeciętny Polak wie o Toruniu? To miasto nad Wisłą, urodził się tu Mikołaj Kopernik. To tu przed księżmi nie klęczą mali chłopcy, ale czołowi politycy z Warszawy. Wszystko dzięki sanktuaryjno-medialnemu imperium ojca Tadeusza Majbacha. Odkąd do władzy doszła konserwatywna prawica, w pielgrzymkę do Torunia regularnie udają się ministrowie i szefowie przeróżnych komisji. Następną stacja: Toruń. Rząd upada... Znajomi, z którymi rozmawiałam na Saskiej Kępie i Żoliborzu, uważają, że Toruń jest „uroczy”, „pocieszny”, „sympatyczny” i „tani”. To najczęściej używane określenia. Zabawne, ale tymi samymi słowami dzisiejsze singielki opisują mężczyzn z Tindera, z którymi poszłyby na kolację, ale niekoniecznie do łóżka. „Kompaktowy” to ostatni epitet. Pewnie opisuje tych, co zamiast rozebrać kobietę w kółko zmieniają płyty w odtwarzaczu.*

*Tworząc reportaż o krwawym Toruniu, postanowiłam sama sprawdzić, jak tu jest. Skoro w tym mieście nawet burgery podaje się w pierniku, a kościelne radio puszczają z głośników na dyskotekach, to gdzie tu miejsce na morderstwa? I jaki byłby motyw?*

*Dochodzę do tego zaraz po tym, jak wysiadam na peron numer 1 o godzinie 23.17. Podróż z Warszawy zajęła mi trzy godziny, miasto wita mnie ulewą. Mijają mnie podróżni ze zbyt ciężkimi torbami, kilku starców, jakich spotkać można gdzieś na wschodzie, ci, co mieszkają w tych rozpadających się domach.*

*Dworzec jest zimny. Owszem, wyremontowany, zewsząd błyskają niebieskie ekrany informacyjne i uśmiechają się twarze załóg konduktorskich na plakatach, ale jest betonowo, pusto i chłodno. Jak w kostnicy.*

*Zjeżdżam ruchomymi schodami. Trzeba mieć coś z życia. Jako dziecko jeździłam podobnymi całymi dniami, zwłaszcza w Łodzi, u babci, w domu handlowym Central.*

*Po chwili wypływam w hali głównej. Myślałam, że dworzec wygląda inaczej, na zdjęciach sprzed przebudowy miał piękne, srebrne kasetony pod sufitem. Teraz jest po prostu czysto. Zbyt czysto.*

*Kieruję się do wyjścia. Na parkingu wyciągam z kieszeni kartkę z nazwą i adresem hotelu, który mieści się przy ulicy Mostowej. Za plecami mam neon „Toruń Główny”. Chcę zrobić zdjęcie. To wtedy zaczepia mnie para bezdomnych.*

*Dopiero co wysiadłam z pociągu, a już czuję klimat miasta. Nie czeka na mnie delegacja z koszem pierników, redemptoryści nie śpiewają „Maryjo, witam cię”, budynku nie obstawia Leon Brodzki. Jedyne ten podejrzany duet odłowiony z ciemności jak para kojotów.*

*Nie są to zwykli kloszardzi, ale młode, brudne, posiekane ćpuny, jakich w Warszawie spotkać można czasem przy WKD Śródmieście albo na Targówku. Odruchowo do wewnętrznej kieszeni marynarki chowam notes, z którym się nie rozstaję, oraz telefon. Wolalabym stracić iPhone'a niż notes. W nim trzymam myśli, bez których znikam jak siwy dym.*

*– Panna, daj wysłać esemesa! – krzyczy chłopak o aparycji młodego Ernesta Hemingwaya. Zachowuję poprawną pisownię, przytaczając jego słowa, ale mówi niewyraźnie. Jego głos przypomina coś jakby syk przechodzący w szmer.*

*Nie reaguję, ale nie odpuszczają. Stają się agresywni. Męczyzna grozi mi rozbitą butelką. Ma w oczach rozpacz, dropsy i nieuregulowane rachunki. To wtedy w mojej obronie staje tamten człowiek.*



*Jest taksówkarzem. Najpierw słyszę trzask zamykanych drzwi, potem jak spod ziemi wyłania się jego sylwetka. Jest niski, nie było go widać za tym beżowym fiatem 125p. Samochód jak z serialu „Zmiennicy”. Stoją takie czasem u nas przy placu Defilad, z numerem bocznym 1313. Ten ma 02.*

*Kierowca uprzejmie prosi napastliwą parę o oddalenie się. Mogę państwa zapewnić: jest to najpierwszy dżentelmen w całym Toruniu. Nosi kaszkiet i beżową kurtkę. Używa staromodnego języka i jest niezwykle szarmancki. Szkoda, że nie urodziłam się pięćdziesiąt lat wcześniej, stanowilibyśmy wspaniałą parę.*

*Negocjuje z nimi chwilę. Kiedy po kilku minutach nadjeżdża Straż Miejska, którą wezwali inni na postoju, pies tropiący wyczuwa u moich nowych przyjaciół narkotyki. Jak się dowiaduję, suczka wabi się Luna i jest laureatką pierwszej nagrody w konkursie dla psów tropiących.*

*– Proszę się nie wrywać, bo będzie bardziej boleć! – Strażnik ostrzega Hemingwaya, ale ten za nic ma ich uwagi. Jeszcze nie wie, że to jemu bije dzwon. – Musimy pana zatrzymać, jest pan pod wpływem środków odurzających!*

*– Narkotyk wypocisz, kurewstwa nigdy! – krzyczy Ernest.*

*– Kurewstwa i wioski! – dodaje ruda dziewczyna w stylu Franki Potente z „Biegnij, Lola, biegnij”. Siedzi już skuta w środku. Jej słowa są ostatnimi, jakie słyszę na dworcu Toruń Główny. Wsiadam do taksówki.*

*– Do miasta, panienko? – pyta, znajdując mój wzrok w lusterku wstecznym. Jego oczy skrzę się jak szklane paciorki.*

*– A to nie jesteśmy w mieście T., panie...?*

*– Heniu. Heniu Złotowa – przedstawia się i w lusterku widzę jego uśmiech, który wciąż ma w sobie coś męskiego i szarmanckiego. – Miasto, które ma pani na myśli, jest po drugiej stronie Wisły, przez którą za chwilę przejedziemy. Tu jest strona lewa. Rudak, Stawki, Podgórz, panno...*

*– Vesper. Berenika Vesper.*

*– Piękne imię. Znałem kiedyś jedną Berenikę. Siedziała za mną na*

*lekcjach i wbijała mi pióro w plecy.*

*Heniek jest sympatyczny. Nie da się go nie lubić, nic dziwnego, że pracuje jako kierowca. Uberem tacy nie jeżdżą. Gdy zwalniamy przed wjazdem na most, częstuje mnie czekoladą.*

*Auto podskakuje wdzięcznie na wybojach, silnik pracuje równo, a kabinę wypełnia muzyka. Słyszę dzingiel lokalnej stacji – to Radio GRA, 88,8 FM. Zapowiadają piosenkę „Miasto T.” zespołu Gribojedow. Podobno o Toruniu. Zaczynają płynąć dźwięki.*

*Chodzenie po mieście wciąż.*

*Wchodzi w pięty i w krew.*

*Poranna kawa odbija się zgagą.*

*Wczorajszy grzech, dziwny sen, topniejący śnieg i miasto,  
Miasto T.!*

*Bardzo lubię patrzeć w Słońce.*

*Żółta plama pod powieką.*

*Wracają do mnie przeszli ludzie, przychodzą do mnie z daleka...*

*Powidok klatek, zapachy piwnic,*

*Pliska i Wisły, brzeg i miasto,*

*Miasto T.!*

*Kupuję to. Myślałam, że Toruń to tylko Republika i Organek. Piosenka da mi pomysł na tytuł reportażu. „Miasto T.” Jak Toruń, jak Twin Peaks. Jak trup. I jak trop.*

*W środku czuć było welurem i parafiną. Dotykam obicia drzwi. Boże, pachnie jak fotel mojego dziadka! Facet naprawdę kocha ten samochód. Gdzieś pomiędzy dudnieniem deszczu o dach i muzyką rozlega się dźwięk podobny do przesuwania koralikowej zastony. To mata na siedzeniu kierowcy. Pewnie jest wygodna i poprawia mu krążenie.*

*Most jest majestatyczny. Zwłaszcza w deszczu, kiedy krople przecinają miriady światła. To tutaj powieszono jedną z ofiar Heraklita. Dokładnie na środkowym przęśle morderca, który zaczerpnął swój pseudonim od filozofa z Efezu, zamordował*

chłopaka. Potworna śmierć.

W tym właśnie miejscu zwalniamy. Na moście jest mały zator. Na prawym pasie autobusy komunikacji miejskiej. Pierwszy wyklejony wielką reklamą toruńskiego teatru, na jego boku wizerunki aktorów w groźnych pozach. Drugi autobus, biały, reklamy ma tylko w oknach. Na jednej z nich widzę napis: „Czas jest wspaniałym nauczycielem. Niestety zabija wszystkich swoich uczniów. Hektor Berlioz”.

Przy zwiężeniu ulicy ubrany w kamizelkę odblaskową człowiek krząta się przy barierkach. Powinni bardziej zadbać o oznakowanie, ktoś mógł w niego wjechać.

– Ech, ci drogowcy! Jak nie zima ich zaskakuje, to jesień! – pomstuje Heniek. – Niechżeby dali już spokój z tym mostem. Powinni go zamknąć na cztery spusty.

– Panie Henryku, czy to nie tutaj doszło do...

– Pst! – W lusterku wstecznym kierowcy widzę jego strapioną minę. Wskazuje na prawą stronę. W oddali, za ścianą deszczu, wyłaniają się pięknie podświetlone kontury panoramy Starówki. – Mury tego miasta pamiętają każdą kroplę krwi.

– Czy wie pan coś na ten temat? – pytam najszeptelniej, jak się da. Nie jest to sytuacja, w której miałabym kogokolwiek kokietować, zresztą nie cierpię tego robić. Tym bardziej że taksówkarz patrzy na mnie jak na dawno niewidzianą wnuczkę.

– W domu powieszzonego lepiej nie rozmawiać o sznurku. – Nie jest zbyt chętny do rozmowy na ten temat, ale nie odpuszczam.

– W telewizji słyszałam o detektywie Leonie Brodzkim. Ponoć...

– Skręcamy teraz w ulicę Ślimak Getyński! – przerywa mi. Auto miętko hamuje, by przepuścić bezdomnego na pasach. – Po lewej mijamy alpinarium. Park wziął nazwę od rodzaju nasadzonych roślin, które znaleźć można w Alpach. Upodobali je sobie zwłaszcza leśni ludzie. Jak džentelmen, którego właśnie mijaliśmy. Młodzież mówi na to „żulasik park”. – Udaje, że nie słyszał pytania. Dlaczego? – Po lewej, u góry, widzi panienska, Krzywa Wieża. Teraz dojeżdżamy do Wiselki i w lewo z pierwszeństwem. Wie pani, że tu niedawno

woda podeszła? Cały ten parking – wskazuje na budkę wartownika z prawej – metr pod powierzchnią, uwierzy panienka? Podobno od tego czasu firmy ochroniarskie wysyłają wszystkich na kursy pływakie.

Jego głos jest wesoły i niezwykle uprzejmy, ale jego świecące oczy mówią wiele o tajemnicach, jakie skrywa to miasto. Nie chcą się tu nimi dzielić z przyjezdnymi, tak jak rodzina nie opowiada wszystkim wokół o swoich tragediach. Twarz Henryka migocze w snopach światła wpadających do kabiny jak na filmie puszczanym w kinie ze starej taśmy.

Gdy suniemy Bulwarem Filadelfijskim, obracam się, by jeszcze raz spojrzeć na most. W nocnej ulewie wygląda jednak bardziej przerażająco niż majestatycznie. Jak szeroka szubienica. Wzdrygam się na myśl o dyndającym na nim umrzyku. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdybym wpadła z niego do wody. Wisła jest teraz czarna jak kałamarnica, trupia.

– A tutaj – kontynuuje taksówkarz – wie panienka, były kiedyś tory. Zanim betonem zalali, co tu widać na prawo, to wcześniej, dawnymi czasami, tory się ciągnęły aż do Portu Drzewnego. Pociągi towarowe jeździły, aż miło. Ale były i przykrości. Dziecko małe, ojca jego znałem, bawiło się bączkiem, na tych torach, jak pociąg nadjechał. Rano znaleźli tylko dłoń z cukierkiem, irysem. Straszne rzeczy...

Czy jest jakieś miejsce, gdzie nie doszło do żadnej tragedii? Na to retoryczne pytanie nie zdążę sobie odpowiedzieć, bo kierowca kontynuuje:

– Skręt w Bramę Mostową. Prawda, że jak szachowa wieża? No, i tu, po lewo, Spichrz. Kiedyś była fabryka. Wybuchł pożar i sześć dusz poszło do nieba. Okna były zakratowane, kobiety nie mogły w dymie wyjścia znaleźć. A tu, z prawej, „Stara Babcia”, jedna z najstarszych gotyckich kamienic w mieście.

– „Stara Babcia”?

– Lokal dla młodzieży. Ponoć przepiłowane na pół książki tam mieli, żeby weszły im na półkę. Ozdoba taka.

– Ostatecznie lepsze książki niż trupie czaszki... Ale wracając do

pytania. Czy...

– Też z dymem poszło – kontynuuje. – Kopcito, aż miło. Teraz młodzi się do tego wzięli, może coś tu zrobią z sensem. Jakąś klubokawiarnię chociaż.

– Chyba już mi pan naświetlił historię miasta – ucinam. Chciałam posłuchać o trupach w Toruniu, to mam.

– Jak rozumiem, lubi pani sensacyjne historie. Gazeta czy radio? – pyta. Auto zatrzymuje się przed hotelem „Pod Orłem”. Dopiero teraz się orientuję, że z całego tego zaafierowania nie powiedziałam kierowcy, dokąd chce jechać. Elewacja tego najstarszego hotelu w mieście robi większe wrażenie na żywo niż na fotografiach.

– Skąd pan...

– Podczas postoju na dworcu człowiek ma dużo czasu. – Odwraca się do mnie i uśmiecha. – Obserwuję przyjezdnych. Cały rozkład jazdy mam w głowie. Gdy wysiadła pani z pociągu, do nikogo pani nie dzwoniła ani nie pisała. Czyli nikomu nie musiała pani meldować, że dojechała bezpiecznie. Po tym miarkuję, że to podróż służbowa.

Przytakuję.

– Widziałem, jak chowa pani notes, a adres zauważyłem na kartce, którą pani trzymała. Mówią na mnie Ostatni Mohikanin. Gdybym miał drugie imię, brzmiałoby – tu pokazuje na swoją twarz i śmiejąc się, dodaje: – Sokole Oko! Nie wypuszczała go pani z rąk. Jeśli w tym wieku, a młoda pani jest, nie używa pani komórki i internetu do notowania takich rzeczy, to znaczy, że jest pani tradycjonalistką z nawykami, jak ja. Pewnie od zawsze lubiła pani pisać na papierze i zakładam, że dalej pani lubi. Zapewne zajmuje się pani pisaniem. Pisaniem o Leonie Brodzkim.

– Ja... To nie tak, panie Henryku.

– A jak? Jest pani młodą i sympatyczną dziewczyną. Po co pani takie smutne historie?

– Już nie taką dziewczyną – próbuję zgrywać kogoś innego, ale to bzdura. Każda kobieta lubi się odmłodzić.

– To nie jest temat dla pani. Dla nikogo zresztą.

– Zna pan Leona Brodzkiego?

*Henryk wzdycha i gasi silnik. Auto stoi w cichym stukocie deszczu, a jego reflektory oświetlają szczyt ulicy – budynek z dwiema pnącymi się ku górze kolumnami, na których stoją dwie figury. Nie mogę dostrzec, co symbolizują, początkowo wydaje mi się, że to ślepa Temida, ale chyba jednak nie. To coś alegorycznego.*

*– To dobry człowiek. Proszę nie wierzyć w to, co o nim mówią, panienko.*

*– Mówią, że zabił człowieka. To policjant. Powinien być nieskazitelnie czysty.*

*– Jak można być nieskazitelnie czystym, angażując się w pracę tak, jakby się brodziło po pas w błocie? W pracę policjanta czasem wpisane jest zabijanie złych ludzi.*

*Zastanawiam się, czy to od tego Brodzki wziął nazwisko. Pierwszy raz jego obca postać zdaje mi się ludzka. Trwa to jednak nie dłużej niż sekundę.*

*– Panienska chyba nie lubi policjantów, racja to? – pyta. Skąd wiedział? Czy czytał gazety?*

*– Skąd go pan zna?*

*– Znam go od małego. Znałem też jego ojca. Byłem przy tym całym... Widziałem, jak jego ojciec zginął, i byłem na pogrzebie. Umierają mi ludzie – rzekł Henryk, przypatrując się kołnierzykowi mojej białej koszuli.*

*– Co pan ma na myśli, mówiąc „przy tym”?*

*– Przy łapaniu Heraklita. Tym wozem żem go gonił.*

*„W porządku – myślę – chyba już czas, żeby pan starszy poszedł spać. W wiele rzeczy bym uwierzyła, ale nie w to.*

*Dowiedzieć się czegoś tutaj jest trudniej, niż przypuszczałam. Tutaj, w mieście T. W mieście ślepej Temidy. I trupów”. „Stop”.*

#### 4

Śmierdział śmiercią i wiedział, że krew w końcu z siebie zmyje, ale jej zapachu – nigdy.

Wybiegł prosto na deszcz. Potknął się za wysmarowanym graffiti

murkiem o niewinnie wystającą kostkę brukową, jęknął w powietrzu, po czym runął na ulicę jak długi. „Dlaczego, kurwa, dlaczego ktoś mi dłubie gwoździem w wątrobie” – pytał siebie w myślach. „Dlaczego po trzech dekadach na komendzie ktoś wkłada mi kij w szprychy? Mnie, komendantowi komisariatu Toruń-Śródmieście Gromosławi Halickiemu?!”

I nagle zapragnął szybko znaleźć się w łóżku, obok żony, Zofii, która robi mu herbatę, kanapki z pieczenią, taką od sprawdzonego dostawcy. A potem poczuje ciepło żony, jej zapach i zaśnie.

Nie udało się. Na myśl o jedzeniu zwymiotował.

Nawierzchnia pachniała kwaśnym deszczem. Jego ostre strugi zmyły z twarzy gliniarza kolejne fragmenty rozerwanych tkanek obcego, ludzkiego ciała i teraz, gdy leżał z głową w dole, krew napływała mu także do ust i oczu. Zacisnął je, jak ktoś śniący na jawie najgorszy koszmar, i wziął głęboki oddech. Bodaj nigdy nie brał głębszego. Chciał się szybko otrząsnąć, ale podźwignięcie na nogi nie przychodziło łatwo. Lata służby robiły swoje. Długi, przemoknięty płaszcz z każdą kroplą deszczu bardziej ciągnął do ziemi, a nogi były ciężkie jak z ołowiu, a może jeszcze cięższe – nabite aktynem lub plutonem. Oparł się wreszcie o maskę żółtego poloneza trucka i z nie lada trudem stanął na nogi.

Krótką uliczka była ciemna. Gdyby ktoś wyrzał teraz z kamienicy przez okno, zobaczyłby czerwonego upiora o obłądnym spojrzeniu i pokracznej sylwetce. Ale nie wezwałby policji. Nie zrobiono tego przecież nawet po dwóch strzałach z broni krótkiej. Bo Bydgoskie było specyficzną dzielnicą, i ulica Lindego też.

Nie tak dawno chłopak z dwoma i pół promilami na wydechu wbił ojcu korkociąg w oko. Pod sto dwanaście nie od razu chcieli przyjąć zgłoszenie, bo nie byli pewni, czy ktoś ich nie wkręca. Prokurator Giżycki zakwalifikował to pod artykuł sto pięćdziesiąt sześć, paragraf trzy kodeksu karnego, czyli spowodowanie ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, które doprowadziło do śmierci. A wszystko przez alkohol. I wcale nie chodzi o zaburzenie świadomości. Tanie wina z supermarketów nie są leżakowane, tylko stoją w kartonach.

W butelce, która nie leży, korek wysycha. Chłopak złapał szyjkę butelki, pociągnął za korek, a ten po prostu się skruszył i ręka z korkociągiem wystrzeliła. W ten sposób syn wbił się ojcu w pamięć.

Policjant podniósł twarz ku jedynej działającej latarni i poczekał, aż deszcz zmyje z niego ostatnie minuty. Niestety, nawet potężna natura nie miała takiej mocy sprawczej.

Poczłapał resztkami sił w górę i przeciął Słowackiego, drepcząc ku biało-czerwonym neonom stacji benzynowej sieci Lukoil, gdzie zaparkował swojego citroena. Długo majstrował przy stacyjce, nim roztrzęsionymi rękami trafił w nią kluczykiem.

W domu w Łysomicach był pół godziny później. Miał czerwoną fałę, ale nie zatrzymał się na żadnym ze skrzyżowań.

Wódka nie pomogła zapomnieć, ale na chwilę przytłumiła jego zmysły.

Siedział skulony i przemoczony, z butelką amundsena w rękę. Na tym samym skórzanym fotelu co zawsze, pod tym samym porożem jelenia na ścianie, w tym samym eklektycznym salonie w kolorze brązów i beży. Trzeba się było mocno postarać, żeby tak bez gustu urządzić to miejsce, ale komendantowa miała tę rzadko spotykaną supermoc obracania rzeczy w kicz. Przy czym był jeden człowiek na świecie, który – jak się zdawało – nie dostrzegał problemu, a człowiekiem tym był jej mąż. Z Gromkiem, jak na niego mówiła, poznali się w radiowozie, pechowo zatrzaśniętym przed komendą. Zdaniem sąsiadów pani Halicka z wiekiem przeistoczyła się w sukę. Sukę od krasnali ogrodowych. Gdy pioruny rozświetlały nocne niebo, figurki przed ich domem w Łysomicach wyglądały upiorniej niż mordercze klauny.

Halicki resztkami świadomości zaplanował, co zrobi kolejnego dnia. Usunie krety, rozmówi się w pałacu z prokuratorem Giżyckim, starym wygą z dawnych czasów, z którym niejedną wódkę w „Słonecznej” przy Kraszewskiego wypili. W milicyjnej knajpie, do której wchodzili tylko gliniarze. I jeden człowiek bez blachy z obstawą. Ten, który omal go dziś nie zabił. To tam wykonano zdjęcie, dowód, o którym mówił kapelusznik. Czarno-białe widmo



przeszłości. Fotografuję z całą toruńską ferajną. Mundurowymi, mafiosem, prokuratorami, pomagierami i dwoma chłopcami na posyłki. Tak, porozmawiam z Giżyckim.

W fotelu znalazła go żona. Nie pierwszy raz przynosił robotę do domu.

Należała do tego typu kobiet, które wspierają i nie zadają pytań. A potem, po trzydziestu latach, dowiadują się, że mąż był na przykład mafijnym bonzem karmiącym psy ludźmi. Jak słynny Ślepy z Budyniowic. Potrafił poderżnąć gardło ochroniarzowi na swoich urodzinach, odczekawszy, aż ten odśpiewa sto lat. Wpadł, bo jego żołnierze nie pośalili się na samochód po dwóch zamordowanych biznesmenach z Tucholi. Zamiast go spalić, sprzedali na części. Ktoś rozpoznał felgi na szrocie i po nitce kryminalni trafili do kłębka. A raczej do żmijowiska.

Tego wszystkiego Zofia jednak nie wiedziała. Nakryła tylko męża kocem w tygrysie cętki, uchyliła okno i wróciła do siebie.

Gromek zasnął czerwony od krwi. Ciężko ocenić, w jakim stopniu czerwień pochodziła z krwi zwłok, a w jakim była jego własną czerwienią płynącą od zawsze w jego amoralnej duszy.

## 5

### *Z bazy zaginionych:*

Sprawa nr 03-0373

Zdzisław Galeski

Aktualny wiek: 62 lata

Data zaginięcia: 1980/12/12

Wiek w dniu zaginięcia: 27 lat

Wzrost: 185 cm

Kolor oczu: niebieskie

Znaki szczególne: głębokie zakola (początkująca łysina)

Ostatnie miejsce pobytu: Toruń

Kraj: Polska

W hotelu zawodził monitoring. Za drewnianą recepcją z wysokim, wytartym blatem migał ekran podzielony na sześć kwadratów. Widok z kamer przewijał się jak na starej kasecie VHS.

W hotelu nie było restauracji. Tylko setki starych fotografii i obrazów. Zagrodzone łańcuchem zejście do piwnicy, przepiłowane, wpasowane w ścianę pianino i znów te fotografie. Z lat dwudziestych, trzydziestych, pięćdziesiątych.

Ruszyła w kierunku wąskich drzwi.

– To nie winda – uprzedził recepcjonista. Miał długie, przerzedzone ciemne włosy i przydużą białą koszulę. W lustrze za nim odbijał się ekran jego monitora. Na tapecie była okładka którejś płyty Iron Maiden. – Nie mamy windy. Tu była kiedyś centralka telefoniczna. To był pierwszy w Toruniu hotel z własną centralką. Taki... zabyteczek.

– Czy ktoś jeszcze jest w hotelu?

– Oczywiście, całe tłumy! – zapewnił, ale po chwili się roześmiał. – Nie. Tylko pani. Ostatnio ludzie boją się tu przyjeżdżać. Bo niby mordują... A to przecież bzdura!

– Dziękuję panu. Dobranoc! – Uśmiechnęła się. Lubiała ludziom życzyć dobrych snów. Jej dziadek zawsze mówił, że najważniejsze to się dobrze wyspać. Gdyby się wszyscy dobrze wysypiali, nie byłoby wojen.

– Pani również, pani Bereniko.

– Masz, pościeraj kurze, jak chodzisz – usłyszała na półpiętrze. Z głębi pierwszego piętra nadchodziła para starszych ludzi w hotelowych uniformach. Nie wyglądali, jakby dokądkolwiek im się spieszyło. On postawny, z mocnymi włosami i krzywą przegrodą nosową. Ona – o urodzie Krystyny Loski z tlenionymi lokami.

– Na razie stoję, Izabelo!

– Ja ci daję ścierkę, żebyś miał jakiś sens w życiu, ruszaj się!

„Co za galeria osobliwości” – pomyślała Berenika. „Czekać tylko, aż

konsjerż zjawi się we fraku przyciętym na wzór chrabąszcza i krzyknie: «Siodłać konie!», a w drzwiach stanie prosty jak linijka stangret z bukietem hortensji”.

Zatrzymała na chwilę tę nostalgiczną myśl. Nie wiedziała, że tego dnia w hotelu nie spotka już nikogo.

Pokój numer siedemnaście przywitał ją bez objęć. Był przytulny, ale pusty. Taki, jak lubiła.

„Co mnie tu przygnało” – myślała. Błyskawice w głowie mieszały się z tymi za oknem. Lubiła obserwować świat przez szybę – auta, latarnie, ludzi. Odzwierciedlało to trochę jej naturę. Gdy mieszkała kiedyś na Ursusie, każdej nocy nisko nad głową przelatywały jej samoloty. Jak Heniek znał rozkład jazdy pociągów, tak ona znała rozkład lotów. Gdy przeniosła się potem na Żoliborz, z okna przy placu Wilsona widziała taksówki, tramwaje i autobusy.

Tu z okna hotelowego widać było tylko czerni.

Otworzyła macbooka. W folderze „Miasto T.” wyszukała zdjęcie kupione od Polskiej Agencji Prasowej. Przedstawiało wieżę Ratusza Staromiejskiego, wysoką, czerwonoceglaną, z tarczami zegara u szczytu każdej ze stron. Na samej koronie stała niewyraźna sylwetka mężczyzny. Fotografia była pionowa, reporter zdołał uchwycić w kadrze dwie postaci. Tym drugim była odrywająca się od korony wieży sylwetka człowieka w policyjnym mundurze. To był Brodzki. Wyciągał ręce w kierunku tego drugiego, ale Berenika nie była w stanie ocenić, czy te dłonie skoczka próbowały złapać, czy też właśnie go puściły. Drugi policjant, który spadł, przeżył, bo Straż Pożarna rozstawiła na ziemi skokochron. Jednak niedługo cieszył się życiem.

Berenika odpaliła plik wideo: vid\_areszt\_brodzki\_zab.mp4.

Nagranie obiegło dziś media w całej Polsce. Słabej jakości zapis z monitoringu w sali przesłuchań aresztu śledczego w Toruniu. Człowiek przypominający Leona Brodzkiego, trzymając prawą ręką długi, wojskowy nóż, podcina gardło aresztantowi, Kosmie Góreckiemu. Temu samemu, który spadł z wieży, i temu samemu, który nazywał siebie Heraklitem.

Wyjęła z marynarki notes, chwyciła granatowego parkera i zapisała:

*Czy miał motyw? Zemsta.*

*Czy mógł zabić? Operował bronią. Mógł, bo już zdarzało mu się zabić. Ile osób zabił wcześniej?*

*Czy mógł zabić z zimną krwią, licząc się z konsekwencjami?*

*Czy mógł sądzić, że nie ma tam monitoringu? Oczywiście, musiał wiedzieć.*

*A zatem... Zemsta? Bo zabito mu ojca i porwano córkę?*

*Jakim człowiekiem jest Leon Brodzki? Do ustalenia.*

*Winny. Niewinny. Winny. Niewinny. Nie wiem.*

*Wiem.*

*Bzdura. Nie wiem.*

Zamknęła notes i schowała go do torby.

Lubiła brązowe, skórzane torby. Wieszala je w mieszkaniu na klamce, ale wciąż stamtąd spadały. Większość z nich była „zdobycza” i za żadną nie dała więcej jak dwie dychy. Torba to ważny element wyposażenia w pracy dziennikarskiej. I kobiecym życiu. Niech rzuci kamień pierwsza, która nie ma swojej czarnej dziury przewieszanej przez ramię.

Kiedyś nosiła zielony plecak marki Kanken, prezent z Berlina, od swojej pierwszej miłości, pamiętna majówka. Po studiach wciąż wyglądała z nim jak uczennica liceum. Kilka niewybrednych uwag sprawiło, że wrzuciła go do szafy.

Jej torby były najczęściej duże. Żeby mogła wrzucić do nich wszystko, co potrzebne w robocie. Wszystko, co się przyda podczas akcji reporterskiej. A więc dużo kieszonek, symbol samoorganizacji, która odezwała się do niej po publikacji jej pierwszego dużego tekstu. Pisała wtedy o posłance, którą pobił mąż. Wtedy kieszonki stały się ważne, bo zaczęły się wyjazdy. W osobnej dyktafon – gdyby rozładował się iPhone, z którego wszystko trafia od razu do chmury. „Ale dyktafon – myślała – to coś jak pióro”. Olympus, do którego

kaset prawie nie można dostać, więc zajeżdża w kółko te same. Dalej długopis z dyktafonem i kamerą, gadżet od Sylwii z redakcji. Ładowarka, dwa powerbanki, klucze do mieszkania i auta – nieporęcznego opla tigry w kolorze czerwonym. Chusteczki nawilżane, te dla niemowlaków, bo najmniej chemii. Portfel, długi i gruby, za gruby – przez wizytówki i paragony, które obsesyjnie zbiera. Szczoteczka elektryczna i mała pasta. Chciała kiedyś opatentować szczoteczkę z podajnikiem pasty w środku, ale podobno zrobili to już w Japonii. Miała zresztą wiele pomysłów na takie gadżety. Jak aplikacja walkman, która spowalnia piosenkę wraz rozładowywaniem się baterii w komórce. A wracając do zawartości torby: jeszcze plastry w biedronki z Ikei i notes z kontaktami. Spisała je kiedyś, gdy telefon wpadł jej do jeziora.

Dlatego Henryk miał rację. Była tradycjonalistką.

Poszukała torebki z zestawem bibulek, filtrów i tytoniu, po czym na stoliku przed lustrem naprędce skręciła papierosa. W odbiciu było tylko pół jej twarzy. Drugie pół zostało w stolicy. Odbity, lewy kącik ust unosił się naturalnie. Mały nos był przyozdobiony przez pieprzyk przy oku. Włosy miała ciemnobrązowe, lekko kręcone, opadały jej na ramiona, lekko łaskocząc skórę. Ciemnozielone oczy były radosne, jakby się uśmiechały, idealnie pasując do ust. „Tyle wrodzonej radości na twarzy, a taki ogrom smutnych doświadczeń” – pomyślała. Babcia mówiła na nią „rojber”, co w gwargie poznańskiej znaczy mniej więcej tyle co „nicpoń”. To za sprawą zawadiackiego spojrzenia i psot, którymi raczyła wszystkich dokoła od najmłodszych lat. Tak, to spojrzenie towarzyszyło jej przez całe życie i o czymś istotnym świadczyło. Tak jak nazwisko, które ciągnęło się w jej rodzinie od dwóch pokoleń, jako spadek po babci, która dała się uwieść bogatemu handlarzowi z Amsterdamu. Mężczyzna ją potem zostawił, tak jak jej matkę zostawił jej ojciec. Nazwisko było dzwięczne i sprężyste, lubiła je, ale było jak pusta kaloria. Odsyłało to dziedzictwa, które nie istniało. Co innego imię. Imię lubiła bardzo. Nie wiedziała czemu, ale zawsze czuła, jakby dodawało jej odwagi. Ubrana była dość minimalistycznie. Biała koszula, trochę przyduża

marynarka vintage z podwiniętymi mankietami sięgająca za pośladki, grafitowe, wąskie, spodnie w kant nad kostkę. Nie miały szlufek, więc końcówka brązowego skórzanego paska zawinięta była przy klamrze. Ze względu na figurę praktycznie każdy pasek był na nią za długi. Była bardzo szczupła, przy swoich stu sześćdziesięciu siedmiu centymetrach ważyła czterdzieści siedem kilogramów. Na pierwszy rzut oka zestaw był zwyczajny. Dopiero przyglądając się, wprawny obserwator mógł zauważyć ledwie widoczny haft na tylnej kieszonce spodni oraz na kołnierzyku koszuli, o treści *carpe diem*, wyszyty jak za jednym pociągnięciem pióra.

No i buty. Były jej słabością, podobnie jak torby, jednak na nie była w stanie wydać naprawdę dużo, tyle, na ile nie było ją stać. Wychodziła z założenia, że ciuchy nie mogą przykuwać uwagi, ale buty? To fundament ubioru. Dlatego to, co zaoszczędziła w ciucholandzie, wydała na skórzane botki ze zdobieniem brogue. Recepcjonista spał, gdy na kineskopowym monitorze marki Sanyo widać było przemykającą korytarzem bosą dziewczynę. Ekran zamigał kilka razy, więc i Berenika przebiegła tą samą drogą jakby trzykrotnie.

Deszcz ustał. Pod zieloną markizą hotelu było nieco chłodniej. Paliła powoli i oszczędnie. Skracając to lewy, to prawy brzeg bibuły zasilala powietrze aromatem wiśni, który mieszał się tu z parującą z bruku wodą i zapachem ozonu po burzy.

„O czym teraz myślisz, detektywie Brodzki” – zapytała samą siebie. Zaciągnęła się ostatni raz, spojrzała w niebo, a potem zniknęła w drzwiach budynku. Biały neon nad wejściem zgasł.

Na monitorze znów przeszła trzy razy. W połowie trzeciego przejścia ekran przeskoczył i Berenika rozplynęła się w powietrzu razem z połową swojej twarzy.

## 7

– Cela, pod ścianę! – rozległo się za drzwiami. Znów ta sama sekwencja: wizjer, szcęk klucza.

W wejściu nie pojawił się jednak strażnik Kulkiewicz, tylko inny aresztant.

– Powiem ci, jak tu jest, bo ty chyba nowy. A ja już swoje siedziałem – zaczął, rzuciwszy klamoty w reklamówce na drugą pryczę. Był średniego wzrostu, miał na głowie beret w romby. Twarz dość szczupłą, charakterną, z nieregularnymi zmarszczkami po lewej stronie. Żelówka bardziej starta w lewym bucie, różne długości sznurówek.

– Za co? – Brodzki bawił się papierosem za uchem i nawet nie patrzył na nowego gościa. Ktoś o takim wyglądzie nie przyszedł tu raczej, żeby go zabić. Chyba że swoim zapachem. Była to mieszanina wędzonych wędlin, papierosów i leków.

– Włamy. Bloki na parterze, no, wiadomo. Mówią mi Spider! Szufla! A ty kto?

– Szpieg z krainy deszczowców. – Leon nie miał zamiaru bratać się z przestępcą ani przyznawać, że jest policjantem. I tak lada dzień wszyscy będą wiedzieć. Pozostawało cierpliwie czekać, aż ktoś go wyciągnie z tej pułapki.

– Też dobre. – Złodziej nawet się nie zająknął. – Który raz jesteś?

Brodzki odpowiedział środkowym palcem.

– Tyle ci wchodzi, co? – Spider nie przestawał gadać, sprawiał wrażenie nadpobudliwego. – Pewnie chcesz wiedzieć, która to moja dola.

– Po czym wnosisz?

– To nie jest mój pierwszy wyrok. – Złodziej nie czekał na zachętę do opowieści.

I bez tych wyznań Brodzki widział kątem oka gębę złodzieja, a na tej gębie całą kartotekę. Miał tę zdolność rozpoznawania ludzi po spojrzeniu. Wierzył, że ludzkie sumienie zapisuje się na obliczu – w oczach, uśmiechu – jak ryt na kamiennej tablicy.

Tymczasem Spider włączył tryb „gawęda” i zamienił się w hrabiego Aleksandra Fredrę.

– Ja praktycznie na okrągło siedzę, a stoję bardzo krótko, uważasz – zaśmiał się.

- Nie wiedziałem, że wsadzają do przejściowej komików.
- Zacząłem od poprawczego. Potem było z górki, i tak w koło Macieju.
- Ale pracujesz nad sobą?
- Na mnie resocjaliza chyba nie działa...
- Skąd taki wniosek? Radzisz sobie całkiem nieźle – próbował ironizować Brodzki.
- Mowa. Ale tu nie jest tak źle, wiesz?
- Co ty nie powiesz?
- Ale i nie ma człowieka, co by powiedział, że jest dobrze.
- Czyli taka, uważasz, różnica zdań? – Teraz Leon próbował go dla odmiany przedrzeźniać. Odliczał sylaby i głoski, które dzielą go od obicia sąsiadowi gęby.
- Zależy, jakie zapatrywanie masz na sprawę. Jest pobudka, apelik, śniadania, spacerki, krzyżówki, robota czasem albo i R2, jak się uda, uważasz, na zewnątrz. Nie musisz się martwić czy starczy do pierwszego. No i „doktór” robi „kontrol”. Można żyć. Tylko powietrze inne.
- Rozumiem, zapach wolności.
- Bzdura. W celi śmierdzi. Nie każdy się zawsze myje, różne rzeczy się dzieją z ciałem, uważasz... Można przywyknąć, ale niektórym by i kärcher nie pomógł. Ratunek, jak taki na rozprawę znika. Można przewietrzyć. Aż wróci, i wtedy znowu klimatyzator idzie.
- Powinieneś napisać książkę. W zeszycie w kratkę.
- Widzenia, uważasz, majster, w środę i niedzielę. W niedzielę wolne, no to i ludzie mogą dojechać, nawieźć fantów, a jak się uda, to i coś tu podrzucić ekstra.
- Na przykład pilnik?
- A co ja mam robić, manicure? – Trzeba było oddać facetowi, że potrafił śmiać się głośno i serdecznie. – Jakieś ciasteczko z haszem, kolorowe kredki, rozumiesz...
- Bracie. Nawet nie wiesz jak.
- Godzinę widzenie masz. Ale jak będziesz, uważasz, bracie, dobrze się sprawował i rokował z charakterem, z okna krzyżeć nie



będziesz, bo dają za to paragraf do opinii, bo oni tu oczy w każdej ścianie mają, bracie, to w nagrodę przedłużenie może być widzenia. Papier wysmarować do dyrektora, że taka a taka, uważasz, prośba serdeczna i może się udać, kto wie, jak pod Bogiem poprosisz? A może nawet i bez dozoru dadzą, kobitka przyjdzie, eee... he, he! – Pokiwał ramionami na boki, dając do zrozumienia to, co było oczywiste, zanim otworzył usta. – Będą też scenki.

– Scenki?

– Pozyskiwanie umiejętności pozytywnych, tak to nazywają.

– Pozytywnych.

– I uczysz się, jak podziękować, przeprosić. Przydatne rzeczy.

W sumie taka powtórka.

– Tylko nie, kurwa, powtórka.

– Że co mówisz, bracie?

– Kurwa, nie jestem twoim bratem.

– Chłopie, oszczędzaj nerwy. Przydadzą się, jak szlauchem po dupie dostaniesz albo wiewiórka po drogę do dziupli zapuka.

– Nikt do mnie nie będzie przychodził. Im mniej rodziny, tym lepiej, bo mniej telefonów.

– Tak jest, kobiety skrzypią jak skrzypce, gdy tęsknią, mowa, bracie!

I ucichł na chwilę. Przeszedł się kilka razy po celi, wyraźnie kulejąc, potem usiadł na pryczy. Sprawdził jej miękkość, obejrzał jak stolarz blat po heblowaniu, w końcu opadł na wznak i głęboko westchnął.

Jakiś czas spędzili w ciszy spowitej zapachem wędlin i papierosów. Może były to minuty dwie, może sześć, a może uzbierała się godzina. Brodzki patrzył pod światło na ostatniego camela, który mu pozostał.

– Wiesz... – zaczął innym tonem Spider. – Przepraszam, że tak od wejścia kłapałem jak bocian.

– W porządku. Ściany mniej mówią, a cisza bywa nieznośna. Tak jak czekanie.

– U mnie to gadanie, uważasz, to z nerwów. Ja po prostu nie lubię domykania drzwi, odkąd wiem, że mam raka. Boję się, że umrę

podczas snu.

– Raka? – Brodzki pierwszy raz odwrócił się w jego stronę. – Przykra sprawa. Które stadium?

– Czwórączka, bracie. Karetą. Trzusteczka.

– Przykro słyszeć.

– A uważasz, bracie, jakby czas stał w miejscu i to nie lata by szły do przodu, tylko data urodzenia się cofała?

– Bo przeszłości jest coraz więcej? – mruknął Brodzki.

I nagle hipoteza na temat sprawy zbrodni, za którą siedzi, zaczęła fermentować mu w głowie.

A później ogarnął go popłoch. Przestraszył się, że już nigdy stąd nie wyjdzie, że nie zobaczy córki ani żony. Żółtko zapewnił go, że Sara i Dagmara będą bezpieczne, ale, cholera, wiadomo, jak działa policja w tym mieście. „Kto da gwarancję?” – pytał samego siebie. „Nikt nie ma prawa rujnować mi życia” – myślał. „Muszę znaleźć tego skurwysyna i zakończyć to raz na zawsze.

Jak długo będą mnie tu trzymać?”

W depozycie zabrali mu rzeczy. Pasek i sznurowadła, żeby nie próbował się powiesić. Nie pomyśleli natomiast, że w celi jest metalowy wieszak, który można bez problemu złamać i zrobić z niego sztylet. To dlatego nie miał zamiaru zmrużyć dziś oczu. Zabrali mu też paczkę cameli, naziści!

Wiedział, że zanim trafi do normalnej celi, najpierw umieszczą go w celi przejściowej, zgodnie z wewnętrznym regulaminem placówki, ale nie dłużej niż na czternaście dni. Przejdzie potem proces przysposobienia przed kontaktem z innymi więźniami, ale całe szczęście, że cele są zamknięte, a na spacerunku każdy chodzi sam. Wiadomości też trudno przekazywać, bo w drzwiach nie ma krat, tylko blacha. Potem zbadają zdrowie.

Jednostka przeznaczona jest głównie dla tymczasowo aresztowanych i skazanych. I dla młodych, i dla recydywy. W sumie sto pięćdziesiąt jeden dusz przebywających tu na czas czynności procesowych, które odbywają się przed sądem. Budynek sądu jest po sąsiedzku, więc na tak zwaną „wokandę” – jak więźniowie

nazywają wizytę w sądzie – trafia się bez konwoju. Ale tymczasowi też mogą długo grać cele – czasem sprawa się ciągnie nawet i pięć lat.

A siedzą za różne rzeczy. Wypadki, kradzieże klaserów ze znaczkami pocztowymi, alimenty, ale i zabójstwa. Nie ma tu tylko prawdziwych bestii ani najgroźniejszych osadzonych. Do tej ostatniej grupy zaliczany jest Brodzki. Tak przynajmniej uważa Naczelnik. Tak uważają Halicki, prokurator Giżycki, media...

„Wiem – myślał teraz na pryczy – że w najlepszym wypadku pozwolą mi wyjść, ale wizja ta jest chyba nierealna, dopóki prokuratorem jest Giżycki. Gdyby tylko ktoś pozwolił mi złapać skurwysyna... W gorszym układzie czeka mnie proces i udział w programach resocjalizacyjnych Kurator sądowy, Wiem, jak żyć albo ABC polszczyzny. Ja bym dodał jeszcze: Jak oszukać kraj na podatkach lub Metoda na wnuczka: przegląd technik. I jeszcze te scenki, o których mówił lepkołapy. Pucha to instytucja totalna. Każdy stróż prawa, puszkując jakiegoś gościa, zastanawia się: «Czy ten ancymon za murem, w izolacji stanie się lepszym, czy gorszym człowiekiem?» Przecież nawet jak zrozumie, że nie opłaca się być gwałtciелеm czy paserem, to siedząc w zamknięciu, nie wyrobi nawyków, które są niezbędne do życia w normalnym świecie. Normalnym, bo tu, za murami, jest inny świat. Złożony, zdeprawowany i odbity w czarnym lustrze świat totalny. Recydywa się zadomawia i grypsuje. Inni się dopasowują albo kamuflują, że jest im dobrze. Nowi próbują się odciąć od grupy, ale to im się nie uda. Może w tymczasowym areszcie. Ale jak pójdą do Wronek, to zaczną tańczyć, jak się im zagra. Jest też bunt, szaleństwo albo prześcieradło na szyi. Wszystko to się dzieje w czarnym lustrze. Tracisz to, co składało się kiedyś na twoją tożsamość. Ubiór, pracę, status społeczny, intymność. Kontrola podlega każda sfera twojego życia, a w życiu tym jest wyraźny podział na strażników i strzeżonych. Nie trzeba być socjologiem, żeby wiedzieć, czym się kończy taki nadzór. Każdy słyszał o eksperymencie Philipa Zimbardo. Może w czasach monitoringu jest trochę lepiej, ale w najgorszym

scenariuszu mogą któregoś ranka już się nie obudzić, zasnąć na wieki z metalowym wieszakiem wbitym w żebro”.

– Robaczywe myśli, co? – spytał towarzysz, ale odpowiedział mu ciężki oddech.

Policjant zasnął.

Spider podszedł do detektywa, wyciągnął mu papierosa zza ucha, potem wygrzebał sobie z kieszeni połamaną zapałkę. Nie było szans na przeszukanie mu kieszeni, bo płaszcz zwinął w tobołek i położył sobie pod głowę. „Sprytnie – pomyślał Spider – bardzo, kurwa, sprytnie”.

Podszedł do drzwi, wykrzesał płomień, potarłszy zapałką o framugę, przysunął płomyk do wetkniętego w usta camela i poczekał, aż papieros się zapali. Zaciągnął się, przyjmując w płuca gryzący aromat z całym dobrodziejstwem inwentarza, i odetchnął z ulgą.

Przeszedł teraz nierównym krokiem przez celę i zatrzymał się przy metalowym wieszaku. „Miał ostre zakończenie – myślał – dałoby radę zrobić z tego kozik”.

Zbliżył się do zablendowanego okna i spojrzał w plamę światła tak, jakby prowadził za nią długi tunel.

– Na pewno dostaniesz to, na co zasłużyłeś. – Wypuścił dym i spojrzał na współtowarzysza, zatrzymując tłącego się papierosa tuż nad jego okiem. – Detektywie Leonie Brodzki.

## 8

W mieście T. mieszkańcy przestali mieć problemy z zasypianiem, odkąd ze strachu przestali zasypiać w ogóle. Teraz koszmary śnili na jawie.

Ciężko o sen, gdy mrok nocy przecinają odgłosy syren. Nikt nie chce ich słyszeć pod swoim domem.

Dlatego ratowano się alkoholem, papierosami, narkotykami, mantrą deszczu. Każdy sposób na odegnanie demonów był dobry, ale żaden nie był wystarczająco skuteczny.

Do tej pory zbrodnie zdarzały się sporadycznie. Służby i ratusz stawały wtedy na wysokości zadania, zapewniały mieszkańców o dodatkowych patrolach wysłanych w miasto, o wzmocnieniu ochrony obywateli.

Teraz jednak się tak nie działo. Teraz najlepszy policjant podejrzany był o morderstwo, a komendant policji leżał oblepiony krwią narkomana. Jeszcze inny walczył o życie.

Gdyby sierżant Nowak mógł stanąć przed człowiekiem, który próbował mu poderżnąć gardło, splunąłby mu w twarz za ten brak honoru, po czym przeprosił, ścierając ślinę pancerną, rycerską rękawicą.

Gdyby tylko się obudził i przekazał, co wie, zostałby stworzony portret pamięciowy zbrodniarza. A to mogłoby pomóc w śledztwie. Bo tylko dwie osoby wiedziały o kapeluszniku: Halicki i Nowak. I obaj teraz spali. Jako nieliczni w tym mieście.

**11 WRZEŚNIA 2016**

– APEL! – RYKNAŁ STRAŻNIK na korytarzu. Po chwili gwałtownym ruchem uchyłono wizjer. – Apel!

– Słyszę cię przecież, Darek. – Brodzki dźwignął się z prycy.

– Stań na środku celi, szybko. To naczelnik Dziecioł! – szepnął strażnik i było w jego głosie coś z rady, której lepiej posłuchać, co też Brodzki uczynił. Wtedy to zorientował się, że w celi jest sam. Odruchowo sięgnął za ucho.

– Kurwa, mój fajek! A to skurwysyn! – wyrzucił z siebie i zaraz po tym dostrzegł stojącego w drzwiach naczelnika więzienia. Starszy sierżant sztabowy Dariusz Kulkiwicz zakrył twarz w dłoniach.

Dziecioł był średniego wzrostu, miał zapadnięte policzki i zmyślnie ułożoną zaczeskę. Gdyby nie mundur, wyglądałby jak sprzedawca Biblii. Ręce trzymał nieustannie założone za sobą. To z nawyku. Ludzkie ręce są zbędnym gadżetem, gdy trzeba stać prosto. Na kursach dla menedżerów uczą, żeby trzymać w nich wizytówkę, nie machać długopisem, nie chować ich do kieszeni, nie gestykulować nadmiernie, nie brać się pod boki jak Kargul przed Pawlakiem ani nie zakładać ich przed sobą. Nie mieli tego problemu mundurowi. Ich zwyczaj był prosty. Rąsie do tyłu, pierś do przodu. Miało to zasadniczo dwie zalety: z przodu można było przyjąć order, a z tyłu wziąć w łapę.

I Dziecioł o tym wiedział.

– Tu się schowała nasza niebieska gwiazda. – W głosie naczelnika było słychać drwinę. – Tak mnie witacie od wejścia?

– To nie do pana.

– A do kogo? – Naczelnik zajrzał do środka i teatralnym gestem pokazał, że w celi nikogo więcej nie ma i nigdy nie było. – Macie zwidy, Brodzki? – Wskazał na lustro.

– Miałem współosadzonego, wyprowadzono go w nocy. – Detektyw obmyślał właśnie plan oskórowania Spidera, a przede

wszystkim odzyskania swojego papierosa.

– Komendant miał rację. Całkowicie ześwirowaliście od tej akcji z ojcem i córką. – Wskazał, by Kulkiewicz wyprowadził Brodzkiego z celi. Gdy policjant był już przed wejściem, naczelnik stanął za nim i ryknął na cały głos: – Osadzony detektyw Leon Brodzki!

Jego głos poniósł się echem po studni panoptikonu. Na wieść o zapuszkowaniu policjanta z cel dobiegły hałasy i krzyki.

– Nie żyjesz, psie! Jebać psiarnię! – darli się osadzeni ku uciechu naczelnika, ale kolejny okrzyk stał uśmiech z jego twarzy. – Jebać klawiszy!

– Dość! – krzyknął naczelnik.

Ustawieni na niższych i wyższych poziomach strażnicy uderzyli pałkami w kraty przy pnących się w środku walcowatej konstrukcji schodach.

Dzięcioł zbliżył się do Brodzkiego i powiedział mu na ucho:

– Wiesz, co się kiedyś działo z policjantami w więzieniu. I wiesz też, że zawsze dobrze wykonywaliś tu swoją robotę. Nikogo tu od dawna nie pobito ani nie napadnięto. Nikt nie uciekł, jak w Grudziądzu. Nikt się nie powiesił, jak w Koronowie. Pracujemy z psychologiem, współpracujemy z Ośrodkiem Terapii Uzależnień. Krótko mówiąc, mamy spokój.

„Ciekawe tylko, czemu nie wspomina o samobójstwach z 2009 roku” – przeszło przez myśl Brodzkiemu. Jednego miesiąca powiesiło się dwóch aresztantów, a niedługo potem zmarł rzecznik prasowy placówki. Znaleźli go w lesie z podciętymi żyłami. Pojechał na grzybobranie. Prawdziwą przyczyną śmierci nie był jednak ani muchomor, ani żyłotka, tylko kontrola z Centralnego Zarządu Służby Więziennej. Był kierownikiem penitencjarnym. Po śmierci aresztantów media zrobiły raban, opinia publiczna domagała się głów, więc Warszawa, jak to Warszawa, zrobiła to, co umie robić najlepiej: „nasłała kontrol”. I musiał się tłumaczyć. Bo tak już jest w tej robocie: masz być jasnowidzem i przewidywać, co się może zdarzyć w zakładzie. Nazywają to potem „brakiem rozpoznania”. Jak widać, jasnowidzem nie był, bo nie przewidział ani śmierci tamtych,



ani swojej. Dziś areszt chwalił się wysoką jakością prowadzonych działań penitencjarnych. Dumni byli zwłaszcza z hasła „Ochrona społeczeństwa. Humanitarne i praworządne traktowanie osób pozbawionych wolności”. Było w tym sporo prawdy, bo wbrew powszechnie krążącym opiniom fesse ze Służby Więziennej to ludzie wykształceni, często z przygotowaniem psychologicznym albo socjologicznym. Niestety, podobnie jak w policji, tak i tu najmniej dba się o ludzi na pierwszej linii frontu. Tych, którzy pracują na bloku. Strażnicy zaczynają od dwóch i pół tysiąca. Potem od strażnika w stopniu szeregowego idą wyżej, dostają coś tam za usługę. Ale sytuacja jest tak samo zła jak w policji. Z tą różnicą, że fesy SW nikt nie nagrywa komórkami na interwencjach, podczas gdy niebiescy są gwiazdami YouTube’a i Demotyatorów.

– Brodzki, słuchasz mnie?! – Dzięcioł krzyknął mu do ucha. – Mieliśmy tu spokój aż do ubiegłego tygodnia. Aż ktoś wszedł do naszego aresztu i zaszlachtował chłopca. Mojego aresztanta! Oczywiście, był gnidą i wszą, ale to moje prywatne zdanie. Jako naczelnik tej placówki nigdy bym nie pozwolił podnieść na niego ręki. Nigdy nie ominąłby go posiłek ani nie odmówiono by mu prawa do rozmowy z adwokatem czy lekarzem. Z tej ostatniej zresztą korzystał, kiedy specjalnie wyrznął głowę w celi. Ale zabójstwo w mojej placówce? Przykro mi, Brodzki. Przekroczyłeś granicę, której przekroczenia nie życzyłbym nawet najgorszemu wrogowi.

Brodzki stał niewzruszony.

Nie można powiedzieć, żeby miał kotłowaną myśl w głowie. Jako gliniarz wyrobił sobie przez lata służby jasność rozumowania, tok myślowy, którego się trzymał. Wiedział, w jakiej jest sytuacji. Postanowił przyjąć postawę zimnej kalkulacji, zgodnie z wytycznymi Roberta K. Mertona, którego teorie na temat technik radzenia sobie z dolegliwościami więzienia czytał w przeszłości. Aha. No i chciało mu się jarać.

Zapadła cisza. Kulkiewicz skinął Brodzkiemu, co nie uszło uwadze komendanta.

– Sierzancie, nasz aresztant nie potrzebuje pomocy. Może

zapomniał języka w gębie na widok krat po drugiej stronie, ale swojego dźwięcznego nazwiska chyba nie. Brodzki... Jaki ojciec, taki syn.

– Z całym szacunkiem, naczelniku. – Brodzki nie tracił rezonu, ale wiedział, że z takimi jak Dzięcioł trzeba ostrożnie. Żeby nie nadepnąć im fujary, którą – jak sądzą – dzięki stanowisku mają do ziemi. – Nie wiem, co się wydarzyło w tamtym pokoju przysłuchań, ale przysięgam, tak jak przysięgałem przed nominacją na funkcjonariusza, że nie miałem z tym nic wspólnego. Sprawa wkrótce zostanie wyjaśniona.

– Wierzę wam, Brodzki. Wierzę. – Naczelnik obszedł go i spojrzął mu w twarz. – Rzecz w tym, że zaczynaliście służbę jeszcze w poprzednim ustroju, znam twoje akta. A to oznacza, że twoja przysięga była gównem warta. Bo przysięgałaś czerwonym. Nie skrzywdzę cię tutaj. Ale, uwierz mi, również nie pomogę. – I odszedł, trzymając ręce z tyłu.

Kulkiewicz skinął Brodzkiemu, by wszedł do celi. Ta po chwili zamknęła się z hukiem, a z korytarza dobiegło donośne: – Po apelu!

Pod drzwiami Brodzkiemu wsunięto kartkę. Nie wiedział, czy bardziej go dziwi zniknięcie Spidera, czy szopka w wykonaniu naczelnika. „Może o takich scenkach mówił lepkołapy” – pomyślał Leon.

Kartka przedstawiała wydrukowany i podbity przez władze aresztu plan dnia:

*6:45 Pobudka*

*6:45–7:00 Przygotowanie do apelu*

*7:00–7:15 Apel poranny*

*7:15–7:30 Przygotowanie do śniadania*

*7:30–8:00 Śniadanie*

*8:00–12:30 Praca*

*12:30–13:15 Przygotowanie do obiadu, obiad*

*13:15–16:00 Praca*

*16:00–17:15 Zajęcia własne*

*17:15–17:30 Przygotowanie do kolacji*

*17:30–18:00 Kolacja*

*18:00–18:45 Zajęcia własne w celach lub świetlicy oddziału*

*18:45–19:00 Przygotowanie do apelu wieczornego*

*19:00–19:15 Apel wieczorny*

*19:15–21:45 Zajęcia porządkowo-higieniczne oraz zajęcia własne w celach*

*21:45–22:00 Przygotowanie do ciszy nocnej*

*22:00–6:45 Cisza nocna*

Brodzki bardzo liczył na to, że do następnego apelu już go tu nie będzie. Żaden pies nie lubi siedzieć zamknięty w budzie.

Pies tropi w terenie.

## 2

### *Aktualizacja, 8:14*

Do tragicznego zdarzenia doszło w nocy z 10 na 11 września w budynku przy ulicy Lindego na Bydgoskim Przedmieściu w Toruniu. Na miejscu wybuchł pożar. Po ugaszeniu ognia strażacy odkryli zwłoki prawdopodobnie nielegalnego lokatora. Straż pożarna zarządziła inspekcję sąsiednich budynków, gdzie potwierdziła obecność czadu, a pomieszczenia zostały przewietrzone. Nalegamy, aby koniecznie regularnie sprawdzać szczelność przewodów kominowych i nie zaklejać kratki wentylacyjnych... Na miejscu pracują technicy przysłani z Bydgoszczy, którzy mają odpowiedzieć na pytanie, czy było to przypadkowe zaprószenie ognia, czy może samobójstwo. Codziennie w Polsce odbiera sobie życie około piętnastu osób. Do sprawy jeszcze wrócimy (*źródło: TVN24*).

## 3

Wszystkie komendy policji w Polsce łączy jedno: na każdej stoją przykurzone paprocie doniczkowe, o które nikt nie dba. Po łacinie

*Polypodiopsida Cronquist*, a po polsku – „kwiat urzędniczy”. Nie inaczej było na Komendzie Toruń-Śródmieście przy Grudziądzkiej 17 w Toruniu. Interesantów przyjmowano na pierwszym piętrze. Niebieski, ośmiopiętrowy budynek stał na obrzeżu osiedla mieszkalnego, naprzeciwko cmentarza wojskowego, za którym wyrastały dworzec autobusowy i przychodnia. Po ośmiu minutach dochodziło się na Stare Miasto.

Komenda została ostatnio przetrzebiona. Tragiczne wydarzenia zmusiły do przetasowań kadry – przeniesiono tu trzech policjantów z Bydgoszczy, Rypina i Grudziądza. Najdłużej byli tu więc Żółtko i Dżony.

Każde miejsce pracy z upływem lat obrasta tak jak drzewa obrastają bluszczem i liśćmi. W jednej szafie wypada półka, gdzie indziej ktoś rzuca na parapet dziurkacz, który leży tam potem nieużywany dziesięć lat. Biuro jak miasto ma swoje części i rzadziej uczęszczane trakty, a jego pracownicy – swój rytm dnia i swoje rytuały. Tego dnia po wejściu do komendy widać było, że doszło do wycinki. Panującego tu bałaganu nie można było nazwać kontrolowanym chaosem, był to bałagan odpowiadający definicji tego słowa. Akta spraw wędrowały przez kolejne działy i nie było jasnej dyrektywy, w jakiej kolejności je rozpatrywać. Poszczególne stanowiska pracy nie obrosły jeszcze zdjęciami, pamiątkami, pucharami ani nawet pamiątkowymi kubkami. Wszystko przez to, że Wydział Kryminalny Komendy Toruń-Śródmieście dostał nowe życie.

W ten sposób aspirant Tomasz Żółtko przeszedł przyspieszony kurs kierowania piętrem. Ten, który niedawno sam tu zaczynał, teraz wydawał dyspozycje i brał na barki większość roboty.

– Odbieraj każdy telefon. Jak się nazywasz?

– Sawicki.

– Dobra, Sawik. Pilnujesz telefonu. Dyżury czterogodzinne. Interesantów kierujesz do mnie. – Żółtko podszedł do kolejnego gliniarza. Popatrzył na jego bladą twarz. – Nie rozkładaj tych akt, jakbyś robił malowanie mieszkania, jo?! – Po czym pokazał mu bloczek kolorowych karteczek samoprzylepnych. – Fiszki. Rób

zakładki w różnych kolorach, od samego początku. Jak się nazywasz.

– Malboras.

– Nawet nie pytam, skąd ta ksywa, ale może być. Tylko rób regularnie rentgen płuc. Co masz?

– Próbuję się ogarnąć z aktami, ale ten młody siedzi tu od pół godziny. – Wskazał na chudego blondyna o dziecięcej twarzy.

– Dobra, zajmę się blondynem. Grunt, że palisz się do roboty, Malboras. To ważne. – Pokazał mu okejkę, po czym spojrzął na interesanta.

– Dawaj do mnie. – I wskazał, by szedł za nim. Usiedli koło biurka, przy oknie, które wychodziło na Grudziądką. W oddali pięły się wieże kościołów: z lewej garnizonowego, z prawej luterańskiego.

Pięć minut później Żółtko wiedział wszystko. Wolałby chwycić teraz morderców albo załatwić poręczenie dla Brodzkiego, by wyszedł na wolność, ale komenda sama obsłużyć się nie mogła. Żółtko wziął głęboki oddech, poprawił okulary na nosie i wwiercił wzrok w chłopaka.

– Rafał Madej... Słuchaj, Rafał. Słyszałem, że chodzisz po starówce i namawiasz ludzi na portrety. Podobno jednak nikt się jeszcze na żaden nie zgodził. Ani w „Przepompowni”, ani w „Tratwie”, ani w „Grocie”, ani nawet w „Zezowatym Szczęściu” nie miałeś... szczęścia. Rozumiem, że w tym ostatnim siekiera w powietrzu, fajki na sztuki pod blatem, zero wentylacji, to i miałeś nadzieję. Widzisz, Rafał, jesteś chłopak jak malowany, ale sam malować nie umiesz.

– Łysować.

– No. Rysować też nie.

– Ale oni mi układli portfel.

– Nie wątpię. W takim razie musisz udać się na Reja po nowy bilet miesięczny, ewentualnie do subwaya po kupon zniżkowy, bo do tego się mniej więcej sprowadzała zawartość twojego portfela, jak go szumnie nazywasz.

– Ale... panie władzo... – Rafał rozkładał ręce jak na pokojowej manifestacji.

– Władzę to ma sejm. Policjanci mają kapiszony. Niska szkodliwość

z tobą jest i kupy się to nie trzyma. Powiedz, że to poniżej dwóch stów albo w ogóle idź stąd i zapomnijmy o sprawie. Wzięłbyś się do jakiejś roboty.

– Może zostałem pofilem policyjnym? – Zamyślił się, a Żółtko wyobraził sobie, jak wzrosłyby statystyki wykrywalności, gdyby korzystano z usług tego Picassa.

– Profiler to ktoś, kto tworzy portret sprawcy słownie, nie kredkami. – Aspirant nie chciał zupełnie pozbawiać go złudzeń. – Zacznij od *Milczenia owiec*, a potem przeczytaj coś Johna Douglasa i Roberta Resslera.

– To może będę tysować ich półtety.

– Dobra, dobra. A teraz błagam, zagraj ze mną w grę.

– Jaką grę? – Rafał był zdezorientowany, ale aspirant nie miał zamiaru bawić się w trenera personalnego. Szybko ocenił szkodliwość społeczną zgłaszanego czynu, a przede wszystkim zmiarkował, że portfela nigdy nie odzyskają. Inna sprawa, co faktycznie w nim było. Oczywiście istniało ryzyko, że ktoś się pożali mediom, że policja – pracująca za pieniądze podatników, to w końcu koronny argument w dyskusjach Polaków – pomiata obywatelami. Prawda była jednak taka, że policja ma ograniczone środki i możliwości. Oraz swoje problemy: od braku szkoleń ze strzelania, po wybuchające opony w radiowozach, z których czternaście procent powinno z miejsca iść na szrot. Taka policja ma bronić obywateli i pilnować przestrzegania prawa. Każdy policjant musi co chwilę decydować, czy podjąć interwencję, czy też nie. Spalać paliwo czy nie. Ryzykować pościg czy nie. Zgodnie z przepisami powinien, ale jak kogoś stuknie albo porysuje – potrąca mu z OC. A więc biorąc pod uwagę, ile zabójstw i rozbojów dokonano w ostatnich dniach, problem rysownika nie spędzał Żółtce snu z powiek. Po prostu ocenił, że portfel rozpułnął się w powietrzu. To się po prostu przytrafia kradzionym przedmiotom.

– Jaką grę? – powtórzył Rafał.

– Ja mrugam, a ty znikasz. Następny! – krzyknął Żółtko.

Malboras odprowadził Rafała do drzwi i wrócił z kolejnym

interesantem. Szedł w bezpiecznej odległości przed nim.

– Mokrzycki Izidor, bezdomny – rzekł ze skwaszoną miną człowieka, który stracił powonienie w wyniku szoku wywołanego przez oryginalny bukiet zapachów organicznych.

– Znam Mokrego, dawaj z nim tu.

Pseudonim toruńskiego kłozarda wbrew pozorom nie brał się jednak od nazwiska. Zrozumieć mógł to każdy, kto się tylko znalazł w zasięgu jego zapachu.

Podszedł i usiadł posłusznie przy biurku.

– Co tam u was, Mokry. Znowu ukradli ci lexusa?

– Kolega mnie zaginął.

– Minęła doba?

– Nie. – Mokry rozglądał się na boki jak spłoszony pies.

– To sprawdź, czy jesiony na Piastowskiej jeszcze mają liście.

– Ale myśmy umówieni byli.

– A to co innego. Spotkanie biznesowe?

– Chudy nie przegapia takich okazji. Mieliśmy na jądłodajnię iść do Caritasu.

Żółtko spojrział na Mokrzyckiego uważnie. Mokry był naprawdę przejęty, przy czym była to cecha wyrazu twarzy charakterystyczna dla tej grupy społecznej.

– Nie pochłał gdzieś?

– Nie, on był w kiepskim stanie. Heroinista. Ale teraz czysty. Chorował, musiał jeść, nie odpuściłby.

– Dobra, piszemy. Jak się nazywał?

– Wołaliśmy na niego Chudy.

– Znaki szczególne?

– Był chudy.

– No tak. A nazwisko jakieś miał?

– A bo ja wiem. Kamicki, Kamyk, Kamecki... Nie legitymujemy się, wie pan...

– To będzie wszystko, Mokry. Poślemy patrol.

Mokrzycki podźwignął się z krzesła, a Żółtko przechylił się przez biurko, żeby spojrzeć na oparcie. „Uff, suche” – pomyślał.

- Jeszcze jedno, panie władzo.
  - Nie mam.
  - Nie to...
  - Ani nie kupię.
  - Też nie to.
  - Okej, robi się ciekawie.
  - Na moście. W nocy.
  - Na moście w nocy... – Żółtko zawiesił głos, sugerując, że przydałoby się orzeczenie. – Będzie z tego jakieś zdanie?
  - Zdało mnie się, jakby tak coś do wody wpadło.
  - Co przez to rozumiesz, Mokrzycki?
  - No nie wiem. Większe takie... – Mokry miał problem z doбором słów, ale był przekonujący. – Strach powiedzieć, ale chyba człowiek. Jakby człowiek.
  - Rozumiem, Mokry.
  - Przydałem się na coś? – Mokry uśmiechnął się jak szczeniak.
  - Wstańcie, kolego – poprosił Żółtko. Mokrzycki wstał i ruszył, żeby obejść biurko.
  - Nie, nie – Żółtko złapał się za nos. – Możecie zostać na posterunku. Popatrzcie, o tam. – Tomek pokazał z okna na ulicę Grudziądzką. – Ile widzicie tam radiowozów?
  - No...
  - Śmiało.
- Mokrzycki zaczął coś szeptać pod nosem, potem liczyć na wystających z dziurawych rękawiczek opuszkach palców. Przyparł twarzą do szyby i tak w nią chuchnął, że Tomek mógłby przysiąc, iż zmieniała kolor na fioletowy. „Od zupy z gumijagód” – pomyślał.
- No z cztery będą jak pierun. – Mokry znów posłał swój firmowy uśmiech. Żółtko westchnął.
  - Kolego. Dobra odpowiedź. Mamy cztery radiowozy.
  - Wspaniale!
  - Mamy cztery radiowozy w mieście. Tam, na parkingu, stoi przyczepa z łódką. To by było na tyle, jeśli chodzi o rozpoznawanie obiektów z daleka. Etanol zrobił swoje.



– Nie, ja wiem, co widziałem. I to już nie pier...

– Żółtko! – dobiegło z końca piętra. Stał tam komendant Halicki. – Do mojego gabinetu!

Mieli na pieńku, to pewne.

– Malboras! – zawołał. – Obsłuż pana Mokrego. Dokończ zgłoszenie. I daj mu coś do jedzenia, na litość boską!

Żółtko przyszedł na komendę dwa tygodnie temu. Miał być wzmocnieniem dla Nowaka, gdy odchodził Brodzki, a skończył u boku tego drugiego. Wiedział, że Halicki nie jest święty, ale nie miał takiej pozycji jak Brodzki. To znaczy miał i lepszą, i gorszą jednocześnie. Nazwisko Żółtko korespondowało z pozycją, jaką wciąż zajmował w hierarchii na komendzie. Choć pierwszego dnia Tomek uratował noworodka, został przez Halickiego szybko sprowadzony na ziemię. Gdy dochodził do siebie w szpitalu, komendant z prezydentem Torunia złożyli mu wizytę i pogratulowali odwagi. Ale wciąż pozostawał Żółtkiem, w przeciwieństwie do żywej legendy, czyli Leona. Nad swoim idolem miał jednak jedną zasadniczą przewagę: był na wolności.

Aspirant nie mógł robić głupich ruchów, bo robota w policji to nie praca w korpo, gdzie można nasikać prezesowi na biurko, pozwać go o mobbing i zwolnić się z hukiem. Robota w policji była służbą i jako służba z nazwy nie była czymś, co można sobie odwołać. Była powołaniem i powinnością. Wiązała się z tym konieczność podporządkowania się zhierarchizowanej strukturze zarządzania oraz wymogom proceduralnym. Wszelkie obiekcje taki świeżak jak on musiał składać na piśmie do komendanta. Ominięcie jednego piętra w hierarchii i podskoczenie gdzieś wyżej kończyło się waleniem głową o sufit i pewnością, że praca u pominiętego komendanta będzie nieznośna. Dlatego, podobnie jak Leon, postanowił przyjąć pozycję zimnego kalkulanta. Plan był następujący: robić wszystko, co trzeba, nie wychylać się i... doprowadzić do uwolnienia Leona Brodzkiego. Plan ten w zasadzie wykonywał bezbłędnie. Może poza jednym szczegółem: Leon ciągle siedział.

– Zamknij drzwi – rozkazał Halicki i usiadł za swoim biurkiem, na którym rozłożone były kanapki i konserwa turystyczna z napisem „PRODUKT REGIONALNY”. Komendant posmarował dwie sznytki i połknął je w kilka sekund.

Żółtko tymczasem posłusznie wykonał rozkaz, zauważając, że żaluzje w oknach wychodzących na piętro są spuszczone. Stał teraz naprzeciwko Halickiego z rękami założonymi z tyłu.

– Co to, kurwa, jest – spytał Halicki. Wyciągnął z szuflady kartkę i ostentacyjnie położył ją na biurku, waląc otwartą dłońią o blat. – Co to, kurwa, jest, Żółtko – powtórzył i podsunął papier w jego kierunku.

Tomasz ani nie odpowiadał, ani nie patrzył na blat. Wiedział doskonale, o czym mówi komendant.

Kartka, którą znalazł dziś Halicki, była wydrukiem dokumentu, który od kilku miesięcy krążył po zamkniętych facebookowych grupach dla policjantów. Tworząc wspólny front przeciw odgórnym naciskom, poparli stworzony przez jednego z szeregowych gliniarzy pewien autorski formularz. Nazwano go „protokołem podpierdolenia”.

Druga strona tego dokumentu była jeszcze lepsza. Prezentowała tabelę punktową.

## **PROTOKÓŁ PODPIERDOLENIA**

*GROMOSŁAW HALICKI*

*na podstawie wytycznych nr 666 KGP w sprawie zasad wprowadzania burdelu i dezorganizacji w jednostkach Policji*

*Komenda Toruń-Śródmieście  
(miejsce czynności)*

*podpierdała*

*podkomisarza Leona Brodzkiego  
(stopień, imię i nazwisko)*

*z Wydziału Kryminalnego KP Toruń-Śródmieście  
(nazwa jednostki)*

*Osoby uczestniczące w podpierdoleniu:  
kom. Gromosław Halicki, prok. Rafał Giżycki  
(zgodnie z art. 171 § 2 k.p.k.)*

*Tożsamość osoby podpierdalającej ustalono na podstawie: KP  
Toruń-Śródmieście, komendant*

*Oświadczenie osoby podpierdalającej  
✓ zostałem pouczone o spodziewanych korzyściach i ryzyku  
związanym z podpierdaleniem*

*Gromosław Halicki  
(podpis podpierdalacza)*

## ZBIERAJ PUNKTY ZA PODPIERDALANIE W PRACY

*Donosicielstwo, podpierdalanie oraz inne analogiczne czynności są ostatnio w modzie. Również samopodpierdalanie, zwane w tej chwili pieszczotliwie autolustracją. Na bazie tego wyraźnego trendu społecznego powstała nowa konkurencja rozrywek biurowych...*

### RODZAJ ZDARZENIA (PUNKTACJA)

- *Przypadkowe nieumyślne podpierdolenie (1 pkt)*
- *Niby nieumyślne podpierdolenie (5 pkt)*
- *Zwykła podpierdolka w cztery oczy z przełożonym bez świadków (10 pkt)*
  - *Anonimowy donos na samego siebie, mimo braku winy, byle zaistnieć (20 pkt)*
  - *Podpierdolenie w obecności świadków (30 pkt)*
  - *Samopodpierdolka w cztery oczy z przełożonym (40 pkt)*
  - *Samopodpierdolka przy świadkach (50 pkt)*
  - *Podpierdolenie do przełożonego w obecności podpierdalanego bez innych świadków (60 pkt)*
  - *Podpierdolenie w obecności podpierdalanego przy większej liczbie świadków (70 pkt)*
  - *Podpierdolenie w obecności podpierdalanego, mimo że ten nie jest winny (80 pkt)*
  - *Podpierdolenie w obecności podpierdalanego, mimo że ten nie jest winny, a czynu, o którym mowa, dokonał sam podpierdalający (90 pkt)*
  - *Podpierdalanie w obecności podpierdalanego, mimo że ten nie jest winny, a czynu, o którym mowa, dokonał sam podpierdalający na spółkę z przełożonym, do którego się podpierdała, i wmówienie podpierdalanemu jego winy (100 pkt)*

## BONUSY

- *Podpierdolenie najlepszego kumpla (10 pkt)*
- *Podpierdolenie, zanim czyn zostanie dokonany (20 pkt)*
- *Podpierdolenie, kiedy dzień wcześniej piło się z podpierdalającym jego wódkę, w jego domu (25 pkt)*

ZACHOWAJ OLIMPIJSKIE ZASADY RYWALIZACJI!

– Pierwszego dnia, kiedy była odprawa, spytałem cię, czy jesteś bystry jak woda w klozecie. – Halicki wyglądał na niewyspanego i zmęczonego życiem. Przetarł wysokie czoło, podciągnął mankiety za długich rękawów marynarki i pogmerał w jakiejś szufladzie pod blatem, po czym schował kluczyk do wewnętrznej kieszeni. – Wydaje mi się, że cię przeceniłem. Nie jesteś wodą. Jesteś żółtym bobkiem.

– Panie komendancie, nie wiem, o czym pan mówi. Pierwszy raz widzę tę kartkę.

– A ja ostatni raz widzę ciebie. Przenoszę cię do komendy na Rubinkowo. W trybie natychmiastowym. Za pół godziny zameldujesz się przy Dziewulskiego. Będziesz jeździł z aspirantem Jacykiem i więcej mi się tu nie pokazuj.

– Ale, panie komendancie, co z Brodzkim?! Co z naszymi sprawami?

– Nie ma żadnych naszych spraw.

– A Nowak? Przecież ktoś go napadł u nas, w komendzie! A Maks? A śmierć Daktyla?

– Jadą posiłki z Bydgoszczy. Opanujemy sytuację.

– Pana najlepszego policjant został niesłusznie oskarżony o zabójstwo.

– O tym zadecyduje sąd.

– W tym pomieszczeniu są dwie osoby. Obie wiedzą, że Brodzki jest niewinny. Jednej jest to chyba jednak nie na rękę.

– Won! – wrzasnął Halicki. Ruszył z impetem do drzwi i otworzył je tak szybko, że kartki na stole od podmuchu sfrunęły na ziemię. – Wypierdalaj! Nie zasługujesz na mundur i nie jesteś godzien służby na tym komisariacie. To był błąd, że cię tu przyjmowałem. Powinieneś być zostać dzielnicowym w Ślesinie!

Komendant trzasnął drzwiami z całych sił i podszedł powoli do okna. Ćmiło mu w głowie, gardło miał przepalone od nocnej wódki. Ale pierwsze skrzypce grał przede wszystkim stres. Pozostawało

skrupulatnie realizować plan przejścia po kruchym lodzie na drugi brzeg. Kiedy pozbył się prawie wszystkich z komendy, pozostało ustalić nowe porządki i zadbać, by prokurator ukręcił łeb, komu trzeba.

„Tak – myślał, odpinając guzik koszuli pod szyją – tak, to się może udać. Niech tylko ten pojeb w kapeluszu da mi spokój, a reszta jakoś pójdzie. Nie pozwolę, żeby ktoś mi zabrał to, na co tak ciężko pracowałem”.

I wyobraził sobie znów wybudowany w ogrodzie basen. Pozwoliłby nawet żonie zostawić pod parkanem ohydne krasnale. W słoneczny dzień będzie leżeć w tym basenie, rozkoszując się swoim małym kawałkiem spokoju. Wtem jednak woda z basenu zaczęła ulatywać jak powietrze z dziecięcego balonika, a nieprzyjemny dźwięk coraz głośniej świdrował mu uszy.

Znów był w swoim gabinecie. Dzwonił telefon.

Obszedł biurko i odebrał.

Z każdą sekundą woda z wymagowanego basenu wyparowywała i wyparowywała, aż nie została z niej nawet kropla. Halicki przejechał palcami po słuchawce, jakby chciał ocenić jej zaokrąglenia. W końcu opadł ciężko na fotel.

– Oczywiście, prokuratorze Mauer. Czekamy na pana... – Gdy skończył rozmowę, zdołał wydobyć z siebie tylko krótką, poetycką frazę: – No to, kurwa, po zawodach.

Przygłodził dwa razy wąsik i raz przetarł czoło, po czym ponownie chwycił za telefon.

– Technika? Tu Toruń-Śródmieście. W sprawie Lindego dzwonię, tego szaszłyka, co strażacy wyciągali. Macie ekspertyzę? Dobrze, czekam. – Halicki tym razem czoło przetarł dwa razy, a wąs raz. Jego ruchy zdradzały nerwowość. – Tak, jestem. Macie. – Komendant zastygł w bezruchu. – Jak to w ciebie nie było kul? Co? Nie, nie spodziewałem się, tak właśnie myślałem, te zaproszenia ognia. Dzięki, chłopaki. Tak, to smutna sprawa z Brodzkim. Cześć.

Oparł się o fotel i powachlował marynarką. Sięgnął do szuflady po przyrząd do masażu, metalowego pajęczka, i podrapał się nim po

łysinie.

– Tylko spokojnie, Gromek. Zawsze możesz iść na chorobowe. – Po czym rozłożył się w fotelu, by ochłoniąć przed spotkaniem, które prawdopodobnie wywróci wszystko do góry nogami, a potem zadał na głos pytanie, jakie miał w głowie od kilku minut: – Czy Mauer wznowi śledztwo?

## 4

*Zbrodnia w mieście T.*

Reportaż Bereniki Vesper

Część druga

*Dostaję informację, gdzie mogę znaleźć człowieka, który dobrze zna Leona Brodzkiego. To dziennikarz Marek Bener. Pisał reportaż o zaginięciu Laury Mostowicz. Jest wyczulony na punkcie zaginionych kobiet, odkąd w 2010 roku zniknęła jego żona Agata. Dowiaduję się o tym z archiwalnych wydań dzienników „Nowości” i „Gazety Pomorskiej”.*

*Bener redaguje tygodnik „Echo Torunia”, który wychodzi co piątek. Czy się długo utrzyma? Kontaktuję się z nimi mailowo, ale nie odpowiada. Podobno znany jest z niekonwencjonalnych metod i ostrego pióra. Jakim cudem prowadzi śledztwa dziennikarskie? To oczywiste: ma wtyki w policji. Czyżby po raz kolejny miała się sprawdzić teza o męskim świecie układów i machlojek? Ustalam, że Benera można spotkać w karczmie „Pod Kotwicą”.*

*Od godziny siedzę nad Wisłą, w odległości sześćdziesięciu metrów od knajpy, która wpasowana jest w bramę między kamienicą Łazienna 1 a murem z czerwonej cegły. Boczna ścianę kamienicy przyozdabia zegar słoneczny, jakich pełno w Toruniu – mieście astronoma Mikołaja Kopernika. Siedzę tu od blisko godziny i wiem, że zegar nie mówi prawdy, bo nie działa. Pytanie, jak z prawdowością ludzi z otoczenia policjanta. Ponieważ na*



*bramie wciąż wisi kłódka, spaceruję nad Wisłą, mając obiekt w zasięgu wzroku. Czy Bener się pojawi?*

*W Toruniu podobno zawsze było spokojnie. Tak mówią mi ludzie spotkani na ulicach Szerokiej, Ślusarskiej i na Bulwarze Filadelfijskim. Ale to nieprawda. Tak się po prostu mówi turystom. Gdy tłumaczę, że jestem dziennikarką i piszę o Brodzkim, większość ucina rozmowę. Wolą spuścić zasłonę na smutną historię bohatera, który stał się antybohaterem. Bo historia Brodzkiego to historia tragiczna.*

*Przysiadam z komputerem na ławce nad Wisłą. Nie ma tu może foodtrucków z tacos, ale nie ma też walających się strzykawek i butelek w takich ilościach jak przy Wisłostradzie. Nie ma tu cudów na kiju, ale jedynie lodziarnie, barki i wielki niebieski namiot z napisem „Zakręcone ziemniaki na patyku”.*

*Toruń z mojego reportażu to późnoletni kurort na uboczu. Dzieci biegają z napełnionymi helem podobnymi do siebie balonikami, ludzie jeżdżą na podobnych rowerach. Podobnie są też ubrani i podobnie mówią. Czy ktoś z nich okaże się mordercą? Jest tu swojsko i nikt nikogo nie udaje. To istotne w kontekście tego, po się tu pojawiłam: ustalenia, kim naprawdę jest bohater reportażu Leon Brodzki.*

*Jednym z moich rozmówców był niedawno pewien taksówkarz, wspominałam o nim w pierwszej części. Ponoć zna policjanta, ale zwątpiłam w jego słowa, gdy zapewnił, że brał z nim udział w policyjnym pościgu dużym fiatem. Niemniej urzekła mnie jego powierzchowność i fakt, że poczęstował mnie czekoladą. Kiedy spytałam, dlaczego to robi, odparł:*

*– Zawsze mówię, że pasażer jest moim pracodawcą.*

*Jest najstarszym taksówkarzem w mieście, mówią na niego Ostatni Mohikanin. Nawet jeśli zmyślił swoje historie, to i tak krąży po tym zabytkowym mieście jak duch historii: w beżowej kurtce i beżowym fiacie 125p. To aż nieprawdopodobne, że tak bajkowe opowieści mieszają się tu z krwawą zbrodnią. Przypomnijmy: od 1 września doszło tu do dziewięciu zabójstw!*

*Pod murami aresztu śledczego przy ulicy Fosa Staromiejska*

zatrzymuje mnie patrol policji. Z tego miejsca mogę zasugerować czytelnikom i czytelniczkom: nigdy nie odpowiadamy na żadne pytania policji, ponieważ nie było przypadku, by komuś to pomogło. Policjantowi zawsze chodzi tylko o to, żeby pogorszyć sytuację zatrzymanego. Gdy pytam funkcjonariuszy, dlaczego są tacy nerwowi, odpowiadają, że całe miasto jest ostatnio nerwowe.

Zauważam, że lokal wreszcie zostaje otwarty. Kwadrans później ulicą Łazienną schodzi człowiek w długich włosach. Z daleka rzucają się w oczy jego buty: czerwone trampki. To po nich miałam go rozpoznać.

Sprawdzam w przedniej kamerze iPhone'a makijaż. Muszę być naturalna i przekonująca. Chcę, żeby mi zaufał.

Wchodzę podcieniem w podwórze, a następnie postępuję za drzwi wejściowe. Z daleka dobiega głośna, bluesowa muzyka. Wita mnie barman. Robi dokładnie to, co robią ludzie w takim miejscu: wyciera blat, a na mój widok przewiesza ścierkę przez ramię, opiera się o kontuar i planuje spytać, co podać takiej pięknej dziewczynie.

Scenariusz mnie jednak zaskakuje.

– „Spośród wszystkich barów we wszystkich miastach na świecie, ona musiała wejść do mojego!” – zaczyna i od razu zyskuje moją sympatię. Każdy, kto cytuje „Casablankę”, może liczyć na moje względy. – Polecam pierogi. Dobre mamy. I piwo! – oferuje donośnym głosem.

– A jakie macie to piwo? – dopytuję i daję znać, że parę decybeli mniej pozwoliłoby zaoszczędzić nam w przyszłości na aparatach słuchowych.

– Do wyboru, do koloru! – Pokazuje na ścianę. Wszystkie miejsca na czterech półkach wypełnia jeden rodzaj piwa marki Perła. – Proszę nie mówić, odczytam pani myśli! – krzyczy, po czym jednym ruchem sięga po kufel i nalewa.

Bener siedzi z lewej. Ma długie włosy, nosi dżinsową kurtkę i dżinsowe spodnie. No i te trampki...

Pytam, czy wolne, ale mnie nie zauważa. Ma przymknięte oczy, pogrążony jest w dźwiękach płynących z dużych kolumn

podwieszonych pod drewnianymi żerdziami. Jego twarz jest okrągła, niemal tak samo szeroka jak i długa. Ciemne obwódki oczu podpowiadają, że niejedną noc zawałił, pisząc materiał. Ma niebieskie oczy i blade, wąskie usta. Jest całkiem przystojny. Jak na faceta w trampkach.

Czekam, aż piosenka wybrzmi. Kiedy otwiera oczy, przedstawiam się i wyciągam rękę. Kiwa głową i się wita. Opowiadam mu, kim jestem. Dopiero po chwili zauważam, że Bener się ze mnie nabija: nie słuchał mnie ani przez chwilę. Chciałabym mu zmasać z twarzy ten szelmowski uśmiech, ale się powstrzymuję. Wreszcie pokazuje właścicielowi, by ściszył.

– Niezła muza! – zaczyna.

– A jaka? – pytam jak trzynastolatka na biwaku, choć odnoszę wrażenie, że Bener chodzi maksymalnie do pierwszej klasy gimnazjum.

– „Muza”. Taki tytuł płyty – mówi, wskazując palcem na stół tak, jakby leżał pod nimi winylowy krążek. – Dżem – dodaje, kiwając głową jak przywódca sekty, a barman mu wtóruje. – Najlepsi.

Siedzimy przy stoliku pod wychodzącym na ulicę witrażem ściennym ze wzorem w kotwice. Ma na stoliku piwo i frytki z keczupem. Nurkuje w nich dużym widelcem. Żeby nie popłamić palcami notesu, który leży otwarty na ławie. Szanuję ludzi, którzy używają notesów.

– A więc piszesz o Brodzkim. Jak ci mogę pomóc, jeśli nie liczyć tego, że nie przygarnę cię na noc? – Od początku jest impertynencki, próbuje wyprowadzić mnie z równowagi. To celowa zagrywka, wie, że to ja przychodzę do niego.

– Komendant nie ma o nim najlepszego zdania – zaczynam. Mam w głowie dziesiątki tekstów, które przestudiowałam wcześniej w internecie. Wywiady z Halickim, Brodzkim, prezydentem Nalewskim. Historia Brodzkiego to gotowy scenariusz na film z Bruce'em Willisem.

– Nie zawsze tak było – odpowiada Bener. A więc jednak będziemy rozmawiać? Kontynuuje: – Od czasu zabójstwa Czerwonego

Kapturka.

– Masz na myśli... – mówię, przeglądając notes. – Dziewczynę w Czerwonym Płaszczu. Hannę Krosny, rok 1988. Jej oprawcy to Remigiusz „Szary” Śnieg oraz Stanisław Szabański. Pierwszy trafił do Koronowa, na drugim wykonano ostatnią karę śmierci w PRL-u

– Odrobiłaś lekcje.

– Może jeszcze zaraz dodasz, że jestem grzeczną dziewczynką, kolego w czerwonych trampkach? Nietrudno dotrzeć do tych informacji. To ciekawe, że kiedy wieszali ją na Garbatym Mostku, nikt tego nie widział. W pobliżu przecież jest i było wtedy tyle domów, bloków.

– Pistolet, nie dziewczyna! – krzyczy barman. Czym on ufajdał ten blat, że go tak w kółko wyciera? Czy we wszystkich barach świata musi być tak samo? Faceci ze ścierką na ramieniu?

– Powiesz mi coś w końcu? – pytam.

– Tak pięknie mówisz, że nie śmiem ci przerywać. – Bener przypatruje się teraz mojemu pieprzykowi na nosie.

– Wiem, że to twój kumpel. Spróbujmy więc może na początek inaczej. Powiedz po prostu, co myślisz ogólnie o tej sytuacji.

– Co myślę ogólnie? Ogólnie to myślę, że moglibyśmy się umówić. – Zatkano mnie. Ale zaraz dodaje: – Żartowałem.

– Co to za żart? Wyczytałeś w „Kalendarzu Szalonego Małolata”? – Wstaję, jeszcze chwila i stąd wyjdę. Powstrzymuje mnie tylko chęć wyciągnięcia z niego informacji.

– W porządku, przepraszam. – Bener wyraża skruchę i składa ręce jak do modlitwy. – Usiądź, proszę. Po prostu przyjeżdżasz z Warszawy, ot tak, przychodzisz tu i węsyzysz... To miłe!

Śmieję się gorzko. Mierzę go wzrokiem, przewracam oczami w wystudiowany sposób i z wielką łaską znów siadam naprzeciwko niego. Mam minę obrażonego dziecka.

– Słuchaj uważnie. Przełożonym jest o wiele łatwiej ukarać policjantów i mieć święty spokój, niż ich bronić w oczach opinii publicznej. Tyle mogę ci powiedzieć. – Bener nagle zmienia ton i mówi rzeczowo. Prawdopodobnie robi to, bym się ulitowała nad

Brodzkim. Pamiętam jednak o etyce dziennikarskiej i staram się być obiektywna. Próbuję odpowiadać zachowawczo, ale temat policji zawsze powoduje u mnie podwyższenie tętna. – Co mogę myśleć o kimś takim jak ty?

– Kimś jakim?

– Młoda, śliczna dziewczyna pyta o krew na rękach.

– Znowu ten protekcyjnalny ton, chłopaczku.

– Trudno jest zbadać tak złożony temat. Myślisz, że zrozumiesz, ale nie zrozumiesz. Zakładasz, że policja to zło i wszyscy się blatuja, klepią po ramieniu.

– Myślałam, że to właśnie zawsze władza robi. Broni swoich i swojego układu. Zwłaszcza postkomunistyczne kołesiostwo. Słyszałam, że komendant Halicki jechał kiedyś służbówką po wódkę dla leśniczego.

– „Blue taxi”, tak na to mówią. – Bener poważnieje. – Ale to się trochę zmieniło, odkąd media mają taką siłę rażenia.

– Nie przypisujesz sobie za wiele?

– Niestety nie mam na myśli prasy... – Bener patrzy teraz tym wzrokiem, którym patrzą ludzie zagrożeni utratą pracy. – Raczej media społecznościowe, telewizję całodobową i tych wszystkich, co piszą, komentują. Opinia publiczna może zjeść nie tylko czerwonego kapturka, jak słynną matkę małej Madzi, ale nawet i wilka. Po co mają narażać się na ogień pytań? Jeszcze ktoś by zaczął węszyć wokół innych spraw. Na przykład przetargów na cyfryzację, na zakup radiowozów, na stare czasy...

– Mów dalej.

– Tworzone są sztuczne stanowiska. Nagle pojawia się specjalista do spraw przetargów, choć mógłby się tym zająć którykolwiek biurkowy z pałacu... A z kolei gdy ktoś za bardzo szuka dziury w całym, to wszczyna się przeciwko niemu postępowanie formalne.

– Kto je może wszcząć?

– Prokuratura, Biuro Spraw Wewnętrznych. Różnie.

– Kto się wziął na Brodzkiego?

– Dasz wiarę, że to ich szesnasty album studyjny?

*Na pożegnanie wymieniamy się numerami telefonów. Wychodząc, zgarniam paragon z blatu i chowam go do portfela. Po wyjściu na ulicę Łazienną orientuję się, że Bener nie powiedział mi absolutnie nic. Zmowa milczenia w mieście T.*

## 5

– Krzyż na drogę, chuj ci w dupę i kotwica w plecy! – Sierżant o twarzy kulomiotą przeklął siarczyście i zasalutował ręcznym fotoradarem, gdy stare, błękitne suzuki swift odjeżdżało z piskiem z zatoczki. Policjantowi szumiało w głowie tak mocno, że ścisnął ją teraz jak nadmiernie napompowaną futbolówkę. Hałas od Szosy Lubickiej był nie do zniesienia, podobnie jak nie do zniesienia byli zatrzymywani dziś kierowcy. Odłożył na dach auta lizak, zakreślił w powietrzu niezrozumiały nawet dla heraldyków symbol, po czym dodał: – Jeśli jeszcze raz jakiś Janusz powie mi, że suszarką nie umiem machać – krzyczał w przestrzeń – albo że źle skalibrowali, no to naprawdę! – Odwrócił się w stronę radiowozu. – Żółtek, ja takiemu po prostu z całą sympatią jebnę! – krzyknął Adam Jacyk, przedłużając ostatnie słowo niczym trubadur o najpojemniejszych płucach. A potem splunął i podciągnął pas, upychając za nim dół wymiętolonej błękitnej koszuli.

– To daj znać wcześniej, zadzwonię po TVN24! Kolejny materiał do reportażu – zadrwił Tomasz Żółtko. Siedział właśnie w srebrnoniebieskiej kii o numerze bocznym C401 i spisywał na kartce luźne myśli. W notatkach pojawiały się nazwiska Brodzki, Nowak, Halicki. Kreślił też linie między słowami Heraklit, Elf, Kosma, Daniel, Pękalski. Z każdym z nich musiał w najbliższym czasie załatwić pewne sprawy. „Jak uwolnić Brodzkiego” – gorączkował się. Jak udowodnić jego niewinność? – Każdy kierowca jest potencjalnie uczciwy, dajmy im szansę! – rzucił do Jacyka, choć sam do końca nie wierzył w te słowa, błędząc myślami między więzienną celą a szpitalną salą. Toteż uderzył kilka razy potylicą o zagłówek i wypuścił z ulgą powietrze. Od dalszego komentarza się

powstrzymał.

Ręce sierżanta Jacyka opadły bezwładnie, a potem jego oczy przewróciły się w podobny sposób, w jaki winogrona układają się na ekranie jednorękiego bandyty. Miał nawet wrażenie, że usłyszał dźwięk charakterystyczny dla kasyna. Odwrócił się do Szosy Lubickiej, złożył dłonie przy ustach i krzyknął.

– Mam dosyć zapierdalania jak beduin! – I tym razem ostatnie słowo wybrzmiało odpowiednio. – Świątki, piątki, kurwa, czy niedziele!

I znów hałas, tym razem nadjeżdżał szynami żółto-niebieski niskopodłogowiec typu swing.

– Aaa! – wrzasnął Jacyk. – Pierdolę to!

Gdy jechał tabor o numerze bocznym 302, drżały szyby w meblościankach. Gdy nadciągał 317, głośnie „tup, tup, tup!” rozlegało się niczym z karabinu maszynowego. Najgorszy był natomiast 314. W każdym mieszkaniu, którego okna wychodziły na torowisko, w widocznym miejscu wisiał rozkład jazdy MZK. Gdyby któryś z mieszkańców miał jakieś srebra rodowe i drogą zastawę, tuż przed godziną przejazdu niskopodłogowca 314 chowałby ją prędko do kufrów albo zawijał w prześcieradło i pędził do piwnicy jak do schronu. Bo kiedy nadjeżdżał 314, blokiem miotało jak szatan, dzieci płakały, starszyzna odprawiała modły na zmianę to do Pana Boga, to do dyrektora MZK, byle tylko zlitowali się nad losem mieszkańców bloków przy Szosie Lubickiej... A cała ulica huczała jak podczas defilady czołgów.

I tak się stało, że w momencie ekspiacji sierżanta Jacyka niskopodłogowiec 314 akurat nadjechał. Policjant tylko rozdziawił gębę i krzyknął, ile sił, chcąc jakby siłą swojej przepony odpędzić maszynistę i jego pojazd, ale ciężka kolubryna ani myślała przyspieszać. I jak huk przelewał się wte i wewte, tak wraz z tym hukiem przelewała się w duszy Jacyka czara goryczy.

Rzecz ciekawa, że w środku pojazdu było wcale znośnie, toteż pasażerowie podróżujący w kierunku osiedla Skarpa spojrzeli tylko ze zdziwieniem na policjanta, który – kontrastując z bezruchem

wewnątrz długiego wagonu – skakał na poboczu jak opętany. Wreszcie tramwaj odjechał, o czym – zgodnie z rozpiską – wiedzieli już mieszkańcy następnych bloków przy ulicy Śląskiego. Teraz tam pospiesznie pakowano kruchy dobytek.

Policjanci znajdowali się we wschodniej części miasta, a więc w rejonie komendy Toruń-Rubinkowo, i to właśnie ta jednostka wysłała ich na patrol. Jacyk i Żółtko przy Szosie Lubickiej stali od godziny, kawałek za stacją BP, w stronę centrum. Leciała tędy – przedzielona pasem zieleni i, co już wiadomo, torami tramwajowymi – sześciopasmowa wylotówka prowadząca na autostradę A1, a także drogi DK10 w kierunku Warszawy i DK15 na Olsztyn.

Adam Jacyk w policji był dłużej, niż sierżant Tomasz Żółtko umiał czytać, a mimo to właśnie ich przydzielono sobie do patrolowania przelotówki na obrzeżach osiedla Rubinkowo.

Jacyk był pod pięćdziesiątkę. Łysy, barczysty, o bladej twarzy. Miał piwne oczy i mocno postawiony trójkąt nosa rozdzielający symetryczną twarz na dwa solidne kawały mięcha. Bo twarz jego była mięsista i napięta, przez ściągnięte usta i kwadratową brodę, przez szeroką szyję, po barki. Kiedy kręcił głowę, naprężenia ścięgien znikwały za kołnierzem koszuli, zostawiając na skórze ślady podobne do lin mostowych. Na łysej skórze głowy nie brakowało przebarwień, a przedramiona obficie pokryte piegami. Był średniego wzrostu, w oczy rzucała się potężna klatka piersiowa. To od pływania, którym pasjonował się od najmłodszych lat spędzanych w Małopolsce. Kąpiele w zbiorniku w kamieniołomie wapienia w Zakrzówku nauczyły go wszystkiego o czyhających w wodzie niebezpieczeństwach. Kurs ratownika i nurka głębinowego dały mu dodatkowe punkty, gdy zdawał do szkoły w latach osiemdziesiątych. Miał młodszą o trzy lata siostrę, nauczycielkę w szkole podstawowej na osiedlu Stawki, oraz mamę, która po przejściu na emeryturę także przeprowadziła się do Torunia i która niezmiennie od trzydziestu lat gotowała mu co niedzielę zupę z klopsami. Bardzo ją lubił, tę zupę. A matkę kochał.

Koledzy z komendy mówili, że jest solidnym psem. Pracował



wcześniej trochę w wydziale kryminalnym, także po tajniaku. Potrafił robić za dobry ogon. Wiadomo, że ogon może działać na dwa sposoby: albo celowo podąża za świadomym śledzenia obiektem, albo przykleja się do niego jak duch. W czasach przed monitoringiem i smartfonami bycie duchem było prostsze. I dla tajniaków, i dla przestępców. Dlatego na nocne akcje mówili: podróż do Krainy Duchów.

Aż przyszedł czas, że zwątpił. Zaczęło się za rządów AWS-u pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Po latach czystek w psiarni, palenia teczek, układów z goniącymi skinów gangsterami pokroju Elfa czy Taty, po czasach Dzikiego Zachodu, kiedy polonezy gnały w pościgach tak ostro, że dekle od kół fruwały nad głowami przechodniów przy Merinotexie, Torpo czy Elanie, po tym wszystkim, co wydawało się najgorsze, przyszło to, co miało się wydawać najlepsze: „Solidarność” wystartowała w wyborach. Niestety, czar szybko prysł. Akcja Wyborcza Solidarność upolityczniła policję. W efekcie zmieciono szefów i zastępców od powiatu w górę. I na Rubinkowo też wjechały nowe miotły i mopy. A dla nadstawiającego karku Jacyka tego było już za wiele. Bo nawet na takim blokowisku jak Rubinkowo betonu może być za dużo. A taki właśnie beton zafundowała komendom ówczesna władza.

I tak Jacyk wylądował z suszarką przy drodze. Stary pies o dobrym węchu, który zamiast biegać w polowaniach hasa po podwórku. Ma michę, budę i dość luźny łańcuch, a kiedy zagląda na swoje konto bankowe, mówi sobie w myślach: „A pan Bóg, zapytawszy o zarobki nasze, usiadł i zapłakał”.

Czy było to po nim widać? Tak, starsi policjanci poznaliby w nim starego wygę. Czy Żółtko mógł to po nim poznać? Nie, przeciwnie, Jacyk w oczach Żółtki był jak zdezelowany jelcz, któremu ktoś podbił przegład na lewo. Jelcz z niezamykającą się maską.

Przy kulomociu Jacyku Żółtko wyglądał jak szachista.

Nie był to pierwszy raz, kiedy aspirant Tomasz Żółtko, urodzony w Nakle nad Notecią świeżak o wielkim talencie, znalazł się w nowej sytuacji i z nowym partnerem.

W Toruniu był od początku września. Na samym początku dostał do pary aspiranta Nowaka. Żeby w skrócie opowiedzieć przebieg wydarzeń tych dni, można się na razie ograniczyć do stwierdzenia, że Nowak walczy o życie w szpitalu i nie trafił tam po próbie wylegitymowania sprzedawców waty cukrowej.

Żółtko spojrział teraz na „szalonego Jacyka-Pajacyka” – jak nazwał go w głowie, gdy tylko się dziś poznali – i pomyślał, że może i tym razem nie będzie tak źle. Tak jak z Nowakiem nie było.

Nowak i Żółtko byli jak skarpetki z różnych par, zagubieni w bębnie miasta. Nowak – władca blankietów mandatów. Żółtko – policjant z powołania. Obaj zostali szybko sprowadzeni na ziemię: pierwsze wezwanie – stłuczka, drugie – zabójstwo, jedno z najbrutalniejszych, jakie widziało to miasto. Wkrótce komendant Halicki z komendy Toruń-Śródmieście przydzielił go detektywowi Brodzkiemu – legendzie policji, lokalnemu „Brudnemu Harry’emu”. Nie czas i miejsce na streszczanie zdarzeń, dość powiedzieć, że zdążyli sobie uratować życie, tak jak Nowak zdążył się przeistoczyć z szeregowego krawężnika w rasowego glinę. Dokładnie wtedy, gdy to się stało, ktoś poderznął mu gardło. Sprawcy do dziś nie ujęto, a gliniarz trafił na Oddział Kliniczny Chirurgii Szczękowo-Twarzowej, dołączając do brata, Chyżego, który po zamieszkach na meczu Elany Toruń wylądował tam z porażeniami. Taka rodzinka.pl.

Więc jeśli mówić o stażu, Żółtko w Toruniu był nowy, ale zdążył posmakować i krwi, i prochu. Nie był pewien, czy Jacyk wiedział, w jakich okolicznościach Halicki wywalił go do komendy Toruń-Rubinkowo, dlatego spojrział tylko na partnera, domknął napę skórzanego notesu i rzekł:

– Ponoć mają być podwyżki... Adam – zwrócił się po imieniu, choć język go świerbił, by użyć wymyślonej przez siebie ksywy.

– Nikt nam nie da tyle, ile minister obieca – odparł Jacyk i splunął, opierając się o nagrzaną maskę „rajdowozu”, jak mówili na komendzie. Zdjął nakrycie głowy i rzucił na dach obok kogutów. – Wiesz, co jest najśmieszniejsze?

– No? – spytał Żółtko, choć z powodu szumu części zdania nie

dostyszał.

– Że podwyżki dostaną najwyżej krawężniki. – Kopnął podeszwą w przednią prawą oponę. – Jak ktoś ma, dajmy na to, dziesięć lat w służbie, no nie, i jest w czwartej grupie, to nikomu to nie robi.

– Opłaca się chyba docenić doświadczonych policjantów. – Żółtko sięgnął po czapkę garnizonową z deski rozdzielczej i wysunął się z auta. – Robią wynik chłopaki, nie?

– Chłopie, obudź się. Dadzą podwyżki w najniższych grupach, bo tam jest najwięcej wakatów i największe dziury ze słabego naboru. Naboru, dobre sobie... No. A ci, co swoje lata w tym syfie przerobili i nie roztrzaskali łba od walenia w beton – wskazał palcem w niebo – w beton na górze, nie nabiorą się na marne dwadzieścia złotych, Żółtek.

– Mają podnieść mundurówki. – Tomek zauważył, że Jacyk stoi bez nakrycia głowy, które na patrolu było obowiązkowe, chyba że wchodziło się do obiektu. A i wtedy czapkę trzymać trzeba przy biodrze, pionowo, godłem do frontu. Godło zawsze poruszało w Żółtce najczulsze struny. – Nie wiem o ile, ale mają podnieść.

– Tak, kurwa. A potem z tej mundurówki masz sobie galowy mundur kupować, żeby mieć w czym salutować Misiewiczowi.

– Po to chyba jest mundurówka, nie?

– Ja pierdołę, bo zaraz wyjdę i pojedę na kole zapasowym! – Jacyk wziął czapkę z dachu i zaczął nią kręcić na dłoni jak ringo. Żółtko nie odrywał wzroku od migającego na niej orzełka. – Mnie z tej mundurówki nawet na baterie do latarki nie starcza. Do latarki, którą sam sobie kupiłem w Lidlu. – Mówiąc to, udał wielce poruszonego.

– W Lidlu? – spytał poważnie Żółtko. Jacyk parsknął śmiechem.

– Tak, kurwa, miałem lecieć po karpia, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie. W militarnym przecież... – Odepchnął przyjacielsko Żółtkę i ruszył w stronę bagażnika. – Detektor kolorymetryczny do materiałów wybuchowych dostałem na przykład na gwiazdkę. Jak ty mało rozumiesz.

– Jaja, jak ty wszystko rozumiesz – odparł ironicznie kolega. Jacyk

wyjął z bagażnika małą wodę niegazowaną, ale nagle wrzucił ją z powrotem, trzasnął klapą koreańca i ruszył w stronę, z której nadjeżdżały auta. Chwycił lizak z dachu i wyciągnął przed siebie fotoradar, który do tej pory dyndał mu przy nadgarstku.

– Dobra, leci jakaś strzała, to ją ustrzelimy – rzekł rozgorączkowany i puścił koledze oko.

– Jakbym Nowaka słyszał.

– Ta, wasz król mandatów ze Śródmieścia. Szkoda chłopca. No, celujemy! – I przymierzył radarem, a dokładniej lidarem Ultralyte LTI 20-20 w coś, co z daleka przypominało czarne auto.

– Szkoda – bąknął pod nosem Żółtko. „I Brodzkiego, i Nowaka szkoda” – myślał. „Jeden i drugi czekają na zbawienie. Jeden w pierdłu, drugi z kaczką pod łóżkiem”.

Nowy garbus na widok radaru zwolnił i po geście Jacyka zajechał na pobocze. Kierowca uchylił szybę.

– Dzień dobry, panie kierowco, aspirant Adam Jacyk, komenda Toruń-Rubinkowo. Proszę o dokumenty pojazdu, ubezpieczenie oraz prawo jazdy.

– A ja poproszę pana o pełne umundurowanie – rzucił mężczyzna z auta.

Jacyk spojrzął na Żółtkę jak bibliotekarz na widok zebry w dziale „Historia najnowsza”, po czym nachylił się do pojazdu. Z kabiny uderzyło chłodne powietrze klimatyzacji. W środku siedział sympatyczny gość w beżowej bejsbolówce, na oko pięćdziesiąt pięć lat. Kraciasta chusta owinięta wokół szyi, musztardowy T-shirt z rysunkiem bmw. W uchwycie obok radia kubek po kawie z McDonalda oraz kilka książek na miejscu pasażera sugerowały, że to inteligent. A do „inteligenta” trzeba „inteligentnie”.

Mężczyźni zmierzli się wzrokiem.

– O, pan kierowca wyedukowany. – Na słowa Jacyka kierowca skinął. – I proszę otworzyć bagażnik.

– Nie ma pan prawa mnie przeszukiwać.

– Otwarcie klapy bagażnika jeszcze nie jest przeszukianiem. Poproszę dokumenty. – A gdy je otrzymał, dodał: – Ja udaję się do

radiotelefonu i po nakrycie głowy, żeby pana zadowolić, a pan otworzy bagażnik.

Żółtko dostrzegł, że w Jacyka powoli wstępuje obłąd.

Tomek nie przepadał za robotą w drogówce. Wiedział, jakie słupki z wynikami są do wykręcenia, wiedział też, że im jest cieplej, poczuwszy od czerwca, tym więcej patroli wysyła się w miasto, bo ludzie mają lepszy humor, bo popycha ich w wakacje temperament, a przez to szaleją, popisują się, piją więcej alkoholu. A to się przekłada na liczbę interwencji i mandatów, które były dla komendanta tym, czym dla filatelisty unikalne znaczki z Kongo. Oczywiście, nie zdarzyło się jeszcze, żeby jakiś przełożony oficjalnie wydał taki rozkaz. Tego by tylko brakowało – nagranie z takiej odprawy lub skan pisma natychmiast trafiłyby do mass mediów, podgrzewając nastroje społeczne do czerwoności przechodzącej w purpurę. Nie, takie sugestie po prostu się słyszało. W windzie, w parku maszyn, gdzieś na korytarzu, w luźnej rozmowie. Więc Żółtek, jak go nazywali w Śródmieściu, wiedział, że gdyby zrobił teraz rundkę po osiedlu, w kilka minut wypisałby dziesięć mandatów. Wystarczyłoby patrzeć na niewłączane przez kierowców kierunkowskazy – częste zjawisko na blokowiskach, gdzie mieszka bardzo wielu ludzi i wielu z nich jeździ „na pamięć”. Wystarczyłoby zobaczyć, ile aut stoi w odległości mniejszej niż dziesięć metrów od skrzyżowania. I ktoś by się znalazł. Nie od dziś funkcjonowało powiedzenie „pokaż mi człowieka, a znajdę na niego paragraf” i sentencji tej Tomasz Żółtko nie znosił. Do policji szedł, żeby pomagać ludziom, a nie po to, żeby ich zamęczać. Tak wychowali go dziadkowie, tak zapamiętał z domu.

Ale ponieważ był nowy, a jego partner był starym wygą, nic nie powiedział.

– Mamy problemy z łącznością. Te światłowody, co położyli, chuja warte... – zaszumiło w radiotelefonie. Jacyk wyszedł z auta, sięgnął po czapkę i zbliżył się do tyłu garbusa.

– Panie kierowco. Dokumenty się zgadzają, a tu – zaczął Jacyk, przeglądając zawartość kufra. – Wiele miejsca to tu nie macie. Ale to

na przykład... – Wskazał na szklane butelki o rubinowym kolorze. – Co to jest?

– To... Nalewka. Dla narzeczonej. Z parafii, od księży. – Jacyk nie dowierzał. – O, proszę, tu mam certyfikat, że lecznicze. – Kierowca pokazał mały blankiet z pieczęcią.

– W porządku. A więc, panie kierowco... Niestety! – Gliniarz o twarzy kulomioty rozłożył bezradnie ręce. – Przekroczenie prędkości w zabudowanym. Najniższa kara to jeden punkt karny i sto złotych. Panie kierowco, czy przyjmuje pan mandat.

– Przyjmuję... – zaczął kierowca, po czym się przeciągnął, odsłaniając wydatny pępek pod rysunkiem bmw na koszulce.

– No to piszemy – odparł na jednym dźwięku sierżant Jacyk i już przykładał długopis do blankietu, gdy kierowca dokończył zdanie.

– ...przyjmuję, że pana zdaniem przekroczyłem prędkość, ale obawiam się, że pomiar został wykonany nieprawidłowo.

Jacyk spojrzał na Żótkę porozumiewawczo i Tomek dostrzegł w oczach partnera ogniki zemsty zajmujące się błyskawicznie jak kostki brykietu.

– Powiem panu tak – zaczął kierowca – był precedens w polskim sądzie, który przyznał, że instrukcja obsługi radaru Ultralyte LTI 20-20 została źle przetłumaczona. Jak zobaczy pan polską i amerykańską wersję... – Ku zdziwieniu policjantów kierowca sięgnął do auta po kilka kartek i podetknął je im pod nos. – Okaże się, że w tej z USA wiarygodny pomiar urządzeniem możliwy jest do osiemdziesięciu metrów, jeśli radar trzymany jest w ręce, a do stu osiemdziesięciu metrów gdy został zamocowany na statywie. A teraz zobaczą panowie polską. Co tam jest napisane?

– O kurwa – bąknął Jacyk do kartki.

– Pan przeczyta.

– „Tysiąc metrów wystarczy, żeby stanowić wartość dowodową...”

– I co pan na to? – Kierowca był przekonany, że triumfuje. Jakże się mylił. Twarz Jacyka nabrzmiała, a jego szyja się napięła. Kierowca był nieomal pewien, że ta drga teraz jak podtrzymujące most metalowe liny.

– Bardzo podziwiam pana za kreatywność i chęć pouczania stróżów prawa, ale po pierwsze, w Polsce nie działa prawo precedensu. Po drugie, w tym dokumencie jest mowa o radarze. A to jest lidar. Tak się to nazywa, Light Detection and Ranging.

– Piszą, że radar ręczny, więc można by się spierać – bronił się kierowca.

– Ma pan rację, co się będziemy rozdrabniać, no nie? – I klepnął go w ramię. Kierowca uśmiechnął się nieufnie. Jacyk tak długo patrzył mu w oczy, aż ten odetchnął.

– No, od razu lepiej, co? – Policjant cofnął się do radiowozu.

– Ale mnie pan nastraszył!

– Nie ma się co bać policji. Pan podejdzie – wskazał Jacyk. Kierowca posłusznie zbliżył się do funkcjonariuszy.

– Artykuł sześćdziesiąty ustawy mówi wyraźnie, że zabrania się kierującemu oddalania się od pojazdu, gdy silnik jest w ruchu. – Słowa Jacyka kompletnie zaskoczyły kierowcę, który spojrzał na auto, potem na policjantów, i znów na auto.

– Klimatyzacja chodzi, to był tylko krótki postój.

– Proszę pana, prawo mówi jasno, że postój jest do minuty i tak długo silnik może chodzić. A my rozmawiamy minut pięć. Gdyby jeździł pan śmieciarką, toby zmieniało postać rzeczy, śmieciarki pracują z włączonym silnikiem. Ale pan ma garbusa, do którego ledwo, ledwo da się wrzucić worek prania, więc w Miejskim Przedsiębiorstwie Oczyszczania raczej pan nie robi. Wreszcie ten sam punkt ustawy mówi, że zabrania się pozostawiania pracującego silnika podczas postoju na obszarze zabudowanym. I na koniec artykuł czterdziesty szósty ustawy, punkt piąty, mówi, że jeśli zostawia pan włączony silnik, to narusza pan obowiązek zabezpieczenia pojazdu przed uruchomieniem przez osobę niepowołaną. Nie wolno oddalać się od pojazdu, kiedy silnik jest w ruchu, no, panie kierowco.

– Ale jak mogłem się oddalić, skoro stałem przy aucie?

– No stał pan. A teraz pan tu podszedł.

– Bo mnie pan zawołał.

– Aspirancie Żółtko, słyszeliście? Kierowca utrudnia wykonywanie czynności. – Żółtko nic nie odpowiadał, tylko cierpliwie czekał, aż cyrk się skończy.

– Myślicie, że możecie każdego tak sobie kontrolować?

– My? – Jacyk odparł jak przywódca robotniczej rewolucji. – Proszę pana, nawet Straż Leśna może pana kontrolować, jeśli by się uparli. My tylko... wykonujemy swoją pracę.

– Właśnie widzę! Czepiając się i manipulując.

– Coś panu powiem, panie kierowco. Policja działa na zasadzie umowy społecznej. My pilnujemy, a tacy jak pan mogą sobie handlować winkiem z księżulkami i mieć święty spokój. Ale wszystko jest ładnie rozdzielone umową granicą, że nie wtrącamy się w swoje sprawy.

– Od początku chciał mnie pan zrobić w mandat.

– O nie. – Jacyk zacmokał jak do kłaczy. – To pan od początku wozi przy sobie dokumenty w sprawie radarów. Przecież pan nie wiedział, że ja pana dziś zatrzymam do kontroli, prawda? To pan postanowił być cwany. Ja bym poprzestał na pouczeniu, ale pan przycwaniakował i złamał zasadę. I zamiast pouczenia będzie...

– C401, zgłoś się – zaszumiło w radiu. – Tu Centrum, zgłoś się.

– Centrum? – zdziwił się Żółtko i złapał za radiotelefon. – Tu C401, zgłaszam się, mów.

– Włamanie na Kozackich Górach.

– Czy drogówka jeździ na włamania?

– Taki rozkaz.

– Przyjąłem. Ale wiecie, że to nie nasz rewir?

– Takie polecenie. Potem stawisz się w Komendzie Toruń-Śródmieście.

– W jakiej sprawie?

– Prokurator Cyriak Mauer powie wam więcej. Czy potwierdzasz? – Znów zaszumiło w czarnym urządzeniu. Żółtko i Jacyk spojrzeli na siebie pytająco, a kierowca spojrzął na nich, choć treść pytań kłębiących się w głowach wspomnianej trójki nieznacznie się różniła.

– Mauer? Ten z krajowej? – Żółtko próbował dopytać centralę.



Radio trzeszczało dobre dziesięć sekund, wreszcie padła odpowiedź:

– Tak. Cyriak Mauer, krajowa we własnej osobie.

Jacykowi złość minęła jak ręką odjął. Przejął od Żółtka radio i patrząc na niego z ciekawością, potwierdził.

– Przyjęliśmy, bez odbioru! – Radio ucichło. – No, teraz będzie ciekawie. Panie kierowco, zgodnie z artykułem czterdziestym pierwszym pouczam pana, do widzenia. – Fan sądowych casusów skinął, zabrał dokumenty. – Czekaj pan. – Wskazał na bagażnik. – Jedna dla nas. – Kierowca się zdziwił. – Buteleczka, dla żony. Lecznicza...

Jacyk obszedł radiowóz i wskoczył na fotel kierowcy, by obejrzeć zdobyczny trunek.

– No. Nareszcie coś się, kurwa, dzieje. Jedziemy łapać zbirów! A co w pałacu mogą od ciebie chcieć?

– Nie wiem, Adam. Już sam nie wiem, co się dzisiaj dzieje, naprawdę.

– „Nie wiem, Adam” – przedrzeźniał go Jacyk. – Żółtko. Mów szczerze. Dlaczego cię stamtąd wypierdolili? – Kulomiot uśmiechnął się jak znajomy sprzedawca z warzywniaka. Albo lepiej, jak egzaminator, który ma zaraz przyklepać albo uwalić twoje prawko.

– Oskarżyłem komendanta o podpierdolenie swojego najlepszego detektywa do wewnętrznych i prokuratury, bo co?

– No i przyszła góra do Mahometa – skonstatował Jacyk. – Chodzi o Brodzkiego?

Żółtko nie odpowiedział, tylko spojrzął przez przednią szybę w niebo. Od tygodnia nic się nie zmieniło – szelfowe chmury wciąż sunęły nad miastem. Jacyk wskazał palcem w górę.

– Pora rozkruszyć beton! Spadamy z tego blokowiska.

Włączyli koguta i srebrno-niebieska kia o numerze bocznym C401 pognęła w stronę estakady nad placem Daszyńskiego. Żółtko całą drogę ścisnął w rękach notes i nie odezwał się ani słowem.

*Z bazy zaginionych:*

Sprawa nr 09–0264

Dariusz Jerebecki

Aktualny wiek: 44 lata

Data zaginięcia: 1993/08/19

Wiek w dniu zaginięcia: 21 lat

Wzrost: 178 cm

Kolor oczu: szare

Znaki szczególne: brak

Ostatnie miejsce pobytu: Toruń

Kraj: Polska

– Komendancie Halicki, a jakie karty ma pan w grze, jeśli chodzi o pozyskanie dodatkowego wsparcia? – Prokurator Mauer nawet nie usiadł. Od razu przystąpił do zadawania pytań.

Kiedy wszedł na komendę, na całym piętrze zapanowała cisza. Niedzielna wizyta człowieka w nienagannie skrojonym garniturze zawsze oznacza jedno: odwiedziny kogoś z góry.

Malboras pospiesznie zgasił papierosa w paprotce, Sawik złapał za pierwszą z brzegu teczkę z aktami i z rozpędu czytał ją do góry nogami. Pozostali – Miedziak, Bednarz i Rygolewski – przerwali grę w karty w kuchni i zaczęli rozmowę na pierwszy lepszy temat.

– Miedziak, tak jak mówiłem, kolego, jak sąsiad słyszy krzyk za ścianą, powinien reagować – perorował Bednarz.

– Jo, reagować. Kiedyś to się nazywało po prostu donoszenie. Nikt nie powinien się wpiersielać – zauważył Miedziak, na co wtrącił się Rygolewski:

– Wejdę wam w słowo, ale na gruncie prawa karnego obowiązek reagowania na takie subiektywne sytuacje jak płacz dziecka za

ścianą nie jest najlepszym rozwiązaniem, Bednarz.

– Ale wtedy to już zaniechanie...

– Panowie – wtrącił się Mauer. – Widzę, że intensywnie dyskutujecie na temat artykułu dwieście czterdzieści, paragraf jeden.

– Yyy... – Policjanci spojrzeli po sobie.

– Spieszę donieść, że rzecznik praw dziecka zgłosił propozycję zmian w prawie. Trzy lata pozbawienia wolności za bierność wobec krzywdy dziecka, a przy okazji podniesienie do maksimum piętnastu lat kary za znęcanie się nad dziećmi. Cieszy mnie, że panów ten temat porusza. Nikt nie powinien być obojętny na krzywdę dziecka.

– Yyy... – Funkcjonariusze stali jak uczniacy przyłapani na przerwie przez belfra, który niespodziewanie prosi o ogień. Nie było w słowach Mauera ani losowej przypierdolki, jak to nazywa jeden komik, ani rugania, ani musztry. Twarz Mauera była nieprzenikniona, uprzejma i mówiła po prostu tyle, ile powiedział sam Mauer.

– Panie prokuratorze Mauer – przerwał Halicki, stojąc w drzwiach swojego gabinetu. – Zapraszam.

– Panowie. – Mauer skinął i ruszył do pokoju komendanta.

Szedł sprężysto i pewnie. Trudna to do uchwycenia technika, w której bardzo łatwo o sztuczność czy, jak to nazywa jeden z aktorów, którego wizerunek jeździ na autobusowej reklamie, przyaktorzenie. Nie, Mauer po prostu szedł tak, jak trzeba. Tak jak ci ludzie, co uważają, że zasadniczo idzie się po to, żeby dokąds dojść. Z daleka było widać, że ta maksyma przyświecała Maurowi.

Sawik, Malboras i karciane trio patrzyli uważnie, jak Mauer płynie przez pierwsze piętro. Porównać go mogli chyba tylko do Brodzkiego. Obaj mieli tę naturalność i pewność ruchów. Brodzki zdradzał jednak w sobie charakterność i nawyki gliniarza, podczas gdy Mauer wyglądał raczej jak adwokaci z oscarowych filmów.

Miał na sobie garnitur w kolorze stonowanego granatu. Gładki, dwuczęściowy, z jednorzędową marynarką na dwa guziki, prostymi klapami i dwoma rozcięciami z tyłu w stylu angielskim. Dodatek

poliestru w wełnianym materiale dodawał delikatnego połysku i sprawiał, że ubranie nigdy się Mauerowi nie gniołło. Mlecznobiałą koszulę kończył pod szyją szeroki kołnierzyk w stylu lat sześćdziesiątych, z którego pod kamizelkę wpuszczony był jasnochabrowy krawat w białą pepitkę. W tym samym odcieniu była poszetka. Całość dopełniały czarne buty z gładkiej skóry licowej o okrągłym czubku.

Ubraniem tym nie wyróżniał się na tle schludnych i zadbanych mężczyzn. Tło komendy było jednak nieco inne, stąd i kontrast bił po oczach. Mauer wyglądał po prostu jak gość.

– Komendancie Halicki, a jakie karty ma pan w grze, jeśli chodzi o pozyskanie dodatkowego wsparcia? – Prokurator nawet nie usiadł. Od razu przystąpił do zadawania pytań.

Napuchnięty na twarzy Halicki przyglądał dwa razy swój wąsik i przyjrzał się uważnie słynnemu prokuratorowi. Ten miał twarz jakby w kształcie diamentu. Szerokie kości policzkowe, ale wąskie i niskie czoło oraz prostą linię popielatych włosów. Szczęka zwężyła mu się pod uszami, aż do wierzchołka trójkątnego podbródka. Naprawdę wyglądał jak adwokat z filmów. Młody, energiczny czterdziestopięcioletek.

– Komendancie, nie marnujmy czasu. Co ze wsparciem. Przydałoby się? – powtórzył.

Halicki odchrząknął i bębniąc palcami w blat, odpowiedział:

– Hm... Jedna z tych kart jest taka, że powinniśmy to wsparcie dostać, ale jeszcze go nie dostaliśmy. Prokurator Giżycki, który...

– Prokuratorem Giżyckim zajmuje się już ABW. Jedna z kart... Dobrze – mruknął pod nosem Mauer. Mruknięcie to było jednak na tyle subtelne, że Halicki nie był pewny, czy mu się nie przesyssało. – Ja też uważam, że całkiem mocną kartą w kwestii tego, czy ktoś powinien dać mi dwie bańki, jest taka karta, że nie mam nawet na rachunki, a powinienem mieć.

– Ja doprawdy nie bardzo...

– Komendancie, domyślam się, że telefon o moim przyjeździe pana zaskoczył.

– Fakt.

– Być może nawet usiadł pan z wrażenia.

– Tak było.

– A nawet ciężko opadł na ten fotel. – Tu Mauer rozpiął marynarkę i usiadł naprzeciwko niego.

– Nie użyłbym lepszych słów.

– I z pewnością zadał pan sobie pytanie, czy Cyriak Mauer z prokuratury krajowej przyjeżdża tu, żeby wznowić śledztwo, prawda? – Drugą część zdania wypowiedział jak coś, w co przecież żaden z nich nie uwierzy. Halicki uśmiechnął się niepewnie.

– T-t-tak, przyszło mi do głowy.

– Absurd, prawda? Po co zaczynać śledztwo, skoro wszystko jest już jasne, a winni zostali złapani. – Prokurator zdawał się mieć dar telepatii i jasnowidzenia. Wypowiadał myśli Halickiego na głos. Komendant ostatni raz doświadczył tego, kiedy żona pytała, czy chce dokładkę obiadu.

– Ma pan zupełną rację, komendancie. – Na słowa Mauera Halicki znów przetarł czoło.

– Ależ tu gorąco, prawda? – I podszedł do okna, by je szerzej otworzyć. Zostawił za sobą mokrą plamę potu na oparciu.

Tu Mauer spauzował. Pozwolił Halickiemu wstać i odegrać scenę otwierania okna, umożliwiając jednocześnie krótką wymianę myśli w jego tysiącej głowie.

„Może nie będzie tak źle” – myślał Halicki. „Diabeł nie prokurator. Sprawia wrażenie przygotowanego na każdą ewentualność”.

Halicki usiadł na powrót vis-à-vis prokuratora. Napięty uśmiech przykleił mu się do twarzy i komendant za cholerę nie mógł się go pozbyć. Mauer, widząc to, jeszcze bardziej przedłużał krępującą ciszę, co sprawiało, że zamiast dwutlenku węgla Halicki zaczął najpewniej wydychać trotyl. Gdy komendant dostatecznie spuchł ze stresu, Mauer oparł się o blat, pobłyskując platynową obrączką na palcu i odstawiając spinki w koszuli. Miały ledwo dostrzegalny wzór paragrafów z ciemniejszego srebra.

– Wszystko jest jasne, a winni zostali złapani? Myśli pan, że Temida

naprawdę jest ślepa?

Diamentowa z kształtu twarz prokuratora wwiercała się Halickiemu dokładnie w punkt między oczami, a Halicki czuł ten świder. Wchodził mu już do mózgu, lada chwila groził mu totalny paraliż świadomości. Poczuł, że ręce, które od kilku minut trzyma na kolanach, zostawiają wielkie plamy potu na spodniach.

– Komendancie?

– Rozumiem, że chce pan wznowić śledztwo. – Halicki wycedził kolejne sylaby jak człowiek ze zdrutowaną szczęką.

– Tak, i będę potrzebował do tego pańskich najlepszych ludzi. – Mauer uśmiechnął się jak snajper przed naciśnięciem spustu barretta M82.

– Brodzki jest...

– Wiem, gdzie jest Brodzki. Nie o nim mowa. Ma pan w zespole także innego świetnego policjanta. Tego, który ocalał małe dziecko. Został postrzelony na służbie, a potem uprowadzony.

– Mówi pan o... – Komendant przełknął ślinę. – O aspirancie Tomaszu Żółtce?

– Tak. Domyślam się, że to duma waszego posterunku.

Halicki przytaknął jak dziecko po zjedzeniu ostatniego cukierka, po czym się zakrztusił. Cukierek stał mu teraz w gardle.

– Aspirant Żółtko został... – Świder tkwił Halickiemu w czaszce. – Oddelegowany do innej placówki.

– Słucham?! – Mauer wstał z wrażenia. Zrobił to sprężyście.

– To było niestety...

– Kto go panu zabrał?! Czyja to była decyzja?! Co za rażąca niekompetencja!

Halicki miał wrażenie, że jego napuchnięta głowa dotyka już sufitu pokoju i jego oczy pewnikiem lada chwila wystrzelą przez okno jak korki od szampanów igristoje.

– Komendancie, czy będzie pan w stanie go sprowadzić? Cała nadzieja w panu!

– Tak, w takim wypadku spró... – Halicki spuścił głowę.

– Doskonale!

– ...buję – dokończył.

– Tylko z silnym zespołem doświadczonych policjantów jesteśmy w stanie zapanować nad morzem chaosu, tylko w jednym zwartym zespole złapiemy groźnego przestępcę, który, jak sądzę, wciąż niczym rak toczy społeczeństwo Torunia. Warszawa kazała się przyjrzeć tej sprawie, bo istnieje uzasadnione podejrzenie, że łączy się tu wiele interesujących wątków. Także tych z przeszłości rodziny Brodzkich. Musimy raz na zawsze rozwiązać zagadki tajemniczych zaginięć z przeszłości, raz na zawsze się dowiedzieć, kto trząś toruńską mafią, i raz na zawsze przeciąć macki, które wypuszczone w przeszłości, oplatają teraźniejszość. – Oczy Mauera paliły się jak diamenty. Zapiął marynarkę, ściągnął mankiety, przybliżył się do blatu i wyciągnął rękę. – Czy mogę na pana liczyć?

Istotnie, Mauer zawsze był przygotowany na wszystko. Także na to, że zaczynając pracę w komendzie w nowym mieście, musi mieć w osobie komendanta swego sprzymierzeńca, nawet jeśli nie ma o nim najlepszego zdania. Mauer nie był jak ludzie noszący w kieszeni szwajcarskie szczyroryki. On nosił w kieszeniach haki. I po prostu zawsze był o krok szybszy. To wystarczało.

„Konieczne było przedsięwzięcie odpowiednich środków” – myślał Mauer. „By rozwiązać sprawę, muszę wiedzieć, co robi Halicki. Muszę być także pewny, że granie kartą «Brodzki» nie obróci opinii publicznej przeciwko mnie. Bo z tymi bohaterami zbiorowej wyobraźni różnie bywa. Jednego dnia ludzie ich kochają, drugiego nienawidzą. A trzeciego dnia idą na wybory”. Do tego Halicki z Mauerm mieli podobne podejście. Przy czym jednemu chodziło o szczebel samorządowy i wspieranie prezydenta miasta, a drugiemu o statystyki wędrujące na Wiejską w Warszawie. Z tych właśnie powodów musiał na Brodzkiego szczególnie uważać i zadbać, by inni mu w tym pomogli.

Halicki wytarł prawą dłoń pod stołem, odsunął fotel, wstał, również zapiął guzik i chwycił dłoń Mauera.

– Oczywiście, panie prokuratorze.

Mauer uśmiechnął się jak w finałowej scenie Dwunastu gniewnych

ludzi.

– Teraz pora sprowadzić naszych chłopców do domu.

## 8

Sześć minut od wezwania Żółtko i Jacyk zaparkowali radiowóz na zwirowym poboczu u zbiegu Żwirki i Wigury oraz Legionów. Zanim zamknęli auto, sprawdzili zasobniki i broń. W 2015 roku w całym województwie policjanci ani razu do nikogo nie strzelali. Późne lato roku 2016 zmieniło jednak statystyki na tyle, że dobrze było mieć swoje P99 w dobrym stanie. Nie żeby broń miała być zaraz gotowa do „użycia”, ale samo „wykorzystanie” było więcej niż prawdopodobne.

Zostawili auto i poszli na rozpoznanie terenu – tak zwanych „Kozaków”, jak nazywano Kozackie Góry.

Żółtko miał świeżo zdobyte doświadczenie w przeczesywaniu takich nierównych terenów. Bo Toruń, obok reprezentacyjnej Starówki i obok dzielnic mieszkalnych, miał w swojej topografii kilka miejsc dzikich, gdzie niewygodne policyjne buty, czyli „skoczki”, mogły skutecznie uchronić przed wdepnięciem w epokę brązu. Pierwszym rewirem była „dębówka” – Dębowa Góra, nazywana przez miejscowych „Ohio”. Choć z powodu odcieni twarzy bliżej im było do mieszkańców Teksasu, Arizony albo Szampanii. Tam Żółtko szukał Dżokera – faceta, który kręcił się wokół Laury Mostowicz. Dziewczynę niedługo potem znaleziono martwą, razem z noworodkiem. To o nim mówił prokurator Mauer.

Drugim takim terenem były Kozackie Góry. Nawet miejscowi nie byli pewni, skąd się wzięła ta nazwa. Według jednych pochodziła jeszcze z czasów napoleońskich i Kozaków, co na skórach tu onegdaj przysiedli. Inni widzieli tu wysiedlanych przez rządy Piłsudskiego bolszewików. Mieszkał tu kiedyś Bogusław Linda. Po drugiej stronie ulicy swoje imperium ma ojciec Tadeusz Majbach.

Wystarczyło jednak od ulicy Legionów skręcić przy niebieskich warsztatach, puścić się wzdłuż garaży i już docierało się do miejsca



rodem z innej bajki, niezbyt kolorowej. Bajki dzikich domów, nieatestowanych kominów z duchówkami, jednopiętrowych budynków krytych papą i czym się da.

Po rozpytaniu policjanci wiedzieli niewiele. Miejscowi nie byli zbyt rozmowni.

– Barbapapy, wilgotniaki, pierwotniaki. – Człowiek o oczach zapadniętych jak studnie nie był zbyt kontaktowy. Machał rękoma, jakby odganiał się od natrętnej muchy. – Glisty, szczury... Barbapapy, wszędzie!

– Czy widział pan coś? Włamywaczy, jak by ich pan opisał... – dopytywał Tomek.

– Może ten opis dotyczył właśnie ich – zaśmiał się Jacyk pod nosem.

– Elana, kurwa, szczury, wszędzie robaki. – Mężczyzna zaczął oddalać się w kierunku swojej szopy. Odwrócił się do nich i pokazał dwa palce: – Szaliki Elany, kominiarki, barbapapy, pizdy, glisty... Brodzki winny, pierwotniaki...

– Chwileczkę! – Jacyk próbował go zatrzymać. – Co pan powiedział?

– Zostaw. – Tomek machnął, by sobie odpuścić. – Meskalina. Albo LSD.

Jacyk rozłożył bezradnie ręce i podrapał się po swojej ogolonej czaszce.

– Ponoć dwóch zamaskowanych kiboli Elany – zaczął Żółtko. – Włamali się do domu przy tej wierzbie, drzwi z kopa puściły. Tyle było w formatce, którą wyrzuciła centrala ze 112.

– Kto tam mieszka? Jest jakaś tabliczka? – Jacyk wskazał na niebieski dom za krzywym płotem, na którym zawieszono na trytkach kołpaki od renault i mercedesa.

– Oni się tu nie meldują, więc nie sprawdzimy w bazie, a ludzie nic nie powiedzą. Włamali się, wybili szybę, nikogo nie było. Właściciel ponoć jest mundurowym, tyle mi powiedział cieć z warsztatu, ale nie wiadomo gdzie. W każdym razie nikt od nas.

– Ani z Rubińca. – Jacyk podrapał się za uchem. – Po czym

wiadomo, że to kibole Elany?

– No mówił, nie? Mieli szaliki, kominiarki.

– To wszystko wyjaśnia. A jakieś tatuaże, henna, naklejki z gum do żucia?

– No... – Żółtko sam zdał sobie sprawę, jak absurdalnie zabrzmiał jego opis. Nie lubił, gdy podważano jego kompetencje, tak jak nie lubi tego żaden młody człowiek. – Weszli na osiedle i powiedzieli, że są kibicami Elany. Można przyjąć taką wersję śledczą. Chociaż to na początek.

– A potem powiedzieli: „Przepraszamy państwa, musimy iść na stronę”, po czym zrobili włam? – Jacyk zaśmiał się serdecznie. Odszedł na kilka metrów, wrócił i rzekł ze sztuczną miną: – Dzień dobry. Jestem Elvisem, kurwa, Presleyem, Krzysztofem Krawczykiem i Ernestem Hemingwayem w jednym.

– Co ty pieprzysz, Jacyk?

– Wszedłem właśnie i powiedziałem, że jestem Elvisem. – Jacyk rozłożył bezradnie swoje pokryte piegami ręce. – Równie dobrze mógłbym powiedzieć, że jestem fanem Elany, Apatora albo Olimpii Bydgoszcz. Kurwa, to o niczym nie świadczy.

– W każdym razie – Tomek nie miał ochoty na scenki rodzajowe – splądrowali chatę. O co mu chodziło z tym Brodzkim? To nie brzmiało jak omam.

– Pokaż mi to. – Jacyk ruszył w kierunku niebieskiego domu z numerem siódmym. Po chwili wrócił. – Ja pierdolę. Naprawdę napisali w środku, że „Brodzki jest winny”.

– Co ty gadasz?! – Tomek nachylił się teraz przy krzakach pomiędzy posesjami, choć nazwa ta była nieco na wyrost dla dzikich działek.

– Ale... przez „c”! „Brocki”! Toż to jakieś matoty!

– Coś tu znalazłem.

– Luminolem? – zażartował Jacyk. Był to taki policyjny dowcip. Obaj wiedzieli, że wbrew temu, co się mówi w amerykańskich filmach, luminolu raczej się nie używa, bo zabija komórki ewentualnego materiału biologicznego, który można byłoby zabezpieczyć, a poza tym szybko traci trwałość. Najlepszym

środkiem był emitujący niebieskie światło Bluestar Forensic. Choć i on nie był pozbawiony wad. Mógł na przykład pokazać krew tam, gdzie jej nie ma. – To co znalazłeś? Nie mów tylko, że kartę biblioteczną, bo w to na pewno nie uwierzę. Jej właściciel gotów jeszcze włamywać się nocą na komendę, byle móc znów wypożyczać książki.

– Na trawniku plakietka z „Manekina” przy Gagarina.

– „Manekina”? Tej naleśnikarni?

– Jo! – przytaknął Żółtko. Chodziło o znaną restaurację. „Nareszcie coś konkretnego” – pomyślał. „A może nic, tylko wystygły ślad”. – A zupełnie serio, technicy i tak nie dojadą z Bydgoszczy. Sam wiesz, że po tym sajgonie wszystko na głowie. – Miał na myśli śmierć dwóch policjantów, wysłanie dwóch do szpitala, a jednego do więzienia. Wstał i pokazał mu plastik. – Dziewczyna o imieniu Andżelika, kelnerka. Może z nią pogadamy?

Zeszli z „Kozaków” do miejsca, gdzie przy niebieskim blaszanym garażu z napisem „Serwis opon” zostawili swój pojazd. Jacyk przeszedł kawałek dalej i zatrzymał się przy ulicznym śmietniku koło przystanku „Osiedle Tysiąclecia”.

– Co robisz?

– Szukam dowodów.

– Wiesz, że jest taka jednostka chorobowa jak zbieractwo? Ludzie szukają rzeczy po kontenerach i znoszą do domu. Jak rodzina pyta: „Mamo, po co te papierki i butelki”, matka odpowiada: „To dowody w sprawie, córko”. – Na słowa Żółtki Jacyk wyjął z kosza szalik Elany Toruń.

– Jeśli to byli kibice Elany, to ja jestem królem majonezu. Jaki kibic wyrzuca szalik do kosza? Ta sprawa śmierdzi mi na kilometr.

– Mnie też, Jacyk. Dlatego nalegam, żebyś umył ręce.

– Tak czy inaczej powiem ci, że ciekawie to wygląda.

– Powiedz więc.

– Ciekawie to wygląda. – I wsiedli do auta, po czym odjechali na sygnale w kierunku Żwirki i Wigury.

W „Manekinie” byli po ośmiu minutach.

Lokal na pierwszym piętrze kwadraciaka przy Gagarina 152 wypełniony był do ostatniego miejsca, ale wśród obsługi na zmianie żadna Andżelika dziś nie pracowała – tak przynajmniej wynikało z pobieżnego przyjrzenia się plakietkom pracowników. Zaczepiona kelnerka na pytanie o dziewczynę próbowała zmienić temat.

– To pokaż nam ją na fejsie. – Żółtko starał się być miły. – Jak wygląda?

– Nie mam telefonu.

– A co ci się świeci w kieszeni? – Jacyk wskazał na spodnie. – Słuchaj, twoja koleżanka naprawdę może być w niebezpieczeństwie. Nic złego nie zrobiła, chcemy ją tylko znaleźć.

Kelnerka, chuda, typ o szerokiej szczęce, szerokich ramionach i wąskich biodrach, włączyła samsunga i pokazała im Facebooka. Andżelika jako zdjęcie profilowe ustawiła jakąś postać z mangi.

– To nam wystarczy – podziękował Tomek. – Chodź, Jacyk.

Gdy wyszli, partner nie krył zaciekawienia:

– Sherlocku, jakaś rada dla czeladnika?

– Gdzie o tej porze siedzi młodzież, jeśli nie jest w szkole?

– Y... Na dupie?

– Tak. W złotym domu kultury na starówce.

– Skąd wiesz?

– Otagowała się, że je frytki. Zróbmy to do końca, jak trzeba, a potem zawińmy na komendę.

Restauracja pod złotymi łukami, jak nazywany jest złośliwie McDonald, mieściła się przy reprezentacyjnym deptaku – ulicy Szerokiej. Dojechali tam w jedenaście minut i zaparkowali przy ulicy Łaziennej.

Ciepła, wrześnieowa niedziela skłoniła mieszkańców do wyjścia na miasto. Większość spacerowała z kubkami kawy. Napój pewnie miał być ich ostatnią deską ratunku, skoro, jak już powiedziano, ze strachu w mieście nie zasypiano.

– A wy to kto? – Dziewczyna, samotnie zajadająca frytki w kącie na pierwszym piętrze nadawała się do programu Damą być.

– Two for you – przedstawił się Jacyk, kiedy obsiedli ją z dwóch

stron. – Można? – Spytał, sięgając po hamburgera. Powąchał go i dodał: – Przecież to trucizna... Ale my jesteśmy lekarstwem. Policja.

Andżelika odruchowo zerwała się z miejsca, ale Żółtko jednym ruchem złapał ją za plecak i ściągnął na dół. Miała blond pasemka na brązowych włosach za ramiona, zaokrąglony podbródek, pełne policzki i szaroniebieskie oczy. I opaskę z żółtymi uszami Pikachu.

– Nigdzie nie pójdziesz – zauważył Tomek. – Szukamy chłopaczków-kozaczków. Znasz jakichś?

– Śmierć konfidentom.

– To miejsce z tradycją – dodał Jacyk i czuć było w jego słowach ton przewodnika. – Był tu podczas wojny zakład dentystyczny. Alianccy jeńcy z obozu na Glinkach mogli raz w miesiącu przyjść tu na rwanie. Zęba. Tak jeden angol zakochał się w pielęgniarce, Polce. Znalazł ją po wojnie i się z nią ożenił. Tu – wskazał na pierwsze piętro – te zęby mu rwali. Wy też jesteście taką romantyczną parą? Że nawet jak twój kochaś posiedzi w celi, to będziesz na niego czekać? Przyjedziesz z brzuchem pod Okrągłaka i będziesz krzyczeć, że dzieciak kopie? Może wykopie tunel pod murem.

– Pierdolcie się.

– Obawiam się, że kolega ma orientację hetero, ja również. – Żółtko nie odstępował w poziomie ironii nowemu partnerowi.

Jacyk zwrócił się do dziewczyny:

– Mów. Uczy się gdzieś?

– On i nauka, dobre.

– Wierzę ci. A w każdym razie w to, że nie przykładał się do języka polskiego.

– Oni na Bydgoskim się kręcą, Mickiewicza, Lindego, Klonowica. Raz z nimi piwo piłam. Nie znam ich.

– Czyżby? A to poznajesz? – Tu Żółtko wyciągnął plakietkę z „Kozaków”.

– Musiałam zgubić w samochodzie. Jeździliśmy trochę po mieście.

– Gdzie piliście to piwo?

– Pod dworcem autobusowym. Jakieś interesy tam robili z takim śmiesznym gościem.

- Śmiesznym? – zdziwił się Żółtko.
- No, miał taką śmieszną buźkę.
- Śmieszna jak klaun czy śmieszna jak Joker?
- No nie wiem, śmieszna, po prostu.

Gdy policjanci wyszli na Szeroką, Jacyk wyciągnął z kieszeni hamburgera. Odwinął go z papieru, powąchał i uśmiechnął się do siebie tak jak wielu ludzi, którzy – choć o tym nie wiedzą – szczerzą się tuż przed kęsem, bo po prostu bardzo lubią jeść. Kulomiot Jacyk też lubił.

- Mówiłeś, że to trucizna.
- Umieram z głodu, Żółtek. A ze spotkania z Mauerem możesz wyjść nieprędko.
- Zobaczymy.
- Kto zobaczy, to zobaczy. Ja mam zamiar pierdolnąć się spać.

## 9

– Jeden mój partner leży w szpitalu, a drugi siedzi w więzieniu – zaczął Żółtko. Tomkowi towarzyszyło niedookreślone odczucie, które – gdyby miał nazwać w krótkich, żołnierskich słowach – nazwałby stanem „czuję, że coś pierdolnie”. Wydarzenia ostatnich dni były rollercoasterem, który kosztował go wiele sił. Ktoś mógłby powiedzieć, że jest młody, więc wytrzyma. Młodość tymczasem rządzi się swoimi prawami, tak w życiu, jak i naturze. Młody człowiek narażony jest nieustannie na sprawdzanie swojej wiedzy, przydatności, sił i wiary. Żółtko czuł, że jego wiarę w misję policji wystawiono na ciężką próbę. Dopiero co wypisał pierwszy mandat za wjechanie matizem w rzeźbę na środku trawnika przy hotelu „Merkury”. A teraz referował prokuraturze krajowej stan rzeczy w toruńskiej policji. „Mauer nie jest taki straszny” – myślał Żółtko. „Mówi rzeczowo, patrzy w oczy, ale nie świdruje. Zadaje pytania, na które naprawdę chce usłyszeć odpowiedź”.

– Spokojnie, niech pan odpowie, kiedy będzie gotowy – Mauer nie zdradzał zniecierpliwienia.

– Panie prokuratorze, sierżantowi Jackowi Nowakowi ktoś poderznął gardło. W biały dzień, tu, na komendzie policji. – Wskazał na piętro za żaluzjami. – W tym samym czasie detektyw Leon Brodzki w świetle kamer został widowiskowo zaaresztowany. Od wczoraj media trąbią o zabójstwie, jakiego miał się dopuścić w areszcie śledczym na Kosmie Góreckim – facecie, którego parę dni wcześniej sam tam posłał. Bardzo interesuje mnie, co na ten temat ma do powiedzenia komendant Halicki. – Tu spojrział wymownie na starego, który próbował stać prosto, ale im bardziej się starał, tym bardziej było widać ten wysięk.

– Aspirancie, wystarczy. – Mauer był opanowany. Stał pomiędzy policjantami i przeciął linię ich spojrzenia, po czym zwrócił się do obu: – Zachowajmy hierarchię stanowisk i nie podważajmy kompetencji przełożonych. Ani podwładnych.

– Miałem poważne przypuszczenia, żeby podejrzewać detektywa Leona Brodzkiego – wyjąkał Halicki.

Żółtko już chciał coś odpowiedzieć, ale napotkał wzrok Mauera. Tym się Tomek różnił od Nowaka czy Jacyka. Potrafił w sekundę ochłonąć i nie powiedzieć jednego słowa za dużo.

Poprawił mundur i stanął na baczność z białą garnizonową czapką przy prawym boku. Orzełkiem do przodu.

– Nawet gdybym miał panu zaufać... – Wiedział, że słowa, które wypowiada, są bodaj najważniejszymi, jakie przeszły mu przez usta od rozpoczęcia służby w Toruniu. – Schlebia mi pańskie zaufanie odnośnie do moich kompetencji. Niemniej przykro mi, ale sam zbira nie złapię.

Mauerowi nie umknęła poprawność językowa policjanta. Większość używa zwrotu „odnośnie czegoś”, bez „do”. Podszedł do mężczyzny o aparycji filmowego czarodzieja w okularach i spytał:

– Kto powiedział, że sam? – Mauer zmierzył Tomka wzrokiem. Jego pytanie było istotną woltą, ale Żółtko nie stracił koncentracji. Wyczekał. Mauer kiwnął głową z uznaniem i kontynuował:

– Brodzki wychodzi za godzinę. Jeśli oczywiście będzie chciał pójść na współpracę.

– Co mu pan zaoferuje? Ułaskawienie?  
– Moja propozycja będzie... nie do odrzucenia. Jeśli się obaj zgodzicie, zdejmie pan mundur i zaczniecie normalną kryminalną robotę w starym stylu.

– A co z archiwistą Makssem?

– Komendant już nad tym pracuje.

Żółtko skinął Mauerowi, odmeldował się i wyszedł.

W trakcie rozmowy Halicki ani razu nie spojrzał Żółtce w oczy. Nie wiedział, na ile jego zachowanie i zakopane pod dywanem sprawy Mauer wyczuwał, a na ile uznawał, że nie powinien się wtrącać. Był tu w końcu kimś w rodzaju kuratora przydzielonego patologicznej rodzinie.

– Czy sądzi pan, panie prokuratorze – zaczął Halicki – że złapiemy sprawcę?

– A kto powiedział, że jest jeden sprawca? – Mauer przekręcił kilka razy obrączkę na palcu. Halickiego uczono, że ten, kto tak robi, zdradza małżonkę. Prokurator zaś dodał: – I kto powiedział, że sprawca jest mężczyzną?

– To znaczy, chciałem powiedzieć, że... – Nie dokończył zdania.

– Żartowałem. – Mauer uśmiechnął się i spojrzał przez okno na wieże kościelne. – Niech pan znajdzie tego archiwistę. Mamy teraz człowieka, który, jak sądzę, doprowadzi nas do zbrodniarza. Inaczej zostałyby nam tylko Brodzki. Zawsze można go poświęcić.

– Znaczącego można poświęcić?

– A którego by pan chciał, komendancie?

– Znaczącego, chciałem powiedzieć, że...

– Proszę nie odpowiadać. Bo jeszcze się spełni, prawda? – Klepnął go po ramieniu i wyszedł.

## 10

– Dobrze. Porozmawiajmy, jak kobieta z kobietą i niekoniecznie o mężczyznach – zaczęła Dagmara, choć doskonale wiedziała, że to mężczyzna będzie tematem tego spotkania. Spoglądała na Berenikę



dość nieufnie, jeśli można tak nazwać wciśnięcie się w fotel, założenie rąk i groźne ściągnięcie brwi.

To dziennikarka z Warszawy poprosiła o spotkanie. Padło na kawiarnię Pokojskich u zbiegu Szczytnej i Szerokiej.

– Kobiety na ogół rozmawiają o mężczyznach – zauważyła Berenika. – Albo o dzieciach. Rozumiem, że ta rozmowa jest dla pani niekomfortowa. Może zatem zacznijmy inaczej. Berenika. – Wyciągnęła rękę w stronę kobiety.

– Dagmara Brodzka. – Kobieta podciągnęła się na siedzeniu, pochyliła do przodu i odwzajemniła powitanie. Dłoń żony Leona Brodzkiego była ciepła i miła w dotyku, pachniała rumiankowym kremem Kamill. W jej uścisku było coś serdecznego i niedookreślonego. Umowny, powitalny gest sprawił, że dziennikarka poczuła do kobiety nawet lekką sympatię. – Miło mi, Bereniko. – Głos Dagmary był serdeczny, podobnie jak jej twarz z małym, pokrytym piegami nosem.

– Mówienie sobie po imieniu na pewno jest dobrym początkiem.

– Cóż. Dobrym początkiem będzie też, jeśli powie mi pa... jeśli powiesz mi, dlaczego chciałaś się ze mną spotkać.

– To oczywiste. Chodzi o Leona Brodzkiego.

– O Leo... Powiedz mi najpierw, kim jesteś i skąd pomysł na ten materiał.

– Czytaj: „kto mnie przysłał”? – spytała, patrząc odruchowo na kobiety na antresoli. Te jednak pogrążone były w rozmowie.

– Nie sugeruję, że ktoś cię... przysłał. Ciekawi mnie po prostu, dlaczego reporterka, jak rozumiem, z warszawskiej redakcji robi materiał o sprawie z Torunia. Wiesz, tu najczęściej dziennikarze wietrzą sensacje wokół Radia Maryja, źródeł geotermalnych.

– A dlaczego ty zgodziłaś się porozmawiać?

– Bo jestem... zmęczona. Nie podoba mi się, co media piszą o moim mężu. Zawsze bronił się sam, ale teraz, kiedy jest ubezwłasnowolniony, potrzebuje sprzymierzeńców. Zasługuje na to, by mówiono o nim prawdę. A to przecież robią żony, prawda?

– Chcesz wiedzieć, czy jestem wielkomięską panienką, która chce

zrobić materiał życia?

– A jesteś?

– Nie. Ja tylko... nienawidzę policjantów. – Słowa te zabrzmiały jak wyzwanie.

– Nie wróży to dobrze, choć ja też. – Odpowiedź Dagmary była zaskakująca.

– Czyli jednak o mężczyznach. Ale tylko o tych wyjątkowych. – Szczerota tych słów zdziwiła Dagmarę. Sama była dziennikarką i doskonale zdawała sobie sprawę, że dobry wywiad jest jak dobra walka bokserska. Nie liczy się liczba ciosów, ale to, jak je wyprowadzono i ile razy ich uniknięto.

„Znowu te szczerze rozmowy” – myślała Berenika. „Powiedzieć, że nagrywam? Spytać? A co, jeśli chce mnie podejść? Ona jest podejrzanie miła i naturalna. Ja z kolei poruszam się po obcym terenie: to świeży temat, nie wiem, kto jest sprzymierzeńcem, a kto wrogiem. Zachowaj obiektywizm, zachowaj obiektywizm” – powtarzała w myślach. Po czym, patrząc szczerze w oczy Dagmary, wsunęła rękę do kieszeni marynarki i wymacała przycisk dyktafonu.

„Record”.

## 11

*Zbrodnia w mieście T.*

Reportaż Bereniki Vesper

Część trzecia

– *Opowiedz mi zatem o Leonie Brodzkim – zaczynam. Moją rozmówczynią jest żona detektywa. – Jest podejrzany o zabójstwo. Wcześniej podobno uratował miasto przed rzezią z rąk tego... – zawieszam głos. Dagmara na pierwszy rzut oka przypomina mi Monicę Bellucci. Nie ma jednak charakterystycznych śródziemnomorskich rysów. Jasne włosy do ramion, proste i cienkie. Drobny, pokryty piegami nos i dość pełne usta. Delikatna uroda. Jest*

ode mnie nieco wyższa.

Lubię, gdy moi rozmówcy mówią własnymi słowami. Zawsze to szansa, by dodali coś od siebie. Czasem drobne skojarzenie, jedno wtrącenie, mogą wszystko zmienić. Słowa są jak kamienie rzucone na wodę: roznoszą po jej tafli kręgi, które biegną potem do czytelników.

– Nie wiesz, o kogo pytasz? – Dagmara nie ma zamiaru rozchodzić się jak krąg na wodzie, więc sama sobie odpowiadam:

– Heraklita. Rozmawiałam z ludźmi i zdania na temat metod Leona są podzielone. Wiem, że odnalazł państwa porwaną córkę. Mam nadzieję, że Sara czuje się dobrze.

– Jest bezpieczna.

– Nie mogę jednak nie zadać pytania o zarzuty, które doprowadziły do aresztowania Leona Brodzkiego.

– Bereniko – kobieta pierwszy raz zwraca się do mnie po imieniu – nie jestem politykiem, ale jedynie żoną i matką, co tak zaangażowana dziennikarka jak ty powinna wiedzieć. Chodzi o moją rodzinę, rozumiesz? Chcę ją chronić.

– Rodzinę... – Uśmiecham się na to słowo. Mam z nim złe skojarzenia. Ja też kiedyś postawiłam na rodzinę i nie skończyło się to dobrze. Niemniej podoba mi się jej szczerość, więc postanawiam zmienić temat:

– Przepraszam, zacznijmy jeszcze raz. Opowiedz mi, proszę, co wiesz o związkach Leona z tą sprawą. Dlaczego na początku września morderca napisał na ciele ofiary, że „Brodzki jest winny”?

– Ta historia nie jest taka, jak myślisz.

– Chce pani... chcesz powiedzieć, że jest dużo prostsza?

– Przeciwnie. Jest bardzo skomplikowana i obawiam się, nie tylko ja, że sam Leo nie zna całej prawdy. Wiem natomiast, że proste były intencje ludzi w nią zamieszanych. Chciwość, żądza władzy, zło. Leo jest dobrym policjantem, ale policja nie jest już taka dobra.

– Ojciec Leona również był policjantem. Kilka dni temu odbył się jego pogrzeb. Podobno doszło do strzelaniny.

Dagmara śmieje się, znów zasłaniając usta. Muszę dodać, że jest

przepiękną kobietą. Niejeden mężczyzna straciłby dla niej głowę.

– Kto ci takich historii naopowiadał? – słyszę w odpowiedzi. – Chodziło o salwę honorową. Zgodnie z regulaminem policji pewne honory nie przysługują mundurowym, którzy zginęli śmiercią samobójczą.

– Zaraz. Franciszek Brodzki popełnił samobójstwo?

– Odwrócił uwagę mordercy, ratując tym samym syna.

„Ale swoje tajemnice zabrał do grobu” – myślę. Czy Dagmara może wiedzieć, że w tamtych czasach wszystko było układem? A może wie, ale tego nie mówi?

– Leon też miał swoich informatorów, prawda? A ludzi, którzy go naciskali?

– Nigdy od nikogo nie wziął choćby grosza. Zawsze był czysty. Niektórym może to przeszkadzało.

– Skąd wiesz, że był czysty? Faceci zawsze się wybielają.

Dagmara się uśmiecha.

– Kobiety wiedzą.

Naprawdę wiedzą? Ja mam inne doświadczenia. I odpowiadam:

– Żony mafiosów też tak mówiły.

– Leo zawsze mówił prawdę i tylko prawdę.

– To czemu go zawieszono i dlaczego media go obwinały?

– W tygodniu, gdy to wszystko się wydarzyło, przypomniano wiele spraw z przeszłości. Zaczęła się nagonka na policję, że ktoś mści się za policjantów na mieszkańcach, a winę ponoszą Brodzczy. Zły policjant to zawsze dobry temat.

– A ponosili?

– Zaraz. Jak zamierzasz napisać ten materiał? – przerywa. – Jak chcesz być obiektywna, skoro już na początku zaznaczasz, że nienawidzisz policjantów?

– Poznam fakty – mówię.

– To są sprawy przysypane gruzem historii i zalane betonem milczenia. Franek i Leon kiedyś niewiele o tym mówili, ale... Wyobraź sobie rodzinę, w której nie ma kobiety, a łatwo zrozumiesz, dlaczego mężczyźni milczą.

– Co się stało z matką Leona?

– Kiedy odwiedzisz cmentarz, sama zrozumiesz.

– Ale to wszystko takie... – urywam w pół zdania i kręcę głową z niedowierzaniem. W końcu mój wzrok zatrzymuje się powoli na widoku za szybą cukierni. Łapię się lewą dłonią za kark i ściskam go na kilka sekund, ale ból nie mija.

Trwamy tak w milczeniu niecałą minutę. W końcu patrzymy sobie w oczy. Nabieram powietrza i zadaję pytanie, od którego być może zależeć będą dalsze losy tego reportażu.

– Skąd miałabym mieć pewność? – zaczynam, opierając się na łokciach. Przesuwając się, czuję, jak dyktafon wbija mi się w żebra. – Ale tak naprawdę skąd mam mieć pewność, no, że to wszystko, co pani mówi, co mówisz, co słyszę teraz, te niewiarygodne historie rodem z filmów Pasikowskiego i cała intryga... – Oddech. Wydech, wdech, tym razem wolniej. Dagmara obserwuje mnie uważnie. – Po prostu proszę podać mi jeden powód. Pomóż mi uwierzyć w swoją historię.

Długo szukamy puenty w naszych spojrzeniach. Początkowa nieufność minęła. Obie w wyniku przebiegu rozmowy i pod wpływem przemyśleń, jakże różnych, nabrałyśmy do sytuacji kobiecego dystansu.

– Byłam żoną policjanta. To powinno ci wiele powiedzieć – odpowiada spokojnie Dagmara. – Gdybyś potrzebowała, mogę ci to wszystko powtórzyć do mikrofonu, przez telefon.

– Nie spotkamy się?

– Nie. Muszę wyjechać. Zalecenie prokuratora.

Zastanawiam się, czy żona Brodzkiego mnie przejrzała, czy od początku wiedziała o dyktafonie? Przyszłam pierwsza, siadłam przy oknie, wsadziłam baterie do dyktafonu, schowałam go. Mogła to wszystko widzieć. A może ona i cała policja znają tu wszystkich? Może wszystko, co usłyszałam 11 września 2016 roku, to manipulacja?

Dagmara ponownie wyciąga rękę w moją stronę. Dłoń wciąż jest ciepła i rumiankowa.

*A potem żegnamy się i wychodzi, by wtopić się w sznur przechodniów. Na wysokości domu handlowego Flis dotęcza do niej łysiejący mężczyzna o aparycji rzymskiego wodza, zachowuje się jak ochroniarz. Jej drobna sylwetka znika w tłumie.*

*Znów mam wrażenie, że jest w mieście T. coś, o czym nikt nie mówi. „T” jak tabu. Dowiem się wkrótce, co to takiego.*

## 12

Kiedy Berenika złapała się za szyję, Dagmarze przemknął przed – a może za – oczami obraz Leona, który wykonywał podobny ruch każdego dnia, przed pracą i po niej.

Zwykł wtedy powtarzać, że jego betonową szyję rozkruszyć mogą tylko dłonie żony, podobnie jak jej głos rozbijał bryłę jego policyjnego serca. Dagmara pocierała wówczas mocno dłonie, wierząc, że połączone z czakrą serca są w stanie przekazać dobrą energię. Leo – bo tak go zawsze nazywa – lubił poddawać się sile sugestii swojej kobiety. Wiedziała, że był to jeden z najmocniejszych wątków w śledztwie jego własnego życia: pewność, że ona zawsze wie lepiej. Tylko przy niej mógł być uległym świadkiem zawsze idącym na ugodę i zawsze zeznającym prawdę i tylko prawdę. „A potem zbliżał się do moich ust – myślała Dagmara – i mówił słowa zasłyszane na radiologii. «Proszę nie oddychać»”. Po czym całował ją, a gdy Daga oddała pocałunek Leo, kończył: „Można oddychać”. Była to taka mała zabawa, jedna z tych, które każda para ma na początku, ale nie każda kontynuuje wraz z rosnącym stażem związku.

Zaśmiała się teraz, wciąż patrząc na Berenikę, która pachniała czerwonomarańczowymi DKNY Woman. Dziennikarka towarzyszyła Dagmarze w tej minutowej odysei przez nadstolikową ciszę. Sznur przechodniów sunął za oknem jak kolumna kolorowych aut. Jedni wyprzedzali, jak pochylony naukowiec z turkusową torbą na laptopa, inni przystawali, jak ładna blondynka z wózkiem, którą dziennikarka teraz dostrzegła, pod elewacją Apteki Radzieckiej

naprzeciwno. Miała naturalne grube włosy opadające na luźną bluzkę. Jedną z tych, które uszyto tak, by wyglądały jak założone w ostatniej chwili. W stylu Bereniki. Niewprawne oko mogłoby pomylić młodą matkę z nianią, ale szybki ruch poprawiający ułożenie materiału zdradził reporterce, że pod fajnymi ciuchami kryje się wysoko noszona bielizna ściągająca – zapewne po niedawnej ciąży.

Gdy Dagmara wyszła, Berenika opadła na blat, przykładając czoło do jego zimnej dębowej powierzchni. Dopiero teraz poczuła, że jej serce bije cholernie mocno. Próbowała rozpoznać wzór w drewnie, ale z tej odległości wszystko jest rozmyte. Powoli podniosła głowę, aż oczy złapały ostrość, dopiero teraz zauważyła, że drewno jest sztuczne.

– Wszystko w porządku? – spytała zza kontuaru kelnerka. Pulchna, bez makijażu, o naturalnie różowych policzkach.

– Tak, ja... – Berenika zgarnęła ze stołu paragon i schowała go do portfela, po czym sięgnęła szybko do kieszeni marynarki. Kasetowy Olympus cały czas nagrywał. Położyła go przed sobą i rzekła cicho:

– Rozmowa z Dagmarą Brodzką zakończona. – Zastopowała urządzenie i wyszeptała do siebie: – Kto mnie przysłał?

## 13

– Jest mała zmiana planów, ale załatwię to – Halicki wyszeptał do czerwonej słuchawki w gabinecie.

– Kto – odparł chłodno znajomy głos.

– Giżycki. Wymienili mi prokuratora. Przyjechała krajowa. Mają wypuścić Brodzkiego. – Po drugiej stronie łącza zapanowała cisza. – Halo?

– Niedobrze. Nie spisałeś się. – Głos był nieprzyjemny jak woda wlewająca się za kołnierz.

– Co mogłem zrobić? – Komendant pogładził raz czoło i dwa razy wąsik.

– Właśnie sobie odpowiedziałeś. Mogłeś. Nie zrobiłeś.

– Co z archiwistą? Chyba nie... nie zaproszyliście ognia jak

ostatnio?

W słuchawce było słycać rozbawiony głos.

– Dzwon do Bużki. Ale nie wiem, czy pomoże.

Halicki rozejrzał się rozpaczliwie. Przez opuszczone żaluzje widział Mauera rozmawiającego z załogą.

– Co teraz? – spytał bezradnie.

– Teraz? Teraz ostatnia prosta do ostatecznego rozstrzygnięcia. Pamiętasz nazwę akcji?

– Muszla.

– Od teraz nie znasz tej nazwy. – I rozmowa się urwała.

Halicki zatrzasnął dębowe drzwi gabinetu, zasunął przykurzone żaluzje, przepłynął przez pokój jak zjawa i opadł ciężko na fotel za biurkiem.

Miał wrażenie, że od kilku dni wartość siły przyciągania grawitacyjnego działającego na jego ciało się potroiła. Ciężko wchodziło mu się po schodach i ciężko siadało. Powieki równie ciężko mu opadały, gdy zasypiał, i podnosiły się, kiedy rankiem dobijał do brzegu tratwą ze snu. Ciało dawało mu wyraźny sygnał, że oto wytyczono nowe prawidła i że czas obecny jest czasem codziennie aktualizującym się o nowe strachy i nowe widziadła. Takie jak Człowiek w Kapeluszu.

Marzenia o fotelu komendanta wojewódzkiego i kolejnych orderach przypiętych do jego zapadłej piersi topniały teraz na rozgorączkowanym i ściśniętym trwogą czole. W ciągu zaledwie kilku dni najprostsze czynności domowe, choćby reperowanie kranu, tego kranu, którego przecież naprawiać nigdy nie lubił, wszystkie chowały się za ciemną chmurą terażniejszości. Chmura ta pęczniała z każdym dniem i mógł tylko czekać, aż przygniecie swoim ciężarem dach komendy, by spadł na nią gówniany deszcz. Ulewa, zamieniająca wszystko, co do tej pory osiągnął, w potok szlamu i brudu.

Ściągnął brwi, wyszukał w szufladzie pogryzmlony świstek i nabił na tarczę telefonu wypisany na karteluszk numer komórki.

– Po usłyszeniu sygnału zostaw wiadomość – odparła w czerwonej słuchawce kobieta bez ciała i twarzy. – Po usłyszeniu sygnału



zostaw... Nacisnął widełki i nabił cyfry ponownie, ale znów odpowiedziała mu automatyczna sekretarka. Z całą wściekłością rąbnął w aparat. Metaliczny dźwięk poniósł się po całym pokoju, odbił od okna i buch, ze zdwojoną siłą uderzył go w potylicę.

I naraz Halicki zbladł.

„Odbierz” – myślał gorączkowo. „Odbierz, Bużka. Maks musi być w jednym kawałku. Niechby i był to kawałek wymięty i wypluty, ale żywy”.

Czuł Halicki, jak grunt osuwa mu się spod nóg, czuł to przez podeszwy i kraciaste skarpety. Złapał mocno za blat i w takiej pozycji zastygł na kilka minut. Pośrodku gabinetu, za symetrycznie pustym biurkiem, z symetrycznie rozłożonymi ramionami. On, zgarbiony, łysiejący człowiek o obłej twarzy, obłych ustach i podkrążonych oczach. Komendant Halicki. Człowiek o duszy dziurawej jak sito.

– Po usłyszeniu sygnału zostaw wiadomość – dźwięczało w zwisającej obok biurka słuchawce. Ale Halickiego już w gabinecie nie było.

## 14

*Z kroniki policyjnej:*

7 sierpnia 2000 roku po godzinie 19 padły strzały na zapleczu Centrum Handlowego „Filmar” przy ulicy Grudziądzkiej. Trzej mężczyźni zostali postrzeleni z broni automatycznej, gdy wjeżdżali na parking czerwonym audi. – Ze względu na dobro śledztwa nie chcemy komentować sprawy – stwierdził Franciszek Brodzki z Komendy Toruń-Śródmieście (źródło: *archiwum „Gazety Pomorskiej”*).

## 15

Mauer zaparł się za krzesłem jak Lenin i przemówił:

– Wie pan, że istniała instrukcja Komitetu Centralnego PZPR

rozsyłana do wydawnictw, z wyszczególnionymi paragrafami, jak pisać kryminały? Komendy wojewódzkie udostępniały je zaufanym autorom, kiedy ci tworzyli powieści milicyjne. W PRL-u techniki śledcze były inne, mało kto wierzył, że w tamtym ustroju ktoś mógłby seryjnie zabijać. A jednak.

– Młotkarz...

– Między innymi. Dziś mamy sześćset zbrodni rocznie i ich liczba spada. Ale pewne sprawy wciąż pozostają niewyjaśnione.

– Słucham dalej.

– Daję panu możliwość.

– Słucham cały czas. – Brodzki mówił lekko drwiącym tonem.

– Za czyn uwieczniony na nagraniu, które obiegło media, a dodam, że nie tylko polskie, zyskując rozgłos...

– Jestem na etapie wybierania swojego menedżera, tak.

– Panie Brodzki! To nie jest śmieszne. – Mauer powoli się niecierpliwił.

– Powiem panu, co jest śmieszne. Albo komuś skończył się abonament na Photoshopa i trzasnął to w Paincie, albo Halicki z Giżyckim zrobili razem pół litra i wzięli kredki. Przecież to nagranie się kupy nie trzyma!

Obaj zachowywali się jak wytrawni pokerzyści.

– Najłagodniejszy wymiar kary, od roku do pięciu lat, jeśli będzie pan sądzony za zabójstwo w afekcie, artykuł sto czterdzieści osiem, paragraf cztery kodeksu karnego. Jeśli sąd uzna, że miał pan zamiar celowo spowodować u niego ciężki uszczerbek na zdrowiu, to mamy zbrodnię.

– Aha.

– Zagrożoną więzieniem od lat pięciu.

– Yhy.

– Do dożywocia, artykuł...

– ...sto pięćdziesiąt sześć, paragraf trzy kodeksu karnego. – A na widok podenerwowanego Mauera dodał: – Ojciec mi czytał do poduszki.

– Sprawa jest na ostrzu noża, bo ustawodawca zafundował nam

przepaść między sankcjami za dwa typy nieumyślnego spowodowania śmierci, a pan z tego żartuje?

– A wróżenie z fusów to nie zabawa?

– Nie rozumiem.

– A co z naczelnikiem zakładu karnego w Sztumie, który zabił więźnia? Biegli uznali, że jego niepoczytalność była chwilowa.

– Biegli biegłymi, ale decyzję podejmuje sąd. Chyba nie muszę panu przypominać, kto teraz trzęsie tym krajem...

– A jakby dali mi żółte papiery? W Gostyninie podobno nie jest tak źle. Siedziałbym z Pękalskim, może przy okazji bym się czegoś nowego dowiedział, za kanapkę. On lubi jeść, wie pan?

– Obawiam się, że pobyt na oddziale sądowym może być dłuższy od wyroku karnego. Zazwyczaj sprawcy spędzają w izolacji znacznie więcej czasu. Czasem całe życie, podczas gdy w więzieniu, jako ludzie poczytalni, dostaliby dwadzieścia pięć lat.

– A co mi grozi w najlepszym wypadku?

– Co panu grozi? Ustawa o policji, rozdział piąty, artykuł czterdzieści jeden, punkty trzy i cztery.

Brodzki nie musiał dalej słuchać tego wbitego w nienagannie skrojony garnitur sztywniaka. Wiedział doskonale, że punkt trzeci dotyczył dyscyplinarnego wywalenia z munduru, a czwarty był o prawomocnym wyroku sądu.

– Jest jeszcze cztery a. Zakaz wykonywania zawodu – dodał Mauer tonem ortopedy śrubującego kość udową.

Tak naprawdę Brodzki nie miał wątpliwości, że chce wyjść i wreszcie – jak w piosence Elektrycznych Gitar – „wreszcie włączyć się do akcji”. Wczoraj, na nabrzeżu Wisły, obiecał sobie, że nie cofnie się przed niczym. By pokonać wodę, sam będzie wodą. Wejdzie w każdą szczelinę, wypłucze każdy brud. Nawet brud swojego nazwiska. Aż pozna prawdę o Elfie, Franku, Młotkarzu i swojej winie.

Teraz grał na czas. Chciał wyczuć Mauera. Trafił swój na swego.

– Był pan kiedyś w terenie? – spytał policjant. – Zdrapywał pan z asfaltu dupę samobójcy, co się rzucił z dachu? A wchodził pan na interwencję, gdzie wisi kobieta z łóżyskiem między nogami?

– Do kierowania służbami cywilnymi, panie Brodzki...

– Był pan kiedyś na akcji?

– Do cywilnych nie jest wcale potrzebna służba. To są już standardy z całego zachodniego świata, do którego pragniemy się zbliżyć. A tacy ludzie jak pan i pana ojciec to relikty komuny.

– Czyżbyśmy mieli innych nauczycieli? Proszę pana, Polska nie jest jeszcze zachodnim światem. – Brodzki uśmiechnął się upiornie i pokiwał głową z niedowierzaniem. – Blżej jej raczej do Dzikiego Zachodu z westernów zwanego też wolnoamerykanką. W służbach mamy politruków z partyjnego nadania, a komendanci wojewódzcy piją z radnymi z sejmików i leśniczymi. Wermut albo śliwownicę, zależy po której stronie Wisły. Jest pan jednym z nich?

– Nie mam pewności, czy jest pan na tyle nieskazitelnie czysty, żeby mówić, jak się powinno robić w policji.

– Dobry gliniarz węszy blisko ludzi, tyle panu powiem. Nie siedzi za biurkiem, tylko rozmawia z ludźmi, których twarze może i obchodzą go mniej niż napis na etykiecie proszku do prania, ale nie dlatego, że są zbitą masą, tylko żeby nie zapamiętywać ich emocji. Bo one zostają. Glina nasiąka. Patrzy pan na nią.

Cyriak Mauer rozumiał, o co chodzi Leonowi Brodzkiemu. A policjant wiedział, o co chodzi prokuratorowi. Obaj wykonywali czynność nazywaną rozpoznaniem. Czynność zakończono.

– Leonie Brodzkie, czy przyjmie pan moją propozycję?

– A co, jeśli go nie złapię?

– Wróci pan w to samo miejsce.

„Szpila” – pomyślał Brodzki. „Ale facet nie mści się na mnie, tylko naprawdę nie ma wyjścia. Liczy, że biorąc mnie na smycz, szybciej znajdzie trop”.

– Cyriak Mauer. Intrygujące, sprężyste. Jak ten z Psów? Brakuje panu tylko peleryny! – Nie darował sobie. – Ale zgadzam się.

– Złapiesz go? To znaczy, złapie go pan?

– Jest jak plama. Muszę go wywabić.

– W takim razie za chwilę pana wypuszczą – rzekł i ruszył do drzwi.

Gdy mijał futrynę, Brodzki go zawołał:

- Prokuratorze!
- Tak? – Mauer obrócił się przez ramię.
- Wie pan, że ludzkie oko smakuje jak jajko sadzone?
- Mauer zakreślił oczami niezrozumiały zyzgak. I wyszedł.

## 16

Chłodne wrześnie powietrze wślizgnęło mu się pod płaszcz i falą zimna zaanektowało plecy i ramiona. Gdy furta więzienna trzasnęła za nim z hukiem, taksówka właśnie podjeżdżała. Silnik fiata można było poznać z daleka. W Toruniu na taryfie jeździł tylko jeden.

– Nie za ciepło – zauważył Henryk, kiedy Leon Brodzki wtarabanił się na tylną kanapę. Pogoda była wytrychem lepszym niż łom, kiedy przychodziło do emocjonalnych wyznań pomiędzy mężczyznami. – Znaczy... Dobrze cię, chłopaku, widzieć po tej stronie. Ale akurat powietrze to z obu pachnie tak samo, co?

– Nie, Heniu... Nie tak samo. Witaj, przyjacielu. – Klepnął go w ramię. W aucie czekały na niego świeże ubrania – ulubiony T-shirt i granatowa kurtka. Spojrzał przez szyby taksówki, by się upewnić, że nikt nie widział jego wyjścia. Zgodnie z informacjami od Żółtki nie miał najlepszej prasy. Nie mogło mu to pomóc w pracy śledczej, ale nie chciał jej też sobie utrudniać. – Dokąd jedziemy?

– Żona na ciebie czeka.

– U mnie?

– Obawiam się, że do ciebie lepiej nie jechać. Miałeś przeszukanie, pokazywali w telewizji.

– Nie dadzą mi spokoju – zmierził się. – Dasz wiarę, że ktoś mi zwędził rzeczy w depozycie? Nawet cholerne papierosy... – Ale zaraz myśl o Dagmarze ukołła jego nerwy. Sądził, że dawno pojechała do Darłowa z Sarą i Brykiem. – Dokąd jedziemy?

– Nie macie za dużo czasu. Czeka na ciebie w hotelu. Tacy z was... spóźnieni kochankowie.

## 17

### *Aktualizacja, 17:52*

Niepotwierdzone okazały się informacje o ciele pływającym w Wiśle. Obiekt opisany przez Izydora Mokrzyckiego okazał się manekinem zagubionym podczas performance'u studentów. Wciąż też nie wiadomo, co z Leonem B., podejrzanym o zabójstwa więźnia policjantem. Czekamy na komentarz prokuratury. (*źródło: Dzień Dobry Toruń*)

## 18

– Przepraszam, gdzie jest ten dom? – spytała Berenika, kiedy na ekranie barowego telewizora zobaczyła reportaż o Leonie Brodzkim. Kamera zatrzymała się na narożnej kamienicy, w której policjant miał mieszkać przed aresztowaniem.

Program zainteresował także innych gości lokalu. Chudy mężczyzna z bródką, bawiąc się papierosem przy barze, kręcił głową z niedowierzaniem. W rogu sali rozentuzjasmowana grupa pielgrzymów, sądząc po ubraniach i proporczykach, dyskutowała o dużej imprezie, jaka ma się odbyć w mieście na zakończenie podróży z Hiszpanii.

Whiskey House było jednym z tych miejsc, które stworzono do siedzenia. Wnętrze neobarokowej narożnej kamienicy zaadaptowano po dawnej restauracji „Pod Atlantem”, w której jadalni aktorzy. Z dawnego wystroju pozostał piękny kaflowy piec w centralnym miejscu przestronnej sali. Gdy Vesper zastanawiała się nad kolejną częścią tekstu, natchnienie przyszło z ekranu.

– Pomogę z tym adresem, jeśli pozwoli mi pani opowiedzieć o wybranej butelce – odparł barman.

– Zgoda. Te dwie! – wskazała palcem.

– Mamy takie dwa nowe benriachy. – Barman, krótko obcięty chłopak w czarnej koszuli i czarnych spodniach, był bardzo precyzyjny w opisie. Mocno akcentował sylabę każdej z nazw,

podczas gdy Vesper pakowała macbooka i kable do torby. – Jeden to jedenastoletni marsala. Drugi to dwunastoletni sauternes, spędził dwanaście lat w beczce po białym, półsłodkim, wzmacnianym winie. Single cask. – Po wypowiedzeniu tych słów spojrzął na nią jak srogi nauczyciel na tajnych kompletach.

– Single cask! – powtórzyła. Zawsze miała doskonałą podzielność uwagi. Potrafiła na przykład układać nagłówki podczas seksu.

– Czyli, że z jednej beczki. Butelka numer dwieście trzydzieści spośród dwustu pięćdziesięciu na świecie – rzekł z dumą. – Dobra rzecz.

– Podziwiam twoją pasję, mówię szczerze. Nigdy nie byłam dobra, jeśli chodzi o whisky, koniaki i te wszystkie drogie butelki. Gdybyś jednak spytał o piwo pszeniczne, zostałabym.

Barman się uklonił i przetarł kontuar. „Co oni z tymi blatami” – przemknęło jej przez głowę.

– To musi być przy Mickiewicza, róg Konopnickiej – powiedział. – Wyjdź w lewo, do Różanej, potem prosto przez plac Rapackiego, na skróty przez park, aż dojdiesz do Mickiewicza, przy akademikach i barze „Panda”. I dalej idź prosto.

– Przepraszam, że się wtrączę – spytał mężczyzna o chudej, pociągłej twarzy. Miał druczane okulary na wąskim nosie, bródkę i wąsy przykrywające nierówny zgryz oraz łysinę. – Ale co takiego niezwykłego jest w tej akcji? Że kogoś uratował? Co takiego nietuzinkowego zrobił?

– Też się nad tym zastanawiam – zauważyła Berenika. – Miłego wieczoru, panowie. – I wybiegła.

Tymczasem człowiek w druczanych okularach kręcił w rękę papierosa, z którym gotów był lada chwila wyskoczyć na zewnątrz. Ale spojrzawszy na ekran telewizora, nieco się zmierził. Między wspomnieniami ataku terrorystycznego na World Trade Center pokazywano przebitki z Torunia.

– No, podobno odnalazł zaginioną córkę, proszę pana – zauważył barman i sięgnął po niemal pusty kufel piwa rozmówcy.

– Gdzie?! Mojego szkła może dotykać tylko moja małżonka. –

Zastonił naczynie ręką. – Marcin Gładych, miło mi. – Przywitał się. – No więc co takiego niezwykłego zrobił ten cały Brodzki? A czasem nie wykonywał po prostu swojej pracy? Czekam z niecierpliwością na film o śmieciarce, najlepiej pod tytułem Nie uwierzysz w to, co zrobił pracownik zakładu usług komunalnych. – Zaśmiał się, kaszląc soczyście. – Muszę taki nakręcić, słuchaj, Jacek! – rzucił do przysadzistego faceta o chłopięcym uśmiechu. – Po czym nastąpi dramatyczna akcja podjeżdżania pod kontenery ze śmieciami!

– Nakręć ci to, Gładi! – zaśmiał się tamten zza stolika.

– Kamera, akcja! – Reżyser wstał i z papierosem w ręce zaczął dyrygować pośrodku lokalu. – Kręcimy, teraz wyciąganie śmieci, ale wiesz, takie artystyczne ujęcie, można przyczepić GoPro na słowniku. Potem podczepianie do śmieciarki, żeby wysypać i sprasować. Patetyczna muzyka... – Znów się zaśmiał, pokastując, po czym wrócił na swój hoker przy barze. – Ja tam nie wiem, nie wtrącam się... Ale jest facet policjantem, tak?

– No tak – przytaknął barman.

– A więc to jego praca. No, chyba że ma pelerynę i wielki młotek. – Reżyser zawiesił zdanie w powietrzu, barman i operator się zamyślili. Marcin Gładych miał to do siebie, że mówił mało. Uważał, że ciszy słucha się uważniej. Ale jak już się odzywał, wtedy jego logika dawała wszystkim do myślenia. – Moim zdaniem to trochę taki figo-fago kawa marago. Idę zapalić.

Na ekranie telewizora emitowano wspomnienia o zamachu na World Trade Center. Zaproszeni do studia eksperci zgodnie stwierdzili, że gdyby nie ataki terrorystyczne w Nowym Jorku telewizja TVN24 nigdy by się nie wybiła. Temat tymczasem trafił im się kilka dni po tym, jak wystartowali. Berenika też wiedziała, że nie może przegapić tematu Brodzkiego. Była to jej ostatnia szansa.

Trochę ją rozbierał, a trochę ubierał. Leonowi i Dagmarze trudno było opisać chronologię zdarzeń tego wieczoru. Kiedy tylko zjawił się



w pokoju, zbliżyli się do siebie i nie wypuścili z objęć do samego końca. Łączyła ich miłość, o jakiej dziś czytano najczęściej w starych książkach. Szalona, głęboka, niejednoznaczna, pełna oddania, bólu i namiętności. Tym pełniejsza, że oparta na tak wielu wydarzeniach, etapach i zwrotach akcji. Leon Brodzki – całujący ją teraz po szyi – był mężczyzną jej życia. Archetypem mężczyzny i jedynym, który znał do niej klucz. Dagmara była z kolei dla detektywa najprawdziwszą z kobiet. I choć mieli już dorosłą córkę, a najlepsze lata małżeństwa za sobą, wciąż działali na siebie jak zapalnik i materiał C4.

Dlatego trochę ją ubierał, a trochę rozbierał – pocałunkami i słowami.

Najpierw poszli pod prysznic. Kochał sposób, w jaki pachniała jej skóra, która nie potrzebowała żadnych perfum. Teraz czuł tylko lekki zapach kremu rumiankowego. Kiedy ją całował, nie zamykał oczu. Patrzył na jej mokrą twarz, odgarniał delikatne, jasne włosy i liczył piegi na drobnym nosie.

Dagmara z Leonem miała podobnie. Była w stanie mu się oddać tu i teraz. Mimo dojrzałego wieku i całej sytuacji, która wywróciła ich życie do góry nogami, w tym momencie chciała się z Leonem po prostu kochać. Od wyciągania szyi, by na niego spojrzeć, zawsze bolał ją kark, więc gdy Leon ją całował – stawiała na palcach. Zawsze kiedy kupowała nowe buty, myślała o tym. Była od niego nieco niższa, miała trochę ponad sto siedemdziesiąt dwa centymetry wzrostu przy pięćdziesięciu pięciu kilogramach wagi.

Rzucił ją na łóżko. Świeża pościel skrzybiała swoją napiętą powierzchnią, gdy ich ciała przesuwwały się po niej w różnych kierunkach.

Byli nienasyчени. Poziomy pożądania, tęsknoty, miłości, nawet sama reakcja na dotyk były wielokrotnie wyższe niż wcześniej. Dlatego stracili rachubę w tym tańcu, nie wiedząc, kiedy właściwie Dagmara otwierała drzwi, w których zobaczyła Leo, a kiedy słyszała go, jak odrzuca kołdrę, wzdycha, w końcu siada, stawia stopy na wykładzinie i wstaje do łazienki. Całował jej smukłą szyję, leżąc

między jej udami. Ona całowała jego oczy, nos i mięsiste usta. Nie zmieniali pozycji, w tej byli najbliżej siebie i mogli poczuć największą powierzchnię swojego ciała.

– Kocham cię – szeptała mu do ucha i myślami cofała się w czasie do ich młodości i wypadów pod namiot do Kamionek. Patrzyła na niego tak jak w dniu ślubu, jak wtedy, kiedy wprowadzili się do małego, służbowego mieszkania. Jak wtedy, gdy obiecywał, że będzie dobrym gliną. Jak wtedy, kiedy wyważał drzwi, których nie powinien, a potem wracał na kolację. Córka wtedy na ogół spała. Przespała tak z tatą całe dzieciństwo.

– Kocham... – odpowiedział cicho policjant i wiedziała, że mówi prawdę. Kiedyś odpowiadał „ja też”. Wersję śledczą zmienił dopiero po rozwodzie, gdy zrozumiał, co traci. Zawsze był skazany na zbyt późne refleksje i – przez to – repetycje. Powtórki.

Całował jej ramiona i ręce. Wplatał palce w jej mokre włosy, które po chwili odgarniał i chwycił twarz Dagi obiema dłońmi, jakby chcąc się upewnić, że to nie sen. Jej oczy, w zależności od kąta padania światła, przechodziły przez odcienie błękitu i rozpalonego karmazynu. Więc choć trudno powiedzieć, ile ich miłosne zbliżenie trwało, był w jego trakcie taki moment, kiedy po prostu patrzyli sobie głęboko w oczy. I im dłużej się kochali, tym bardziej byli w sobie nawzajem i tym bardziej czuli się połączeni wszystkimi wiązkami atomów przeszłości. Na koniec pocałowali się mocno i pozostali zetknięci ustami przez wiele minut, oddychając jednym powietrzem w jednym rytmie.

Leon oplótł Dagmarę ramieniem tak, że leżała na jego prawej ręce, a on prawą dłońią gładził jej prawe ramię.

- Ale masz długą rękę – zażartowała, zagryzając usta.
- Jak trzeba, to mam... Wiesz, jak nas nazwał Henryk? – spytał.
- Orfeuszem i Eurydyką?
- Spóźnionymi kochankami.
- Ładne. Jak u Whartona.

Dagmara znów przygryzła wargi i spojrzała na niego jak pilot na naprawione oprzyrządowanie swojego dwupłatowca.

W młodości przygryzała czasem usta na myśl o pocałunkach i nocach z mężem. Na myśl o jego ciele. „Z czasem przestałam” – pomyślała. „Dlaczego?” Po czym spojrzała na jego silne barki.

– Zawsze mówiłeś, że najlepiej wychodzisz na rentgenach.

– Bo to prawda. Mój układ kostny żyje swoim życiem.

Wiedziała, o czym mówi. Lata pracy poczyniły w nim większe spustoszenie, niżby wynikało z liczby zmarszczek na twarzy, która wciąż pozostawała magnetyczna, przystojna i niemal pomnikowa.

– Już czas, Leo. Jesteśmy spóźnieni.

– O ile?

Lecz Dagmara nie odpowiedziała. Było to pytanie, na które wiele małżeństw nie znało odpowiedzi.

## 20

Mieszkanie przy Konopnickiej było zaplombowane. Berenika pokręciła się chwilę na drugim piętrze kamienicy, w końcu zapukała w sąsiednie drzwi. Otworzył barczysty chłopak bez koszulki. Spojrzała pod jego nogi. Na podłodze wały się listy, wszystkie jednakowo zaadresowane.

– Cześć. Szukam...

– Nikogo takiego nie znam – uciął i zamknął jej drzwi przed nosem. Dziennikarka zapukała ponownie. Mężczyzna krzyknął zza drzwi: – Proszę odejść.

Od razu wyczuła, że coś jest nie tak.

– I nigdy go pan nie widział?

– Nigdy go nie widziałem.

Vesper przystawiła ucho do mozaikowej szyby. Facet stał w korytarzu, oddychając nerwowo.

– Nie jestem z policji... Szukam przyjaciela – zaczęła powoli. Mówiła miękko i z przejęciem.

– Pomógłbym, ale naprawdę nikogo nie znam.

– Jak to możliwe, skoro na wszystkich kopertach jest ten adres? Raczej nie mieszka pan tu od wczoraj. Musiał pan przynajmniej

wiedzieć, że ktoś taki rezyduje w tej kamienicy.

– Kazali mi się nie wtrącać. I pani też radzę.

– Ale kto kazał? – spytała. W tym momencie z wnętrza mieszkania dobiegły ją głośne dźwięki muzyki. Backstreet Boys, I want it that way. – Tell me why – zanuciła i odwróciła się do drzwi mieszkania Brodzkiego.

## 21

Dwoje ludzi spacerowało ulicą Grudziądzką. Widać było z oddali, jak mężczyzna zatrzymał się i położył na ramieniu kobiety dłoń gestem, do którego oboje przywykli.

– Już czas. – Powiedział i ją przytulił. Gdy spojrzała mu w oczy, rzekł: – Proszę nie oddychać. – I złożył na jej ustach pocałunek.

– Można oddychać – odpowiedziała Dagmara.

Przy samochodzie ucisnął mocno rękę Rolandowi Brykowi. Nie musiał wypowiadać żadnych słów, były zbędne. Wiedział, że na Bryka może liczyć, a Bryk wiedział, że Brodzki powierza mu kobietę, za którą oddałby życie. Swoje i czyjeś.

Gdy auto odjechało, Leon patrzył jeszcze chwilę, jak samochód maleje na horyzoncie do rozmiaru resoraka.

Znów został sam ze śledztwem swojego życia. Dokładnie w tym miejscu, w którym kiedyś doszło do strzelaniny między toruńskimi gangami Elfa i Taty. Dziś nie pachniało tu prochem ani krwią, nie było też słychać strzałów. Tylko cichy nokturn szelfowych chmur sunął nad miastem.

Krajobraz na horyzoncie ścieśnił się, gdy Brodzki wsiadał do peugeota 406 stojącego na postoju taxi przed hotelem.

– Dokąd, panie władzo?

– Szpital Bielany. Muszę porozmawiać z kimś, kto nie mówi.

Zbrodnia w mieście T.  
Reportaż Bereniki Vesper

Część czwarta

*Sąsiedzi o Brodzkim nic nie wiedzą. Czy kazano im milczeć, czy ktoś ich zastraszył? Życie obok funkcjonariuszy potrafi być koszmarem: alkohol, awantury i przeświadczenie prowdyrów, że stoją ponad prawem.*

*Detektyw Leon Brodzki mieszka w eleganckiej kamienicy. Wnętrze ma wysokie sufity i białe, zabytkowe drzwi u wejścia każdego z trzech pokojów. By cokolwiek zobaczyć, najpierw muszę znaleźć korki. Za pomocą latarki w iPhone odnajduję je na korytarzu. Wracam do mieszkania i sprawdzam – znowu jest prąd.*

*Zagospodarowany został tylko jeden pokój: ten z lewej, z beżowymi tapetami bez gustu. Stoją w nim dwa stoliki, biedermeieri. U gliniarza spodziewałabym się raczej dębowej ławy, poroży na ścianie, szklanki wódki. Jest jeszcze dwuskrzydłowa szafa gdańska, łóżko z nocnym stolikiem obok i lampką. Kiedy próbuję ją włączyć, plastikowy klosz odpada ze starości.*

*Rolety separują pokój od świata. Nie próbuję ich regulować, żeby nie wylecieć z nimi przypadkiem przez okno. Nigdy nie wiadomo, jakie pułapki czyhają na gości w takim miejscu.*

*Charakteru pokojowi nadaje jedynie gramofon. Na talerzu założona jest płyta. Podchodzę, by przyrzeć się z bliska. Zespół Grand Prix, płyta „Samurai”. Igła dojechała do końca krążka. Na okładce wydania japoński wojownik w bojowym rynsztunku. Kolorystyka utrzymana w stylistyce lat osiemdziesiątych. Pod nią album Republiki „Nowe sytuacje”, Lady Pank – „Lady Pank”, Guns N’ Roses – „Appetite for Destruction” oraz Dire Straits – „Alchemy”. Włączam tę ostatnią – rowki płyty są szczególnie wyżłobione przy utworze numer pięć. To „Private investigations”.*

*It's a mystery to me  
The game commences  
For the usual fee  
Plus expenses  
Confidential information  
It's in a diary  
This is my investigation  
It's not a public inquiry...*

Berenika wcisnęła na dyktafonie „stop”. Piosenka wciąż płynęła cicho, ale uwagę dziennikarki zajmowało coś innego.

Była to leżąca na stoliku polaroidowa fotografia przedstawiająca trójkę ludzi. Podpisano: Sara, Daga i Leo, Darłowo 2016. Za nimi wyrastała wysoka budowla elewatora.

Berenika przeszła się z fotografią po pokoju, w końcu usiadła na łóżku i pochłonięta myślami, stuknęła dyktafonem o brodę. Z głośników dalej sączyły się słowa:

*Scarred for life  
No compensation  
Private investigations.*

## 23

Kiedy z tunelu pod placem Pokoju Toruńskiego wyłoniło się czoło składu kolejowego, od dwóch stron Garbatego Mostka nadeszły niewyraźne postacie. Spotkały się w połowie drogi, na kładce przerzuconej pomiędzy nasypami na ulicach Sobieskiego i Chrobrego. Wagony towarowe przemieszczały się z hukiem i zgrzytem, toteż mężczyźni stali bardzo blisko siebie, patrząc w kierunku czoła składu.

– Jak przygotowania do naszej akcji? – spytał mężczyzna w kapeluszu.

- Perła gotyku niedługo zmieni oblicze – uspokoił go dobrze zbudowany mężczyzna o jasnych włosach.
- Musimy trochę niektórych przytemperować.
- Jak?
- Kapelusznik ruszył w stronę ulicy Chrobrego.
- Dostownie.
- Blondyn skinął, po czym mężczyźni rozplynęli się w mroku.

## 24

Oddział Kliniczny Chirurgii Szczękowo-Twarzowej mieścił się na czwartym piętrze Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego imienia Ludwika Rydygiera. Położony wśród zieleni osiedla Bielany powracającym do zdrowia zapewniał spokój i ukojenie, a tym, którzy o zdrowie i życie walczyli – ciszę.

– A ty skąd się wzięłeś? – spytał aspirant Tomasz Żółtko, ale w jego głosie nie było cienia zdziwienia.

– Bocian mnie przyniósł – odparł z szelmowskim uśmiechem podkomisarz Leon Brodzki, po czym uściśli się po męsku i po męsku klepnęli się w plecy. Był to taki synonim pocałunku w policzek lub czoło.

– Myślałem, że cię nie wypuszczą.

– Uwierz mi, oni też tak myśleli.

– Mauer, co? – spytał Żółtko, a Brodzki skinął mu jak kolega z okopu. Zdążyli przecież zjeść beczkę soli i doskonale potrafili lawirować pomiędzy spojrzzeniami i półsłówkami. Tak to już jest, gdy ludzie uratują sobie życie kilka razy.

– Gotowy na spotkanie z zombie? – Brodzki skinął Tomkowi, po czym uchylił przeszkłone drzwi i weszli do sali numer trzy.

Na łóżku przy oknie leżał podpięty do respiratora sierżant Jacek Nowak. Maszyny pompujące w niego życie słycać było już od drzwi i od drzwi widok Nowaka był smutny i wstrząsający. Kiedy zbliżyli się do łóżka, wrażenie to się zwielokrotniło.

– Dobrze, że nie stracił głowy – zażartował Brodzki, ale jego usta

nie złożyły się do uśmiechu. Szanował każdego gliniarza, który przykłada się do swojej pracy, nawet jeśli tą pracą byłoby wystawianie mandatów za źle zaparkowane meleksy. Nowak jednak zrobił coś więcej. Kiedy Leon Brodzki szukał w ubiegłym tygodniu swojej córki, to właśnie Jacek Nowak, chłopak z Bydgoskiego Przedmieścia, „król blankietów”, jak go nazywali, wpadł na trop Człowieka w Kapeluszu. Za swoje poszukiwania przyszło mu zapłacić wysoką cenę. Takie dyżury w pracy nie bez powodu nazywali „cementarną zmianą” czy też, jak Adam Jacyk, „Podróżą do Krainy Duchów”.

– Od wielu lat pracuję w szpitalu i jedno wam powiem, panowie. – Stała koło nich doktor Natalia Kaklińska. Brodzki zawsze jej ufał, była dobrą lekarką, z powołaniem. To ona odratowała dziecko z napisem „Brodzki jest winny” na plecach. – Im pacjent zdrowszy, tym bardziej zwraca głowę. Dlatego nie zwracam uwagi na zgłoszenia z sali.

– Nowak raczej do pani nie wydzwaniał... – Tomek stał z nosem spuszczonej na kwintę i przeżuwał w sobie złość. Złość na nieuchwytnego sprawcę.

– Dlatego wiem, że jego stan jest poważny.

– Jak bardzo poważny? – spytał Leon.

Kaklińska odpowiedziała jak z automatu:

– Bardzo. Stracił sporo krwi, miał przeciętą tętnicę szyjną, uszkodzone struny głosowe – wyliczała. – Nie wiem, jak udało mu się wezwać karetkę. Kiedy załoga przyjechała, nie oddychał.

– Jak długo? – Brodzki chciał znać szczegóły. Tomek westchnął i wyszedł na korytarz.

– Sądząc po poziomie tlenu we krwi, około trzech minut – odparła, odprowadzając aspiranta wzrokiem. – Ale przeżył. Czy zawsze musimy się spotykać, kiedy przywożą mi od pana kogoś z niedotlenieniem mózgu?

– Właśnie, co z dziećmi z tamtego zdarzenia?

– Radzi sobie nadspodziewanie dobrze. Okazało się, że nie ma uszkodzeń mózgu, które zakładaliśmy.

– Czyli jednak jest szansa na Nobla z fizyki?



Kaklińska nie odpowiedziała. Poprawiła stetoskop na szyi i wyszła, mijając Żótkę w drzwiach.

– Widziałem młodego. – Miał na myśli dziecko, o którym rozmawiał Leon. – Sam jak palec.

– Ty zaczęłaś od uratowania dziecka. Ja od złapania mordercy. Aż się boję, na czym obaj skończymy.

– Na stole sekcyjnym – uśmiechnął się ponuro Żótko.

Obaj spojrzeli teraz na Nowaka.

– Nasze tropy: Laczu, Alf, Młot. Wszyscy trzymali się z Elfem, ale z różnych powodów nigdy nie zeznawali. I jeszcze taka babka. Waliniakowa, mieszka przy Bema 18. Znała mojego ojca. Chyba coś wie, pracowała w MO.

– Co wiemy o naszym Fantomasie?

– Nikt nie wie, jak wygląda.

– Nikt oprócz Nowaka. – Żótko spojrział na śpiącego człowieka o orlim nosie i szeroko osadzonych oczach. – Obudź się, partnerze. Powiedz nam, co widziałeś. Gdybyś tylko mógł...

– Ułatwiłoby nam to sprawę, ale słyszałem, co mówiła pani doktor.

– Słowa Brodzkiego brzmiały jak wyrok. – Musimy bazować na tym, co mamy. Elfa nie ma na zdjęciach. Nie ma go w bazach. Jedyne, co było, przypadło wraz z Maksem.

– Halicki obiecał go odnaleźć.

– Chciałbym w to wierzyć.

– Co jeszcze wiemy?

– Jest zorganizowany, schludny, nie zostawia po sobie dowodów. Zna dobrze teren, ale jest mobilny.

– Czy zgodnie z charakterystyką przestępców zorganizowanych ma wyższe wykształcenie i luksusowe auto?

– Wiedzę zdobył dzięki doświadczeniu. A auto... – Brodzki się zamyślił. – Nie sądzę. Prędzej obstawiałbym oldtimera. Coś z charakterem. Jak ten kapelusz.

– Jak wygląda twój układ z Mauerem?

– Jeśli złapiemy kogoś ze współpracowników Elfa, odstawiamy go do sądu, gdzie zostanie przesłuchany.

– Miałem na myśli twoją sytuację. Jesteś czysty? Sąd cię uniewinni?

– Żartujesz? – zachnął się Brodzki. – Nie zdziwię się, jak prokurator będzie miał problem z napisaniem aktu oskarżenia, bo wie, że to jest nagonka na mnie i tyle. Każda firma ma jednak swoje sposoby, żeby osiągnąć zamierzony cel. Dziwię się, że nie wjechało do nas jeszcze Biuro Spraw Wewnętrznych. Nieudacznicy, którzy nie mają pojęcia, co się dzieje na pierwszej linii. W kółko jest podpierdalanie, żeby gliniarza na czymś złapać. Sędzina dwa lata rozpatruje wyłudzenie dwustu złotych odszkodowania... Jednocześnie ta sama sędzina w dwa tygodnie wypuszcza gości, którzy skatowali i niemal zabili strażnika miejskiego, dostają tylko dozór. Śmiech na sali. Śmiech i echo. Mam nadzieję, że nigdy nie trafię na tę salę sądową.

– To jak zamierzasz ich przekonać, że nie ty zabiłeś Kosmę w areszcie?

– Znajdując faceta, który się przyzna, że sam to zrobił.

– Że też na to nie wpadłem, Brodzki. – Aspirant ruszył w stronę wyjścia, mamrocząc coś pod nosem w stylu emerytowanego szachisty. I dodał: – Jedźmy na komendę. Czekają tam na ciebie odznaka i broń. Oraz twoje dwa ulubione wynalazki: służbowa komórka i auto. W telefonie pierwszy numer masz do mnie. Wystarczy, że wciśniesz „jeden”. Ma gumowe klawisze. Tak jak lubisz. *Oldschool*.

Brodzki zmusił się do uśmiechu. Obaj wiedzieli, że nie przepada ani ze telefonami, ani za wozami. Komórek nie lubił, bo dzwoniły po nocy. A aut – bo ciągle je rozbijał.

## 25

Hotel spał, kiedy Berenika dotarła na ulicę Mostową 17. Minęła śpiącego recepcjonistę, świecący globus na blacie i skierowała się w stronę schodów. Wspiąwszy się na pierwsze piętro, przystanąła zaintrygowana dudniącymi z głębi korytarza głosami. Była to ta sama para nestorów, którą widziała w dniu zameldowania.

– Można powiedzieć, że traktuję cię jak powietrze, bo nie mogę bez ciebie żyć!

– Ja ci dam, łachudro! – Babcia trzasnęła dziadka ścierką jak pejczem. – Masz szczęście, że dokończyłeś ten froter.

– Sama powtarzasz Izabelo, że porządek musi być wszędzie. Wszy na głowie, ale w rzędzie.

– I tylko dlatego jakoś to wygląda – zauważyła, a gdy senior stanął dumny jak paw, dodała: – Jakoś to wygląda, bo słuchasz moich rad!

I poszli w głąb korytarza, tocząc się jak dwie kule do kręgli.

„Gdzie są tacy ludzie” – spytała w myślach Berenika i postąpiła ku pokojowi numer 17. Za każdym razem, kiedy szła, czuła, jak podłoga skrzypi. Właściwie skrzypiał cały hotel. Miał swoją mechanikę dnia i mechanikę nocy, kołysząc się po zmierzchu jak drzewo. „Ile dzieci tu spłodzono” – myślała, mijając kolejne pokoje. „Ilu zamordowano? Wierzę, że ściany przejmują energię ludzi. Jest coś w tych murach”.

Gdy zasnęła, na ekran leżącego wyświetlaczem do góry telefonu komórkowego spłynęła wiadomość.

*SMS*

*Od: Anna Tekla*

*Do: Berenika Vesper*

*12/09/2016 02:45*

*Brodzki na wolności.*

**12 WRZEŚNIA 2016**

TUJE SIĘ NIE KOŁYSAŁY, inaczej niż w dniu pogrzebu. Być może dlatego, że, jak przypuszczał, ich wierzchołki wskazują swoim ruchem, w którą stronę ulatuje dusza, ale potem, gdy krypta jest zamknięta, już tylko wrastają w ziemię i rozsadzają płytę od spodu.

Było po godzinie siódmej rano, kiedy w poniedziałek, 12 września 2016 roku, stał w cieniu tych drzew, spoglądając na rodzinny grób Brodzkich. To tu w ubiegłym tygodniu pochowano jego ojca, tu też spoczywała jego matka. Kwiatów nie kupił, bo żadnych nie lubił, a najbardziej konwalii, które kojarzyły mu się z matką. Ale ucieszył go widok bukietów. Nie znał ich nazw. Wiedział tylko, że są świeże.

– Długo nie postoją – dobiegł go głos pracownika porządkującego nekropolię. Jego czerwona, kwadratowa twarz osadzona była na krótkiej szyi. – Niedługo zetną całą alejkę, bo czekać tylko, aż coś rodzinę Brodzkich rozsadzi od środka. Niech pan zapamięta numer alejki, bo pan potem nie trafi. Gdy pan za rok przyjdzie...

Pamiętał go. Przewrotność losu polegała na tym, że mężczyzna kopał ten grób wspólnie z ojcem, też grabarzem.

– Jak zdrowie ojca? Dalej na cmentarzu?

– Tak, dalej.

– A więc zdrowie wciąż dopisuje.

– Przestało. Jest na cmentarzu, ale pod ziemią. Zmarło mu się.

Mężczyźni przytaknęli jak ci, co właśnie zostali głowami swoich rodów. Niepostrzeżenie przeskakującymi z ról ojców do – lada chwila – ról dziadków.

Leonowi jednak w tej sztafecie pokoleń wcale się nie spieszyło. Śmierć ojca, owszem, go zabolą, ale jeszcze bardziej odczuł potrzebę wyjaśnienia pewnych spraw, zadania pytań. Teraz już nie mógł liczyć na odpowiedzi, musiał ich poszukać sam. I to było najgorsze. Że w tych trudnych chwilach dobry glińiarz zostaje sam. Że ci, co go klepali po plecach, udają, że go nie ma. Że media skazują policjantów za wiele rzeczy, zanim zacznie się proces.

Nie przeżegnał się na odchodne. Wyszeptał jedynie coś pod nosem, ale grabarz tych słów nie dosłyszał dość wyraźnie. Zdało mu się jednak, że było w nich jakieś przekleństwo.

Leon Brodzki ruszył aleją, licząc numery kwater biegnące od asfaltowej uliczki na Centralnym Cmentarzu Komunalnym przy Grudziądzkiej 192. Gdy doszedł do krzyża przy wzniesieniu, zdało mu się, że jakaś postać w oddali przemknęła między nagrobkami. Przysięgłby, że miała na sobie czerwony płaszcz przeciwdeszczowy i że gdzieś już ją widział.

## 2

– Myślałem, że siedzisz w karczmie „Pod Kotwicą” i walisz głową o blat – rzucił na przywitanie Brodzki.

– Robię research. Dasz wiarę, że splądrowano szwalnię stringów? – Marek Bener wskazał na szczupłą studentkę, której pasek majtek wystawał znad biodrówek i wżynał się między pośladki. Brodzki usiadł na krześle obok i podali sobie ręce.

Bar „Panda” przy Mickiewicza 8 znany był z dwóch rzeczy: niskich cen oraz cen, które są niskie. Osiem osiemdziesiąt za schabowego z ziemniakami i surówką było solidną kartą przetargową i prawdopodobnie dlatego w akademikach po drugiej stronie ulicy krążyły legendy, jakoby nazwa lokalu wzięła się nie od – skądinąd sympatycznego – drapieżnego misia w kolorze ciasteczek Oreo, ale od frazy „pan da z surówką”.

Lokal był mały. Sześć stolików, błękitne ściany, lodówka i półeczka z „wydawką”. Na „sali” pachniało kuchnią – głównie olejem i przysmażoną bułką tartą.

– Słyszałem, że wyptynałeś, ale nie byłem pewien, czy się odezwiesz. Witaj w świecie wolnych ludzi, niewolniku.

– Skąd wiedziałeś, że jestem? – Detektyw zachowywał czujność. Od jego wyjścia nie upłynęło nawet dwanaście godzin. Poruszał się taksówkami albo samochodem.

– Nasłuchuję echa Torunia – zaśmiał się Bener, przeżuając

schabowego. – Ktoś cię widział w nocy na mieście.

Detektyw przysięgłby, że bacznie się rozglądał, kilka razy zmieniał drogę.

– Kto mnie widział? – spytał, ale Bener nie odpowiedział, więc szybkim ruchem zabrał mu talerz. Wziął kęs. – Najlepsze. Nie to co te podeszwy na stypach. Najlepszy schabowy, jakiego jadłem o ósmej rano.

– A bo ja wiem? Zastyszałem po prostu. – Bener na powrót przysunął talerz i kontynuował konsumpcję, skupiając się na tym bardziej niż przeciętny klient baru mlecznego.

„Bzdura – pomyślał policjant – dobrze wiesz kto”. I się oparł.

– A więc miasto wie.

– I nawet wiem kto konkretnie. Piękny Lolo z telewizji lokalnej smaży materiał o tobie. Prikaz z góry znaczy, podobno. Ale bez ciśnienia, po prostu chłopak chce zabłysnąć. Wiesz, jak się postara, to może w sztabie wyborczym się znajdzie. A potem zostanie specem od wizerunku? I wejdzie do zarządu jakiejś spółki...

– Come on, mówisz poważnie?

– W życiu! – Bener pokiwał głową jak naburmuszony ministrant, a potem przytaknął.

– Możesz to wstrzymać?

– Ludzie mieliby nie wiedzieć? Że szeryf... – Pokazał na boki, ale Brodzki pociągnął go za mankiet, żeby nie pajacował. – Że szeryf wrócił na prerie? Po moim trupie.

– Żebyś nie wykrakał.

– Znaczy ich. Ja jestem tylko postańcem... – Odłożył sztućce i przetarł usta chusteczką. – Dobrze, gwiazdko. Myślę, że to załatwię.

– Myślisz czy załatwisz?

– Wiadomości to nie pociski. Można je zatrzymać, ale trwa to dłużej.

– Czasem przypierdalają z równą mocą. Liczę na ciebie.

– Co się dzieje? – spytał Bener i Brodzki wiedział, że jest to pytanie z innej półki. Tej z napisem „sprawy na serio”.

– Jak ja lubię jeść! – krzyknął przy sąsiednim stoliku człowiek

o gąbczastej twarzy. Zjadał podwójną porcję wątróbki. Brodzki i Bener spojrzeli na siebie, pytanie dziennikarza zawisło w powietrzu.

– Jak p-p-panu smakuje? – spytał rosły kucharz, nadchodząc z zaplecza. Patrząc na amatora wątróbki, postawił Brodzkiemu kufel piwa. – Na nasz koszt, panie władzo.

– Nie będę przeklinać – odparł kucharzowi gąbczasty.

– M-m-my lubimy na Bydgoskim, śmiało! – zachęcał go dryblas.

– Zajebiste! – potwierdził z pewnością godną ambasadora przewodnika Michelin.

– I t-t-to się ceni! – podziękował kucharz i zabrał puste naczynia ze stołu obok. Odchodząc, spojrzął przelotnie na Leona i zniknął na zapleczu.

– Więc jak? – Bener rozejrzał się jak szpieg. – Co się dzieje?

Brodzki spuścił wzrok. Miał odpowiedzieć, ale coś przykuło jego uwagę. Na dnie kufła, pod złocistą cieczą przyklejona była karteczka. Było na niej napisane: „Na zapleczu”. Leon uśmiechnął się i rzucił pod nosem.

– Jak za starych czasów...

– Co? – Bener nie dosłyszał.

– Jeszcze nie wiem, Marek. Ale coś pierdolnie.

– Zawsze tak mówisz.

– I zawsze mam rację.

– Jakaś małolata z Warszawy lata po mieście i węszy. – Dziennikarz wstał od stołu i schował notes do kieszeni. – Masz być gwiazdą reportażu. Nie za dobrze ci?

– Spotkasz ją, to kup jej loda i powiedz, żeby wracała do mamy. Dokąd lecisz?

– Jebana Starówka piernikówka. Wiesz, rąsia, buźka, kłapa, goździk. Jakaś pielgrzymka przyjechała. Na łączach. – Bener, żegnając się, wykonał gest symbolizujący przykładanie telefonu do ucha.

Gdy zniknął za drzwiami, Brodzki ruszył na zaplecze. Na jego widok kucharka z falującymi w za dużym staniku piersiami posłała mu bezzębny uśmiech i zawołała w kierunku kuchni: – Młot! Klejent!



– A b-b-bo ja wiem, co to za jeden? – Młot próbował się tłumaczyć ze swojej podejrzliwości, gdy zapalili na zapleczu. Rosły kucharz o kwadratowej szczęce i azerskich rysach zaciągał się czerwonym chesterfieldem.

– Dziennikarz – odkaslnął Brodzki. Nawet dla jego miechów były to za mocne diesle.

– Tym b-b-bardziej. – W wypuszczanych między kłębam dymu sylabach słycać było wrodzoną podejrzliwość Młota.

Brodzki rzucił okiem na jego osobliwe nakrycie głowy. Ni kepi, ni czako, a w rzeczywistości po prostu czapka kucharska. Niestety, Młot niemal dotykał sufitu głową, w związku z tym czapka uległa sprasowaniu, zgarniając przy okazji co większe pajęczyny.

– Ten jest w porządku – zapewnił Brodzki, markując, że się zaciąga.

– W k-k-k... – Młot się irytował, że nie może wypowiedzieć słowa. Brodzki pokazał mu, żeby się nie spieszył. – W każdym razie. Pytali o pana.

– Kto.

– Dwa takie oh-h-h... Ohajuny.

– Z Ohio?

– No z g-g-gadki to Ohio. Albo z „K-k-kozaków”.

„Ohajuny i Kozaki” – myślał Brodzki. Te etniczne pseudonimy od pokoleń zobowiązywały do wytężonej pracy na rzecz łamania prawa. A on nie zwykł przymykać oczu na takie praktyki.

– Dzięki, Młot. A Lacza widziałeś?

– Ostatni raz, jak dz-dz-dz-wonił łańcuchami, k-k-kiedy żem za nogi go t-t-trzymał na dachu Polmozbytu przy P-p-poznańskiej. – Śmiech Młota przypominał uderzenia kilofu. – W-w-wozi po dziewczynach, ale uważa na ogon. Bywa u A-a-alfa, pod K-k-krzywą Wieżą.

– Czym ostatnio Laczu jeździł?

– Jakimś v-v-volkswagenem.

– Co jeszcze mówią na mieście?

– Słyszałem rozmowę o w-w-wyroku wykonanym przez m-m-m... – Nie mógł dokończyć. Brodzki zachował spokój, dając rozmówcy czas, ale nie tylko jąkanie powstrzymywało Młota. On po prostu się bał. – Przez mafię. Podobno wrócił Elf.

– Jak on teraz wygląda?

– N-n-nikt nie wie.

– Dzięki, Młot. – Uścisnął mu rękę. – A kotlety po prostu bajka.

– Tymi łapami t-t-tukłem – odparł, wtykając krótki, dymiący filtr w zęby. Zawsze palił pod filtr, do kwaśnego posmaku w ustach.

Brodzki spojrział na ręce kucharza, zamarkował przybicie piątki – i wyszedł. Wiedział dobrze, kogo i co Młot sprzął tymi sękatymi dłońmi w przeszłości. Wiedział również, jaki koszmarny wypadek sprawił, że po pęknięciu czaszki Młot częściowo stracił pamięć. Pseudonimy mają często bolesną genezę.

#### 4

*Z bazy zaginionych:*

Sprawa nr 00–0329

Patryk Herzynowski

Aktualny wiek: 86 lata

Data zaginięcia: 1999/12/01

Wiek w dniu zaginięcia: 70 lat

Wzrost: 180 cm

Kolor oczu: niebieskie

Znaki szczególne: narośl przy lewym uchu

Ostatnie miejsce pobytu: Włocławek

Kraj: Polska

#### 5

Tuż po wyjściu z „Pandy” Bener wykonał telefon do zaprzyjaźnionego reportera.

– Słuchaj, Lolo, mam propozycję – zaczął Bener. Nie za bardzo uśmiechało mu się wtrącać w sprawy Brodzkiego, ale ostatecznie byli kumplami. Wybór między dziennikarską bracią, a kimś ze służb nigdy nie jest łatwy. Z jednymi jedzie się na tym samym wózku, ale drudzy dają do niego informacyjne paliwo. – Dam ci lepsze mięso, jak wstrzymasz to o Brodzkim. – I ugryźł się w język. Sam w życiu by na taką propozycję nie przystał. Nawet gdyby w zamian dostał harem hawajskich dziewczyn. Była to jedna z tych znajomości, jakie inaczej wyglądają na zewnątrz, a inaczej w rzeczywistości. Ta, na którą składają się setki wspólnych konferencji prasowych, dziesiątki rozmów na papierosie i lektury wielu materiałów kolegi po piórze, z których jedne były soczyste, a inne mdłe jak resztki szpitalnego obiadu w sitku zlewu.

– Żartujesz? – spytał Lolo tonem à la niewierny Tomasz. Jego głos był energiczny, wśród widzów słychać z tego, że mówił bardzo szybko. – Ja z tym materiałem wjadę na CNN-a, panie!

– Mam lepszą rzecz. – Bener się zapowietrzył. „Co by tu wymyślić?” I dodał, zaciskając oczy, jak przy najbardziej żenującej scenie w życiu: – Przetargi na radiowozy?

– Z czym do ludzi, panie?! – zaśmiał się Lolo. Mówiąc „panie”, parodiował mowę przekupek z rynku. – No panie, jakże to, hola?

– To może profesor UMK donoszący na swojego promotora do UB? – Bener szył jak najlepszy tapicer. Nici tego kłamstwa były tak grube, że dałoby się z nich wydziergać spadochron.

– To już brzmi lepiej. – Chwyć! – A ten profesor jeszcze pracuje na uczelni?

– Tak – skłamał Bener.

– Ale czemu nie Brodzki?

– Bo cię o to proszę, Lolo.

Bener usłyszał w słuchawce westchnięcie człowieka, który punkt szesnasta miał nadzieję wyjść z pracy, ale dostał maila.

– Dobra. Ale pamiętaj. Jak nie przyjdiesz o czternastej, czerwony przycisk i idzie na wizję.

– Dzięki, Lolo.

– Zgodziłem się tylko dlatego, że jesteś jednym z ostatnich ludzi, w których uczciwość wierzę. – I się rozłączył.

„No – pomyślał Bener – to se wystawisz wiarę na niezłą próbę, panie”.

## 6

– Nie ucz mnie roboty, Brodzki. Znam policję na wylot.

– Tak. Bo za często napierdalasz dziurkaczem, Halicki.

Halicki nie spuszczał wzroku z czubka papierosa. Dym camela w kawiarni „Queensland Café” był równie gęsty, co atmosfera niedomówień pomiędzy byłymi przyjaciółmi – komendantem i jego najlepszym detektywem. Żar, rozpalający się falowo, był jak czerwona latarnia tej rozmowy, jak sygnał wysyłany z orbity przez nieuchronnie spadającą stację kosmiczną. Spadającą prosto na niebieski budynek komendy w Śródmieściu.

Leon Brodzki długo przygotowywał się do tej rozmowy. Zaczął ją układać dokładnie wtedy, gdy – w obiektywach kamer i w obecności Halickiego – zakuto go w kajdanki. Był to moment, w którym przewartościował trzydzieści lat zawodowej znajomości i prawda trzasnęła go w oczy jak bicz. Bicz bowiem, jak ustalili naukowcy, podczas trzaskania pokonuje prędkość dźwięku. Stąd jego odgłos. W zapomnienie poszły tysiące dni spędzonych w jednym radiowozie, na jednym posterunku, na akcjach, naradach, a nawet na wódce. Jak to możliwe?

Ludzie już tak mają, że snują w głowach różne opowieści. Te o przyjaźni, te o pracy, te o małżeństwie. Są ich bohaterami, a bieg wydarzeń, jak linia łącząca kropki, układa się w epicką podróż życia: co z tym zrobisz i co wybierzesz – tyle będziesz miał. Ilekroć ktoś wtenczas spyta, odpowiadamy: „to jest to”. Istnieje o tyle, o ile istnieje nasza niepodważalna wiara w świat aksjologii. Wierzmy, że przyjaciel nie sygnie. Wierzmy, że żona nie zdradzi. Że w pracy się realizujemy. I oto jedno wydarzenie, jedno „mgnienie” – jak to nazywał Leon – przewraca te ustawione na tacy kieliszki. Kaleczymy

się, hałas jest nieznośny, po wszystkim zostaje bałagan, a szkło nie jest ani do połowy pełne, ani puste. Jest rozbite.

Tak się właśnie stało z nim i komendantem Gromosławem Halickim. Wystarczyło kilka dni, żmudne śledztwo prowadzące do przeszłości, żeby ten pocieszny, łysawy mężczyzna, który jedząc, składa usta w dziubek, wiecznie zakatarzony, poczciwy, lubiący tulić żonę przed zaśnięciem, że ten właśnie Gromek, jak go wspomniana małżonka nazywa, że ten właśnie Gromek jest ostatnią gnidą. I choć wiele wody upłynęło, to nic się nie zmieniło. Leon nie miał twardych dowodów, ale ciąg wydarzeń łączący kropki, czyli liczne poszlaki, śmierć jego ojca, wszystko to obnażało mierność Halickiego – słabeusza, niewolnika mamony. W zasadzie obaj przechodzili swoistą metamorfozę: Brodzki z bohatera w antybohatera, a Gromek z człowieka poczciwego w śliskiego śledzia.

Detektyw nawet nie chciał myśleć, w co się wpakował jego kumpel.

– W co ty się wpierdoliłeś, człowieku? I w co próbowałeś wpierdolić mnie?

– Na jakim, ty, kurwa, świecie żyjesz, Brodzki? Przeleżałeś trzy dekady pod lodem? Obudź się. – Komendant spokojnie kontrolował tempo utleniania się jego camela.

– To raczej ty w końcu otwórz oczy. Jesteś złym, zgniłym jak stopa trędowatego dziadem.

Dym zawisł teraz w przestrzeni lokalu i nie poruszał się w żadną stronę. Sala była słabo doświetlona, a ciemne ściany i brązowe obicia foteli dodawały miejscu uroku opuszczonych hoteli. Znajdowali się na pierwszym piętrze kamienicy, której okna wychodziły na pomnik Mikołaja Kopernika. Był to jedyny lokal na starówce, w którym można było kopcić do woli. A oni obaj właśnie puszczały z dymem swoją wspólną przeszłość.

– Ta twoja świętojeblliwość w końcu wpędzi cię do grobu, Brodzki. Nastaly nowe czasy, ale ty nie chciałeś się dopasować, nigdy ci to nie odpowiadało, Brodzki.

– A co mi miało odpowiadać? Że polskie służby są jak ruscy, co dresy zamienili na garnitury? Kiedyś w fabryce była elita. Jak można

było tak spierdolić przepisy, warunki pracy? Jak można, do ciężkiej kurwy nędzy, dopuścić, by społeczeństwo pluło dziś na mundur i by policjanci zarabiali ochłapy. Tylko że ciebie to jebie, tobie emerytury nikt nie zabierze, bo odłożyłeś sobie swoją działkę. Przecież złota zasada mówi, żeby nie macać się z kryminałem, bo można się nim zarazić jak kiłą. Kurwa, Halicki... – Brodzki złapał się za głowę, po czym rąbnął pięściami o blat. – To jest służba. Nie praca w budowlance. Służba!

– To nie tak, Brodzki.

– Zawsze, gdy ktoś mi mówi „nie tak”, mam ochotę mu powiedzieć, żeby położył głowę na torach i policzył szczeble w podkładzie.

– Głupi jesteś. I narwany. Jakbyś ciągle był po akademii. Może tego nie pamiętasz, ale mieliśmy na ulicach terror nazi-skinów. Kto miał się nimi zająć? Myślisz, że nie było więcej problemów na głowie? Policja to była milicja. Wojsko to była wódka w kieszeni. A służba zdrowia – tramal pod językiem. Wszędzie patola na patoli. Z tysymi zaczęło się jeszcze w osiemdziesiątych. Na początku tylko świecili łbami. Po upadku muru berlińskiego zaczęli wprost hajlować. Pewnie tego nie pamiętasz, gwiazdo, ale gdy były imprezy takie jak „Kręcioła” Owsiaaka, przyjechali łysi i rozpędzili wszystkich, jak chcieli. Policja nie była przygotowana. Ktoś musiał się tym zająć. Przyszedł Elf i powiedział: „Panowie, ja to posprzątam”. To była decyzja polityczna. A machloje? Kolesie, co w dziewięćdziesiątym pierwszym sprzedawali skarpety z poloneza, rok później otwierali disco? Nie było szans, żeby nad tym zapanować, kiedy w Sejmie miałeś, kurwa, Polską Partię Przyjaciół Piwa. Polacy oblali test z demokracji, dostali pizdę z zachowania i naganę do dzienniczka. Potrzeba była kija, który ma dwa końce. My trzymaliśmy jeden, a Elf czy Tato drugi. Gwarantuję ci, że gdyby nie oni, miałbyś dziś o połowę więcej zajętych kwater na toruńskich cmentarzach.

– Chcesz mi powiedzieć, że wcześniej byliście święci? Ty i mój stary?

– Nie mów źle o Franku. Akurat o nim i o cmentarzach powinienes

zamilknąć po tym, jak nie pozwoliłeś na salwę honorową.

– Wiesz, że to wojewódzki decydował.

– A ty bardzo chcesz zająć jego miejsce, co? Powiem ci coś. Znajdę tego skurwysyna, przez którego wylądowałem w celi. Znajdę go i pociągnę na dno. Może nawet trzeba spalić to wszystko i zaorać. Ciebie, komendę, postkomunistyczne układziki w urzędach. Zaorać i zacząć od nowa, dać działać młodym. Ja mam dość, ale spasuję dopiero wtedy, kiedy dokopię się do samego dna tego szlamu. Znajdę korek i wszystko spuszcze w kiblu. Przygotuj się na podróż życia.

## 7

Żółtko dobrze pamiętał budynek mieszkalny przy Bema 18. Punktowiec piął się niedaleko cmentarza Świętego Jerzego i hali, w której znalazł noworodka. Z tłumu, jaki zebrał się wówczas na miejscu zdarzenia, zapamiętał tajemniczą kobietą o twarzy zasłoniętej woalką. To ona zasugerowała, gdzie policja powinna szukać. Tomek nazwał ją wtedy w myślach Kobieta w Czerni.

Na drzwiach mieszkania na dwunastym piętrze tabliczka mówiła co innego: Waliniak Hanna.

– Pani pracowała w milicji, prawda? – zaczął, gdy na kaczkowatych nogach weszła do salonu. Idąc, dzwoniła tacą z ciastkami maślanymi i łyżeczkami. – Dziękuję, nie trzeba było.

W powietrzu mieszały się zapachy filcu, weluru, grubych tapet i wełny oraz aromat szarego mydła i rumiankowego szamponu do włosów.

Kobieta poprawiła czarną spódnicę w haftowane róże i usiadła naprzeciw. Żółtko miał problem ze skupieniem wzroku, jak każdy, kto patrzy w twarz, która ma zakryte oczy.

– Pamiętam pana.

– Tak, rozmawialiśmy, kiedy...

– Cukrzy? Czaju się napije, póki ciepłe – przerwała swoim chropowatym głosem, wskazując na filiżankę w czerwone róże. –

Mam różne cukry, zbieram wszędzie. Niech wybiera. – Tu pokazała na puzderko z zatkniętymi saszetkami różnych kolorów.

– Jak coś słodkiego mam do herbaty, to nie słodzę – rzekł, chwytając za ciastko. Musiało pochodzić z epoki kamienia. „Ten niewinny ton wnuczka” – myślał Żółtko. Bo istotnie, balansował pomiędzy rolami stróża prawa i miłego harcerza z sąsiedztwa. Poprawił się teraz na krześle, a kobieta dodała:

– Może i prawda. Tak, pracowałam. Od siedemdziesiątego do dziewięćdziesiątego pierwszego.

Okna salonu wychodziły na Chełmionkę po lewej i Osiedle Młodych po prawej stronie. Pozostałe trzy ściany zajmowało malowidło Modlitwy w Ogrójcu, duża replika ręcznego zegarka i mahoniowy kredens ze szkłem. Zapachy domu Tomkowi nie przeszkadzały. Był przyzwyczajony do podobnych – wychowali go przecież dziadkowie.

Problem stanowił natomiast twardy tyłek, i to nie ten metaforyczny, ale prawdziwy. W siedzisko wżynało się Żółtce wiekowe krzesło, jakiś fameg sprzed półwiecza. Jedna nóżka była krótsza i dla utrzymania poziomu podpierał się nogą.

– Znała pani Franciszka Brodzkiego?

– Syn podobny do niego, nieprawdaż? – Przez chwilę brzmiała jak urocza starsza pani. Zaraz jednak wróciła do swojego chropowatego głosu: – Może i znałam. To było w czasach, jak ogniomistrz Edward Kojtka grywał hejnał na wieży ratusza. Stare czasy. Sekretarką byłam.

– Pamięta pani sprawę Młotkarza z Torunia?

– Może i pamiętam. Może nie. Pamięć jak sito, a dni jak woda – odparła.

„Trudno powiedzieć – myślał Żółtko – ile jest w jej tonie opryskliwości, a ile starości. Wiekowych ludzi ciężko wyczuć. Wszystko zależy od dnia, od ich samopoczucia. A czasem mają taki sposób mówienia, naturalny dla nich, który może się wydawać atakujący, podczas gdy mówią tak, bo mają problemy ze słuchem albo niedomagają.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Próbuję pomóc Leonowi jakoś



poskładać wszystko w całość. Może choć jakiś fragment przychodzi pani do głowy...

– Franek był pierwszy na miejscu – zaczęła, przytykając pomarszczone palce do skroni. – Za każdym razem, bo trzy te młotki były, trzy kobiety. W Dolinie Marzeń, jak sięgam pamięcią, przy Włocławskiej i gdzieś na północy miasta. On to rozpracowywał, cała komenda nie spała tygodniami. Daliśmy ogłoszenie w prasie, ludzie się zgłaszali. Tak jakoś tak to było.

– Dlaczego nie złapaliście sprawcy?

– Przecież siedzi ten cały Leszek, nie? Bestia, mówią na niego, bestia. Wiesz pan, że to słowo jest od legend słowiańskich? Ludzie mówili tak na rzeczy nie do pojęcia. Nie wiem, czy to on, czy nie on. A pan jak myśli?

– A co z metodami śledczymi? Nie było sposobów, wzorów z zagranicy?

– Zachodnie mody śledcze?

– Metody. Metody śledcze – poprawił Żółtko.

– Metody zachodnie – zamyśliła się. – Zachodnie to były może lody włoskie w kawiarni „Pomorzanka” przy Szerokiej. No albo jak przyjechała Miss Świata, Kręglicka Anetka. Tłumy na rynku jak na papieżu, kiedy przemawiała z balkonu ratusza. W „Ludowej”, u Kifera, tu niedaleko, na rogu Bema i Szosy Chełmińskiej też były dobre...

„Cholera, tracę ją” – zreflektował się Tomek.

– Może jeszcze wróćmy do tej sprawy. Pani Waliniakowa... Jak to było z tym Młotkarzem? Były inne ślady?

– Ślady może i były, ale czasu nie było.

– Nie rozumiem.

– No właśnie. Wy, młodzi, i czas. – Machnęła ręką. – Podówczas praca była trudna, ręce pełne krwi, wszystko trzeba było wyszarpać, żeby mieć. I ja sama nieraz jeździłam z naszymi chłopcami na zdarzenia, żeby pomagać z dokumentacją i zbieraniem śladów, kawę też parzyłam, ale nie myśli sobie, że tylko to. Każdy się starał jakoś to poskładać do kupy. Franek też. Nie wiem, czy mogliśmy zrobić

więcej. Ale coś panu... Mam tu pokój bez klamek, wie pan?

„No to babcia się odkleja” – pomyślał Tomek. „Kaplica”.

– Pani Waliniakowa, może proszę się napić herbaty...

– Niech się skupi i nie gada teraz o pierdołach. O tym mówię. – Wskazała na przedpokój. Wstała i ruszyła kaczkowatym chodem w jego kierunku. Żółtko podążył za nią. – Tu spojrzysz.

– Mam spojrzeć... gdzie? – Nie był pewien, w co go wkręca pani starsza, ale bardzo chciał już stamtąd iść.

– Zobaczysz, śmiało. Przez dziurkę.

Spojrzał niechętnie w otwór tuż nad komodą i naraz otworzył oczy ze zdumienia. Ukazała mu się ściana pełna wycinków i czerwonych nici rozpiętych pomiędzy pinezkami.

– Co to jest?! Pani Waliniakowa!

– Panu koledze też o tym wspominałam.

– Komu?

– Brodzkiemu. Pewnie dlatego pana przysłał.

– Co to jest, tam w pokoju?

– Widzisz, młody człowieku. Próbowałam kiedyś zrozumieć komunizm. Ale się poddałam. Został mi po nim, no co, odcinek emerytury, lada tydzień mi pewnie zabiorą, bo w milicji byłam. A co ja z tego komu zrobiłam? Mieszkanie, które w każdej chwili może mi zająć spółdzielnia. I wspomnienia, których wolałabym nie mieć, ale ich akurat nikt mi nie zabierze. A szkoda... Proszę. W tej dziurce może pan zobaczyć oczy Boga. – Zaczęła odsuwać komodę. – Proszę, niech bierze wszystko. Może zrozumie więcej.

Żółtko zabrał się do odsuwania mebli razem z nią, a wtedy złapała go za przegub lewej ręki.

– Ale uważaj. Tam jest śmierć.

Gdy weszli do białego, dawno nieużywanego pokoju, Żółtko przyjrzał się dokumentom z bliska. Wyblakłe kartki nie były ułożone w żadnym porządku, który można byłoby wychwycić na pierwszy rzut oka. Na wszystkich były jednak pieczęcie Milicji Obywatelskiej.

– Wie pani, że to są... dokumenty poufne? To powinno być w IPN-ie. Jak je pani wyniosła z komendy?

- Pufne? – Zaśmiała się jak ludzie, którzy już wszystko widzieli.
- No tak, to jest karalne.
- Wie pan. Ja właściwie... ostatnie dziesięć lat tak właściwie to nic nie robię, tylko stawiam pasjansa. Ale mam też inne wady, jestem złodziejką i bandytą. Mleko sąsiadom kradnę spod drzwi. Dla wapnia, na kości. Jak szyjka biodra pójdzie, to nie ma człowieka. Czaszki w oczach i krzyżyk w sercu. Cukier też czasem zabieram. Bo krzepi. Te papiery to zabrałam, żeby nie przepadło. Bo pan wie, że po osiemdziesiątym dziewiątym to sporo przepadło. Papierów, ludzi.
- Zapewne tak, choć byłem w archiwum kilka razy i znalazłem, czego szukałem.
- A czego pan nie znalazł, bo tego już tam nie było?
- Celna uwaga – zauważył Żółtko i spojrzął na ścianę.
- To niech nie pyskuje, tylko zabiera. Trzymałam to sama nie wiem po co i na co. Wszystko przez cmentarz, ten tu, i trupi zapach. On się od zawsze tu unosi, powietrze truje, do gleby przenika. – Podeszła do Tomka i odsłoniła woalkę. – To miasto stoi nad zatrutą wodą. A teraz idź. – I szturchnęła go palcem w plecy jak dziecko.

## 8

*Autobus na szóstym stanowisku Dworca Autobusowego w Toruniu spóźnił się jedenaście minut, podczas gdy ten na siódmym – trzy. Ze stanowiska piątego wszystkie pojazdy odjechały punktualnie.*

Siedzący na ławce obok okienka Dyżurnego Ruchu mężczyzna w berecie skrętnie odnotował nieściśności w rozkładzie jazdy. Nie różniły się znacząco od tych w Japonii, pomijając fakt, że w całym Kraju Kwitnącej Wiśni osiemnaście minut było łącznym opóźnieniem całego transportu publicznego. W skali roku.

Obserwator odnotował te liczby na rogu poniedziałkowego wydania dziennika „Nowości”, po czym przewrócił stronę.

Toruńscy reporterzy donosili o wstrząsających wydarzeniach z osiedla Wrzosa, gdzie miesiąc temu najpierw zgwałcono

bezdolnego lub samotnego mężczyznę, a później odcięto mu genitalia. Z kolei w związku z innym zabójstwem ujęto nożownika, który grasował na Bydgoskim Przedmieściu. Pisano także o montażu świateł na przejściu dla pieszych przez ulicę Przy Skarpie. 31 sierpnia zginęła tam rowerzystka. Wpadła pod autobus, który włókł ją przez kilkanaście metrów. By wydobyć ciało kobiety, straż musiała podnosić wóz linii numer 23 wysokociśnieniową poduszką pneumatyczną.

– To straszne – powiedział do siebie mężczyzna. – W biały dzień na ścieżce rowerowej, pod kołami. Kobieta w moim wieku, a człowieka nie ma.

Po czym wstał, oderwał zapisany fragment kartki, złożył gazetę na ławce i oddalił się w kierunku ulicy Uniwersyteckiej. Wiatr przewrócił kartki. Na pierwszej stronie widniała data: 12 września 2016 roku.

## 9

Po powrocie na komendę, Żółtko wziął się do intensywnego studiowania papierów. Halickiego tego dnia na komisariacie nie widział.

Dokumenty od Waliniakowej były stertą stenogramów, notatek służbowych i zeznań. Były niekompletne, nieopisane, nienumerowane.

Sprawa Młotkarza z Torunia wstrząsnęła opinią publiczną, kiedy w latach 1984 i 1985 doszło do trzech makabrycznych zbrodni. Policja ujawniła zwłoki kobiet, które zabito w podobny sposób: napadnięto je, gdy szły same w ustronnym miejscu, zaskoczono uderzeniem młotkiem w głowę. Pierwszej ofiary, przy ulicy Włocławskiej, przestępca nie zdążył zgwałcić. Drugą spenetrował po ogłuszeniu, już po tym, jak zmarła. Wcześniej miał się położyć na stygnącym ciele i do niego przytulać. Jednym z podejrzanych był partner drugiej z ofiar, Teresy L. Bawili się razem w hotelu „Kosmos”, gdy opuściła lokal. Jej ciało znaleziono dwieście metrów

dalej, w parku zwanym „Doliną Marzeń”. Milicja na oględzinach zastanawiała się, czyje były to marzenia i o czym.

W 1992 roku zatrzymanego niejakiego Leszka Pękalskiego, który miał w tym okresie przebywać w Toruniu. Wkrótce oskarżono go o szereg zbrodni, a ostatecznie – skazano za jedną. Dziś odbywa karę w Krajowym Ośrodku Zapobiegania Zachowaniom Dysocjalnym w Gostyninie.

Nie minęło pół godziny, kiedy w drzwiach stanął Brodzki.

– Zbieraj się, jedziemy!

– Mam papiery w sprawie Młotkarza.

– Opowiesz po drodze. Zabierz ekwipunek.

Tomek zebrał pospiesznie dokumenty i dogonił detektywa na parkingu.

– Dokąd? – spytał go.

Leon pstryknął dopalonym papierosem przed siebie i otworzył drzwi służbowego opla vectry.

– Na dziewczyny... Jedziemy łąpać Alfa, wiem, gdzie ma melinę. Może zaprowadzi nas do Lacza i zaśpiewają nam w duecie, co wiedzą o szefie. – Brodzki się spieszył. – Opowiadaj, co tam nakradłeś. Jak babcia?

– No więc tak...

– Nie zaczyna się zdania od „no więc”. Konkret Tomek, konkret! – mówił, odpalając auto. Takiego go Żółtko jeszcze nie widział. – No więc?

– Przystudiowałem papiery od Waliniakowej. Ona jest lepsza niż Bogusław Wołoszański.

– Tak myślałem. Miała coś konkretnego czy tylko roczniki „Przeglądu Funeralnego”?

– Leon, ona wyniosła z komendy całe akta! Dlatego Maks tak niewiele znalazł. Interesujące są zwłaszcza zeznania w sprawie Młotkarza.

– Mów! – Brodzki był więcej niż ciekaw. Podczas ostatniej sprawy, nad którą pracował, niespodziewanie wyciągnięto sprawę słynnego Młotkarza. Na miejscu zbrodni Heraklit przyczepił zdjęcia ofiar

zabójstw z 1984 i 1985 roku. Leon nie wiedział jednak, jaki związek miałyby zachodzić między Heraklitem, Elfem i nim samym.

– Wiesz, kto zawsze był pierwszy na miejscu?

– Morderca?

– Cholera, jak cię... A po nim? – Żółtko zawiesił głos i wykonał gest dyrygenta przed finalnym akordem. – Franek.

– Mogło tak być... – Brodzki udał, że nie słyszał imienia swojego ojca. – Co jeszcze?

– Mało konkretów, dlatego tyle się z tym bujali. Nie przesądzam, że pierwszy na miejscu milicjant miałby coś pominąć... Tak czy siak... Jak Pękalskiego złapali, to już nie puścili. Technicznie rzecz biorąc, mieli tylko dowody na zabójstwo tej Sylwii z Darskowa.

– Pamiętam. – Brodzki skręcił z Grudziądzkiej w Szosę Chełmińską.

– Nie zatrzymaliby go, gdyby nie sekretarka, która skojarzyła, że Pękalski już raz kogoś zgwałcił. Też mi fachowcy...

– Tak naprawdę dopiero po roku koleżanka tej Sylwii potwierdziła, że widziała Leszka. – Żółtko trzymał kartki we wszystkich palcach, nie chciał pominąć żadnego szczegółu. – Na moje oko przyjechali do niej i powiedzieli: „Słuchaj, dziewczyno, ten człowiek to bestia, tylko ty możesz pomóc nam go zatrzymać”.

– A jak inaczej? Wszędzie tak robili. To się nazywało wyższą koniecznością. – I zabębnił palcami w kierownicę. – Potem rozpoczął się proces i ruszyło zbieranie dowodów. Licznik zatrzymał się na dziewięćdziesięciu zabójstwach. Popatrz. Gdyby sędzia to klepnął, rozwiązaliby więcej spraw niż przez dekadę. Ale się nie udało. Lesiu nie okazał się Jamesem Bondem.

– W każdym razie Młotkarz z Torunia musiał być kimś innym.

– Myślałem o tym w celi. Że wiesz, tylu jest dookoła zabójców i przestępców. A pomyśl tylko. To są ci, których złapano. A ilu nie złapano? Ilu z nich mijasz na ulicy? Albo zatrzymujesz do kontroli i nawet o tym nie wiesz? Może nawet kiedyś wylegitymowałeś Młotkarza... Na wyobraźnię działają zabójstwa, podczas gdy prawda o zaginięciach byłaby o wiele okrutniejsza.

– Odcisk zębów na ciałach ofiar nie zgadzał się z odciskiem

Pękalskiego. Chociaż, jak go przywieźli tu na rekonstrukcję, chodził, pokazywał... – wyliczał Tomek.

– Podsuń Leszkowi kanapkę, to ci wszystko powie. Jako dzieciak przeżył piekło. Wiesz, że dał szwagrowi kasę na gumową lalkę, a szwagier to przepuścił? No i Leszek się w końcu rozhamował. – Auto dojeżdżało teraz do placu Teatralnego. – Rozumiem jednak, że oprócz tego „mało konkretów” znalazłeś coś konkretnego?

– Przesłuchiwano Elfa, a także Alfa i Młota.

– Wiadomo, milicja chciała wykluczyć chujków z pierwszej linii. Młot ma amnezję i nic nam nie powie, choćby chciał, bo się stara, odkąd dostał zawiasy. A Alfa poznamy za kilka minut.

– Zeznania w zasadzie się pokrywały. Poza jednym szczegółem.

– Jakim?

– Elf zeznawał, że nie znał żadnej z ofiar.

– I co w tym dziwnego?

– Zachowała się notatka służbowa twojego ojca. – Po tych słowach Żółtki Brodzki zatrzymał się z piskiem opon pod Teatrem imienia Wilama Horzycy.

– I?!

– Napisał w niej, że podczas nieformalnego spotkania w radiowozie rozmawiał z pewnym człowiekiem. Człowiek ten zapewnił go, że Elf znał wszystkie trzy kobiety: Ewę P., Teresę L. i Annę J. Obaj byli amatorami kobiet i je sobie upatrzyli. Jedną w hotelu robotniczym, drugą na dancingu w hotelu „Kosmos”, inną w domu towarowym.

– Nie napisał, kto to był? – Brodzki się uspokoił. Oparł się o zagłówek i ścisnął ręce na kierownicy. Żółtko zajrzał do papierów.

– Napisał tylko: mechanik z TransBudu.

– Bardzo, kurwa, konkretnie.

– Czekaj, jest jeszcze druga rzecz. Na wszystkich zdarzeniach, zdaniem Franka, widziano w okolicy to samo auto. – Żółtko znów specjalnie zawiesił głos.

– Kurwa. Mam zrobić odgłos werbli? Mów, do chuja.

– Oldtimera. Miałeś rację, Leon.

– Model?

- Opel astra. Nic wtedy nie znaleźli.
- Czyli mieliśmy dwóch kierowców. Mobilnych i zorganizowanych.
- Brodzki nacisnął guzik otwierania szyb, wyciągnął camela i odpalił.
- Dobra robota.
- Nie ma co, to dopiero początek. – Żółtko ułożył dokumenty na stosik i rzucił na tył auta.
- Dobra robota z tym, że przewertowałeś papiery. Ale to jest warte tyle co kiep pod butem, dopóki nie złapiemy żywych świadków. Pomyślę jednak nad tym, co powiedziałaś. A teraz jazda.
- Co właściwie robimy?
- Jedziemy do „Krainy Duchów”.

## 10

Zaparkowali u zbiegu Kopernika i Pod Krzywą Wieżą. Ciąg kamienic stał vis-à-vis parku „Alpinarium” i ceglanego murku – pozostałości po dawnej gazowni. Ten areał wpisywał się w charakterystyczną tendencję: im dalej od centrum Starego Miasta, tym więcej brudu i „elementu”. Dlatego, zgodnie z siłą odśrodkową, zachodnie obrzeża Starówki zaludniali bezdomni. W ciepłe dni wylegiwali się w parku przy placu Rapackiego, przy Dolinie Marzeń lub w „Alpinarium”. Ci z groszem przy duszy lądowali w pubie „U Kaduka”, działającym tu od lat trzydziestych. Choć sporo się nad tym głowiono, nikt w ratuszu nie potrafił zrozumieć, jakim cudem ten lokal, w którym w powietrzu można zawiesić siekierę, rok w rok znajduje się na czele klasyfikacji konkursu „Markowy Lokal Torunia”. Najwidoczniej brać piwna udzielała temu miejscu silnego wsparcia

Kilkanaście metrów dalej mieściła się kamienica z wdzięczną czerwoną naklejką „DZWONEK” nad drzwiami wejściowymi. Zaglądał do niej każdy, komu bliskie były uciechy ciała, a niestraszny tryper.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – spytał Tomek, kiedy Brodzki na ulicy przeładował broń. – Masz zamiar najpierw zadzwonić czy wolisz od razu dostać kulkę w głowę? Tam w środku na bank siedzi białoruska mafia. Zróbmy najpierw rozpoznanie, rozpytajmy, kogo



trzeba.

– Już rozpytałem, kogo trzeba. Młot mi powiedział, że tu znajdę Alfa.

– Nie podoba mi się to.

– Spokojnie. Wsparcie zaraz przyjedzie. Potraktuj to jak wystrzałową imprezę. A każda wielka impreza z tradycją robiona była kiedyś po raz pierwszy. Weź sobie takie Boże Narodzenie. Jak zaczęli, nie mieli nawet infrastruktury, a teraz?

– Mam tylko jeden magazynek, Leon.

– Skocz do pasmanterii po kapiszony. Mówiłem, żebyś wzięła ekwipunek. Wchodzimy.

– Co ty taki nakręcony dzisiaj?! Podobno trzeba uprzedzić, jak się wchodzi bez nakazu.

– No to go uprzedzamy. – Po czym zapukał i spojrzał wymownie na Żótkę. – Zadowolony?

Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Stał w nich rosty mężczyzna o wyjątkowo spłaszczonej głowie i nierównym czerwonym nosie.

– Witajcie, panowie, w naszym salonie. Do kogoś konkretnego?

– My... – Tomek spojrzał na Brodzkiego. Zmarszczka na jego czole układała się w znak zapytania. – ...my z kolegą jesteśmy komiwojażerami. Ja polecam pasty do zębów.

– A ja sprzedaję plomby. – I po tych słowach Brodzki zasadził mu soczysty podbródkowy. Wąskogłowy runął na ziemię jak worek cementu. Na to nadbiegła z holu pulchna kobieta, która – sądząc po odzieniu – raczej nie była listonoszem. Z twarzy podobna do Hogaty ze Smerfów, miała trwałą blond, charakterystyczny pieprzyk na haczykowatym nosie, krągłości schowane w czeluściach brązowej sukni i makijaż, który przez pomyłkę musiała nakładać dzisiaj przynajmniej dziewięć razy. Nim zdążyła podnieść krzyk, Brodzki zatkał jej usta.

– Pst! Będiesz krzyczeć? – Kobieta pokiwała głową na boki. Detektyw połuźnił uchwyt.

– Coście Kolii zrobili?!

– Zahipnotyzowałem go.

– Z reguły z glinami nie gadam – powiedziała cicho.

– Bo?

– Bo są głupi – rzekła bez cienia wątpliwości. Brodzki spojrzął na Żółtkę i obaj przytaknęli z aprobatą.

– Mam paru kolegów – zauważył Leon – którzy faktycznie nie błyszczą intelektem. Uciekaj stąd, kruszyno, zanim będzie gorąco. Słyszając to, Hogata zrobiła krok nad leżącym ciałem ochroniarza i otworzyła drzwi. Uśmiechnęła się do policjantów, pośłała im całusa w stylu Marilyn Monroe, po czym przyłożyła dłoń do ust:

– Alfi! Nalot!! – I wybiegła z budynku, przelewając się po schodach jak czekoladowy budyń.

– I bądź tu, kurwa, dla kogoś miły. – Brodzki na dźwięk kroków za ścianą przywarł do drzwi. – Tomek, ja biorę dłuższą ścianę, ty krótszą. – I wskazał na zakrzywiający się korytarz.

Z wnętrza mieszkania dobiegły ich kroki. Chwilę potem pojawił się ochroniarz w satynowej fioletowej koszuli.

Brodzki odwrócił się szybko i wyrznął mu wazonem ze sztucznymi kwiatami, które rozsypały się teraz na czerwonych kafelkach podłogi. Kilka płatków opadło na ciało nieprzytomnego ochroniarza. Alfi złapał się za twarz. Wyglądał nieporadnie niczym mały chłopiec, za którym pierwsza bójka o kanapki.

– Spokojnie. Od kwiatów jeszcze nikt nie umarł – dodał Leon i schylił się ku niemu. – Poza moją matką.

Wtedy mężczyzna, miglanc z twarzy, z brylantyną we włosach, kopnął Brodzkiego w piszczel, a poprawił w kolano. Na to dobiegł Żółtko, ale Alfi był szybszy. Szarpnął za lekki kredens, który runął teraz między nimi z brzękiem. Mężczyzna zdążył wstać, kiedy Brodzki ze skrzywioną miną rzucił się w jego kierunku. Za oknem słychać było podjeżdżające na sygnałach dźwiękowych radiowozy. „Jest i kawaleria” – pomyślał Leon. Alfi uskoczył w korytarz i błyskawicznie sięgnął za drzwi, by wyciągnąć zza futryny tureckiego uzkona, strzelbę myśliwską o groźnym wyglądzie. Brodzki zobaczył błysk lufy karabinu. Wiedział, że strzelec, będąc w potrzasku, nie cofnie się przed niczym

– Rzuć to i na ziemię! – krzyknął Tomek z bronią wycelowaną w alfonsa, ale ten bez ostrzeżenia nacisnął spust. Tomek impetem swojego ciała powalił Leona, odsuwając go tym samym z linii ognia. Rozległ się huk trzech kolejnych wystrzałów. Pociski wylądowały w drzwiach. Detektyw, opadając na ziemię, skierował lufę swojego P99 w kierunku korytarza i strzelił. Kula musnęła udo Alfiego, rozrywając materiał białych bawełnianych spodni. Mężczyzna niemal stracił równowagę, strzelił jeszcze raz na wiwat i oparł się o wewnętrzną ścianę. Oddał jeszcze jeden strzał w kierunku wyjścia i uskoczył do wnętrza za brązowymi drzwiami.

– Jesteś cały? – spytał Leon.

– Tak, za nim!

– Wyjdź na zewnątrz, odetnijcie mu drogę na Piekarach! – rzucił i pognał w głąb mieszkania. Znał się na broni i wiedział, że lekki karabinek myśliwski to dobry straszak. Wygląda groźnie, przy postrzale z bliska rana zadana wiązką śrutu będzie wyglądała jak od jednego pocisku. A im większa odległość, tym bardziej będzie się strzępić. „Cztery strzały” – myślał. Jeśli piąty nabój był w komorze, Alfi ma jeszcze jedną szansę. Nie widział na lufie dodatkowego ładownika, więc kluczowe pytanie brzmiało, czy zdążył przeładować broń.

Stąpając po welurowej wykładzinie w zielone romby Leon wszedł w korytarz, a stamtąd, skręcił w głąb lokalu. Ciemny hol w tym miejscu się rozgałęział. Po lewej ciągnął się rząd czterech par drzwi, z prawej było dwoje drzwi. W powietrzu pachniało tanimi kadzidłami. Tapety w cienkie, bordowe paski dawno nimi przeszły. Brodzki doskonale pamiętał, kiedy pierwszy raz przystawiono mu broń. Nie wiedział, że za chwilę będzie musiał odświeżyć to wspomnienie.

Ruszył korytarzem. Powoli nacisnął pierwszą klamkę – zamknięte. Drugą – zamknięte. Trzecie drzwi były otwarte. Popchnął je, przywarł do framugi. Wyjął telefon, włączył przednią kamerę i wsunął obiektyw w drzwi tak, żeby zobaczyć, co jest w środku. Obiektyw nie zaobserwował żywego ducha. Dochodził do czwartej

pary drzwi, kiedy Alf przystawił mu lufę karabinu do potylicy, po czym nacisnął spust. Od momentu gdy broń dotknęła skóry do naciśnięcia spustu upłynęła nie więcej niż sekunda. Ta sekunda, jedno mgnienie, wystarczyły Brodzkiemu, żeby przypomnieć sobie, jak jeden taki wycelował mu pistolet prosto w głowę.

Broń wypadła Brodzkiemu, kiedy przeskakiwał przez płot na lewobrzeżu. To było obok sadzawki przy ogródkach działkowych. Ścigany mężczyzna był poszukiwany za obnażanie się przed szkołą podstawową numer siedemnaście. Brodzki zawsze był cięty na ludzi dybiących na słabszych, a już najbardziej nie tolerował zbrojeńców, którzy próbują skrzywdzić dzieci i kobiety. Być może dlatego zgubiła go adrenalina. Biegł na podpałce, chciał gościa złapać za wszelką cenę. Płot był krzywo zbity. Kiedy złapał za jego krawędź, ta odpadła, stracił równowagę i upadł na nierówny, podmokły teren. Broń wyciągał chwilę wcześniej, próbując zatrzymać zbiega. Gdy ruszył w pościg, pistolet schował, ale nie zapiął kabury. W wyniku szamotaniny znalazł się w parterze i wtedy, niespodziewanie, poszukiwany przystawił mu gnata do potylicy. Odbezpieczył i... nastąpił tylko suchy trzask iglicy. Zapomniał najwidoczniej przeładować i w komorze nie było pocisku. Wtedy Leon obezwładnił zszokowanego zbrojeńca, w przyptywie emocji masakrując mu twarz. Gdy wrócił do domu, przy kolacji nie powiedział ani słowa ani nie przełknął choćby kęsa. Podobnie jego rywal, który miał zdrutowaną szczękę.

Teraz Brodzki zachował więcej uwagi. Alfie nacisnął spust i było słychać suchy trzask iglicy. Na ten dźwięk Leon zrobił gwałtowny ruch w tył i przygwoździł Alfiego do ściany. Ten walnął głową o drzwi, ale zachował przytomność i dzielił Leona wąską kolbą swojego tureckiego karabinku. Sprzedał mu jeszcze cios pod żebro i zniknął w kolejnym korytarzu. Brodzki, poirytowany, z lekkim bólem żuchwy pobiegł za nim.

Znaleźli się w ostatnim pomieszczeniu. Na widok gadżetów – przyczepianych penisów i uprząży na półkach dookoła – Leon uśmiechnął się szarmancko.

– Ależ, panie Grey, nie trzeba było!

Alfons odciął sobie drogę ucieczki. Ostatnią szansę upatrywał w szybie wychodzącej na ulicę Piekary i – wzięwszy rozbieg – wyskoczył przez okno. Szkło wypadło z hukiem na chodnik, a wraz z nim – mężczyzna w fioletowej koszuli. W kwadracie okna Brodzki zobaczył policyjne koguty odbijające się w szybach po drugiej stronie ulicy. Byli kilkanaście metrów od nich.

Leon podszedł do okna i wyjrzał w prawo, gdzie Piekary skręcały w Rabiańską. Na końcu ulicy czekał już Żółtko.

Alf próbował uciekać, ale natychmiast ruszył za nim radiowóz. Ponieważ był ranny, pozostawało kwestią minut, kiedy go złapią. „Że też ludziom w takim stanie roi się, że zdołają uciec” – pomyślał Brodzki. Odpowiedź przyszła sama.

## 11

Bener zapamiętał trzask gałęzi, skarpetki i bliznę.

Było około trzynastej trzydzieści. Szedł właśnie przez park Waryńskiego przy Antczaka, do karczmy „Pod Kotwicą” miał jeszcze dwadzieścia minut marszu. Umówił się z Lolem, miał mu dać ciekawe materiały o profesorze, który za komuny był „TW” i donosił na swojego mistrza. Jednak wbrew temu, co Bener powiedział Lolowi przez telefon, profesor nie pracował już na uczelni. Przeciwnie, dawno był na emeryturze i – skazany na społeczną i naukową banicję – zaszył się gdzieś na Bydgoskim Przedmieściu.

Sprawa wystygła dekadę temu. Ot, ktoś dla sportu bawił się w donosy, sądząc, że nikomu nie robi krzywdy. Nie przewidział zmiany ustroju, otwarcia archiwów, wszechobecnych mediów, digitalizacji tajnych zbiorów. Małe moralne uchybienie wydało się po latach zgnilizną, a profesora – barwnego naukowca, który zapisywał wierszem swoje sny i czytał je studentom w „Salwadorze” – odesłano na śmietnik historii. Czy nadawało się to na materiał? Prawdopodobnie nie. Gdy dziennikarze rozmawiają o zgromadzonych źródłach, zawsze używają terminów

rzemieślniczych. Mówią wówczas, że „rzeźbią” – niekiedy „w gównie” – albo coś „nie siedzi”, „cięży im” albo „nie gryzie”. Wątki w reportażu „się nie łączą”, trzeba ostro „szyć” albo „lepić”, „domalować” albo „wysmażyć”. Z ucznia, który podszedł mistrza, nie dało się uszyć materiału do lokalnej telewizji. „Nadawało się to na fabularyzowany reportaż do tygodnika, reportaż towarzyszący, z ciekawymi śródtytułami i rozłożeniem ciężaru na odpowiednie punkty widzenia” – myślał Bener. „Na przykład zaczynamy od papierosa, już siódmego tego dnia. Profesor bardzo lubi papierosy, bo skracają mu życie, ale wydłużają dzień. Jakiś detal mieszkania, kolor oczu, a potem wspomnienie, jeden moment, który wbija się jak szrapnel. Jedno zdanie, które mówi mu jego mentor, coś o pięknie i duszy. Potem podróżujemy przez ich życie, aż pojawiają się tajemnicza koperta i smutni panowie z SB. A może to była kobieta? Do drzwi dzwoni listonosz – renta przyszła. Towarzyszymy profesorowi, otwiera kopertę. Kiedyś czytywał Jastruna, Peipera. Dziś czyta «Fakt» i pisma urzędowe... Już na tym etapie – myślał Bener – trzeba byłoby mieć puentę, jakiś zarys tego, o czym reportaż ma opowiadać. Czy ma profesora rehabilitować? Pokazać go jako człowieka? Powiedzieć, że za tragedią kryje się zawilość ludzkiego życia i jeden błąd, jedno moralne uchybienie urastają czasem do rozmiaru, którego nie można się było spodziewać? Ostatni kadr to konferencja prasowa. Profesor nachyla się nad mikrofonem, ale tym razem nie czyta wierszy. Czyta donos na samego siebie, który napisał”.

„To by się dało napisać” – myślał dalej Bener. „Wystarczyłoby zadzwonić do któregoś ze starych znajomych, informatorów, popytać, umówić się na kawę. Z błahego telefonu bardzo szybko doszedłbym do konkretnego zdania, wspomnienia, które ustawiłoby materiał pod nowym kątem. Dobry materiał trzeba po prostu wychodzić”.

To wszystko jednak nie mogło zainteresować Lola z kablówki, ponieważ telewizja kablowa spełnia inną funkcję. Nie mogło też trafić do „Echa Torunia”. Plan był więc taki, żeby coś po drodze

wymyślić, a potem podetknąć koledze, a w ostateczności po prostu go upić. I zyskać na czasie. Czasie, o który poprosił Brodzki.

Plan brzmiał sensownie, ale nie mógł zostać zrealizowany. Gdy Bener szedł przez Glajzę, jak nazywali to miejscowi, ktoś zaskoczył go od tyłu i rąbnął tępym narzędziem w tył głowy.

Trawa zamortyzowała upadek, ale Marek Bener padł jak długi. Ćmiący ból w potylicy był nieznośny. Tylko kątem oka zobaczył nogi napastnika i ledwie fragment jego twarzy.

## 12

– Złapaliśmy gościa – Malboras rzekł z dumą godną hycła w pierwszym dniu pracy, po czym zakasał, robiąc pauzę między zdaniami. – Jak wyglądał ten alfons?

– A jak może wyglądać alfons? Fiutowaty z twarzy. Pokaż mi go. – Na słowa Brodzkiego Malboras otworzył prawe tylne drzwi radiowozu. – Tak, to ten. Idźcie się przewietrzyć.

Kiedy odeszli, wyciągnął go z auta i zaprowadził do korytarza, w którym się poznali. Złoczyńca stał teraz skuty obok podziurawionych przez kule drzwi wejściowych. Miał pokiereszowaną twarz, a mimo to Brodzki nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to wciąż triumfalna mina człowieka, któremu wszystko uchodzi płazem. Te błyszczące oczy w powiekach jak lufciki, usta składające się do próżnego, lisiego uśmiechu, zaokrąglony podbródek z dziurką i zadbane dłonie.

– Co wiesz, Alf, o Człowieku w Kapeluszu?

– Nic nie wiem, nie mam pojęcia, o kim mówisz, nawet nie wiem, skąd się tu wziętem.

– Jak to mówią: nie mieszaj, bo będziesz rzygać. – Po czym wymierzył mu solidny cios w brzuch i Alf upadł na ziemię. Brodzki rozejrzał się, a potem usiadł okrakiem na mężczyźnie, wyjął swojego walthera P99, pociągnął zamek, przeładowując pistolet, i przystawił Alfowi lufę do głowy. – Następuje zwolnienie blokady. Komora maszyny losującej jest pusta. Czy dziś ci się poszczęści? Mów. Gdzie

są Elf i Laczu.

– Nie tu.

– Jak na to wpadłeś, Sherlocku? – syknął Brodzki i nim potrząsnął.

– Mów, gdzie są, albo się zaraz przeterminujesz.

– Laczu ma taką lalkę, co stoi na Poznańskiej. Podobno mają się hajtać.

– Złodziej z dziwką? To nie lepiej od razu założyć trupę cyrkową? – Wcisnął mu mocniej lufę w skroń. – Gdzie mieszka?

– Nie ma stałego miejsca. Kontaktuje się z szajką przez telefon.

– A z Elfem? – Na słowa policjanta alfons ściągnął ramiona jak lejce i sprężył się w środku. – Powiesz coś?

– A...

– Nagrodę w konkursie za odgadnięcie pierwszej litery alfabetu wygrywa... No mów! – Brodzki podniósł broń i strzelił w sufit. Dziewięciomilimetrowe parabellum utkwilo w suficie, na głowy mężczyzn posypał się tynk. Alf krzyknął z bólu. – Huk wystrzału z tak bliskiej odległości może uszkodzić bębni. Liczę do jednego. Jeden!

– Aaa! – krzyczał, ściskając dłońmi uszy.

– Burdelmama cię potem przytuli, mów! – I przyłożył mu lufę do czoła. Otwór wylotowy nie był gorący, ale na tyle ciepły, że odznaczył się na skórze mężczyzny czerwonym kółkiem. – Mów!

– Przez telefon! – rzekł. – Wiem tylko, że szykują grubą akcję. I że padło twoje nazwisko. Wiele razy.

– W jakim kontekście?

– Moja głowa...

– W jakim, kurwa, kontekście?!

– Detektywie! – krzyknął Sawik, ale Brodzki nie zwracał uwagi. – Detektywie!

– Co, kurwa?

Sawik wskazał ręką na Alfa. Dywan pod nim zrobił się mokry.

– Rozumiem, że powiedzenie „lać ze strachu” wzięłeś sobie do serca. – Po czym wstał i jednym ruchem podciągnął go na nogi. – Sawik – wskazał na policjanta – zabieraj go.

– Co? – jęknął policjant.



– FSO! Odstawcie pana do prokuratora Mauera w trybie „pożar w burdelu”.

– Czyli jakim, podkomisarzu Brodzki?

– Takim, że nie ma co pierdolić, trzeba jechać. Jazda! – I wypchnął obu z pokoju. Wyjął telefon z kieszeni i wybrał numer. – Prokuratorze. Świadek jedzie do pana.

Mauer milczał chwilę, wreszcie odpowiedział:

– Detektywie Brodzki, dobra robota...

„Dobra robota” – pomyślał Leon. „Co to za pochwała, kurwa? Co to za podstęp? W skali uprzejmości Mauer zdobył dziesięć na dziesięć, ale czemu?”

– Jest jednak prośba do pańskich ludzi. – Mauer był wyjątkowo miły, detektyw wyczuł ten odmieniony ton.

– Co to znaczy „jest prośba”? Co się kryje za tą bezosobową formą?

– Na parterze budynku siedzi pewien człowiek. Jest... prośba, prośba z góry, żeby pozwolić mu opuścić lokal tylnym wyjściem.

– Prośba z góry? – W tym momencie Leon zobaczył wychylającą się zza drzwi postać w czarnej sukni. A zaraz potem koloratkę. – Widzę, że z samej, samiuteńkiej góry. Prokuratorze, sądziłem, że gramy do jednej bramki i gówno spłukujemy w kiblu, a nie zamykamy pod dywan.

– Wie pan, w jakim kraju żyjemy.

– Ubolewam nad tym. – Brodzki przypatrywał się księdzu, który powoli przesuwał się pod ścianą w granatowe linie. Wyobrażał sobie, że linie lada chwila oplotą duchownego jak sznur i uduszą.

– To, co robię, i to, jakie podejmuję decyzje w związku z panem, naraża na szwank prokuraturę i moją pozycję.

– Czyżby stołek pod tyłkiem się kopcił?

– Nie chodzi o stołek. Chodzi o skuteczność. Sam pan doświadczył na własnej skórze, co się dzieje, kiedy pożerają pana biurokracja i przepisy.

– Tak, nawet przez chwilę poczułem się więźniem tych przepisów.

– Widzi pan, jesteśmy do siebie podobni. Ja też tkwię w pewnych relacjach, w tym wypadku z ministerstwem, które jedną decyzją

może mnie wysłać do Lubartowa. Ja sobie poradzę. Ale sprawy, które prowadziłem, z góry kopczyka spadną na sam dół. Tak jak przy Amber Gold, tak jak przy aferze węglowej. A tego bym nie chciał, bo to się odbije na tych, którzy są najbardziej poszkodowani. Ludzie czekający na sprawiedliwość. – Brodzki słuchał go w napięciu. – Minister również chce złapania tych bandziorów. Ale i on jest w relacji z gabinetem prezesa Rady Ministrów.

– Że prezesa, to wiem. Ale chyba innego.

– Musimy grać do jednej bramki. Osobiście jestem za rozdzieleniem władzy i Kościoła, ale w obecnej sytuacji jest to niemożliwe. A wie pan, kto najbardziej się będzie cieszyć, jeśli śledztwa i postępowania w sprawie przestępstw zostaną wstrzymane przez zmiany administracyjne?

– Ci, którzy te przestępstwa popełniają.

– Otóż to. Jak mówiłem, jesteśmy do siebie podobni. Mam nadzieję, że zgadzamy się co do prawa.

– Tak. Jak najbardziej. – I rozłączył się, po czym rzekł do siebie: – Ale są jeszcze inne prawa.

Ruszył korytarzem. Pokój numer trzy był otwarty jako jedyny. Pomieszczenie pogrążone było w czerwonym mroku. Przez ciężkie kotary wpadały pojedyncze promienie światła, rzucając jasne ślady na zmiętą, różową pościel i tanie, skręcane meble. Na łóżku walały się gadzety erotyczne różnego typu – wibratory, kulki, klamry na sutki, skórzane pasy zaciskowe. Dopiero teraz do uszu detektywa doszedł odgłos cichego oddechu dobiegający gdzieś zza mebli. Postąpił w ich kierunku, uważnie stawiając stopy, ale nie ustrzegło go to przed nastąpieniem na podłużny lepiący się przedmiot. Potknął się, a urządzenie zaczęło wibrować, przesuwając się po podłodze.

– Szlag by to! – Zirytował się i złapał za uchwyt, by wyłączyć przycisk. W tym momencie jego oczy spotkały się ze wzrokiem kobiety skrywającej się za mahoniową komodą. Miała krótkie, kręcone blond włosy i drobne kości policzkowe. Ubrana w błękitną, prześwitującą halkę wyglądała na nie więcej niż piętnaście lat. –

Matko jedyna... Nie bój się. Już po wszystkim. – Zdał sobie sprawę, że z wibratorem w ręku raczej nie wygląda jak król Artur, więc czym prędzej go odrzucił. – Jestem z policji. Pokażę ci teraz odznakę, dobrze? – I powolnym ruchem sięgnął do wewnętrznej kieszeni swojej granatowej kurtki, po czym pokazał jej blachę. – Szukaliśmy groźnych ludzi, ale już ich złapaliśmy. Jak ci na imię? Nazywam się Leon Brodzki. Chciałbym ci pomóc. – Starał się być empatyczny i nie wystraszyć dziewczyny, choć nigdy nie był dobry w te psychologiczne gierki. Mimo to widok nastoletniej ofiary przymuszanej zapewne do pracy przez tych wypranych z moralności dziadów, jak o nich myślał, przy milczącej zgodzie kleru, a nawet wysoko postawionych oficjeli napawał go obrzydzeniem. Było to właśnie dokładnie to, czego najbardziej nienawidził. Patrząc na dziewczynę, widział swoją córkę. Gdyby ktoś podniósł na nią rękę, rękę tę by upierdolił, jak się zresztą niedawno stało. Z tymi myślami i tym poczuciem niesprawiedliwości uśmiechnął się do dziewczyny.

– Wypierdalaj – odpowiedziała niskim głosem. Brodzkiego zamurowało. Riposta płynąca z jej ust była jak uderzenie grubym wibratorem po twarzy.

– Możesz być w szoku.

– Zaraz, kurwa, ty będziesz, jak stąd nie wyjdiesz – rzuciła zdecydowanym i męskim głosem. – Spierdoliłeś mi interes. Co się tak gapisz? Na chuj się przypierdalasz wzrokiem?

Dziewczyna stanęła przed nim.

Od razu coś uderzyło go w jej wyglądzie. Kiedy przyjrzał się jej delikatnej, dziecięcej twarzy, zobaczył pod makijażem grubą, chropowatą skórę. A kiedy spojrzął w dół, wszystko stało się jasne.

– Nawet na to, kurwa, nie licz – rzuciła mu w twarz.

Brodzki nie był w stanie wydobyć z siebie słowa. Wyszedł z budynku, odpalił papierosa i kiwnął na Malborasa, by do niego podszedł.

– Zawińcie tę jagodziankę, Malboras. Tylko skujcie przy ludziach, żeby pismaki nie drukowały potem zdjęć, że, kurwa, zapraszacie na tylne siedzenie jak do karocy.

– Szowiniści! – krzyknęła Berenika. Dziennikarka stała po przeciwnej stronie uliczki z notesem i telefonem w ręce. Malboras po chwili wyprowadził bohaterkę obrazu Dziewczyna z kiłą. – Jak wy traktujecie kobiety?! Państwo policyjne...

– A ty co z tym ciśnieniem równościowym znowu do mnie? Jak to mówią w Czarnobyli, nie wszystko złoto, co się świeci. Na potrzeby chwili każda kurwa zostanie damą. Nie daj się zwieść.

Brodzki przysunął papierosa do ust, ale nawet nie zdążył się zaciągnąć, kiedy z radiowozu dobiegł go wystrzał z broni. Puścił się pędem w kierunku wozu. Z bliska zobaczył, że kula przedziurawiła dach. Drzwi otworzyły się z hukiem. Męska prostytutka krzyczała:

– Mordują!

– Zachowaj gardło do pracy, dziewczyno – zauważył Brodzki i zajrzał do wozu. Roztrzęsiony Malboras patrzył na niego przerażonym wzrokiem.

– Szamotała się i mi wystrzelił.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie umiesz przy dziewczynie zapanować nad wystrzałem?

– Wrywała się. Jakaś taka silna.

Brodzki schował twarz w dłoniach, zaśmiał się do siebie, po czym zapakował kobietę z powrotem do auta.

– Uwaga na głowę – rzekł, kładąc jej dłoń na potylicy, po czym zrównał się wzrokiem z Malborasem. – Może to i lepiej, że macie, młodzi, mało strzelania i walcie Panu Bogu w okno. Jeśli jednak następnym razem rozwalisz komuś głowę w aucie, to obiecuję ci, że mózg zliżesz z tapicerki, a pralnię chemiczną pokryjesz z mundurówki. O ile do tego czasu nie wypierdolą cię z komendy.

Zatrzasnął drzwi i walnął dłońią w dach. Auto ruszyło do ulicy Kopernika, skręciło w lewo i zniknęło za murkiem. Gdy się obrócił, Bereniki już nie było.

Żółtko tymczasem przysiadł na murku i wymacawszy ruszający się ząb w szczęce, splunął krwią.

– No i co brudzi? W takim miejscu?

– Co ty chrzanisz?

– Tutaj burdel był już w średniowieczu. To melina z historią. – Spojrzał na Tomka. Był naprawdę wycieńczony. Przez dwa tygodnie służby w Toruniu przeżył więcej niż większość starych gliniarzy przez całą karierę. Dlatego klepnął go po ramieniu w dowód uznania. – Ale tak międyż nami. Order stalowych jaj wędruje do ciebie.

### 13

Stary człowiek z siwą czupryną się szamocze. Ale ręce tego za nim są silniejsze.

Nie wie, kto go zatrzymał, ale może się domyślać, że sprawa jest polityczna. Uprowadzono go spod komendy policji. Miał przy sobie stare dokumenty. Kogo mogłyby obchodzić papiery w sprawie sprzed dwudziestu czy trzydziestu lat? Ktoś się jednak znalazł.

Oddycha szybko. Ma na głowie worek, knebel w ustach i plastikowe opaski na przegubach. Chętnie by się dowiedział, za co to wszystko. Chciałby polecieć do Grecji i zobaczyć kolebkę cywilizacji. Zawsze było to jego marzeniem, bilet od dawna wisiał nad biurkiem. Wystarczyło tylko wsiąść do samolotu.

Nie zdążył.

Nie jadł nic od dwóch dni. Tam, gdzie go przetrzymywano, pachniało migdałami. Takimi z cyjanku albo materiałów wybuchowych. Kilka razy tracił przytomność. To cud, że nie umarł. Słyszał za oknem karetki i przejeżdżające niedaleko pociągi, ale nie potrafił skojarzyć miejsca.

Nikt mu nie powiedział, co złego zrobił. Nikt mu nie powiedział, jak może to naprawić.

Oprawca zdejmuje mu worek z głowy, więc on ślepnie na kilkadziesiąt sekund. Dzień jest słoneczny, oczy nie potrafią się przyzwyczaić do tej ilości światła. Wtedy człowiek z blizną na twarzy klepie go w policzek.

– No to co. Żegnamy się z kolegą.

Przewraca oczami. Czuje zapach wrzosów. W oddali odgłosy dworca, ktoś przez megafon zapowiada odjazd autobusu.

Betonowy uścisk ramion. Bez szans na wyswobodzenie się. Bez szans na doczekanie jutrzeńki. Ostatnie, co widzi, to biegnące ku niebu strzeliste wieże kościoła garnizonowego. Są...

Chwilę potem jego dusza podążyła w ich kierunku, a ciało osuwa się na lepką glebę, wsączając w nią swoje czerwone soki. Wieje przyjemny wiatr, jego lekki podmuch trąca kosmyki włosów na poczciwej twarzy człowieka, który nie chciał umierać. Nikt nie chce umierać. Nie w samotności.

Nieopodal szumią liście płaczących wierzb.

Jest wrzesień. W Toruniu jest ciepło.

## 14

Była sobota, 10 września, kiedy zegary w Warszawie były siedemnastą...

Berenika Vesper weszła do domu wydawniczego Marlowe Press Ltd. Produkowali tu materiały dla czołowych tygodników i serwisów internetowych. Reportaże, filmy, wywiady, teksty sponsorowane.

Nie lubiła wind, metra ani ścisku w centrach handlowych. Nie lubiła też skupisk samych mężczyzn ani nawet dyżuru w redakcji działu reportażu, kiedy przebywała sama wśród nich. Jednocześnie była twarda, nie dawała sobie w kaszę dmuchać, a samce alfa w redakcji przy Grzybowskiej 2 wiedziały, że Vesper nie jest dziewczyną, przy której czyni się dwuznaczne żarty, a potem przynosi pudrowe cukierki na zgodę. Jak więc to możliwe, że tak skutecznie separowała szklane wnętrza od powłoki z uranu?

Było to o tyle możliwe, o ile możliwe jest koegzystowanie wszystkich kobiet i mężczyzn. Wszyscy odgrywają w kółko różne role, raz przeniesione z domu, a innym razem z bajek Disneya. W jednej grupie ustawiają się w pozycji siły, choćby w pracy. Kiedy indziej – w roli dziecka – na przykład obok opiekuńczej żony czy męża. W roli rodzica – przy dzieciach, w roli rówieśnika z podobnymi problemami – w kolejce u lekarza i w roli rekina w zielonym oceanie forsy – na imprezie w Planie B albo w Pawilonach.

Ale o Berenice nikt za dużo nie wiedział. Chodziła własnymi ścieżkami od trzech lat, wryła się w pamięć dobrymi reportażami i kontrowersyjnymi działaniami w terenie – podczas manifestacji, na prowokacji z postem, który pobił żonę. Jej prywatne życie pozostawało tajemnicą, a jedynym niepodważalnym faktem była jej niechęć do policjantów i polityków.

Na trzecim piętrze pracowały trzy działy. Szklany korytarz prowadził od windy, pomiędzy redakcjami sportową i ekonomiczną, do pomieszczeń na końcu. Z prawej strony mieścił się dział reporterski, przestronna sala z siedmioma stanowiskami komputerowymi, dużą ścianą do wizualizacji, szerokim drewnianym stołem i siedemdziesięciocalowym telewizorem naprzeciwko okna. Z lewej strony korytarza mieściło się biuro naczelnej – Anny Tekli – do którego drzwi były zawsze lekko przyknięte.

Berenika rzuciła skórzaną torbę na swoje krzesło, pierwsze przy wejściu, i podeszła do telewizora. Oparła się o blat stołu, na którym co sobotę układali makietę numeru, i zwilżyła dolną wargę pianką z kawy, którą przyniosła w czerwonym kubku termicznym. Miał urwaną rączkę i parzył Berenikę w dłonie, ale lubiła go przez słabość do tego, co znane. Z tego samego powodu lubiła redakcję. Kursowała między nią a swoim małym mieszkaniem przy placu Wilsona.

Długo jej zajęło, by poskładać wszystko na nowo. Mieszkanie było dobrym początkiem: wprowadziła się do niego, bo pokochała luksfery w ścianie między kuchnią a łazienką. Pierwszą rzeczą, którą ze sobą wniosła, było pachnące cytrynami geranium. Zajęło pół pokoju. Kolejnych przedmiotów nie było wiele: reprodukcja Pollocka i ryciny Nowego Jorku z lat dwudziestych, puzderka ze zdjęciami i biżuterią oraz trójwymiarowe obrazy modułowe wykorzystujące technikę origami. Kiedyś zawsze robiła listy, układała w najdrobniejszych szczegółach plan na wszystko. Przyczepiała je magnesami na lodówce, przyklejała na ścianie przy biurku, na bokach mebli ze spółdzielni „RZUT”, do których miała szczególny sentyment, w końcu zapisywała je w notesie marki Moleskine,

z którym nigdy się nie rozstawała. Tak, mieszkanie było dobrym początkiem, żeby wrócić do rytmu dnia dyktowanego przez powroty z pracy. Stanęło na materacu, jednej szafie, kilkunastu parach butów i toreb, stoliku z lampką i rozrośniętej roślinie doniczkowej. Dudniący za oknem Plac Wilsona nie pozwalał się zapaść w samotność. Blisko było stąd do Żywiciela, Faworów, na targi śniadaniowe i do Kina „Elektronik”. Lubiła spacerować w stronę Sadów Żoliborskich, a potem wracać wąskimi uliczkami, zawracać na ukrytym między domami placu Henkla, którego nazwa kojarzyła się z proszkami do prania. Tak, mieszkanie było dobrym początkiem.

Jej serce najszybciej biło w redakcji, a jego arterie biegły przez miasto – przez jego place, skwery, promenady i esplanady. W terenie zbierała rozproszone informacje, by za swoim biurkiem tworzyć z nich spójne teksty. Tu mogła się skupić, zapomnieć o swojej przeszłości, walczyć o coś ważnego. Byle nie w tłumie. Tłumów nie lubiła.

Telewizor był ciekawszy niż rozmowy nad sushi. Nawet jeśli co dwadzieścia trzy minuty TVN24 dudnił o tym samym, a paski informacyjne donosiły o tym, co piłkarze zjedli na śniadanie. Lubiła te „gadające głowy”, zabijały głuchą ciszę i usypiały samotność, która dokuczała jej po każdorazowym przejściu przez próg dwupokojowego azylu. Tym razem głos zabierał popularny lewicowy polityk z partii, która była znana z tego, że nie przekroczyła progu wyborczego. Pianka na kawie miała posypkę z cukru cynamonowego i Berenika właśnie zjadła ostatnią drobinę.

*– Skoro tak trąbicie o śmierci emerytowanego policjanta i bronicie jego syna, też mundurowego, to tylko przypomnę, że w tym kraju funkcjonariusze mają wyjątkowe przywileje.*

*– Ale co pan ma na myśli?*

*– 16 maja tego roku, Wrocław. Igor Stachowiak umiera na komendzie rażony paralizatorem. Pomylili się, zatrzymując go, bo szukali kogoś innego. Kogoś, kto im uciekł! Zatrzymali więc Stachowiaka, bo był podobny do sprawcy. Zaginął monitoring,*



*zagięły wyniki z alkomatu, a świadkom zdarzenia, którzy nagrywali zatrzymanie, zabrano telefony i ich też wsadzono na dołek, tak działa policja w tym kraju! Mam nadzieję, że ktoś się tym zajmie! A kiedy komendanta innego rejonu znaleziono pijanego na ulicy, komisja uznaje go za trwale niezdolnego do służby i jeszcze gość dostaje pięćdziesiąt tysięcy złotych odprawy. Kpina z uczciwych obywateli!*

Do sali weszła Tekla, nie odklejając ucha od swojego blackberry. Była po czterdziestce, brzuch wskazywał na piąty miesiąc ciąży albo słabość do pizzy. Prawda leżała natomiast w banku spermy, z którego wylosowała ojca widmo. Miała latynoską urodę – szerokie ramiona, krótką szyję, ciemne brwi i kołyszące się biodra. Kuzynka Fridy Kahlo. Daleka. Bardzo daleka. Praktycznie nie były rodziną. No dobrze. Nawet o niej nie słyszała.

Ze strzępków rozmowy Berenika słyszała, że naczelna opowiada o zdolnej dziennikarce z redakcji. Nie lubiła, kiedy ktoś o niej opowiadał, nawet jeśli mówił w superlatywach. Anna wskazała na telewizor, sugerując, że w ekranie zakłęta jest tajemnica kolejnego reportażu.

– Nie cierpię glin – mruknęła Berenika.

– Nie dziwię się – rzuciła kpiarsko Sylwia. Siedziała u chłopaków od sportu i wróciła właśnie z kawałkiem wielkiego brownie na papierowym talerzyku. – Koper obchodzi urodziny. Jeszcze mają ciasto, chcesz?

Berenika zaprzeczyła.

Sylwia była klasyczną blondynką. Miała ukraińskie oczy, słowiańskie piersi i amerykański poziom wiedzy na temat historii Polski. Zaliczała się do tej grupy kobiet, które lubią próżne komplementy, czekoladowe baryłeczki na imieniny i wianuszek mężczyzn, który otaczał ją, ilekroć rzucała lotkami do tarczy lub przechadzała się w skąpej mini będącej rodzajem jej uniformu dziennikarskiego, który – połączony z trzepotem doczepionych rzęs – służył za przepustkę w szowinistycznym świecie. Wydawała się

ciągle zaskoczona i speszona męskimi spojrzeniami, które wędrowały między jej ustami a biustem. Z powodu niezrozumiałego dla nich, a oczywistego dla psychoterapeuty, gdyby takiego miała, sprawiała wrażenie radosnej z tego faktu. Byle pochlebstwo i byle komplement sprawiały, że przerywała swoją wypowiedź, zupełnie wybita z rytmu, jakby zapisywała na twardym dysku w głowie to, co usłyszała, by móc to sobie odtworzyć przed zaśnięciem. Świadomie wykorzystywała swoje atuty, a ponieważ męski świat wymieniał jej walutę na swoją, w dziennikarskim świecie otrzymywała to, czego chce, nie wiedząc, jaką cenę za to płaci. Ceną było to, że dla mężczyzn była jędrnymi cyckami z głową.

– Myślisz, że go wrabiają? – Spytała, zajadając ciasto i kręcąc się na boki jak miss gimnazjum. Vesper spojrzała na nią z botanicznym zainteresowaniem.

– Co tak stoisz, jakbyś tampon ścisła?

– Striny mnie cisną.

– To po co zakładałaś?

– W sumie racja. Mogłam nie zakładać majtek – Sylwia zaśmiała się beztrąsko.

„Chłopcy od ciasta na pewno by się ucieszyli” – pomyślała Berenika i znów spojrzała na ekran. Pokazywano na nim policjanta z Torunia. Stał nad rzeką otoczony przez policję. Na pasku informacyjnym przewijał się kalejdoskop newsów: „Z OSTATNIEJ CHWILI: Detektyw Leon Brodzki podejrzany o morderstwo”, „Policjant zabójcą”, „Spodziewany awans Gromostawa Halickiego na stanowisko komendanta wojewódzkiego”. Następnie wyświetlano sekwencję obrazków: ujęcia mordercy podpisanego jako Heraklit, nagranie z monitoringu w jakimś pomieszczeniu więziennym, gdzie ten sam policjant zabija nożem wspomnianego zabójcę. Potem – napis, coś w rodzaju tatuażu na ciele noworodka o treści „Brodzki jest winny”. Sekwencję urozmaicono o nagrania archiwalne. Były to rekonstrukcje milicyjne na miejscach zbrodni z połowy lat osiemdziesiątych, zmontowane ze zdjęcia dwóch funkcjonariuszy – Franciszka i Leona Brodzkich. Ostatni napis na pasku brzmiał: „Jaki

ojciec, taki syn”. Zdjęcia kręcono z helikoptera, który obniżywszy lot, łopotem wirnika roztaczał kręgi na wodzie, podczas gdy mężczyzna w kadrze stał w płaszczu i spokojnie palił papierosa. Chwilę później go aresztowano, a u dołu ekranu wyświetliło się na pasku puste pole, jakby realizatorzy szukali odpowiedniego podpisu. Ale podpis się nie pojawił.

– Myślę, że rządzi miastem i jest nie do ruszenia – dodała. W Vesper wstępował czasem ogień nienawiści i moment podkładania rozpałki był bardzo blisko. – Już ja bym mu dała popalić.

– I właśnie dlatego to nie ty pojedziesz robić ten materiał, tylko Sylwia – zakomenderowała Tekla.

– Że co? – Berenika odstawiła kubek, podczas gdy Sylwia zrobiła minę Miss Universe po odczytaniu werdyktu jury.

– Rozmawiałam... z kimś. Dostaliśmy zlecenie na reportaż. Opowiedziałam im o pewnej błyskotliwej reporterce. I niestety nie miałam na myśli ciebie, Nika. Wiesz, że Kocham cię jak córkę, ale po tym, co ostatnio zrobiłaś... Po tym, co było wcześniej. Wydaje mi się, że masz zbyt osobisty stosunek do sprawy. Reporterzy powinni być zaangażowani, ale tobie przerwa się przyda. Może chcesz odpocząć w dziale sportowym? Pojedziesz na mecze kadry Nawałki. Po ćwierćfinale na Euro 2016 są na topce. Niedawno zremisowali ledwo, ledwo z Kazachstanem, nie wiadomo, czy to nie koniec tej generacji piłkarzy. Masz żywą materię, może coś z tego uszyciesz. – Berenika nie wierzyła w to, co słyszy. Tekla podeszła do Sylwii. – Nie zawieź mnie. Może kiedyś wskoczysz na ten fotel, co? – Wskazała na niedomknięte drzwi do gabinetu.

– Może kiedyś? – uśmiechając się, Sylwia odstłoniła kawałek ciasta na zębach. Tekla zaśmiała się serdecznie.

– Po moim trupie – szepnęła Berenika i ostrzelała Teklę całą baterią nienawiści w oczach. Ta złapała ostentacyjnie brzuch i przesadnie teatralnym gestem podparła się pod boki, po czym usiadła. Berenika oparła się o ścianę.

– Faceci to palanci, podobnie jak szefowie rady nadzorczej spółki. Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz, Sylwa? – kontynuowała

naczelna.

– Przecież nie chciałaś się denerwować w ciąży. – Sylwia, pierwsza matka RP. – Nie martw się, na pewno coś napiszę. To naprawdę wspaniałe, że we mnie wierzysz.

– Nie słyszałaś, że kobiety w ciąży mają więcej siły niż żołnierze piechoty? – Tekla w kolejce po order Matki Polki była tuż przed Sylwią, ze specjalnym orderem honorowej biorkownicy nasienia. – Kto wie, czy jest winny. Syła, wykorzystaj swoje sztuczki i wyciągnij z pana policjanta soczyste przyznanie się do winy. Aha, i niech w opowieści koniecznie znajdzie się miejsce dla jakiejś kobiety. Może odtrącona kochanka, była żona? Damy to do glamourowego numeru.

– Może nawet jest niewinny? – spytała blondyna.

– Jasne – szepnęła złowieszczo Berenika. – Jeśli koniecznie chciałaś błysnąć, to trzeba się było obsypać brokatem... Rzygać mi się chce, kiedy słucham tego jej pierdolenia o ciąży.

Nie była zadowolona, że ten materiał przejdzie jej koło nosa. Chciała się odbić po ostatnich niepowodzeniach. Kto wie czy nie była to jej ostatnia szansa.

Wzięła chłodną kawę i ponownie spojrzała na ekran.

*Jeden naładowany kałasznikow i byście, tępe strzały, wiedziaty, gdzie wasze miejsce – powiedział o uczestniczkach Czarnego Protestu Kasper Czarnowski. Do sprawy odnieśli się biskupi, jednoznacznie opowiadając się przeciwko aborcji i stanowisku feministek.*

„Pfff” – pomyślała Berenika. „Biskupi też byliby za aborcją... gdyby ministranci zachodzili w ciążę. Jak to jest, że w Polsce większe prawa do rozporządzania własnym ciałem mają zwłoki niż babka? Cholera, nie chciał, abyśmy zabierali od niego po śmierci wątrobę. Chyba musimy uszanować jego wolę? I jak to jest, że policjanci są ponad prawem?”

Sylwia pognęła do redakcji sportowej pochwalić się nowym

wyzwaniem. Tekla spojrzała matczynym wzrokiem na Berenikę i rzekła, jakby zmuszając się do sklecenia choćby kilku słów:

– Martwię się o ciebie. A nie powinnam. Emocje w tej robocie nie są dobre. Chyba coś o tym wiesz...

– Ale ten materiał to dla mnie wielka szansa. Punkt zwrotny. Daj mi go.

– Już miałą swoją szansę. Na kolejną musisz trochę popracować.

Mimo to Berenika godzinę później odebrała telefon, który kompletnie ją zaskoczył.

– Pojedziesz zaraz. Nie martw się Sylwią – usłyszała w słuchawce głos Tekli. – Na koncie masz kasę na wydatki.

Jeszcze tego samego wieczoru siedziała w pociągu do Torunia. Miała skórzaną torbę, notes, dyktafon kasetowy i drugi, w długopisie, który gwizdnęła z biurka Sylwii. Taki bajer z kamerą i mikrofonem, raczej nieprzydatny w normalnej pracy.

## 15

– Jak pies. Z nożem wbitym w serce – wycedził przez zęby Żółtko.

– Kurwa mać! – krzyknął Brodzki. – Dość! Niech to się wreszcie skończy.

– Maks ginie jak pies, z nożem wbitym w serce. Paradoks polega na tym, że był urzędnikiem i archiwistą, a zabił go system... Jest i Halicki – rzekł Żółtko.

Komendant wszedł na wzgórze ociężałym krokiem. W przydużym płaszczu, zmierzwionej zaczesce i z nieprzygładzonym dwukrotnie wąsikiem, a wreszcie z oczami podkrążonymi niby Saturn pierścieniami wyglądał naprawdę źle. Długo klęczał nad zwłokami Maksa, brudząc poły beżowego płaszcza.

– Znałem go od lat... Dobry pies Cywil w psiarni, który zginął jak kundel.

– Kundel z nożem w sercu – syknął Brodzki. Jego sylwetka górowała nad Halickim. Gdy komendant się obejrzał, Leon stał na linii słońca, przez co nie widział jego twarzy. – Co o tym wiesz?

– Wiem tyle, ile ty. Ktoś go zawiął, Dżony zapamiętał przypakowanych gości w stylu WSI...

– Znów rana kłuta. Znów nóż. Nadal wierzysz w przypadki, Halicki? A może to moja sprawka?

– Już sam nie wiem, w co wierzyć. Ja... – nie dokończył, łapiąc się za serce. Potworny skurcz przeszył jego klatkę piersiową niczym gwóźdź tapicerski wbity tuż pod łopatką. Oparł się na rękach, próbując złapać oddech.

– To od zatrutego powietrza nad tym miastem, Gromek. Coś w nim wisi, to dlatego. I myślę, że wiesz, co to jest.

– Podobno Biuro Spraw Wewnętrznych dało dupy. Ktoś u nich jest kretem. – Halicki mówił przez ściśnięte gardło. Kompletnie się rozsypał. Gdyby nie pistolet przy pasku, można byłoby go pomylić ze stałymi bywalcami miejsc takich jak to czy „żulasik park”.

– Co ty powiesz? Myślałem, że ty nim jesteś.

– Wiem tylko, że ktoś z BSW działa na dwa fronty. Ma ksywę Buźka, nie mogą go namierzyć.

– BSW to jebani nieudacznicy, nie mają pojęcia o pracy w policji. Wchodzą jak wszy.

– Leon – Żółtko pojawił się obok. – Patrol zgłosił, że na Poznańskiej ktoś mówił o Laczu. Ponoć tirówki się kręcą, a jedna to jego kobieta.

Gdy ruszyli w dół pruskiego fortu B64, zobaczyli za policyjną taśmą tłum dziennikarzy. Nim Brodzki zdążył cokolwiek pomyśleć, został oślepiony przez błysk fleszy. Cały kwiat toruńskiego dziennikarstwa wiedział już, że Brodzki wyszedł i pracuje w terenie.

– Detektywie, jakiś komentarz w sprawie podejrzeń i opuszczenia aresztu? – pytał Grzegorz Giedrys z toruńskiego wydania „Gazety Wyborczej”. Misiowaty reporter każde słowo wypowiadał z poetyckim zacięciem. – Telewizja wyemitowała kilka minut temu soczysty materiał, na którym widać, jak opuszcza pan mury aresztu śledczego i udaje się taksówką do hotelu „Filmar”, a później do szpitala na Bielanych. Czy został pan oczyszczony z zarzutów?

– Ruchawki się zaczęły. Kurwa, skąd oni się tu wzięli? – Brodzki naprężył się i poczuł wewnętrzny dygot, jak w kabinie wirnikowego

dwupłatowca. – Tomek, podjedź autem od strony dworca, spotkamy się na miejscu. – I cofając się na wzgórze, wykręcił numer do Benera. W słuchawce odpowiedział mu głuchy sygnał.

– Kurwa, człowieku, co się z tobą dzieje? – syknął pod nosem. – O, reporterze wyłaniający się spod ziemi w najbardziej kluczowych momentach, czemu nie ma cię właśnie teraz?!

## 16

– Słuchaj, bo to jest tak. Na krajowej jedynce i piętnastce to stoją tylko Polki – zaczął tłumaczyć grzybiarz przy wylotówce na Inowrocław. Dojazd prowadził ulicą Poznańską.

Zaparkowali w zatoczce przy drodze krajowej 15, tuż przy zjeździe na S10. Parking ten znany był zarówno amatorom grzybów, jak i zwolennikom wolnej miłości. Można było tu dostać jedno i drugie, wszystko bio. I wszystko w naturze.

– Czterdzieści procent oddają agencji – kontynuował. – Mówi się „tirówki”, ale częściej niż dzanglery tutaj stoją osobówki i busy. Tam wjeżdżają, w tę ścieżkę. – Wskazał na prostopadły wjazd do lasu. – Ci, co napierdalają trzydzieści tysięcy kilometrów kursami do Holandii z pracownikami do plantacji i fabryk...

– Szukam gościa, który regularnie korzysta z usług dziewczyn. Tombakowy wisior, lubi auta. Taki gitowiec starej daty. Mówią na niego Laczu.

– Trzeba było od razu. – Sprzedawca podrapał się z tyłu, ale nie było wiadomo, czy po głowie, czy po plecach, ponieważ niepodobna stwierdzić, gdzie u niego kończy się jedno, a zaczyna drugie. – Od akcji z tą nyską i tą laską z dzieckiem, Laurą Mostowicz, co zmarła po porodzie, nie było go. Nie wiem, kto może wiedzieć.

– A Ukrainki?

– Nieee, tu Polki, najlepsza husaria – zarechotał sprzedawca z zadziwiającą nutą patriotyzmu w głosie. Szyja wtapiała mu się w korpus jak grzałka. Kiedy tak siedział na krawężniku, sprawiał wrażenie, jakby wtapiał się w chodnik. Mówiąc więc kolokwialnie,

był po prostu przysadzisty. – Ale jak chcesz cycki z betonu... To nie tu. To pod Włocławkiem masz Bułgarki.

– Gdzie się opłaca bardziej?

– To zależy.

– Od czego?

– Czy chcesz złapać okazję, czy syfa. Ludzie się śmieją, że laski z Golubia-Dobrzynia same płacą klientom za dojazd – zaśmiał się. – A tak serio. Taniej przy drodze. Chociaż takich Laczu by nie brał. Stać go na lepsze. Bo tu to co to jest za pieniądz? Pięć dych za loda, siedem za seks, ale gdzie te jagodzianki się myją, to nikt nie widział. Pysznica w torbie raczej nie wozi z Bydgoszczy.

– Nie z Torunia?

– Jeżdżą kawałek od domu, żeby nie obciążać listonoszowi z osiedla. Za duży przypał. Te, co stoją w Brzozie, chociaż mają obok restaurację, jest toaleta. Mają klasę znaczy.

– A w mieście?

– Masz kilkanaście agencji.

– Wiadomo, Ptasia.

– Ptasia jest przereklamowana. Pod Krzywą Wieżą.

– Powiedzmy, że Krzywą Wieżę trochę naprostowaliśmy. Choć tam biegają raczej dziewczyny z fujarami w majtkach. – Słyszac to, Tomek spojrzal na Brodzkiego ze zdziwieniem. – Nawet nie pytaj.

– No to jeszcze może na Kałamarskiego. Ale przede wszystkim masz mieszkaniówki. Wynajęte M3, laski przymusowo płacą za ochronę, ale mają też telefonistkę, która umawia im klientów. No i jeszcze szołapy. W internetach dupą kręcą, ale ja na to za stary jestem.

– Nie pasuje mi to do profilu. A kluby?

– Popytaj na Szerokiej, w striptizie. Chociaż od czasu zabójstwa tej kurwy, co urodziła po śmierci dziecko, wszyscy milczą.

– Ona nie była kurwą – zauważył Brodzki ze znanstwem. – Po prostu stała na złym zakręcie.

Wiedział, dokąd swoje kroki skieruje wieczorem. Kojarzył klub przy Szerokiej i człowieka, który był znany z dwóch rzeczy: robienia



najlepszych koktajli w mieście i niechęci do odpowiadania na pytania.

## 17

W redakcji „Echa Torunia” rozległ się dzwonek telefonu. Bener, trzymając na karku worek lodu, odwrócił się powoli od monitora z odpalonym programem Adobe InDesign i spojrzał na wyświetlacz. Westchnął jak listonosz na ostatnim piętrze wieżowca i odebrał.

– Człowieku, co się z tobą dzieje?! – krzyczał Brodzki. Dzwonił z auta.

– Zastanów się... – zaintonował dziennikarz.

– Co, kurwa?! Nad niczym się nie będę zastanawiał. Miałeś przyklepać lalusia z telewizji i co? I moja morda świeci się w każdym domu w Toruniu. Teraz na pewno nikogo nie przesłucham. Bener, kurwa, mówieś, że o tym nie powiedzą.

– Jeśli to wysublimowane podziękowania, to je przyjmuję. Zrobiłem, co mogłem.

– Podziękowania? Wpierdoliłeś mnie na minę. Nie mogę teraz na zdarzenie jechać, żeby nie mieć ze sobą fanklubu strzelającego fotki. Jeszcze chwila i zaproszą mnie do Tańca z gwiazdami i będę wywijał poloneza. Bener, kurwa, tak ciężko wywijać się z obietnicy?

– Ktoś mi przeszkodził. Przykro mi. Wyżej nie mogłem podskoczyć.

– Jak wyglądał?

– Miał taką... Śmieszoną twarz.

– Masz na myśli buźkę?

– Tak. Ryj jak naleśnik.

Brodzkiego zmroziło. Opis ten słyszał ostatnio zbyt często.

## 18

Wisła poczerniała jak kałamarz, strosząc się w białe grzywy nieregularnych fal. Ciemne chmury spowijały miasto, a w oknach

kamienic i bloków Torunia oczy mieszkańców spoglądały niepewnie w mrok. Insomnia, jaka opanowała wszystkie dzielnice, odbijała się na nastrojach społecznych i przewidywaniach odnośnie do tego, co może się wydarzyć. Za dużo krwi się przelało, za dużo ciał spuszczone pod ziemię.

Ogólnopolskie serwisy zdążyły już donieść, że policjant, który okrył hańbą mundur, znów jest na wolności. Jak wierzyć w sprawiedliwość, jeśli stojący na jej straży ludzie sami posuwają się do zbrodni, zastanawiano się. Leon Brodzki wiedział o tym wszystkim, ale nie mógł się cofnąć przed dalszym prowadzeniem śledztwa. „Nie teraz – myślał – nie na ostatniej prostej. Nie mam już nic do stracenia ani zyskania, jestem skończony, tak jak mój spokój i moja historia. Jestem w kropce, a raczej sam jestem kropką, której nie mogę z niczym połączyć. Rozpoczęta przez Heraklita powtórka dawnego śledztwa stała się repetycją mojego życia. Rzeka, do której musiałem wejść drugi raz – wbrew sentencji filozofa z Efezu – nie porwała mnie swoim nurtem, ale i nie obmyła z brudu. A teraz nie mogę się cofnąć przed niczym – pomyślał ze wzrokiem wbitym w Kępę Bazarową na drugim brzegu. – Nie w momencie, kiedy moi rodzice spoczęli w ziemi. Nie w momencie, kiedy dybano na życie mojej córki. Nie w momencie, gdy w moim mieście giną ludzie.

Słowa Żółtki przejęły mnie w pierwszym momencie trwogą. Franek był pierwszy na miejscu, kiedy działał Młotkarz? Czy miał utrudnić śledztwo? Nie pamiętam tamtych czasów. Wtedy, w 1984 roku, mój ojciec był dla mnie najważniejszym i najmądrzejszym mężczyzną na świecie. Każde jego słowo było ostateczne, a każdy gest – wymowny. Mój brat był kompletnie inny – podważał wszystko, pragnąc za wszelką cenę wyrwać się z zakłętego kręgu i może dlatego dziś siedzi w stróżówce przy granicy i pilnuje żubrów. Pamiętam mamę, która zносиła humory ojca. Salomea gotowała na składnikach wydobytych nie wiadomo skąd, w nadziei, że Franek wróci ze służby i zostanie na wieczór. Ale on zawsze wychodził. Wracał późną nocą, gdy ściany oddychały cicho. Z równą dokładnością mogę przywołać z pamięci zapach jego wody

kolońskiej, to zapach drożdżówki pieczonej na drożdżach, z których nic nie miało prawa wyrosnąć. Fakt, mieliśmy czekoladę czy kakao częściej niż inni, ale ani nie dorobiliśmy się wielkiego domu, ani poloneza. Praca w milicji wcale nie przyniosła ojcu pieniędzy. Czy mój ojciec, ten archetyp mężczyzny, na którym zbudowałem siebie, mógł zrobić coś złego? Czy mógł być czemuś «winny»? Pozostaje mi dokończyć to śledztwo, ten bieg z przeszkodami do cmentarza, na tej cmentarnej zmianie, która trwa od dwóch tygodni. Jak dotrzeć do Elfa? Skąd się dowiedzieć, jak wygląda? Do więzienia trafiał pod różnymi nazwiskami, z których żadne nie było prawdziwe. Jak złapać ducha? Przez ludzi. To ludzie są źródłem informacji. Informacji o tym, co się działo w okolicy, czy wydarzyło się coś dziwnego, niezwyklego. Czy ktoś kupował broń lub sprzedawał auto. Czy pytał o ładunki wybuchowe, czy jeździł na kurwy. Wielu przestępców to niewolnicy swoich przyzwyczajień. Po ich obserwacji, dokonanej często przypadkiem przez sąsiada, można odkryć prawdę. Ich motywy. Ich modus operandi, sposób poruszania się.

Co na to wszystko Mauer? Wciąż nie mogę go rozgryźć.

Co na to ja sam? Kilka dni temu myślałem, że zwariowałem. Widziałem cienie, które zaciskały mi się na szyi. Walczyłem z demonami, po których zostawał wystygły ślad. Odwrócił się ode mnie komendant. Odwróciła się ode mnie Marta, psycholog, wystawiając mi opinię wariata. Wiele nici związało się w supeł, którego nie mogłem już rozwiązać.

Teraz jest moment, by spróbować jeszcze raz. Poczynając od Alfa, przez Lacza, przewertowanie starych akt, aż po twarz człowieka, który chciał mi zniszczyć życie. Odnajdę go, nawet jeśli będę musiał przeczłogać go po samym dnie tej cholerniej rzeki. Może wtedy wypłuczę brud z tego miasta raz na zawsze”.

Dopalił camela, pstryknął filtr przed siebie i obrócił się w stronę murów. W czterdziestometrowych odstępach od wieków mieściły się baszty, w których więziono niegdyś obywatele łamiących prawo. Ruszył w kierunku przebicia w czerwonocegłanym murze pomiędzy kawiarnią „Zamkowa” a Dworem Mieszkańskim.

Szedł właśnie Fosą Zamkową, kiedy w oddali, pomiędzy murami, przebiegła niewyraźna postać.

– Dziewczyna w Czerwonym Płaszczu! – wyszeptał. – Nie. To niemożliwe. To przywidzenie. Ale jak to możliwe, skoro myślę trzeźwo? Jeśli zmysły nie płatają mi figli, to kto, detektywie? Pojedyncze fakty nic nie znaczą, są kropkami na kartce. Dopiero postawione jeden przy drugim nabierają sensu. Czy to, co widziałem, ma sens? Nie. Jeszcze nie! – I rzucił się pędem w kierunku widma.

Księżyc wyłonił się teraz zza chmury, która płynęła po gołym niebie jak okręt Magellana. Srebrzysty talerz ziemskiego satelity czuwał nad miastem, doświetlając scenerię niczym teatralny reflektor. I znów rozpoczęła się gra światłocieni, z których wyłaniały się zarysy dachów, tympanony, nisze, łuki, wimpergi, ryzality i pilastry. Ruiny krzyżackiego zamku drgały w mozaice jasności i mroku szarpaniną murów, stołpą i gdaniskiem.

Brodzki dobiegł do schodów przy wejściu na ulicę Przedzamcze. Wdrapał się na górę – cień mknął już w kierunku wschodniej bramy zamkowej, skąd dochodził szum toruńskiej strugi. Czerwony materiał mknął pod murem tak, jak mogłaby na obrazie mknąć śmierć. Leon ruszył w tamtym kierunku, nie będąc pewnym, co goni i dlaczego. Czy była to czerwień z jego wyobraźni, czy też zmaterializowane kształty na wyobraźnię tę oddziałujące? Po chwili był w bramie, przy murach dawnego szpitala, gdzie hałas Bachy – jak nazywano Strugę Toruńską – był donośniejszy. Pachniało spienioną słodką wodą i mokrą ziemią.

Kroki zadudniły echem gdzieś z lewej strony. Księżyc oświetlił ciemną, czerwoną plamę, która przemknęła za Młynem Garbarskim – dawniej mieściła się tu szpitalna kostnica – a potem pod murami, w stronę ulicy Piernikarskiej. Brodzki puścił się pędem w kierunku zjawy, która nawróciła teraz przy budynku Starego Browaru i skręciła w Wielkie Garbary. Detektyw przeskoczył schodki – cień oddalił się znacznie, wbiegając w ulicę Szeroką. Gdy Brodzki dobiegł do miejsca, gdzie Szeroka rozdziela się na ulicę Królowej Jadwigi

i Wielkie Garbary, cień umknął w lewo, w Podmurną. Leon nie dał za wygraną. Nie był pewien, czy goni przestępcę czy swoje galopujące zmysły, ale czuł, że musi dopaść to coś, że musi zacisnąć na nim dłoń i nie puścić, a potem spojrzeć temu czemuś w twarz, jeśli tylko będzie ją mieć. Zrzucić tę przerażającą maskę i dowiedzieć się, co się za nią skrywa. Skręcił w Podmurną, minął ośmioboczną Monstrancję i dawne „Nasze Kino”, które latami prowadził pan Kucharski, przebiegł wzdłuż białych murów i dobiegł do skrzyżowania z Ciasną. Tu trop się urywał.

Furta z lewej, a za nią ruiny zamku i fosa, którą przed chwilą biegł. „Zatoczyłem koło” – pomyślał. „Cholera! W dół – kocie łby i Dwór Mieszczański, w oddali Wisła. Z prawej – Ciasna, w głębi Mostowa, a jeszcze dalej – Czerwony Spichlerz i Kościół Świętych Janów, po którym już raz ganiałem zjawę w czerwonym płaszczu, czego omal nie przypłaciłem życiem. Śledztwo ustaliło jednak, kto ze mną wtedy pogrywał, więc czym, do cholery, jest to, co widziałem przed chwilą?”

Detektyw Leon Brodzki nie zdążył jednak odpowiedzieć sobie na to pytanie, bo w oddali, gdzieś za zakrętem, w okolicach Bramy Mostowej usłyszał krzyk.

## 19

Kiedy dobiegł na miejsce, drobna sylwetka ludzka próbowała podnieść się z bruku.

– Hej, nic ci nie jest, człowieku? – spytał Brodzki. Gdy postać wstała i odwróciła się do światła, zobaczył młodą, niewysoką kobietę. Pierwsze, co zauważył, to pieprzyk na nosie, tuż obok oka. Zawsze tak miał, że wpatrywał się we wszelkiego rodzaju znamiona, blizny, znaki szczególne. Niektórzy nazywali to „lampieniem się”. On – „anatomiczną refleksją”. Poznał jej twarz. Już się dziś spotkali, podczas akcji pod Krzywą Wieżą. Miała na sobie czarną gładką koszulę z podwiniętymi mankietami, które odsłaniały jej drobne przedramiona. Koszulę, do której łatwo i szybko można dobrać

dotatki. Do tego dopasowane w pasie spodnie z materiału, na kant, teraz przybrudzone podczas upadku.

Leon postąpił naprzód i przyjrzał jej się uważnie. Miała lekko kręcone włosy, drobny nos, a kąciaki jej ust się unosiły jak u Mona Lizy na obrazie. Oczy – ciemnozielone. Leon popatrzył w nie z uwagą. „Jednym się uśmiecha, drugim zabija” – pomyślał. I dodał:

– To znowu ty.

– Nie przeszliśmy na ty. Dziękuję za pomoc, ale poradziłabym sobie – rzekła chłodno. „Bzdura” – pomyślała. „Czemu mi się tak przygląda? Wielki detektyw Leon Brodzki we własnej osobie. Pozer”.

– Wystarczyłoby zwykłe „dziękuję”. Widziałaś napastnika?

– Napastnika?

– Tak, tego, który uciekał. Krzyknęłaś, przybiegłem...

Berenika spojrzała ze zdziwieniem.

– Rycerzu w lśniącej zbroi, doceniam twoją gotowość do ruszenia na ratunek, ale ja się tylko potknęłam.

Patrzyli na siebie chwilę w milczeniu i bezruchu, a ta cisza i ten bezruch, to mierzone w amperach napięcie w ich ostrych spojrzeniach i naprężone sylwetki ludzkie, wszystko to sugerowało, że mają sobie do powiedzenia znacznie więcej. Byli wobec siebie nieufni i podejrzliwi, zupełnie tak, jakby to był finał trwającej wiele godzin kłótni, w której padło za dużo niepotrzebnych i przykrych słów.

– No nie da się ukryć, że sympatią to mnie nie darzysz. – Kończąc zadawanie pytania, pokazał ręką, że odprowadzi dziewczynę. Wskazała koniec ulicy Mostowej.

– Ja po prostu mam złe zdanie o gliniarzach. Dlaczego łamiecie prawo i nadużywacie swojej pozycji? – spytała i spojrzała odruchowo na budynki, o których opowieści słyszała od taksówkarza.

– Tak jak przed chwilą? Czasem decyzje trzeba podejmować szybko. Czy teraz też złamałem prawo?

– Uważasz, że możesz robić, co chcesz?

– Gdyby policjant miał się zastanawiać, jakie paragrafy go czekają

za interwencję, toby na każdą akcję wysyłali straż miejską albo SOK-istów, bo od policjantów niczym by się nie różnili...

– Na... akcję? – Berenika się zaśmiała. Sama była zaskoczona tym jak głośno.

– Czy ty się czegoś naćpałaś, panienko z Warszawy? Słyszałem o tobie. – Zatrzymali się przed hotelem „Pod Orłem”.

– Co ty na to, że dziennikarze są coraz bardziej zuchwali i coraz częściej zamiast rzetelnych materiałów wymyślają bajki?.

– Za często oglądasz horrory przed snem.

– To dane zebrane przez Okręgową Radę Adwokacką w Warszawie.

– W takim razie za często zapraszasz adwokatów na wspólne oglądanie horrorów przed snem. Zakładacie piżamy czy tylko kajdanki?

– Jesteś bezczelny.

– To prawda. Zrozumiałem to, kiedy biegłem, żeby ci pomóc. Po co komu policja?

– Pomóc?! Powiedziałaś, że biegłeś mi pomóc?

– Tak, ze mnie sukinsyn, że nie umiem odwrócić wzroku, kiedy komuś dzieje się krzywda. Nie ma za co. Dobrej nocy. – Po czym odwrócił się i odszedł w kierunku ulicy Szerokiej.

Rozdygotana usiadła na progu hotelu. Ręce jej się trzęsły i nie potrafiła nad tym zapanować. Wcale nie była tak silna i wcale nie umiała toczyć w środku nocy utarczek słownych z impertynenckimi facetami, ale nie potrafiła się do tego przyznać nawet sama przed sobą. Na przeżytą sumę doświadczeń nie miała wpływu, ale na radzenie sobie z tym, o czym wołałaby zapomnieć, już tak. Wewnętrzne walki między rozumem a emocjami ostatnio zawsze kończyły się nokautem rozumu. „To tylko chwilowa słabość” – myślała. „Tak, to stąd to drzenie rąk... Faceci po prostu są bezczelni i próbują wszystko rozgrywać z pozycji chama. Skurwysyn. Zagubiony chłoptaş z pistoletem na wodę. Nie płacz, Vesper. Szkoda soli z twoich łez. I tak masz niskie ciśnienie”.

Kiedy tak siedziała na hotelowym schodku, męska ręka podsunęła jej papierosa. Spojrzała w górę. Leon wyciągał w jej stronę camele,

a po chwili zapalniczkę zippo. Pomyślała o Sylwii i jej biernej aprobacie męskich imperatywów. O sobie sprzed lat, o sobie teraz. O policjancie, którego kiedyś znienawidziła.

Chwilę potem się zaciągnęła.

Papieros był bardzo mocny. Dym przelał się przez jej głowę i płuca. Wypuszczając go, uwolniła część złych emocji.

– Lepiej? – spytał detektyw.

Berenika nie odpowiedziała. Papieros faktycznie pomógł, ale nie podobało jej się, że Brodzki stoi nad nią jak nauczyciel, kryjąc ją w swoim cieniu. W tej zwycięskiej pozie szeryfa i łowcy.

Położyła papierosa na progu hotelu, wstała i odwróciła się w stronę drzwi hotelu. Gdy je otworzyła, z wnętrza buchnął przyjemny, ciepły zapach mebli, drewna i dywanów. Weszła do środka, detektyw odprowadził ją wzrokiem. Gdy wspięła się po schodach i zniknęła, Brodzki schylił się po dopalającego się papierosa. Na ustniku została reszтка pomadki. Obejrzał ją pod światło, a potem wsadził camela do ust. Smakował mu.

## 20

– Można? – spytał Brodzki, nurkując w korytarzu czerwonym jak rura w bawialni w McDonalddie.

– Kto ty?

– Przedstawiąłem się ostatnio.

– Już pamiętam. – Gargantuiczny ochroniarz złapał się za kwadratową niczym żelazko na węgiel szczękę. – Pamiętam. Gwardia Watykańska. – I puścił detektywowi oko. Tak się właśnie Leon ostatnio przedstawił. Gdyby nie szybka interwencja znajomego barmana, zostałby pierwszym w historii sprasowanym człowiekiem. – Witamy w naszych skromnych progach. Z Bogiem!

Poczucie humoru było ostatnią cechą, jakiej można się spodziewać po ekipie ochraniającej ekskluzywny klub ze striptizem przy ulicy Szerokiej. Czerwone witryny i pozłacane słupki przed wejściem nie były w smak ani włodarzom miasta, ani mieszkańcom. Klub,



w którym kobiety ocierają się pochwami o metalowe rurki, nie do końca wpisywał się w strategię turystyczną miasta, mimo że urząd z dokumentem o tej nazwie od dawna był w dupie. Dzikie prawa rynku nieruchomości sprawiały jednak, że w reprezentacyjnej, gotyckiej dzielnicy miasta działały się niezłe mecje. Na przykład rozpruto wewnątrz średniowiecznej kamienicy na poczet Biedronki. Sieć tak się spieszyła, że na plakacie napisała „Już wkrótce otwarcie”. Gdzie indziej, tam gdzie Pizza Hut, skuto piękne rzeźby na kolumnach, ponieważ bar sałatkowy musiał mieć odpowiednią przestrzeń, najpewniej na podajnik z burakami. Obcy kapitał wkroczył bezpardonowo w życie Starówki: gawiedź chciała tanio, zatem dano jej taniznę, niszcząc małe sklepiki i rodzinne interesy za garść srebrników. Ale to nie tylko przypadek Torunia.

– Kurwa, znowu ty. – Nikt nie witał czulej niż Łukasz Grotowski.

– Nalej coś dobrego. – Brodzki usiadł z ulgą i spojrzał na baterię alkoholu przed sobą. – Ściana płaczu.

– Albo śmiechu. Zależy, czemu kto pije. – Wiedział, co mówi. Pracował w ponad trzydziestu barach w Polsce i zagranicą. – Co dla ciebie? Może japońska whisky, skoro nie popełniłeś w celi seppuku?

– Sake chyba?

– Nie, whisky.

– W Japonii robią whisky? Kurwa. A szynkę wedzą wegetarianie. Ten świat schodzi na psy. Nie obrażając psów oczywiście. – Złapał się za głowę. Od wyjścia z celi był to pierwszy wieczór w stylu starego nocnego szusu przez miasto. Szusu, podczas którego je się kaloryczne jedzenie, ostre przyprawy gasi papierosem, papierosy zalewa alkoholem, a alkohol podpala seksem. Dziś jednak lista była krótsza. Chodziło tylko o rozmowę.

– Ostatnio widziałem cię na pogrzebie twojego ojca. – Grotowski postawił szklanke na lustrzanym blacie. Patrząc w niego, każdy klient widział swoje nozdrza. – Nie wyglądasz za dobrze.

– Czuję się gorzej, niż wyglądam. Muszę znaleźć ludzi, którzy nie mają imion i twarzy.

– W porządku, na mój koszt. – Grotowski, wbrew krnąbrnemu

podbródkowi i minie oceniającej każdego na dopuszczający plus, potrafił być dobrym kumplem. Nalał mu.

Był od Brodzkiego młodszy o piętnaście lat, ale jego dusza była równie stara. Był nihilistą, a to gorzej od socjalisty. Nie wierzył w nic prócz idei teatru świata, w którym wszyscy odgrywają swoje role. W Brodzkim widział figurę złego wojownika o dobrą sprawę, sam zaś grał rolę alchemika, wywiązując się z niej nad wyraz dobrze. Miał twarz przedwojennego aktora i nisko osadzone biodra, dzięki czemu przesuwiał się za barem jak tancerz. Tancerz w tańcu śmierci, którą porcjował kroplami słodkiej trucizny.

– Szukam... – zaczął Brodzki. A to słowo działało na Grotowskiego jak płachta na byka albo Tusk na prawicę. Nie wiadomo, co gorsze w skutkach.

– No nie, tylko nie to. Znowu mam ci pomóc?

– Tylko ten jeden raz – dodał, bawiąc się szklanką.

– Kurwa. – Głoskę „r” przeciągnął jak karabin maszynowy przy szybkiej serii. – Kiedy przyszedłeś ostatnio, też tak mówiłeś. A potem znaleźli tę babkę...

– Jankę.

– Przerzniętą piłą mechaniczną. Nie masz coś szczęścia do kobiet. A ja niestety mam do ciebie.

– Ostatnio do niczego nie mam. Szukam niejakiego Lacza. Ponoć lubi dziewczyny.

– No to zawężiłeś poszukiwania do mężczyzn o orientacji hetero. Teraz będzie z górki. Brawo! – zaklaskał Łukasz.

– Taki rumburak ze złotymi łańcuchami na szyi. Lubi auta...

Brodzki poszukał wzroku Grotowskiego. Ten walnął ścierką o blat, przetarł kąciki ust kciukiem i palcem wskazującym, po czym lekko pochylił się ku policjantowi.

– Podobno wyniósł się do Chełmna. I uważa...

– Na ogon, tak.

– ...na ogon. Ale dużo wie i chyba nawet mógłby sypnąć starych kamratów. Tak mówiły dziewczyny.

– No proszę. Czyżby padły krzyżem nago i go nawróciły?

– Czy przed nim padły, to nie wiem. Ale wiem, co robiły przede mną. – Grotowski puścił oko.

A potem zakrył usta palcem wskazującym, sugerując, że nic już więcej nie powie. Sam się czasem dziwił, jak znalazł się w oku tego towarzyskiego cyklonu. Między dziewczynami, alkoholem, policjantami i gangsterami. Zachodziło tu jakieś aksjologiczne dopełnienie: z zawodu był teatrologiem, a pracę za barem uważał za performance, w którym barman – niczym aktor – przywdziewa maskę.

Jedynie przy Brodzkim mógł pokazać, kim naprawdę jest.

– Czy wiesz, że ćmy są ponoć duszami, które opuściły ciało i czekają na następne wcielenie? – Grotowski był prawdopodobnie jedynym w Polsce barmanem, który podczas mycia shakera bostońskiego podejmuje temat z zakresu entomologii, i nie jest to bzykanie. Stanął teraz w pozie greckiego filozofa i podparł swój krnąbrny podbródek tak, jakby się zorientował, że faktycznie jest w tym dwuboju pierwszy. – Polyphemus moth.

– Jedno pytanie niczym błyskawica przeszło mój umysł. – Brodzki nachylił się nad kontuarem i jednym ruchem wlał zawartość szklanki do gardła. Syknął i dokończył: – O czym ty, kurwa, pierdolisz?

– Dusza ludzka waży podobno dwadzieścia jeden gramów. Może to tyle co ćma?

– Ćmy nie są takie duże. Może ważyć najwyżej połowę tego. – Policjant sam nie wiedział, dlaczego rozmawiał przy whisky o owadach, i jego twarz to zdradzała. – Chyba, że masz na myśli ćmy barowe, to tak. Potwierdzam. Z każdym kolejnym łykiem zbliżamy się do kolejnego wymiaru. Spierałbym się jednak czy są nim chmury, czy kupa ziemi i błota na najbliższym cmentarzu komunalnym.

– To był ładny pogrzeb. – Grotowski przeskoczył na inny temat jak przeskakuje porysowana płyta w adapterze. – Zwłaszcza ten numer ze strzelaniem, serio. Ciary! – Tu pokazał na swoje gęste owłosienie rąk. Brodzki jednak z całą pewnością nie chciał przywoływać tych obrazów z pamięci. „Bo co tu przywoływać?” – myślał. „Śmierć przy alkoholu? Przecież to jedno i to samo”. Tak, to była całkiem

błyskotliwa refleksja, ale nie miał zamiaru się nią dzielić.

– Chyba że... – Policjant sięgnął po czystą szklankę typu lowball. – Byłyby to dwie bliźniacze dusze. Po dziesięć gramów – rzekł, zbliżając do siebie oba naczynia. – I masz, kurwa, ćmę. Dwadzieścia jeden gramów. A teraz spierdalaj.

Zsunął się z hokera i ruszył do wyjścia, nie do końca koordynując ruchy rąk. Gdyby ktoś chciał nazwać jego chód „tanecznym krokiem”, pomyliłby się.

– A tobie co? – Grotowski przerzucił ścierkę przez ramię i złapał się pod boki. – Fajerka się odlutowała?

– Może to i dobrze, że trujesz ludzi. – Brodzki stanął w drzwiach i odwrócił się do barmana. – Truj ich dalej. Tylko niech przychodzą parami.

I wyszedł. Przed oczami miał dwa nagrobki z tym samym nazwiskiem: Salomea i Franek Brodzcy. Nie wiedział, czemu myśl o końcu ludzkiej egzystencji tak bardzo go ukłuła. „Być może – myślał – przez to, że dzień rozpoczął na cmentarzu, a zakończył z trucizną w żołądku?” A jednak jakaś część jego duszy wiedziała. Była to smutna konstatacja, że jest się ostatnim w linii rodziny. Że machina czasu co jakiś czas przeskakuje. I jak dni stają się tygodniami, miesiącami i latami, tak człowiek, on, z małego Leona stał się policjantem, synem, potem policjantem ojcem, a na końcu policjantem dziadkiem. No dobrze, do dziadka jeszcze mu trochę brakowało. Dowody były jednak niezbite. On też leciał do światła.

Kiedy wyszedł na Szeroką i zauważył, że słońce dawno zaszło, sprawiło mu to pewną przyjemność. Lubił noc. Był to czas przemyśleń i przygotowań. W końcu to w nocy zrzucano spadochroniarzy i nocą pieczono chleb.

Idąc do hotelu, pomyślał, że wczoraj Mauer nie mówił ani jednego zbytecznego słowa, za to robił znaczące pauzy po każdym, nawet niewinnym, zdaniu. Prokurator był wytrawnym graczem, ale na ile poznał się na Halickim? Czy był poza układem, a może tkwił w samym jego środku? Chciał rozbić klikę czy zachować status quo? Tego Leon nie potrafił w tej chwili powiedzieć.

Skręciwszy w Chełmińską, ruszył w kierunku światła peronu przesiadkowego na placu Teatralnym.

## 21

*Zbrodnia w mieście T.*  
Reportaż Bereniki Vesper

Część piąta

*Dzień upływa mi na uważnym przesledzeniu archiwalnych wydań prasy. Poszukiwane hasło: Leon Brodzki. Tytuły znalezionych artykułów: „Młody policjant bohaterem”, „Kibice nie wybaczą policji. Franciszek Brodzki unika odpowiedzialności za prowokację”, „Policja zaatakowała pierwsza? Leon Brodzki twierdzi, że uratował ojca”.*

*W pamięci zapada mi historia zatrzymania przez Leona seryjnego mordercy. Dochodzi do tego, kiedy jeszcze jest uczniem akademii. Szybko zdobywa sławę i rozgłos. Druga historia wiąże się z kibicem, który miał zaatakować nożem Franciszka Brodzkiego. Kibic ginie od postrzału gumowym pociskiem, który trafia chłopaka w oko. Strzelał Leon. Kibice poprzysięgają na Brodzkim zemstę.*

*By go zrehabilitować, toruńska policja wykorzystuje wizerunek Leona do reklamy numeru alarmowego 112.*

*1 września 2016 roku Leon Brodzki przechodzi na emeryturę, otrzymując od prezydenta Torunia dyplom z podziękowaniami za służbę na rzecz mieszkańców Torunia.*

*2 września znalezione zostają zwłoki Laury Mostowicz. Padła ofiarą zabójstwa łudzko przypominającego śmierć Hanny Krosny trzy dekady wcześniej. Obcięty palec, spuszczone krew. Ciekawostka? Zatrzymanie zabójcy Krosny było pierwszą sprawą Leona Brodzkiego. Poszukiwanie zabójcy Laury Mostowicz – pierwszą sprawą Leona Brodzkiego po ściągnięciu go z emerytury, czymś w rodzaju „powtórki”. Czemu to Brodzki miał się zajmować sprawą? Na ciele znalezionego przy Laurze Mostowicz dziecka napisano:*

*„Brodzki jest winny”. Pytanie: który z Brodzkich? Ojciec czy syn?*

*4 września w więzieniu w Koronowie zostają znalezione zwłoki powieszzonego w celi więźnia Remigiusza Śniega.*

*„Śmierć więźnia w Koronowie. Czy sprawa ma związek z wydarzeniami w Toruniu? Jak udało się nieoficjalnie ustalić naszym reporterom, detektyw Leon Brodzki prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa Laury Mostowicz, a ślady wiodą do zbrodni sprzed trzydziestu lat. Przypomnijmy, że za morderstwo Hanny Krosny skazani zostali Stanisław Czabański i Remigiusz Śnieg, pseudonim Szary. Pierwszego skazano na karę śmierci, drugi odsiadywał dożywocie. I to właśnie ciało tego drugiego, powieszona na sznurze z prześcieradła, znaleziono w Koronowie. Wszystko wskazuje na to, że sprawa zatacza koło: do aresztowania zbrodniarzy przyczynili się Franciszek Brodzki, przebywający w tym oto ośrodku opieki, a także jego syn, Leon Brodzki. Jak się nieoficjalnie dowiedzieliśmy, sprawę ma przejąć prokuratura...*

*– Jesteśmy na etapie zbierania dokumentacji. W tej chwili zaniepokojonej społeczności regionu kujawsko-pomorskiego możemy jedynie powiedzieć, że polski wymiar sprawiedliwości i służby mundurowe znajdują i ukarzą winnych. A tacy funkcjonariusze jak Leon Brodzki zostaną pociągnięci do odpowiedzialności za przekroczenie swoich uprawnień.*

*– A jakie jest pana zdanie, prokuratorze Giżycki, na temat działań policji?*

*– Moje prywatne zdanie nie ma tu nic do rzeczy, ale jako obywatel przyznaję, że jestem wstrząśnięty. Tacy ludzie jak Leon Brodzki nie powinni nosić odznaki. To wstyd dla polskiej policji”.*

*Śnieg był współwinny zabójstwa Hanny Krosny. Brodzki postąpił go za kratki, a 3 września 2016 roku ponownie go przesłuchiwał. Podobno miał potem podburzać strażników przeciwko Śniegowi. Tego samego dnia Brodzki łąpie Heraklita. To były policjant i syn Stanisława Szabańskiego. Miał się mścić na Brodzkim. Także 4 września ginie Franciszek Brodzki.*

*Ciekawostki kryją się jednak gdzie indziej. Salomea Brodzka, matka*

*Leona, zmarła 4 września 1987 roku. Franciszek Brodzki zmarł śmiercią samobójczą 4 września 2016 roku. Tego samego dnia po latach. Przypadek?*

*Kolejne niewyjaśnione historie kryją się w jeszcze dalszej przeszłości. Postacią, o której wspomnienie do dziś wywołuje ciarki na plecach, jest Młotkarz z Torunia. Pseudonim pochodzi od narzędzia, którym zabito trzy kobiety w latach 1984 i 1985. Jednak Leon Brodzki nie był wtedy policjantem. 8 września 2016 roku, podczas akcji policyjnej, imiona tych kobiet odkrył na kolejnym miejscu zbrodni. Tego samego dnia w Toruniu znalezione zostają zwłoki urzędującego w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych prokuratora Bojarskiego...*

*O co w tym wszystkim chodzi?*

*Poznałam bohatera swojego reportażu. To ważne przy zbieraniu materiału, ale osobisty odbiór nie może wpływać na obiektywizm pióra.*

## 22

Mężczyzna w kaszkiecie siedział na finezyjnej ławce z napisem „CHEŁMNO – MIASTO ZAKOCHANYCH” za plecami. Siedzisko nazywane było „ławeczką zakochanych”.

Deptak ulicy Dworcowej ciągnął się od Bramy Grudziądzkiej z lewej strony, by przejść w asfaltową jezdnię na wysokości żółtego budynku Urzędu Miasta, gdzie Dworcowa zakręcała w lewo, przechodząc w ulicę Powstańców Wielkopolskich.

W kamienicy mieściły się urzędy oraz siedziba Straży Miejskiej. W koronie na fasadzie budynku górował niebieski herb miasta. Przedstawiał dziewięć pagórków, na których zbudowano Chełmno, oraz fale symbolizujące Wisłę. W herb wpisany był także krzyż maltański.

Było około dwudziestej pierwszej, kiedy z kamienicy wyszedł okołoświećdziesięcioletni mężczyzna w żółtym T-shircie. Wsiadł do zaparkowanego przed rzędem sklepów białego bmw m3, odpalił

głośną maszynę i ruszył, dudniąc sportowym wydechem.

Czarny kot przystanął pod witryną sklepu z „niemiecką chemią” i odprowadził pojazd sennym wzrokiem.

## 23

– I pamiętaj. Pozdrów żonę – rzucił Elf i się rozłączył.

Blady jak ściana Halicki siedział nieruchomo w fotelu. Ultimatum było proste. Do piątku ma nie wykonywać żadnych ruchów i robić wszystko, by takich nie zrobiła też policja. Potem wszystko miało samo się ułożyć i wrócić do dawnego porządku. Czy mógł wierzyć człowiekowi, który pakuje komuś kilka makarowów w czaszkę?

– Gromek, wszystko w porządku? – dobiegł go z kuchni głos żony. – Robię ci kanapki. Takie jak lubisz. – Gdy mąż jej nie odpowiedział, przyszła do salonu. – Gromek?

– Tak, kochanie, jestem – odrzekł niewyraźnie.

– Idźżeż wreszcie spać. Jesteś zmarnowany, wyglądasz jak trup.

– Bo czuję się jak trup – mruknął pod nosem i spojrzał na małżonkę tak, jakby miał się rano nie obudzić.



**13 WRZEŚNIA 2016**

# 1

CHMURY NADCIĄGNĘŁY NISKO nad miasto i oblekły je niby karmazynowa membrana, napięta grubą warstwą szelfowych obłoków. Ciemniało w górze, a zrywy wiatru raz po raz przypominały o niepewności tego, co za chwilę. Wtedy ziemia zaczęła się rozstępować, a trójka bohaterów – Leon, jego ojciec Franek i córka Sara – niby na fantastycznych blokach skalnych – zaczęła dryfować, każde w przeciwnym kierunku. Postaci malały tym bardziej, im bardziej wzmagał się wiatr, aż zniknęły ostatecznie za horyzontem. Wydawało się, że ich podróż powoli dobiega końca. Wtedy jednak z wód Wisły zaczęły się wyłaniać martwe ciała. Jedno po drugim do rytmu dzwonów, które biły na wieży Kościoła Świętych Janów.

Metaliczny dźwięk przeszedł w jeszcze ostrzejszy i jeszcze bardziej nieprzyjemny. Brodzki otworzył oczy, orientując się, że to nie największy dzwon w Europie wyrywa go z objęć z koszmaru, ale służbowa komórka.

Odebrał niechętnie, kładąc telefon na policzku.

– Masz naśladowców. – Żółtko, sądząc po głosie, był po dwóch kawach.

– Co? – Leon powoli otwierał oczy. Dawno nie spało mu się tak dobrze jak w hotelowym łóżku. „Dzięki Bogu – przemknęło mu przez myśl – że Dagmara zrobiła rezerwację na cały tydzień”.

– Masz naśladowców – powtórzył aspirant.

– Świetnie. Można ich obejrzeć na YouTube?

– Patrol na Chopina zatrzymał dwóch chłopaczków, którzy na Kozackich Górach nabazgrali na ścianie napis: „Brodzki jest winny”. Przez „c”.

– Co oni, z podstawówki? To matolki jakieś.

– Dorosłe byczki.

– Chętnie ich poznam i gratis dam autograf na raporcie – odparł i odrzucił telefon. „Ten sen – myślał – ciągle się powtarza. Zielona

otchłań, oleista maź wody i uciskające barki uczucie strachu przed czymś nieznanym i niedobrym”. Po czym sięgnął po komórkę raz jeszcze i dodał: – Może wskażą nam drogę do Pacanowa.

## 2

Dwóch dwudziestolatków z unieruchomionymi za plecami rękami opierało się o radiowóz. Ich wysportowane sylwetki rzucały na ziemię klinowate cienie zwięzające się od nóg. Młodzież zadawała szyku, udając władców osiedla, ale aspirant Adam Jacyk nie poświęcał wiele uwagi wrażeniom estetycznym. Łysy gliniarz dopijał kawę z kubka termicznego, precyzyjnie dmuchając w otwór do picia. Stali na wysokości Wydziału Matematyki i Informatyki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.

– Co wiecie? – spytał, nie odrywając wzroku od parującej cieczy.

– Z pałami się nie gada, oklepany temat, ziomuś – rzucił sztubacko chudszy z nich.

– Oklepaną to będziesz miał mordę. – Złapał go za pagony, odwrócił i wylał odrobinę wrzącej kawy na spięte trytką ręce. – Ziomuś.

– Aaa! Kurrrr... aaa, ja pierdolę, parzy! – Sztubak wił się jak piskorz, ale im bardziej się wyrывał, tym bardziej bolały go ramiona i łopatki. Naczelna zasada po unieruchomieniu brzmi: „nie ruszaj się”. Stąd taka nazwa tej czynności.

Nadjechał właśnie Brodzki z Żółtką, zostawiwszy w kurzu Szosę Bydgoską. Gdy wysiedli, Tomek ruszył do młodej dziewczyny w żółtym kombinezonie, siedzącej w różowym kabriolecie wielkości mydelniczki. Tymczasem Sztubak, rozjuszony zagrywkami Jacyka, rozpoczął teatr jednego aktora. Kategoria: dramat.

– Zjeby jesteście, małe kurewki w mundurkach, co mamusie proszą o drobne na kebsa, żeby razem z kolegami móc objebać bułę na przerwie w Nysce, a nawet rękawic nie mieliście na przeszczepach, jak wam wpierdol spuszczała na Apatorze po meczu z... – Nie dokończył jednak tego wielokrotnie złożonego zdania, bo Jacyk

założył mu dźwignię i rąbnął jego głową o maskę auta. – Coś ty mi, kurwa, zrobił?! – Sztubak miał złamany nos.

– Zachowywałaś się jak świnia. Teraz przynajmniej wyglądasz jak ona.

– Aspirancie. – Brodzki się przywitał, a jego oczy wyrażały podziw dla technik obezwładniania. – Co dzisiaj grają?

– Chcieli ukraść auto, przystawili dziewczynie pistolet do głowy – odparł policjant o wyglądzie kulomiota. Uścisnęli sobie ręce. Obaj po sekundzie wiedzieli, że mają długi staż w policji i teraz obaj już zdawali sobie sprawę, że zaczynali pracę, kiedy Żółtko jeszcze nie umiał pisać. – Po chwili uciekli.

– Czemu nie ukradli?

– Bo te nowobogackie gnojki od szkoły jeżdżą w automacie. Zobaczyły trzy pedały pod nogami i zgłupiały... – Tu wskazał na różowego nissana micrę c+c. – Ponoć najbardziej babskie auto na świecie.

Brodzki przyjrzał się kwiatowi młodzieży i mruknął pod nosem:

– Wydziarane chińszczyzną byczki... – Po czym postawił Grubszego na równe nogi. – Dobra, panowie. Witamy na gościnnych występach. Pytanie pierwsze: który z was jest głupszy?

– Co, kurwa? – odpowiedzieli jednocześnie. Jacyk i Brodzki spojrzeli na siebie.

– Pytam się: który jest głupszy. Który z was chciał ukraść tak ohydną furę? – spojrzął na obu pytająco.

Wtrącił się Jacyk:

– Gruby miał na telefonie Andżelikę. Przesłuchiwaaliśmy ją z Żółtką na okoliczność włamania na „Kozakach”. Zna ich.

– Czyli samochód miał być dla niej, kapuję – Leon się zaśmiał. – Napisałicie, że Brodzki jest winny. – Leon jeszcze mocniej zacisnął dźwignię. Chłopakowi coś chrupnęło w ramieniu.

– Aua! Kurwa, to boli!

– Paragrafy za przekleństwa lecą. Kto wam kazał napisać, że Brodzki jest winny?

– Tak słyszeliśmy. – Grubson odkrywał właśnie talent do mówienie

mezzosopranem.

– Gdzie?

– Na mieścieeee... – Teraz z kolei przeszedł w czysty sopran.

– Gdzie na mieście? – Ale Grubson już Brodzkiemu nie odpowiedział, bo zemdłał z bólu. Leon spojrzął na Sztubaka i nie musiał długo czekać, by ten poprosił o zabranie głosu na tej sesji plenarnej.

– Mieliśmy nastraszyć typa, co mieszka na Kozackich Górach.

– Jakiego typa? – Jacyk postraszył go i pokazał na wrzącą kawę.

– N-n-no, t-t-takiego strażnika. Ale nie było go – odparł Sztubak i osunął się ze strachu na ziemię. Zerkał kątem oka na Grubsona i nie chciał skończyć jak on.

– I raczej już go nie będzie – rzucił do siebie Brodzki. – Gdzie mieliście odprowadzić auto?

– Garaże na rogu Lindego i Mickiewicza. Mieliśmy tylko odstawić auto i wiać. A do tego Brodzkiego to my nic nie mamy.

Leon się zaśmiał i złapał obu chłopaków za szczęki. Grubson ocknął się i zajęczał z bólu.

– Ale on do was tak. – Po czym odwrócił się do Jacyka: – Aspirancie, dobra robota. Nie ma co się z nimi pierdolić, to nie *Taniec z gwiazdami*. Do pudła na dwa cztery. Albo lepiej. Na wytrzeźwiałkę. O ile wiem, ciągle mają tam zasrane prycze. Może w wyniku traumy nauczą się języka polskiego.

– Detektywie. To melodia dla moich uszu – odparł Jacyk i pociągnął łyk kawy. – Cholera, parzy!

### 3

Sorbet był mętny jak gadka faceta po połówce wódki.

Berenika do lodziarni Lenkiewiczów poszła w szlafroku. Wzięta truskawkowe, wróciła do pokoju, siadła przy uchylonym oknie. Od ulicy dolatywał zapach cukierni z Szerokiej i płynu do baniek mydlanych, które puszczały dzieci. Ich głos był piskliwy i nieznośny. „Trochę utknęłam z materiałem... i ze sobą samą chyba też” –

pomyślała. „Znowu napędzam się paliwem wiary, że «dam radę». Rzucam wszystko po jednym tajemniczym telefonie, wyruszam w podróż, nie wątpię, staję się czystą iskrą zapalną. A iskry przecież się wypalają, znikają do niebytu, z którego powstały. I dlatego jestem w kropce... Jechałam z nadzieją wielkiego odkrycia, podróży życia. Towarzyszyło mi uczucie, które pamiętam z dzieciństwa, jak autokar czekał za oknem, a świat był większy niż ten na pomazanym flamastrami globusie. Znacznie barwniejszym niż ten, który mają tu, na recepcji. Zaznaczałam na nim zawsze, gdzie chcę kiedyś polecieć. Kamczatka, Nowy Jork, RPA. Dlatego musiałam zostać dziennikarką.

No i przyjechałam. Przeprowadziłam kilka rozmów, pogrzebałam w papierach, zdobyłam zdjęcia i kilka wizytówek. Poznałam samego bohatera i antybohatera w jednym, trochę przypadkowo. Nie chodzi o to, że straciłam wczoraj wiarę w swój instynkt... Po kilku dniach lotu przez mgłę informacji, przez błyskawice odkryć i szelfowe chmury oczekiwania stanęłam nagle przed żywym człowiekiem, który na pierwszy rzut oka nie wygląda jak człowiek z nagłówek. Nie ma też nic wspólnego z wyobrażeniami – moimi czy czytelników. Jest po prostu osobnym człowiekiem w osobnej parze butów, z paczką papierosów w kieszeni, z tym pewnym siebie uśmiechem. Wydał mi się wyniosły i impertynencki, ale nie mogę mu odmówić człowieczeństwa, z którego media chciały go tak bardzo obedrzeć. I siedzę teraz tutaj w tej piźniamie, nie wiedząc, co dalej. Może to wcale nie jest żaden materiał na reportaż życia? Może to się nie trzyma kupy? Co mam? Rozmowę z nonszalanckim dziennikarzem, który opowiedział mi więcej żartów niż faktów. Rozmowę z żoną, która broni męża, ale nie wiem, czy z miłości, czy z głupoty. Są impresje na temat miasta, mam czym obudować historię o «mieście T.». Jest też taksówkarz, jest historia. Młynarski mówił, że piosenki zaczyna od puenty, ale ja nie mam puenty. Nie wiem, dokąd mnie to zaprowadzi... To znaczy reportaż. I mnie samą też, bo, do cholery, nie mam puenty dla siebie. Ten reportaż to moja ostatnia deska ratunku, rehabilitacji. Powtórki. Choć nie wszystko chciałabym powtarzać. Choć nie wszystkich glińiarzy chciałabym nienawidzić.

Choć nie we wszystkie rodzinne historie chciałabym wątpić. Chyba dlatego te lody mi nie smakują” – stwierdziła na koniec i położyła głowę na parapecie.

To było trzy lata temu. Całą noc czuła spazmatyczny ból, a kiedy się obudziła, było tylko gorzej.

Jarek miał przyjść o szesnastej. Wskazówka zegara robiła się coraz dłuższa, coraz wolniej zataczała koła, sięgając podłogi, gdy zegar sływał po kafelkowej ścianie. Ale Jarka nie było. Miłości jej życia. Faceta, który mówił, że jest drugą połówką ananasa, jakim jest ta jego szalona Berenika. Z którym była w Berlinie, na stopa, po zdaniu magisterki. Z którym miała w domu zeszyt w linie, gdzie od zawsze zapisywali zasłyszane dowcipy. O godzinie dwudziestej był koniec odwiedzin, a ona została sama. W płaczu dzieci i szeptach ich matek dookoła. Próbowowała sobie to jakoś wytłumaczyć, gdy za oknem wiało, łamiąc gałęzie i przeganiając ciemne kłęby po niebie. Była wtedy w dużo większej kropce. W najczarniejszej z nich.

Jarek podobno miał służbę.

I nie mógł wiedzieć, że poroniła. Wyłyeczkwali ją.

Przebudzenie było potworne. Z powodu utraty, pustki, złamanego serca. A także przez to, że po zabiegu położono ją obok matek z dziećmi, na oddziale położniczym.

Matka przestrzegła ją potem, by nikomu nie mówiła, jak drugi raz zajdzie, bo „licho nie śpi” i „jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz”. Kuzynki, te dwie z Bełchatowa, pytały, czy planuje. Przy każdej nadarzającej się okazji cała rodzina robiła więcej szkody niż pożytku, żartując, swatając, świergocząc bez końca.

Poczytała fora internetowe: inne matki nazywały to „stoniowatością w składzie porcelany”. Bo tak się zachowują ludzie, kiedy mają rozmawiać na delikatny temat – jak ten słoń z powiedzenia. Nikt tylko nie zapytał Bereniki, jak się czuje. A nawet najsilniejsza i najodważniejsza kobieta może się czuć źle, jeśli pęknie jej serce i straci córeczkę, którą nosiła pod sercem, do której mówiła, której puszczała Piosenkę księżycową Varius Manx i Don't stop believing Journey. To się właśnie dzieje po stracie dziecka: jego

dusza ulatuje z łona z kawałkiem duszy matki.

Berenika wiedziała, że rozumie to ten, co przeszedł tę gehennę. Choć i tak nie jest przesądzone, co powie. Bo w jej domu i w tym kraju nawet kobiety – te od kłapania jęzorem – miały tematy, których nie poruszały. Nie mówiło się o aborcji. Nie mówiło się o długich łapach wujków, ojców i sąsiadów, o seksistowskich żartach, o podglądaniu i kładzeniu rąk na tyłku, gdy dziewczyna stoi w kolejce w sklepie. O spódniczkach podwiewanych przez wiatr i gościach patrzących z dołu na schodach. Nie mówiło się też o metodach wychowawczych ani roli kobiet. Wszystko sprowadzało się do kilku wspólnych mianowników i repetycji – jest, jak jest, trzeba pewne rzeczy akceptować, babie chłopca potrzeba. To dlatego, choć miała na koncie sukcesy i choć działała na ludzi jak uran, nie czuła się w środku wielkowiejską dziewczyną. Nigdy też nie chciała taką być. Fajnie czuć korzenie zamiast betonu i wspinać się na drzewa zamiast na schody w wieżowcach. Ale ten folklor we krwi miał też słabe strony – stereotypy tak krzywdzące dla kobiet w tak męskim świecie.

Bardzo długo płakała na widok dzieci. Nie znosiła rozmów. Gdy ktoś się chwalił, przytakiwała z zaciśniętymi pięściami. Potem już tylko odwracała się na pięcie i milczała. Do szafu doprowadzały ją okładki prasy dla młodych matek. Gdyby to było dziś, najpewniej roztrzaskałaby młotkiem telefon, przez reklamy kontentowe pieluch, gryzaków i zupek gerbera. Kiedyś oglądała jakiś talk-show. Pilot spadł za łóżko, nie miała siły go podnieść, program po prostu leciał. Rozmowa zesłała na problemy z ciążą. Wypowiadały się kobiety, ich rodziny nie miały problemów ze zdrowiem. – Jak ktoś ma problemy z ciążą, znaczy, że sam je spowodował. No, chyba że to to zatrute powietrze. Jedzenie z plastyku albo krzyżówki genów. Ludziom spada odporność, mieszają się z ludźmi z innego środowiska, a potem czytasz na Facebooku: „Ratujmy Tomusia, ma rzadką chorobę”.

Na drugi dzień telewizor leżał roztrzaskany pod śmietnikiem. Sąsiad się obraził, bo działający, więc by wziął. Faceci. Telewizor



zastąpiła dużym geranium.

Bardzo długo płakała na widok zakochanych. Mieszkanie w bloku z płyty na Ursusie nie było szczytem marzeń, tak jak huk samolotów walących na Okęcie. Ale to było ich miejsce. Nie chodzi nawet o wycieraczkę z napisem „Witamy”, magnesy na lodówce i ubrania wiszące w jednej szafie. Nie chodziło o to, że ona wolała odkurzać niż zmywać, choć Jarek miał słabość do prania, ściereczek do pralki, kapsułek do prania. Mógł w zasadzie cały dzień tylko prac i prasować. O ile nie miał służby.

Poznali się, kiedy dorastali. Bo dzisiejsze pokolenie dorasta przed trzydziestką, a nie przed maturą, jak kiedyś.

Ale tamtego dnia Jarek nie miał dyżuru. Upił się z kolegą z komendy, Sławkiem. Z takim najlepszym, jeszcze od czasów dzieciństwa. Może dlatego Sebastian nie zrugął Jarka, kiedy ten odszedł do innej kobiety. Nie potrafił spojrzeć Berenice w oczy, nie dorósł, nie stawiał czoła, traktując utratę dziecka jako swoją męską porażkę. Stwierdzenie, że Berenika została wtedy sama, byłoby niekompletne, bo nawet jej samej w sobie zostało znacznie mniej. Bez narzeczonego, bez spodziewanego dziecka, bez teoretycznie zaplanowanej rodziny. Zostało jej tylko imię i nazwisko, reszta uleciała przez lufcik codzienności. Jarek przysłał kwiaty, jego rzeczy zniknęły – zabrał je jego najlepszy przyjaciel. Jarek ofiarnie zostawił jej mieszkanie. Sprzedała je, wyniosła się na Żoliborz. Sama, o połowę chudsza na duszy.

– Dziecko już rozrabia – usłyszała trzy tygodnie później u koleżanki Żanety i jej matki. Zaprosiły ją na deser. Lody truskawkowe.

– To wspaniale – odpowiedziała, czując, że żebra zmiążdżą jej za chwilę serce. Miała w sobie złość i żal do samej siebie. Złość o tę zazdrość i słabość, która nad nią zapanowała. Nigdy, przenigdy nie sądziła, że znajdzie się w tak mrocznym miejscu. Żaneta próbowała jej wcisnąć na ręce córeczkę. „Jak można nie mieć serca i robić coś takiego” – myślała. Grymas na twarzy dostrzegła obudzona babka, która dziecko trzymałaby na rękach cały czas. Tak jakby zatrzymywała tym ślizg ku drugiemu biegunowi życia.

– Mogło być gorzej – dodała, trzymając dziecko. – Mogła być pani mężatką, co wzięła rozwód. A rozwód to gorzej... jak stygmat na czole.

– Wie pani co? – odpowiedziała uprzejmie Berenika, po czym złożyła serwetkę i wstała, nie patrząc na dziecko. – Niech sobie pani wsadzi ten sorbet w dupę. I ty też, Żaneta.

I wyszła. Żaneta nie okazała się takim przyjacielem jak Sławek. Ale to on po roku powiedział Berenice, że Jarek będzie ojcem. Kazała go pozdrowić. A potem schowała się przed światem na dwa dni. Kiedy zadzwoniła Sylwia, jej najmniej ulubiona z dawnych koleżanek, nie mogła się doliczyć, na której planecie od Słońca wegetuje. Otrzeźwiła ją propozycja pracy. To paradoks, że osoby wcale nam niebliskie wyciągają rękę przypadkowo wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebujemy. Tak trafiła do Marlowe Press Ltd.

Kubek z lodami leżał na chodniku, w czerwonej plamie przeszłości.

Jej skóra nagrzewała się teraz od wrześniego słońca. Dzwony wybijały dziesiątą rano.

#### 4

Grubson nie był geodetą, ale wskazane przez niego miejsce znajdowało się w bezpośrednim sąsiedztwie tej kamienicy przy ulicy Lindego, w której z 10 na 11 września doszło do pożaru.

Do podwórza prowadziło wąskie wejście koło upstrzonego graffiti murku. Z brukowanej uliczki Lindego policjanci skręcili przed zaparkowanym po lewej stronie żółtym polonezem truckiem i weszli w podwórze. Po lewej wciąż stał osmolony budynek, z czarnymi pociągnięciami sadzy, jaka w sobotnią noc oblizwała cały pion. Przez wypalone okna można było dostrzec resztki spalonych sprzętów – głównie foteli i kanap zniesionych z okolicy przez pomieszkujący w środku kwiat osiedla. Ponieważ tylko biegli są w stanie ocenić, w jaki sposób doszło do zaproszenia ognia i co było tego przyczyną, Brodzki i Żółtko skupili się jedynie na tym, co mogło być pominięte.

– Co ci tu nie pasuje, Tomek? – Brodzki odpalił spokojnym ruchem

camela. Było ciepło, kurtkę zostawił w aucie. Dopiero teraz widać było znikające pod rękawami koszulki ściągna i mięśnie. – Patrzysz uważnie?

– Trochę tu pusto.

– Jak na podwórze z dwoma wyjeżdżonymi śladami kół to tak.

„Nawet zakładając, że chłopaki to pionki – myślał Leon – coś mogło być na rzeczy. Nie wierzę w przypadki, a już na pewno nie w ich serię. Wbrew temu, co mówią amerykańskie seriale, w mieście takim jak Toruń w XXI wieku ciężkie przestępstwa naprawdę nie zdarzają się często. Owszem, w latach dziewięćdziesiątych były strzelaniny, bomby, trupy w bagażnikach. Jeden nie doniósł ładunku na Bydgoskim i wysadził się na Klonowica, tak że jego rękę znaleźli na balkonie drugiego piętra. Parę lat wcześniej przy Dziewulskiego jakiś anarchista chciał wysadzić komendę milicji. Stanęło na jednym gaziku, szyby poszły we wszystkich blokach, prasa nie wspomniała ani słowem. Wcześniej był Młotkarz. Ale w ostatnich latach? Nie. Dopiero mijające dwa tygodnie to jakaś szarża przez pole bitewne. Trup za trupem, włam za włamem. Dlatego jeśli po tym wszystkim zgłoszone zostaje włamanie do domu jakiegoś mundurowego, a potem znajdujemy włamywaczy na innym zdarzeniu i mówią, że słyszeli o dziupli, która dziwnym trafem mieści się tu, gdzie parę dni temu rozszczelniła się instalacja... Nie, nie wierzę w przypadki. Jeśli zatem założyć wersję śledczą, w której chłopaczki są kropką w ciągu zdarzeń, to być może jest nić, która je połączy. W ten sposób przypadkowe zdarzenia staną się ciągiem zdarzeń...”

– Sprawdź w garażu. – Aspirant Tomasz Żółtko przytaszczył kostkę bruku i rąbnął nią w kłódkę. Puściła od razu i spadła z łoskotem.

Drzwi były spróchniałe i zagrzybiałe, ale zawiasy nie zaskrzyptały. Brodzki podszedł do lewego skrzydła i sprawdził: trzpień i złączka lepiły się od smaru. A to, podobnie jak ślady kół, świadczyło o tym, że z garażu ktoś korzysta. Tylko że garaż był pusty. Leon postąpił do środka, spojrzął na posadzkę. Brakowało plam oleju, walających się śrubek i podkładek. Choć pod sufitem ciągnęła się instalacja elektryczna, w garażu nie było ani żarówki, ani choćby

zardzewiałego gwintu.

– Dokąd idą te kable? – wskazał na sufit.

Żółtko prześledził przewody centymetr po centymetrze. Wyjął z kieszeni latarkę diodową i poświecił na wiązkę.

– Są na nich nowe trytki – zauważył aspirant i przejechał snopem światła latarki po całej powierzchni sufitu. Kable wpuszczone były w otwór w ścianie.

– Oglądałeś kiedyś Scooby Doo? – spytał Brodzki. – Tak tylko się zastanawiam. Ta historia z maskami, podmianą trupów, to wszystko przypominało trochę niewinną kreskówkę o Skarabeuszu. Tymczasem tego typu pomysły, choć dziś absurdalne, sprawdzały się przez wieki. Zamiany masek, podmiany osadzonych, zapadnie, tajne przejścia. Ludzie szukali wszelkich sposobów, by oszukać śmierć – mówił, podchodząc do ściany w głębi.

– Co robisz? Szukasz kodu Leonarda da Vinci?

– Nie, Indiano Jonesie. Szukam dowodów na ludzką pazerność.

Przejechał otwartą dłońią po ścianie, ale nie znalazł w niej klamki ani zamka. Na posadzce nie było także żadnych śladów. Tomek nie był pewien, czego Leon szuka, ale ze skupieniem i podziwem śledził sposób dedukcji detektywa. Widział doskonale, że skanuje pomieszczenie, analizując każdy detal. „Czy patrzę uważnie” – spytał siebie Tomek. Nie tak dawno sam skradał się przez opuszczone pomieszczenia przy ulicy Sportowej. Nakierowany przez Kobietę w Czerni, szukał miejsca, w którym mogła być ukryta ofiara bez palca. Wówczas, pierwszego dnia, dał się ponieść intuicji.

To dziadkowie nauczyli go, by słuchać natury. Tej własnej i tej, która nas otacza. Nie miało to bynajmniej nic wspólnego z filozofią orientu ani religią. Chodziło o zmysły. Zapach, dźwięk, dotyk, obraz.

Dlatego teraz tak jak wtedy zamknął oczy i pozwolił swoim zmysłom zanurzyć się w naturze, która zawsze jest potężniejsza od człowieka.

Gdzieś w oddali, na ulicy, świergotały ptaki – wróble i skowronki. Tam, skąd pochodził, często słyszał ptaki. Mieszczuchy odzwyczajone są od dźwięków. Prawdę mówiąc, najczęściej

spotykanym w mieście odgłosem lasu są te dzwonki ustawiane w telefonie na pobudkę: nazywają się forest, czyli „las”. A w Nakle nad Notecią nieraz słyszał trzadłe w lesie, na pobliskich polach skowronki, a w lesie dzięcioły i rycyki. Inne były też zapachy. Tu pachniało sadzą i olejem. Tam, skąd pochodził, zimą w powietrzu unosiły się dym i zapach wilgoci, wiosną czuć było topole i wierzby. Im było cieplej, tym bardziej pachniało nagrzanym asfaltem biegnącej obok domu drogi, zbożem, koszonymi trawami. Inny był też wiatr. W letnie dni wlewał się pod ubranie, oplatając ciało jak ciepły koc.

Teraz, stojąc w tym miejscu, poczuł ciepłe powietrze, w tym miejscu tuż nad karkiem, w które matki całują swoje dzieci.

Tomek otworzył oczy. Leon dostrzegł to powracające z mroku spojrzenie.

– Masz narkolepsję czy po prostu coś ci się przypomniało?

– Coś mi się... – Ale nie dokończył. Odwrócił się do wnęki i wyciągnął dłoń przed siebie. – Coś jest za tą ścianą.

Nie widział stojącego za nim Brodzkiego, więc nie widział, jak Leon mu przytaknął.

– Może byśmy... – zaczął Tomek, ale nie dokończył. Detektyw Brodzki rozpedził się i natarł na ścianę, kopiąc w nią z całej siły. Ściana się nie rozpadła, ale policjanci dostrzegli, że się poruszyła. Spojrzeli na siebie odruchowo. Tam coś jest, przytaknęli sobie w myślach, po czym ruszyli na ścianę i obaj kopnęli w jej środek, jak tylko byli w stanie najmocniej. Ściana otworzyła się z hukiem, wpuszczając do środka snop ostrego światła.

Postąpili ostrożnie przed siebie. Ślady kół biegły dalej, w głąb studniowego dziedzińca mieszczącego się pomiędzy ścianami kamienic, z których żadna nie miała okna.

Na podwórzu unosił się potworny fetor.

Przy dwóch niskich przybudówkach latały muchy. Zapach był gryzący i Brodzki dobrze znał tę woń. Naciągnął na nos kołnierzyk koszulki, Tomek zrobił za nim to samo.

Brodzki wziął krótszą ścianę, Tomek dłuższą. Przywarli plecami,

wyciągnęli broń, odbezpieczyli. Drzwi do środka były uchylone, po klamce chodziły larwy. Brodzki pchnął wrota końcem lufy. Ze środka buchnął jeszcze gorszy fetor, Tomka odrzuciło na dwa metry. Nie wytrzymał i zwymiotował.

Leon tymczasem zmarszczył brwi, zacisnął lewą dłoń na koszulce, zakrywając nos, i wszedł do środka. Na ziemi walały się puszki, kilka było szczelnie zamkniętych. Przywarł policzkiem do ramienia, by materiał nie zjechał mu z twarzy, schował broń do kabury, wyjął telefon z kieszeni i oświetlił nim aluminiowy przedmiot.

Po chwili był na zewnątrz.

– To wystygły ślad. – Brodzki palił papierosa bardzo szybko. Jakby kolejne porcje dymu nie pozwalały stłumić gorączki, która ogarnęła go po tym, co zobaczył. – Jeśli to nagłośnimy, wypłoszony Elf zniknie i go nie znajdziemy. Dalej będzie planować morderstwa.

– Dzwonisz z tym do Mauera?

– Nie, nie spiesz mi się jakoś, ale będę musiał. Za chwilę. Muszę pomyśleć.

– Powiem ci jedno, Leon. Nie wierzę w przypadki. Już chyba wiem, co się stało z jednym zaginionym, ksywa Chudy.

– Ja też ci coś powiem, Tomek. Wierzę, że niektórzy potrafią być naprawdę złymi ludźmi.

## 5

Mauer zadzwonił sam, powiadomiony przez dyżurnego, że Straż Miejska odebrała zgłoszenie od mieszkańców z ulicy Moniuszki. Podobno widziano z okien, jak na ulicy Chopina policjanci znęcali się nad dwójką chłopaków. Rozpoznano również „tego policjanta z telewizji”. Krótka charakterystyka wystarczyła, by Mauer namierzył trzech muszkieterów i miejsce ich kolejnej destynacji.

– Prokuratorze. Lindego. Niech przyjadą technicy.

– Przyjść, Brodzki. Coś jeszcze? – Mauer zawsze mówił i prosto i tajemniczo zarazem. Nawet gdyby powiedział, że „ptaki latają kluczem”, byłoby to i prostym komunikatem, i zagadkowym szyfrem.

– Sugeruję, żeby byli na czczo – odpowiedział w swoim stylu Leon i się rozłączył.

Mauer poprawił spinki w mankietach koszuli, po czym wybrał numer do komendanta Halickiego.

– Dobre wieści, Brodzki odkrył dziuplę.

## 6

*Z bazy zaginionych:*

Sprawa nr 57-10175

Celina Wiech

Aktualny wiek: 87 lat

Data zaginięcia: 2000/04/20

Wiek w dniu zaginięcia: 71 lat

Wzrost: 160 cm

Kolor oczu: brązowe

Znaki szczególne: u prawej dłoni brak trzech palców

Ostatnie miejsce pobytu: Toruń

Kraj: Polska

## 7

Brodzki był już tymczasem przy ulicy Świętego Józefa. Warsztat samochodowy Magika mieścił się w podwórzu naprzeciwko basenu uniwersyteckiego. Wąska ścieżka prowadziła od bramy do dwóch metalowych garaży i jednego murowanego, z szerokimi, metalowymi drzwiami. Magik nie wziął swojej ksywy od zamiłowania do polskiego hip-hopu ani z powodu pasji do hochsztaplerki w rodzaju starych iluzjonistów. Bez wielkiego kapelusza, różdżki ani długiej brody zamieniał się w Magika za każdym razem, kiedy brał do ręki klucz oczkowy. Naprawić potrafił dosłownie wszystko. Od zgniłej podłogi w starej maździe, przez

rozsypujące się skrzynie biegów w cudach włoskiej motoryzacji, po całkiem tanie naprawianie tarpanów, zastaw, tavrui i żuków. Jedynym modelem, za którego nie chciał się brać, były daewoo tico. Nazywał je jeżdżącymi trumnami.

– Co tam dłubiesz, Magik?

– Honda FRV. Składanina taka. Buda jak od multipli, silnik z accorda. Głośny w środku jak ruska sokowirówka. Człowieczki wymyślają w Japonii. Ale wygodny jest. – Magik wyszedł z kanału i wytarłszy dłonie o szmatkę, podsunął przegub dłoni. Brodzki potrząsnął na przywitanie. Mechanik miał urodę przedwojennego boksera – opadające na zewnątrz brwi, duże, okrągłe oczy, nos wielkości mirabelki. Magik zaśmiał się, odślaniając srebrne koronki:

– Co tym razem?

– Szukam typa. Laczu się nazywa.

– Czemu?

– O dziupli na Lindego słyszałeś?

– A ja co, leśniczy? – Magik przetarł czoło, zostawiając na nim czarny ślad. – Słyszałem, że to lipa. Paru chłopaczków myślało, że się dorobi, jak sprują jakąś corollę, ale tego nikt nie bierze. Ja bym nie tknął kradzionego, brzydę się. Inni też. Coś tam próbowali robić, interes rozkręcać, ale nie idzie im, wynieśli się do Chełmna. To nie te czasy, że malucha piłką do tenisa otwierasz. Dzisiaj skrzyńeczka od Ruskich, podchodzisz do willi, szukasz sygnału kluczyka w domu, pyk, sygnał do drugiej skrzynki, i otwierają. Tak się dzisiaj kradnie.

– I nic o tym nie wiesz?

– Ja? – zaśmiał się Magik. – Spójrz na mnie. Ja naprawiam normalne samochody normalnych ludzi. Pierdołę się pół dnia z amortyzatorem, bo komuś się nie chce na progach zwalniać, i biorę za robociznę sto złotych. Ale to uczciwa robota, a auta lubię.

– A co z tym Chełmnem?

– Szoruj nisko, moja misko.

– A po mojemu, Schumacherze?

– Jest paru gości, co na felach jeździ szerokich za obrys i na spiłowanych sprężynach. Pod próg nawet nie podjedzie, więc mu



amorów robić nie będę. – Magik znów zaprezentował biało-srebrną klawiaturę zębów. – Takie opony łatwo nadkołem przeszorować. Pruja potem, dwieście na blacie, koła pękają jak gumki i zawijają się na drzewach. Przyjeżdżają chłopcy radarowcy i zdrapują. Mózgi odchodzą z korą podobno.

– To akurat prawda – zauważył detektyw. – Słuchaj, jak będę chciał poezji, to pójdę do antykwariatu. Co z Laczem. Słyszałeś coś?

– Jo. Ma M3. I stąd ta ksywa, lubi toczyć fele.

– Chełmno, M3, zapamiętam. A astry robicie?

– A co?

– Stara rzecz. Robicie?

– No robimy, ale starych coraz mniej, bo ruda bierze. Elektronika to w serwisie już. Czemu pyta?

– Szukam jednego typu od astry.

– Szkoda, że nie jeździ oplem omegą.

– Czemu?

– Wystarczyłoby poczekać, aż mu oleju w silniku zabraknie. Byś go po śladach znalazł... Który rocznik?

– Lata osiemdziesiąte.

– Jo, ale to kadett chyba. Kadetty wtedy jeździły.

– Nie, raczej astra.

– Mówię, że kadett.

– Dzięki, Magik. – Brodzki wyszedł na podwórko, spojrzął na zaparkowaną calibrę turbo i cofnął się do warsztatu. – A ty czym przyjechałeś?

– A oplem – zaśmiał się majster.

– A to czasem oleju nie bierze?

– Jo, bierze. I dupy też bierze!

15/09/2016 11:03

Konferencja w Urzędzie Miasta, 13. Chcesz tam być.

## 9

Na spacerunku w areszcie śledczym w Toruniu mógł przebywać tylko jeden więzień. Wbrew temu, co opowiadały filmy i seriale, z takiego miejsca jak tu jeszcze nikomu nie udało się uciec. Nad dziedzińcem zamontowano drucianą siatkę, a więźniowie – poza całą przejściową – nie mieli możliwości do grypsówki. Zabronione były nawet krzyki przez okno.

– Niuniek nie odbiera – zauważył starszy oddziałowy Kuliewicz i poprawił denka od musztardówek na nosie.

– Po trzech nockach z rzędu też byś przyknurzył – odparł oddziałowy Jagielski. Miał jasne włosy i rudy wąsik w stylu Charliego Chaplina. Jeśli spojrzano się na niego z przodu, w oczy rzucały się ostro opadające ramiona, tworząc z sylwetki „Jagiełty”, jak go nazywali, coś na kształt strzały z grotem. Siedział z nogami założonymi na blat i nie odrywał wzroku od swojej nokii 3310 i hipnotyzującej go od szesnastu lat gry w węża. Prawdę mówiąc, uważał ją za szczyt techniki, podobnie jak krajarkę do jajek.

– No dobra, ale dyżurki nie powiadomił. I teraz co?

– A chuj wie, może kwity rzucił. – Kolejny rekord był blisko, wąż przyspieszał.

– No to wtedy co, pytać starego?

– Pojechało, jo? Sypać Niuńka chcesz? Morda w kubek, kryjemy! – odparł ostrzej Jagiełto. Wstał teraz, obniżył biodra, wywalił język i skupił się mocno na ekraniku fińskiego telefonu.

– To będą ciągnęli z niego łacha, jak się zgapi, że o zmianie zapomniał. To już drugi raz. Ostatnio miał przypałać po akcji z Brodzkim. On go wpuścił do tego mordercy, nie?

– Ale że po tym przypale pod celą wypuścili glinę? Ja pierdołę! – Przekleństwo odnosiło się do gry. Jagiełto się przygarbił.

– Ja myślę, że nie on kropnął. Tak czy inaczej Niuniek coś ostatnio

nie przyfarcit.

– Jo! – krzyknął Jagielski i opadł na fotel, rzucając telefon na stół. – *Game over*, kurwa! Ale co zrobisz, jak nic nie zrobisz? Nikt nie lubi, jak telefon wypierdala ze snu po nocnej zmianie. Powinni dawać dwa cztery dyżur, a nie dwunastki. Wracasz wyjebany do chaty i ani się wyspać, ani odpocząć. Skoczysz do Tesco, autem na myjnię, ponapierdalasz w węża i wio, znowu za furty.

– Ja tam i tak w nocy nie śpię.

– To tym bardziej pomyśl, co chcemy od Niuńka w podziękowaniu za krycie.

– Dla mnie dobra tycha. Ty?

– Mnie wystarczy, jak będzie, kurwa, przychodził na czas. Sam bym z tej klawiszowni spierdalał. – Jagiełto ponownie zarzucił nogi na stół i splótł ręce na karku.

– To czemu jeszcze tu grzejesz?

– To się, kurwa, nazywa, powiem ci zaraz. Żona mi to ostatnia napisała w SMS-ie. – Sięgnął po telefon, kliknął gumowe przyciski. Chwilę to trwało. – „Supremacja kredytu hipotecznego nad jakością życia” – przeczytał z dumą. – Dobrze nie?

Kulkiewicz przytaknął z niewiedzą w oczach, a Jagiełto – rozsiadłszy się na krześle jak król – spojrzał uważnie na ekran poczwiwej nokii i wrócił do swojego ulubionego zajęcia.

## 10

Dziennikarze zawsze mają nadzieję na mięso i reporterski sztos. Im więcej tzw. „główek”, tym ciekawszy materiał. Im więcej twarzy z wielkiej Warszawy, tym więcej czytelników w kioskach, więcej kliknięć na stronie, więcej par uszu przy głośniku i par oczu przed telewizorem. To naturalna kolej rzeczy w średniej wielkości mieście, gdzie twarze są opatrzone jak stare bilbordy.

Żurnalistom pozostawało być czujnym i szukać sposobów na napisanie najlepszego tekstu. W jaki sposób? Jak ludzki mózg przyzwyczaja się do podążania wytartymi ścieżkami, tak

dziennikarze przyzwyczajają się do sprawdzonych sposobów na materiał. Na początek baza kontaktów.

Telefon to bursztynowa komnata pełna odpowiednich skarbów w postaci dziewięciocyfrowych kombinacji. Każda jak tajny szyfr prowadzi do rzeczników prasowych, specjalistów od pogody, mechaników, którzy poradzą, jak zmienić opony przed zimą, dietetyków opowiadających o zbawiennym wpływie młodego jęczmienia, adwokatów komentujących zmiany w sądownictwie. Każdy taki numer to odpowiedź na konkretne pytanie i pewność, że popołudnie za reporterskim biurkiem nie przedłuży się do wieczora. Jeśli zatem w toruńskiej redakcji jakieś światło paliło się do późna, to albo siedział tam dyżurny reporter, albo stażysta bezskutecznie dobijający się do kogoś o komentarz.

Kontaktów i informatorów trzeba strzec, to oczywiste. Dlatego tylko stażyści lub świeżo upieczeni urzędnicy popełniali niekiedy szkolny błąd i zamiast rozsyłać newslettery z odpowiedniego programu, wklejali w okienku „odbiorca” wszystkie adresy mailowe, jakie znaleźli na komputerze. Ku ucieście dziennikarzy, rzecz jasna, którzy takiej okazji nigdy nie przepuszczą. Niestety, taki błąd raz przydarzył się też Halickiemu. Przesyłając informacje o zatrzymaniu grasującego w jednej ze szkół pedofila, nieopatrznie przesłał dalej maila od dyrektora szkoły, w którym zawarte były personalia pokrzywdzonych dzieci. Na szczęście dziennikarze z Torunia zapobiegli tragedii. Nikt informacji nie opublikował, a wręcz przeciwnie, toruńskie redakcje wystosowały list otwarty, w którym solidaryzowały się z pokrzywdzonymi i wzywały dyrekcje szkół oraz policję do intensywniejszych działań na rzecz ochrony dzieci i młodzieży. Halicki był więc na cenzurowanym, choć nie tak jak Brodzki. W końcu mail to nie to samo co zabójstwo przed kamerami.

Przed trzynastą ekipa dziennikarzy zaczęła zbierać się przed wejściem na placu Teatralnym.

Ze stojącego po przeciwnej stronie Urzędu Marszałkowskiego biegł zdyszany reporter serwisu Dzień Dobry Toruń – Adrian Aleksandrowicz. Dziennikarz o czerwonych policzkach regularnie

tworzył materiały poświęcone regionowi, a w marszałkowskim zawsze znalazł się temat do obrobienia: ule, które marszałek postawił na dachu budynku, by pokazać, że promuje się lokalny miód, albo nagrany na tymże dachu Ice Bucket Challenge, którym żył cały świat. Gęsina na Świętego Marcina – eksportowy produkt regionu Kujaw i Pomorza. Lokalni żurnaliści dość regularnie kursowali między budynkami tych dwóch urzędów, których szefowie – o czym wszyscy wiedzieli – nie darzyli się wielką sympatią. Z jednej strony marszałek województwa i prezydent Torunia toczyli wieczne boje o pieniądze i tereny inwestycyjne, z drugiej strony Piotr Bałeczki musiał odpierać zarzuty sąsiadującej Bydgoszczy, że Toruń jest faworyzowany w wyścigu o przyznawane środki. Gdy Bałeczki zaprzeczał, Bydgoszcz sugerowała, by w ramach gestu dobrej woli przenieść siedzibę urzędu znad Wisły nad Brdę. Ta karuzela nie miała końca! Dziennikarzom jednak to nie przeszkadzało. Wiedzieli jedno: tematów w sezonie ogórkowym nie zabraknie. Zwłaszcza że tajemnicą poliszynela pozostawały nie tylko zakusy marszałka na fotel Prezydenta Miasta, ale i zakulisowe negocjacje dotyczące miejskich instytucji kultury oraz terenów inwestycyjnych. Zdania na temat ich metod były podzielone, ale historia uczy, że to czas pokazuje, kto miał rację. Czas i... słupki wyborcze.

– Słyszałaś, Siwa? To dopiero masakra – rzucił zdyszany reporter. Z daleka można było poznać jego chód, tylko on tak nisko stawiał stopy.

– No. Prawdziwa uczta nam się dziś szykuje – odpowiedziała dziennikarka kopcząca skręcane papierosa z domieszką marihuany. Stała w niedbałej pozie, w swoich białych japonkach, z nisko osadzonymi na biodrach czarnymi bojówkami, różową koszulką na ramiączkach i smyczą z identyfikatorem, który dyndał na biuście jak wahadło hipnotyzera. Miała blond warkocz puszczone przed ramię do przodu i kilka niebieskich spinek we włosach. Mały nos i krnąbrna bródka wskazywały, że nie minęła się z powołaniem. – Chociaż przyznam, że mam dość pisania o trupach. Od początku września tylko morderstwa i morderstwa.

– To straszne, fakt.

– To piękne! – odparła niespodziewanie i uśmiechnęła się klawiaturą zębów rodem z kliniki Macieja Drosda.

W ulicę Podmurną zajechały wozy telewizyjne kablówki i lokalnego oddziału TVP. TVN24 już od godziny stał z rozłożonym talerzem na dachu. Wszyscy spotkali się przed wejściem i wtedy ich oczy skierowały się na drobną dziewczynę z notesem marki Moleskine.

– Gdzie robisz staż? – zagaiła Siwa, dopalając skręta. – Może funny cigarette na odwagę? – Podsunęła jej blanta. – Nie wiem, czy jesteś przygotowana na takie mięcho. Jak się nazywasz?

– Berenika Vesper. Dom wydawniczy Marlowe Press Ltd., Warszawa. A ty? Wszyscy ucichli.

– No, jak pani z Warszawy, to prosimy przodem – rzucił chudy operator przypominający specjalistę od kręcenia wesel. Spodnie rybaczki, sandały ze skarpetami skrytymi nieskrętnie w ich czeluściach, rozciągnięta koszulinka polo, co służy i do niedzielnego obiadu, i do wyjazdu na grzyby, potężne zakola, głębokie oczy.

Berenika zatrzymała się w drzwiach. Z pobliskiego wozu transmisyjnego TVN24 dobiegały ją dźwięki serwisu informacyjnego. Podeszła bliżej.

– Pilne! Makabryczne odkrycie na Bydgoskim Przedmieściu. Wracamy do sprawy pożaru przy ulicy Lindego. Pracujące na miejscu służby znalazły maszynę do ćwiartowania ludzi. „To się nie mieści w głowie” – komentują mieszkańcy z bloku przy Mickiewicza. To było tuż za rogiem... Takich rzeczy nie widzieli chyba nawet na Ukrainie podczas wielkiego głodu w latach trzydziestych. Na godzinę trzynastą zaplanowano w Urzędzie Miasta konferencję prasową z udziałem oficjeli: prezydenta Torunia, delegata z prokuratury krajowej oraz komendanta policji...

– Miasto T. – mruknęła pod nosem i spojrzała w niebo. Chmury znów miały ten śmieszny kształt.

Konferencja zaczęła się punktualnie. Prezydent Torunia nigdy nie pozwalał na siebie czekać, a jeśli zdarzyło mu się spóźnić, zawsze przedstawiał szczegółowy grafik swoich spotkań, z którego można

się było dowiedzieć, gdzie był kwadrans wcześniej. Choć od lat miewano obiekcje co do stylu, w jakim rządził miastem, jednego nie można mu było odmówić: w ratuszu pojawiał się codziennie pierwszy i jako ostatni z niego wychodził.

Sama nie wiedziała, kiedy wyrósł obok niej Marek Bener.

– Wiesz, że wtorkowe spotkania z prezydentem to „klęcznik”? Dyrektorzy biorą środki uspokajające, zanim wejdą do niego na odpytkę. Uważa, że mu się wytyka niekompetencję, więc jest jeszcze bardziej surowy. I jak tu dyrektorzy mają być decyzyjni, skoro prikaz idzie z góry. A potem się dziwić, że ludzie mówią „czynność urzędnika – nalać wodę do czajnika”. – Po czym polecił gestem, żeby włączyła sprzęt, bo widowisko właśnie się zaczynało.

– Dzień dobry, witamy na specjalnej konferencji prasowej, na której wypowiedzą się Prezydent Torunia Michał Nalewski... – Tu rzeczniczka prasowa wzięła oddech, sugerując oklaski, ale większość zgromadzonych miała w rękach albo mikrofony, albo przekąski. – Wydelegowany z prokuratury krajowej prokurator Cyriak Mauer. – Tym razem przerwa była krótsza. – Komendant komisariatu Toruń Śródmieście komisarz Gromosław Halicki. Oraz policyjny technik, którego personaliów nie ujawniamy. – Tu wskazała na mężczyznę w kominiarce i kamizelce z białym napisem na plecach: POLICJA. TECHNIK KRYMINALISTYKI. – O zabranie głosu najpierw poproszę pana prezydenta. Panie prezydencie?

– Dzień dobry państwu – zaczął prezydent, poprawiając dwoma palcami mikrofon. – Domyślam się, że woleliby państwo, by Toruń kojarzył się z wydarzeniami pozytywnymi i pysznymi piernikami. Tak wiele się przecież działo przez wakacje, festiwal Bella Skyway, Festiwal Piosenki i Ballady Filmowej, wydarzenia organizowane przy nowym kościele ojca Majbacha przy Drodze Starotoruńskiej. – Tu przez salę przeszedł szmer powstrzymywanych śmiechów. – Ale niestety. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Na ostatnie dni, to znaczy na pierwsze dni września, przypadają wydarzenia smutne, proszę państwa, smutne i tragiczne. Porwanie i śmierć młodej wychowanki z Włocławka, śmierć policyjnego technika, śmierć

emerytowanego policjanta Franciszka Brodzkiego. Strzelaniny, tragiczne wydarzenia na moście. Wszystko to sprawiło, że torunianie się zjednoczyli, nie bójmy się użyć tego słowa, zjednoczyli się w strachu. Ale my w Toruniu wiemy, jak się bronić przed złem. Wystarczy przypomnieć, że to właśnie tutaj ponad pięćset lat temu odlaliśmy wielki dzwon Tuba Dei, który miał uchronić nas przed końcem świata w roku 1500. O ile wiem, ten koniec świata nie nastąpił, być może właśnie dzięki torunianom. To właśnie w Toruniu na świat przyszedł Mikołaj Kopernik, który nie bał się przeciwników wzywających go od heretyków. Teraz, proszę państwa, teraz stajemy w obliczu prawdziwego zła. W swojej długiej karierze polityka będącego u steru Torunia, który dzierzę od... Od kiedy, proszę państwa?

– Od 2002 roku – odpowiedziała rzeczniczka ściskająca przed sobą plik papierów.

– Od 2002 roku jestem gospodarzem tego miasta i po raz pierwszy tak bardzo poczułem, że temu miastu potrzebni są silni mężczyźni stanu, którzy powiedzą: nie damy się. Dlatego właśnie są ze mną prokurator Cyriak Mauer oraz komendant Halicki. Panie prokuratorze, proszę przekazać torunianom informacje i może trochę, że tak powiem, uspokoić mieszkańców.

Prokurator sięgnął po szklanekę wody, by przepłukać słowotok, który właśnie usłyszał. Poprawił krawat i zbliżył się do mikrofonu.

– Hm. Jak państwo wiedzą, miasto i kraj obiegła dziś wstrząsająca informacja. Możemy potwierdzić, że pracujące przy ulicy Lindego służby znalazły maszynę do ćwiartowania ludzkiego mięsa. Nie wiadomo, czy ludzie wrzucani byli do niej żywi, czy martwi... – Tu spojrzął na prezydenta Nalewskiego, który pobladał. – Ale jest pewne, że przerabiano ich na mięso. Na miejscu odnaleziono dwie sztuki konserw mięsnych zawierających... ludzinę.

– No to masz swoje mięso – wyszeptał do Siwej dziennikarz o czerwonych policzkach.

– Poproszę technika o zaprezentowanie zgromadzonego materiału.

– Na słowa Mauera technik położył na stole zakrwawioną pałkę



teleskopową oraz dwie metalowe konserwy z charakterystycznym nadrukiem PRODUKT REGIONALNY.

– Coś dla ciebie – wyszeptła Siwa, odruchowo zakrywając usta.

Halicki spojrział na wyświetlacz komórki. Jeśli dostawał SMS od nieznanego numeru, zawsze wiedział, że stoi za nim ten sam człowiek. Odczytał wiadomość.

*SMS*

*Do: Gromosław Halicki*

*Od: 511867571*

*13/09/2016 13:06*

Z tym ciałem, które miało się rozplnąć w powietrzu... kłamałem. Mam nadzieję, że kosz regionalnych produktów ci smakował. Zwłaszcza konserwa.

– Jak państwo widzą, sprawa jest precedensowa – podsumował Mauer. – Dlatego musimy zewrzeć szeregi z komendą miejską. Komendantcie Halicki, właśnie, może poproszę o dwa słowa komentarza w sprawie tego szokującego odkrycia, które tak bardzo nas poruszyło. Czy czuje się pan w środku poruszony?

Ale Halicki nie odpowiedział. Siedział, zieleniejąc, z napiętą szyją, po czym zdołał tylko wycedzić przez zaciśnięte usta:

– Przepraszam... mam pilny telefon... może właśnie w tej sprawie...  
– I wybiegł z pomieszczenia.

– Jak wspominaliśmy, sprawa jest rozwojowa... – kontynuował Mauer, a dziennikarze, niczym na meczu tenisowym, kierowali swoje kamery, aparaty i dyktafony to na Mauera, to na Halickiego, znów na Mauera, potem na Halickiego biegnącego w stronę wyjścia, a potem ponownie na Mauera. Tylko Berenika nie dała się zwieść temu fortelowi i wymknęła się niepostrzeżenie na korytarz. Przeszła pod jasną ścianą, doszła do zakrętu przy klatce schodowej i tam doszedł ją głos komendanta Halickiego. Zbliżyła się jeszcze na kilka kroków, wyjęła iPhone'a, włączyła nagrywanie i wysunęła telefon zza kolumny. Najpierw w kadrze zobaczyła wojskowe buty

nieznanego jej mężczyzny. Potem dostrzegła obok komendanta.

– Bużka... Kurwa, dlaczego... – Halicki opierał się o szklaną gablotę z makietą osiedla JAR. Oblał się zimnym potem i ledwo stał na nogach.

– Szef uznał, że nie najadłeś się wystarczająco strachu. Teraz chyba informacja do ciebie dotarła... – powiedział mężczyzna o śmiesznej twarzy.

– Zaraz będę rzy... – Halicki nie dokończył i gwałtownie zwymiotował na podłogę.

– No kurwa, gdzie na dywan? – drwił Bużka. – Czemu na dywan, zamiast na posadzkę? To z ciebie lew salonowy. Masz, wytrzymaj się. – Bużka podał Halickiemu haftowaną chusteczkę. – Zachowaj dla siebie.

– Jesteście chorzy. Jesteście zwierzętami.

– Biorąc pod uwagę twoją dietę, to chyba jednak bardziej ty jesteś zwierzęciem. – Złapał chusteczkę dwoma palcami, otworzył stopą kosz na śmieci i wrzucił do niego materiał. Kosz zatrzaskał się metalicznym dźwiękiem. – Lepiej zastawiać pułapki niż w nie wpadać. Pamiętaj. Muszla. Piątek. I pozdrowienia dla żony.

I odszedł. Halicki podźwignął się na nogi i ruszył do tylnego wyjścia.

Berenika długo nie wychylała się zza filaru w bocznym korytarzu drugiego piętra. Kiedy na korytarz wysypał się tłum z sali konferencyjnej, wmieszała się pomiędzy ludzi i napisała wiadomość pod ten sam numer, który wysłał ją w sobotę do Torunia.

*SMS*

*Od: Berenika Vesper*

*Do: Anna Tekla*

*13/09/2016 13:13*

Komendant i tajemniczy człowiek z bliznami. Muszla. Co to może znaczyć?

Kiedy wyszła z budynku, odprowadziła ją jedna para ciekawskich oczu.

Kierowcy prującym drogą krajową 91 spieszyło się tak bardzo, że nie zauważył czerwonych świateł na skrzyżowaniu z drogą wojewódzką 499. Na wysokości restauracji „Bumerang” światła nakazujące się zatrzymać rozłąły, ale wóz pojechał dalej.

Za białym bmw m3 zostały tylko spaliny. Gdy rozpędzony tir z ładunkiem wbił się w prawy bok rajdówki, niemieckie auto wystrzeliło w powietrze. Siła uderzenia była tak duża, że tylnonapędowe bmw wylądowało na drzewie za przejściem dla pieszych.

Stojący na światłach kierowca białego fiata 126p o tablicach CCH nie zwlekał ani chwili. Wykręcił numer alarmowy 112 i ruszył na pomoc. Kiedy dobiegli z kierowcą tira do leżącego na boku pojazdu, zobaczyli zakleszczone w kabinie dwa ciała. Pojazd miał zamontowaną klatkę bezpieczeństwa, ale tego typu rurki nie zostały zaprojektowane do zderzeń z wielotonowymi ciągnikami siodłowymi. Kierowca zapięty czerwonymi, wielopunktowymi pasami bezpieczeństwa siedział w rajdowym fotelu marki Recaro. Kierowca tira sprawdził jego puls – mężczyzna żył. Kobieta nie miała tyle szczęścia. Została przygnieciona przez pojazd, spod którego wystawały jej zmiażdżona głowa i nienaturalnie wygięte ręce. To z jej strony nastąpiło uderzenie.

Kiedy chłopak z malucha zobaczył twarz kierowcy bmw, poblądł.

Tę twarz w Chełmie znali wszyscy. Był to Przemysław Stolski, lokalny biznesmen znany z kontaktów ze światem przestępczym. Został kilkakrotnie skazany za sutenerstwo, handel narkotykami, paserstwo i kradzież aut, jednak zawsze wychodził na wolność. Choć nikt głośno nie wymawiał jego imienia, pseudonim znali wszyscy: Laczu.

– Jutro powiem ci nieco więcej, Brodzki. – Halicki mówił cicho. Jego głos świszczał w telefonie jak nieszczelne okno.

– Nagle lepszy wróbel w garści niż trup w szafie. Do której ty grasz bramki, do cholery?! – Detektyw kończył właśnie placki ziemniaczane ze śmietaną i cukrem w „Café Relax” przy Szewskiej. Żółtko wziął pierogi z truskawkami. Był to bodaj ostatni przybytek, w którym można było zawiesić kurtkę za marmurowym blatem szatni, a obiady przygotowywała własnoręcznie stuletnia kobieta z kokiem na głowie. Zrobione z naklejanych liter menu musiało pamiętać wizytę papieża w Toruniu, a może było jeszcze starsze.

– Wszystko ci wytłumaczę. Jak dożyję. – Komendant brzmiał na przestraszonego. – Idzie Mauer, muszę kończyć. – Zaśmiał się gorzko i odłożył słuchawkę.

– Co oni ci zrobili? Halo?

Brodzki odruchowo chciał schować komórkę do wewnętrznej kieszeni, ale zorientował się, że wierzchnie odzienie powiesił przy wejściu. Nie odwieszał kurtki od ostatniej wizyty w tym miejscu ponad rok temu. Do niedawna jadali w barze mlecznym przy komendzie, ale po feralnych wydarzeniach Halicki przestraszył się kolejnych kontroli i dla świętego spokoju zamknął kuchnię, w której niebiescy stołowali się przez ponad dwadzieścia lat.

– Co powiedział? – Żółtko jadł szybciej od Leona. Każdy kęs przeżuwał raz, góra dwa, i przetykał, podczas gdy Leon jadł powoli, krojąc placki na małe trójkąty.

– Posapał, potrząsał dupą po swojemu i się rozłączył. Ale ma coś dla nas.

– Co?

– Jutro... – Zawiesił głos, wkładając do ust kawałek placka. Przeżuł go powoli, czym drażnił Tomka. Wreszcie dokończył: – Jutro się dowiemy. Naprawdę już się w tym gubię. Technicy coś mówili?

– Zanim to obrobiją w Bydgoszczy, minie trochę czasu. Ale obstawiam, że na Lindego zmielili Chudego. Ćpun, kręcił się

z Mokrym i paroma innymi gitowcami.

– No to już się nie pokręci. Wiadomo, co robili z tym mięsem?

– Chodzą ploty, że ktoś to wpuścił do spożywki, ale wiesz, jak jest. Równie dobrze Baba Jaga mogłaby Chudego ugotować w kotle. Poczekamy, zobaczymy. Mauer zna temat.

– Alfons coś wyśpiewał?

– Ponoć nic. Puściliśmy informacje po Chełmnie o poszukiwaniu Lacza, ale ludzie boją się mówić, facet trzęsie połową miasta.

– A młotkowy?

– Sprawdziłem jeszcze raz bazę aut zarejestrowanych w Toruniu i województwie od roku 1983 do 1986. Żadnej astry. Właściciele kadettów też nie pasują do profilu.

– A Nowak?

Żółtko nie odpowiedział od razu, akurat do Jacka miał wyjątkowo osobisty stosunek. Poprawił okulary na swojej chudej twarzy, podciągnął brodę, w końcu zaczął:

– Lekarze mówią... – Westchnął. – Mówią, że jest mała szansa na wybudzenie, ale raczej nie ma co liczyć, że się odezwie. Nie znają skali uszkodzeń mózgu po niedotlenieniu.

– Książek i tak by nie pisał, ale szkoda chłopaka.

Aspirant przytaknął, po czym wstał i odniósł talerz. Leon przypatrywał się minie Tomka, zastanawiając się, czy to dobrze, że młody policjant tak emocjonalnie podchodzi do sprawy.

W tym momencie nie znajdował odpowiedzi na to pytanie.

## 13

Była szansa, że da komendantowi Halickiemu popalić. Bo podobno tutaj, do palarni w Queensland, zdarzało mu się wpadać. Berenika wyrzała przez szybę na wieżę Ratusza Staromiejskiego. Dochodziła godzina szesnasta, a ona czekała od ponad godziny.

W końcu zadzwoniła do Marka Benera. Tego pyszałkowego fana bluesa, który mimo skłonności do zgrywania się wydawał się całkiem mądrym gościem.

- Jak znaleźć informacje? Mów.
  - Są dwie drogi. Czasem szukasz, czasem samo się znajduje. Mnie ostatnio samo znalazło – rzekł Bener i zajęczał do słuchawki. Berenika zmarszczyła brwi, nasłuchując odgłosów. Dziennikarz domyślił się, że dźwięki mogą się wydawać dwuznaczne, toteż dodał szybko: – Mam kompres na karku.
  - Rozumiem, że woda sodowa uderzyła ci do głowy.
  - Coś w tym rodzaju.
  - A co z tym szczęściem?
  - Zawsze powtarzam: trzeba mieć zezowate szczęście. Może tak trafisz do Leona...
  - Daj mi numer do Halickiego.
  - Daj mi szczęśliwą szóstkę w totka. Może wygram? – Berenika zapisała numer na serwetce. – Pamiętaj, dziewczyno, żeby w ostatecznym rozrachunku stać po właściwej stronie.
  - Czyli?
  - Jeśli jesteś prawdziwą dziennikarką, poczujesz, kiedy moment decyzji nadejdzie. – I się rozłączył.
- Zadzwońiła do komendanta. Nie odbierał. Zostawiła więc wiadomość:

*Chciałabym się z panem umówić na spotkanie i wyjaśnić podejrzenia wobec Brodzkiego. Co, jeśli jest niewinny? Berenika Vesper, Marlowe Press Ltd. Proszę o kontakt.*

W kawiarni były jeszcze cztery osoby. Kelnerka z niskim czołem, blondynka z przesadnym makijażem i dwóch mężczyzn w dobrze skrojonych garniturach z drugiej ręki. Blondynka próbowała jeść deser lodowy tak, by nie zmasać czerwonej szminki, a mężczyźni – płacąc właśnie przy barze za doppio – komentowali. Robili to od dobrych dwudziestu minut.

Berenika odruchowo spojrzała na wpisywany na terminalu PIN.

– Jezu – zaczął pierwszy, o aparycji wypalonego maklera. Wklepywał właśnie kod na terminalu. – Gdyby mi tak loda robiła,

tobym zawału dostał.

– E tam – odparł drugi, o świńskich oczkach i wylewającym się podbródku. – Po prostu wszystko połączone jednym sznurkiem w głowie.

– A jak się go przetnie?

– Odpadną cycki.

Berenika spojrzała najpierw na nich, potem na zmieszaną kobietę – która chyba coś dosłyszała – a potem znów na tych dwóch. Zauważyli, że na nich patrzy. Najpierw się zmieszali, w końcu ten z małymi oczami podszedł do niej.

– My się skądś znamy? – spytał, jakby mruganiem chciał jej przesłać wiadomość alfabetem Morse’a.

Vesper miała w głowie całą baterię rakiet człowiek–człowiek, ale zrobiła teraz wszystko, żeby się powstrzymać przed komentarzem. Spojrzała na drugiego, potem na ich stół, potem na blondynkę, która malowała usta, i znów na telepatę z grubym podbródkiem. Uśmiechnęła się najzalotniej, jak potrafi, przejechała ręką po swoich kręconych włosach i odparła:

– Prawdę mówiąc, jeszcze nie. Patrzę tak jednak na panów – tu spojrzała wymownie na drugiego, który natychmiast również się poderwał i podszedł – ponieważ nie byłem w stanie wnieść na górę dwóch wielkich walizek. I, prawdę mówiąc, zostawiłam je przy ruchomych schodach. Czy panowie byliby tak łaskawi i pomogli z nimi? Który z panów jest dżentelmenem?

Mężczyźni spojrzeli na siebie, po czym puścili się w długą. Dokończyła swojego millera z cytryną, a potem wstała, podeszła do ich stolika, wzięła leżący na szklanym blacie portfel i ruszyła w stronę baru.

– Chciałabym uregulować rachunek za te dwa stoliki – wskazała na swój oraz kobiety z nadmiernie umalowanymi ustami – oraz kupić butelkę dobrego alkoholu.

– To będzie chyba... – kelnerka nie była pewna, co polecić. Nie znała się na alkoholu, jak niektórzy.

– Chcę tę! – wskazała na złocistą butelkę za szybą. Kelnerka

otworzyła gablotkę i najechała kodem kreskowym na czytnik.

– Ale to jest... Tu napisali, że ta whisky ma czterdzieści lat. Ben...

– BenRiach, single cask. Wiesz, że trzymali to w beczce po winie przez cały ten czas? Biorę.

– Ale to będzie chyba dość drogie.

– To się okaże. Spiesz mi się!

Kelnerka jeszcze raz nabiła butelkę na kasę.

– To będzie...

– Proszę. – Berenika podała kartę, a po chwili wpisała zapamiętany kod PIN. Rzuciła okiem w stronę wyjścia. Transakcja zaakceptowana.

– Rachunek dla pani? – Kelnerka była zdziwiona, ale i uradowana. Właśnie trzasnęła dwutygodniowy utarg.

– Dziękuję. – Vesper wzięła butelkę i podeszła do blondynki. – To dla pani. Ponieważ jest pani piękną i wartościową kobietą.

– Ale... – Nie dokończyła.

– Idziemy! – pospieszyła ją Berenika. Obie zabrały swoje rzeczy. Dziennikarka wsunęła kartę z paragonem do portfela na siedzeniu i wyszła. W oddali ruchomymi schodami wjeżdżali makler i podbródkowy. Berenika szarpnęła blondynkę w lewo, do windy. Nacisnęła przycisk.

Głos mężczyzn był coraz wyraźniejszy. Z rozmowy wynikało, że przeszukali cały parter, ale żadnych toreb nie znaleźli. Kiedy byli już niedaleko windy, ta nadjechała, jej drzwi się otworzyły i kobiety wskoczyły do środka.

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytała blondynka.

– A dlaczego oni to zrobili? – odpowiedziała pytaniem Berenika. – Słuchaj. Jesteś śliczną dziewczyną. Po co ci to wszystko? – I odwróciła ją do lustra w windzie. – Zobacz. Szminka, brwi, podkład, spinki, to wszystko niepotrzebne. Masz śliczną buzię i piegi, których ci zazdrościć. – Winda zatrzymała się na poziomie zero. – Wypij moje zdrowie.

I zniknęła.



Strażacy nie mieli łatwego zadania. Wyciąganie ludzi zakleszczonych w autach trwa długo, a praca przy pojazdach z klatkami bezpieczeństwa – najdłużej.

– Jak sytuacja, Piter? – spytał aspirant Adam Jacyk. Świeciło ostre słońce, a zapach rozgrzanego asfaltu mieszał się z wyziewami z pobliskiej garkuchni w przydrożnym zajeździe.

– Zdarzenie jest zabezpieczone – odparł strażak dowodzący akcją. Miał mocną szczękę i jeszcze mocniejszy głos. – Przyjechała Jednostka Gaśniczo-Ratownicza numer jeden od nas z Legionów, czyli pierwszy zastęp czteroosobowy, drugi trzyosobowy. Dojechała jednostka z Chełmży, bo to na granicy regionów. No i jeszcze przyjechali chłopcy z krajowego systemu Ochotniczej Straży Pożarnej.

– Czemu aż tylu do jednej fury? – spytał Jacyk, wskazując na dwa wozy OSP. Strażacy w rozchełstanych mundurach opierali się o wiekową ciężarówkę tatra i palili jednego papierosa na spółę.

– No, to akurat ekipa z Lulkowa. Ci obok z Papowa Toruńskiego. – Strażak się zaśmiał i pokręcił głową z niedowierzaniem. – Normalnie to jest tak: jadą u nas z dwóch jednostek, Toruń i Chełmża, bo Ostaszewo jest po drodze, na granicy. Czasem są zamknięte rogatki, w momencie dysponowania nie wiadomo, kto wyjedzie, nie? A czasami u nas jest tak, że ta osoba, co zgłasza, to jakiś miękki flet i źle poda drogę, bo nie umie odczytać ze słupka.

– U nas to samo. Ludzie nie wiedzą, że mają od góry numer drogi, kilometr i metry.

– No bo, kurwa, nigdzie tego nie uczą! – Strażak przełknął ślinę. – I jak masz dwie jednostki i jadą, to może nadjadą. U nas przychodzi, rozumiesz, formatka z centrum powiadamiania ratunkowego, odcytujemy to w systemie SWD do dysponowania sił, środków, do ewidencjonowania, pisania meldunków. Tam są wszystkie samochody, co jest ze sprzętu, jacy ludzie obsadzeni. Bardzo dobra opcja do ogarniania kuwety.

– Czyli macie rozkład jazdy, gdzie który beczkowóz popyla? – Jacyk był pod wrażeniem. Komenda Rubinkowo nie mogła marzyć nawet o jednym laptopie.

– Chuj, aż tak dobrze, to nie ma. Brakuje nam koordynatów GPS. Mamy moduł, ale nieskończony. No i, w każdym razie, w systemie są też Ochotnicze Straże Pożarne. Kurna, ancymony. Jeden z dyżurki kiedyś ciągle wysyłał ekipę z Papowa, a Lulkowo nic. A to wiesz, w OSP to, bratku, płacą od zdarzenia. Stówa na wyjazd za osobę plus dwadzieścia cztery złocisce brutto za godzinę gaszenia. Jedni i drudzy chcieli jeździć, ale dyspozytora mieli swojego. Więc tamci siedzieli przy nastuchu i cwaniakowali.

– To gorzej jak laweciarze... – Gliniarza o twarzy kulomiota już nic nie dziwiło.

– No teraz się, kurwa, ścigają. Łowcy pożarów, he, he, he!

– Co za to auto? – Jacyk wskazał na bmw. Od strony, gdzie stali, widać było tylko płytę podłogową, urwaną osłonę silnika i sportowy wydech ultra.

– Bolid młodzieży wiejskiej. Powinni wszystkich drajwerów z bmw za jaja drutem kolczastym do drzewa przy mrowisku przyczepiać, żeby zmądrzeli.

– A jakby fabiolą albo foką się rozłożył, to też byś ich tak jebał?

– Artyści kierownicy, kurwa, co zawijają się tym złomem na drzewach. Drzew szkoda! Właściciele bmw powinni kierować na dodatkowe badania psychotechniczne i dowalić tak wysokie OC, żeby Sebixom nie opłacało się nawet przerabiać tego szrotu na LPG. No, tylko że to nie dzieciak jechał.

– A kto?

– Mówią, że niejaki Laczu.

– O kurwa – jęknął Jacyk i natychmiast sięgnął po komórkę. Jeszcze bardziej się zdziwił, kiedy przez ramię strażaka z rozcinakiem zajrzał do środka. W kubełkowym fotelu zakleszczony był człowiek, którego już raz widział. – Żółtek – rzucił do słuchawki – mam dobrą i złą wiadomość. Dobra jest taka, że mamy waszego smakosza jagodzianek, Lacza. Zła jest natomiast taka, że myśmy się już z nim,

kurwa, spotkali. Pamiętasz gościa, który uczył mnie obsługi radaru? To on. – I zakończył rozmowę. Nie mógł sobie darować, że nie sprawdził go wtedy w bazie. Prawda jest taka, że często w trakcie kontroli policjanci fingują czynności. Czasem nie działa radio, czasem internet, jeśli to duża lodówka z komputerem z tyłu. Więc pozostaje bezpośrednia rozmowa z kierowcą i ocena sytuacji. W tamtym wypadku Jacyk się pomylił. Jakby stracił węch.

## 15

Poszła do pokoju i schowała się pod kołdrę. Zasnęła bardzo szybko. Kiedyś próbowała się dowiedzieć, w którym momencie człowiek zasypia. Kto nie jest tego ciekaw? Regularnie po przebudzeniu nagrywała swoje sny, opowiadała je sobie na ogół od końca. Dzięki temu pamiętała całe sekwencje jak filmy albo fotografie. Któregoś razu przebudziła się w nocy, włączyła dyktafon, zaczęła opowiadać o śnie, po czym na nowo zasnęła. Gdy rano przewinęła w swoim olympusie kasetę, odsłuchiwała nagrania. Okazało się, że zasnęła w mniej więcej jedenaście sekund. Nie dokończyła zdania, westchnęła cicho, potem głośniejsze i głębiej, następnie spokojniej. Kulminacją było chrapnięcie. Jedno z dziwniejszych autotematycznych doznań w życiu Bereniki.

Najlepiej zasypiało jej się wspólnie z Jarkiem. Miała ulubioną pozycję, w której się w niego wtulała – „na łyżeczkę”. Często myślała o tym, co mówili starsi, że z wiekiem ludzie przestają razem sypiać, aż w końcu lądują w osobnych pokojach. Ona jednak wierzyła, że będzie inaczej. Wyobrażała sobie, że będą parą zwariowanych, może trochę stetrycziałych staruszków, których do ostatnich dni nie opuszcza humor, a przede wszystkim – którzy się szanują i kochają.

Teraz zasnęła w siedem sekund. Sama.

W tym samym czasie pewien mężczyzna bardzo się zdziwił, kiedy wychodząc z kawiarni Queensland, zauważył, że w jego portfelu, obok karty kredytowej, wetknięty jest rachunek na ponad trzy tysiące złotych.

Prowadził Żółtko, a Leon wykręcił numer do Mauera, kiedy mknęli Grudziądzką. Przecięli na sygnale średnicówkę.

– Mamy Lacza. Może będzie bardziej rozmowny niż Alf. Tak, jeśli dożyje. – Leon spojrział porozumiewawczo na Żółtkę.

– Jak zaraz dowiesz mi go do sądu, zapunktujesz – usłyszał.

– Bułka z masłem – rzucił do słuchawki i się rozłączył. Spojrzął na Tomka: – Kto jest na miejscu?

– Znów nasz kolega z Rubinkowa.

– Imć Jacyk.

– Jacyk-Pajacyk. Wycinają naszego typa z bety. Trup obok gratis.

– NN?

– To chyba ta dziewczyna z Poznańskiej. Przyszła żona Lacza.

– Teraz to chyba „przeszła”.

Kiedy wyjechali za rogatki miasta, Leon spojrzął przez szybę. Mijali właśnie rozbudowujące się osiedle JAR z lewej i Centralny Cmentarz Komunalny z prawej strony. Widać było z daleka ekipę sprzątającą, która wycinała drzewa na nekropolii. Głównie tuje.

Na wysokości niedokończonej ulicy Strobanda między drzewami jak zwykle stało zaparkowane auto. To tu Brodzki w noc przejścia na emeryturę strzelał z chłopakami do butelek, to tu za dnia stały prostytutki. Najczęściej jedna – samotna matka, której córka dowoziła nawet kanapki na posterunek. Leon się wzdrygnął. Za dużo kobiet zginęło w tej kampanii wrześniowej. Laura, Janka, Patrycja, a teraz kolejna.

Miejsce wypadku widać było już ze świateł w Łysomicach. Minęli hale fabryczne, przejechali kilometrowy odcinek i zwolnili przed kolejnym skrzyżowaniem. Straż pożarna uwijała się na miejscu, Jacyk rozstawił niebieską płachtę z napisem „POLICJA. OGLEŹDZINY”.

– Beta w turbo. Wjechał na czerwonym pod tira. Jeden trup, dziewczyna. Faceta wycinają, żyje. Nie ma śladów hamowania. Jest świadek, jechał za bmw. – Jacyk wskazał na krępego chłopaka

z brodą. Opierał się o białego malucha i przygryzał nerwowo paznokcie. Brodzki ruszył do chłopaka, Żółtko poszedł obejrzeć auto z bliska.

– Jak cię nazywają?

– Mówią mi Krępki. Filip Kęprowski. – Chłopak miał około dwudziestu czterech lat, piwne oczy i piwny brzuch.

– Znasz kierowcę? – Brodzki kontynuował.

– Wszyscy znają. Obaj my z Chełmna.

– Jo – mruknął Leon. – Chełmno, miasto zakochanych, nie? Ciekawe kogo w kim?

– Wydaje mi się, że nikogo w nikim, proszę pana – odparł z pełną powagą Krępki, a logika i czarny humor ukryte w tej odpowiedzi przez chwilę rozbawiły Brodzkiego.

– Auto nie hamowało, ile miałeś na blacie? Jechaliście z taką samą prędkością?

– Hamowało. Zapaliły mu się stopy z tyłu, ale pojechał dalej. Potem ten tir i było po zawodach. Ja jechałem sześćdziesiąt pięć, może siedemdziesiąt pięć.

– Jak to „może”?

– Linka prędkościomierza mi nie działa, to mierzę sekundy między słupkami stumetrowymi. Więc tak na oko było siedem paczek. W tym to jak prędkość światła.

– Rozumiem. To będzie z mojej strony wszystko. – Brodzki się odwrócił, ale Krępki najwidoczniej wciąż nie skończył.

– Było jeszcze jedno auto, jechało za mną. Kierowca nie zatrzymał się na widok wypadku. Zwolnił, ale pojechał dalej.

– Proszę podać numery i model aspirantowi Jacykowi.

– Dobrze. – Krępki ruszył do Jacyka, ale Leona coś zafrapowało.

– Jaki to był model?

– Opel. Stary opel – odpowiedział pospiesznie kierowca „kaszlaka”. Brodzkiego zmroziło.

– Widziałaś kierowcę?

– Nie.

Detektyw już się nie odezwał. Ruszył w kierunku wraku. Rozbite

sportowe auta wyglądają jak byki albo bokserzy po walce. Tak, jakby kanalizowały się w nich wektory życia i śmierci. Imperatywy prędkości i postoju, szybkości i statyczności.

Żółtko wbił brodę w kołnierz ubrania i patrzył nieobecny wzrokiem na plamę krwi. Po drugiej stronie auta pięciu strażaków zakładało mężczyźnie kołnierz ortopedyczny. Fotel, drzwi i fragment orurowania były już wycięte. W oddali słychać było karetkę. Z auta dobiegł ich męski głos. Kierowca odkasłał.

– Powiedziałbyś coś, Żółtek.

– Jestem introwertykiem, Leon.

– No. Czasem jesteś tak zamknięty w sobie, że cię nie widać.

– Odwal się.

– Rozumiem. W każdym z nas jest mały chłopiec, który kiedyś widział przez dziurkę od klucza gołą babę – rzucił, a Żółtko spojrział na niego z niesmakiem. Spod białego dachu leżącego na boku auta wystawały kobiece ręce. – Słuchaj, i tak jako prostytutka znajdowała się w grupie podwyższonego ryzyka. Nawet gdyby to nie był wypadek, a leżałaby przy torach, nie dziwiłoby mnie to. Tirówka ponosi ryzyko. Może stać się ofiarą przestępstwa, zarówno z motywacji seksualnej, rabunkowej, jak i emocjonalnej. W sumie nawet mogłaby na nią spaść cegła w drewnianym kościele, a i tak dostałaby odszkodowanie. Gdyby oczywiście żyła.

– Mógłbyś czasem nie być taki logiczny? – Żółtko spojrział z wyrzutem i wskazał na otwarty bagażnik.

– Co mamy w kufrze?

– Z tysiąc sztuk fajek, osiem kilo krajanki tytoniowej.

– Ile z tego będzie?

– Szczerze? Szajs trafi do Izby Celnej. Wyliczą za to pewnie z osiem, dziesięć tysięcy. Facet odpowie za paserstwo akcyzowe z Kodeksu karnego skarbowego.

– Pójdzie siedzieć?

– Nie. Najwyżej grzywna. – Tomek bezradnie rozłożył ręce.

– Czyli się nie przestraszy, kurwa! – syknął Brodzki.

– Zawsze można mu dawać do ośmiu lat za śmierć w wyniku

naruszenia zasad ruchu. To już grubo.

– Zwłaszcza gdy jest się w wieku, w którym kuśka lada dzień przestanie stawać. – Brodzki jak zwykle był mistrzem subtelności. – Ale to mi wygląda na przecięte przewody, Tomek. Nawet biegły z zezem ci to stwierdzi.

Strażacy w końcu wyciągnęli kierowcę z wozu. Karetka ze szpitala wojewódzkiego nawróciła i stanęła przy żółtych barierkach. Laczu doszedł do ulicy o własnych siłach. Chciał spojrzeć na zwłoki dziewczyny, ale kołnierz uniemożliwił mu obrót, a strażacy trzymali go na tyle mocno, że nie miał takiej możliwości.

– Dadzą nam panowie chwilę? – spytał Brodzki kierującego akcją strażaka. – Piotras, minutę potrzebuję. Zapal z ratownikami, mają też ponoć zajebisty tramal.

– Ale jak mi ten pacjent zjedzie, to wsadzę ci w dupę wąż strażacki i zamienisz się w rzymską fontannę. – I odszedł w kierunku zespołu ratowników.

Żółtko i Brodzki otoczyli Lacza, któremu spod gorsetu stabilizującego kręgi szyjne wystawał złoty łańcuszek.

– My się chyba już poznaliśmy – zaczął Żółtko.

– Nie chodzę do klubów dla gejów – mruknął ordynarnie Laczu. Brodzki złapał go za gorset, mężczyzna jęknął.

– Jak ci piznę w podobiznę, to rysopis stracisz...

Jacyk z Piotrasem powstrzymywali tymczasem ratowników.

– Panowie, ale dokąd się spieszycie? – uspokajał ich Jacyk. – Lalka już odwaliała kitę, a ten z kijem w dupie – tu wskazał na Lacza – to ostry ancymon poszukiwany za morderstwo. Niech sąd mu okazuje łaskę, nie wy.

– Dajcie nam, kurwa, pracować. Mamy przyjeżdżać tylko na breloczki i topielców? Dajcie żyć, kurwa – marudził ratownik o wyglądzie Macieja Orłosa.

– Mamy uziemione „rajdowozy” – zmienił temat Jacyk. – I też wałą nam po OC, jak przysztotujemy. Ale teraz uziemiają nas na dobre. – Jacyk ciągnął temat, patrząc kątem oka na Brodzkiego i Żółtkę, którzy prowadzili Lacza do swojej służbowej vectry.

– Że jak? – dopytał ratownik.

– Minister przeczytał raport Najwyższej Izby Kontroli o fatalnym stanie policyjnych radiowozów, wysłał maila, a że nasz komendant na Rubinkowie jest nadpobudliwy... Wiesz, tak samo jak Halicki chciałby na wojewódzkiego. A my czym teraz mamy, kurwa, jeździć? Rowerami? W raporcie piszą, że jest za mało służbowych samochodów, że są wyeksploatowane, co siódmy powinien być wycofany z użytkowania.

– To może niech uziemiają co siódmego?

– Chyba, kurwa, w Lulkowie. – Na słowa Jacyka wszyscy się zaśmiali.

– Hej, hej! – Ratownik odepchnął Jacyka. – Kurwa, dokąd z nim jedziecie?!

Ale nikt już go nie słyszał. Ofiara wypadku została porwana z miejsca wypadku przez Miami Vice. Przy czym ani Brodzki nie nosił białych bawełnianych koszulek, ani Żółtko nie był czarnoskóry. Reszta się zgadzała.

## 17

Całował ją tak, jak całuje wiatr. Czowała się bezpiecznie, gdy ciepło rozlewało się po jej ciele. Tak działał na nią Jarek, jedyny mężczyzna, z którym Berenika kiedykolwiek spała.

Studiowała wtedy w Instytucie Literatury Polskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Ukryte w zieleni budynki dawały poczucie obcowania z czymś wzniosłym. Kiedy po zajęciach wychodziła na Krakowskie Przedmieście, wpadała w sam środek tygła intelektualnego Warszawy.

Na placu Zamkowym, przy kolumnie, zdarzało jej się mijać Tadeusza Konwickiego. *Mała apokalipsa* była jej ulubioną lekturą z liceum, ale do pisarza nigdy nie podeszła. Dopiero po latach, gdy zmarł w roku 2015, dowiedziała się, że mieszkał nieopodal, przy ulicy Górskiego. Marzył o tym, by ktoś zapytał go o książki. A Berenika chętnie by wypytała – o *Wniebowstąpienie*, *Zorze wieczorne*, *Dziurę*



w niebie. Nie zdążyła. Z kolei w „Batidzie” wiele razy rozmawiała z profesorem Najderem. Był niegdyś przyjacielem Zbigniewa Herberta, a prywatnie – wybitnym znawcą Josepha Conrada i byłym dyrektorem rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa. Budynek nazywał „domem bez klamek” i bardzo lubiła słuchać jego opowieści – o wydanym na niego wyroku śmierci, o ślubie udzielanym przez litewskiego księdza, który miał stopy o rozmiarze koszykarskim, o powstańcach z 1863 roku, którym się kłaniał jako dziecko.

Za oknem pięły się wówczas, na początku drugiej dekady XX wieku, niszczące elewacje hotelu „Europejskiego” – uboższego krewnego „Bristolu”, przed którym vis-à-vis stawały bentleje i mercedesy. W „Europejskim” była raz. Kiedyś, w 2011 roku, zorganizowano na jej wydziale ogólnopolskie forum organizacji pozarządowych. Zgłosiła się jako wolontariuszka. Zapamiętała z tego wydarzenia jedno zdanie, cytując Jacka Kuronia, który przywołał inny działacz „Solidarności”, Henryk Wujec – na stojąco się przemawia, a rozmawia na siedząco. Po całym dniu spotkań i warsztatów udali się na bankiet do „Europejskiego”. Hotel był nieczynny, jedną z sal otworzono na tę właśnie okazję, po zaniżonej cenie. W niskim holu ciążyły marmury pamiętające czasy pokątnego handlu walutą. To tam poznała Jarka. Oddelegowano go z Komendy Głównej Policji, miał wziąć udział w warsztatach ze współpracy pomiędzy lokalnymi społecznościami.

Zaczeplił ją, gdy odbierał ramoneskę z szatni samoobsługowej.

– Hej. Nie wiesz, czy uczestnicy otrzymają jakiś certyfikat? – spytał, choć jego oczy zadawały inne pytania.

– Nie wiem, szczerze mówiąc, jestem tylko wolontariuszką, ale...

– Jarek – przerwał, wyciągając rękę na przywitanie. Miał miły, mocny głos i był wyższy od niej o kilkanaście centymetrów. Od razu zapamiętała jego wesołe oczy z ciemnymi obwódkami i długimi rzęsami, jego krótko obcięte włosy, a także symetryczny nos i wąskie, naturalnie składające się do uśmiechu usta. Miała takie same. Kilka miesięcy później sprzeczali się o to, kto kogo wypatrzył. Takie historie zawsze żyją swoim życiem. Jest pewne, że wtedy,

w marmurowym holu hotelu „Europejskiego” jej serce zabiło mocniej. Nie była gotowa na związki, nie była też dziewczyną, która wsiadłaby z obcym mężczyzną do taksówki. Mimo to tak właśnie postąpiła.

Trzęsa się, kiedy wchodzili do jego mieszkania. Nigdy potem nie zapomniała zapachu – pieczonego jabłka, konwaliowego płynu do płukania i skórzanej torby, która leżała na komodzie przy wejściu.

Mężczyźni sądzą, że kobiety znają wszystkie kody i sygnały, które wysyła ciało i twarz w momentach damsko-męskich sytuacji intymnych. Cóż, kobiety myślą tak samo jak oni. Prawda tymczasem jest taka, że między głową, sercem, twarzą i całą maszyną intymną człowieka zachodzą reakcje, których zbadania nie podjęto by się nawet w CERN pod Genewą. Według Jarka Berenika była uroczą, oszałamiająco piękną, ale delikatną dziewczyną. O kręconych, sięgających poniżej szyi włosach, z tym charakterystycznym pieprzykiem, zalotnym spojrzeniem, gładką skórą rąk, smukłymi nogami, które wbiegały pod jej zwiewną spódniczkę w kwiaty. Na myśl o tej autostradzie paliło go w lędźwiach. Zachowywał się jednak wprost odwrotnie do tych przemyśleń, poruszając się po terytorium mieszkania jak samiec alfa. Włączył muzykę – jakąś koncertową płytę Portishead – zapalił podgrzewacze, bo nie miał świeczek. Przyciemnił światło, przyniósł wino. Wszystko z podręcznika pierwszych randek – odhaczone. Berenika obserwowała go uważnie, zachowując kamienny wyraz twarzy, w której poruszały się jedynie kąciki ust. W rzeczywistości było jej bardzo zimno w stopy – wieczorne, majowe powietrze wcale nie było wtedy ciepłe – i dłonie. Wiedziała doskonale, gdzie odpłynęła jej krew, czuła to bardzo mocno w podbrzuszu. Wbrew przemyśleniom Jarka wcale nie kontrolowała sytuacji. Zupełnie nie wiedziała, czy sprawia wrażenie przystępnej, czy nieprzystępnej, czy wysłała jakikolwiek sygnał, czy nie. Była zupełnie zielona w tych sprawach – jak każdy, dopóki nie przeżyje tego pierwszy czy drugi raz. Czuła się kobieca, wiedziała, że jest całkiem ładna, ale nigdy nie eksponowała swojego ciała ani nadmiernym makijażem, ani

wyzywającym ubiorem. Nie stroiła się także na pensjonarkę ani dziewczynkę czy lolicę. Starła się po prostu znaleźć jakiś balans pomiędzy kobiecością a normalnością i drobnymi akcentami podkreślającymi styl. Nie mogła wtedy wiedzieć, że właśnie spódniczka, kręcone włosy i spinki we włosach przyprawiły Jarka o gęsią skórę. I drżenie rąk – tak nieoczekiwane u policjanta.

Gdy stuknęli się kieliszkami, Berenika powiedziała coś niezrozumiałego dla niej samej, a Jarek odstawił kieliszek z zamiarem pocałowania dziewczyny. Jego ruch nie był jednak płynny i pewny – zostawiał sobie margines bezpieczeństwa, jak większość mężczyzn, którzy nie chcą narazić się na śmieszność. Istotnie, gdy zbliżał się do Bereniki, ona wykonała niespodziewanie zwrot w lewo i poszła do łazienki. Nie zrobiła tego jednak ani celowo, ani niecelowo. Po prostu chciało jej się siku. Co się jednak działo przez te cztery minuty w głowie Jarka, tego nie opisałiby dowódcy największych kampanii z udziałem wojsk pancernych. A kiedy już zbliżyła się do niego, po prostu zatopili się w swoich ustach. Te u obojga były miękkie, ciepłe i smakowały półśłodkim winem argentyńskim. Posadził ją na stole, zsunął jej figi. Ona, odruchowo, choć nie miała w głowie planu B na taką sytuację, zaczęła mu rozpinąć pasek. O, męskie paski parciane, żyjące swoim życiem! Ile to trwało, nim udało jej się z nim uporać. Im dłużej to zbliżenie trwało, tym oboje byli bardziej nieporadni w swoich ruchach, ale przez to i naturalni. Z każdym pocałunkiem zniknęły maski, sztuczne gesty i wystudiowane ruchy. Kiedy wsunęła mu rękę pod bieliznę, jakaś substancja chemiczna, o której istnieniu nie miała pojęcia, uderzyła w nią z dziwną, atawistyczną mocą. Nie pamięta, jak przenieśli się na łóżko. Pamięta za to doskonale, co się w nim działo. Nie podejrzewała siebie o tak silną wolę, ale od początku przejęła inicjatywę i dyktowała tempo zdarzeń. Usiadła na nim. Był bardzo delikatny, kiedy dotykał jej drobnych piersi, ale ona przycisnęła jego dłonie mocniej. Obudził w niej uczucia dotąd nieznanne, teraz raz za razem wybuchające ze zdwojoną siłą. W jego dobrych, niebieskich oczach była piękna, zjawiskowa i absolutnie

skończona w swojej kobiecości. Pachniała fiołkami, choć Jarek nie wiedział, że to ich zapach tak na niego działa.

Właśnie teraz, tego dnia, 13 września 2016 roku, na powrót śniła o tamtej nocy, która wszystko zaczęła. Wszystko było niemal tak jak wtedy. Tylko sufit był czarny, a oczy Jarka dużo ciemniejsze. Nie mogła dostrzec ich koloru. Wszystko było jak niemal tak jak wtedy, tylko to on leżał na niej, a ona nie pachniała fiołkami, lecz krwią – z ust, które popękały od drapieżnych pocałunków. I wszystko było niemal tak jak wtedy, poza tym, że Jarek nie był delikatny. Gryzł jej sutki, złapał ją za ręce, zaplótł je za jej głowę i wbijał się w nią mocno. Podobało jej się to, choć było bolesne. Ale ból ten, mieszając się z tym mrocznym spojrzeniem mężczyzny, wyzwalał w niej jakieś instynkty, przez które chciała, żeby był jeszcze brutalniejszy. W tym śnie oddawała mu się bez reszty, jakby była to ostatnia noc. Ostatnia, bo darowana jej po opadnięciu kurtyny, po zakończeniu tamtego życia. Wiła się w łóżku, mając pod nosem, a rozkosz odczuwana przez nią podczas snu była niemal równa tej, jaką zapamiętała z tamtej pierwszej nocy, w którą pachniało pieczonymi jabłkami. Jarek wbijał się w nią coraz mocniej, a ona tylko rozchyliła szerzej nogi. I wtedy, gdy zbliżała się kulminacja tej rozkoszy połączonej z bólem, kiedy czuła, jak jej wszystkie organy pulsują ekstatycznym tańcem, nagle ból zaczął narastać, a rozkosz zniknąć. Jej oddech przyspieszał i gdy otworzyła oczy, nie była już w sypialni, ale w szpitalu, na sali porodowej. Właśnie rodziła dziecko. Plamy światła uderzały ją w oczy, stłumione głosy personelu medycznego wprowadzały nerwową atmosferę.

– Jarek! – krzyczała, ale lekarz bezradnie rozłożył ręce i wskazał tylko na naścienny zegar. Wskazówki na jego tarczy były tak długie, że rozplływały się na kafelkowej posadzce sali. Zegar był zepsuty. – Jarek! – powtórzyła, ale na sali był tylko personel medyczny.

„Dobrze – myślała – spokojnie, ważne, że jest położna, na pewno wszystko pójdzie dobrze”.

Ale w tym momencie postaci w białych kitlach zaczęły z pomieszczenia wychodzić i z każdą sekundą Berenika stawała się

coraz bardziej osamotniona.

– Nie! Nie! Czekaście! – krzyczała, ale opadała z sił. Czuła, jak niesamowity ból rozrywa jej wnętrzności, ale ona nie ma siły przeciw. Na ekranie kardiogramu obok łóżka widziała słabnący puls dziecka. – Nie, nie! – szeptała, próbując urodzić dziecko. Zdało jej się nawet przez chwilę, że słyszy płacz noworodka, ale naraz zrozumiała, że to był jej własny płacz. Kardiogram pokazywał płaską linię. Dziecko nie żyło.

I naraz poczuła, jak coś pęka jej w klatce piersiowej. Jakby skorupa orzecha z bijącym w środku sercem. Czuła w tym śnie, niemal fizycznie, jak jej serce się przepoławia i jak z jej własnej duszy ulatuje i życie dziecka, i jej własne. Aż w końcu, mimo heroicznego wysiłku, jaki podejmuje każda matka, mimo wielkiej wiary i nadziei, mimo całego ładunku miłości – umarła.

Właśnie wtedy otworzyła oczy.

Znow była w hotelowym pokoju. W jednym kawałku, w jednym nierozzerwanym ciele. Wszystko się zgadzało, poza jednym. Nie mogła oddychać. Złapała się gwałtownie za szyję i poderwała z łóżka. Nie mogła nabrać powietrza. Kątem oka dostrzegła kwiaty na stoliku. Spadła z łóżka i uderzyła głową o drewniany podnózek. Przed oczami zawirowały jej niebieskie plamy świetlne. Mgnienia.

## 18

– Wiecie, czemu nie lubię psów? – zaczął Laczu, gdy ruszyli. Siedział skuty na tylnej kanapie. – Mam swoje lata. W tym kraju po pięćdziesiątce powinno się nosić beret, polar i kupować lampki solarne w Lidlu. A ja mam auta, biżuterię, dupeczki. Stać mnie, rozumiecie?

– Bo jesteś chytrym lisem? Nie, nie rozumiemy, ale opowiadaj. No i chyba jesteś jednak pod sześćdziesiątkę niż po pięćdziesiątce... – powiedział pod nosem Brodzki. – Może droga z tobą szybciej nam upłynie.

Detektyw czuł sporą ulgę. Po kilku dniach poszukiwań Laczu wpadł

im w ręce poniekąd sam. Czy miał zginąć w tym wypadku? Kto życzył mu śmierci? „Nie wygląda na takiego, co miał wyrok” – pomyślał Brodzki. „Jeśli ma nas doprowadzić do Elfa i do przeszłości, to nie mogę sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Przesłuchamy go po bożemu, z prokuratorem. Nie lubię tego krawaciarza, ale może jak się zabawimy w dobrego i złego glinę, to Laczu pęknie jak dętka. I co mi powie jutro Halicki?”

– Złapali mnie za pół gieta suszu. „Taki stary, a ma ochotę na zabawy”, powiedział jeden mądrała. Sprawdzali, czy przypadkiem nie schowałem zielska w dupie. Byłem skuty, krew na rękach, specjalnie za ciasno zapięli. Prokurator se poszedł, zostałem na dołku. Nazwali mnie pedałem, mówili, że tracą na mnie czas. W kiblu miałem się rozebrać do naga i kucnąć. I kazali mi srać. Myśleli, że połknąłem woreczek. Pozwolili raz zadzwonić. Zadzwoniłem do Elfa. „Jutro rano policja przetrzepie ci dom rodzinny w Chełmnie”, powiedział. Chełmno, kurwa... nie chodziło o to, co o mnie pomyślą, bo wiadomo, że prawie każdy pali zioło, ale o stres. W nocy z komisariatu z Rubinkowa na Grudziądzką, znów krew spod kajdanek. Potem przesłuchanie. Gadał ze mną taki o orlim nosie, czy miał osadzone szeroko.

– Nowak? – spytał Żółtko i spojrzeli z Brodzkim na siebie.

– Tak – przytaknął Laczu. – Trochę się pomądrzył, chociaż mądry nie był, ale ogólnie się nie wywyższał. Rano powieźli mnie na przeszkowanie w domu i wystawili w tych kajdankach na ulicy, tak by całe miasto mnie widziało. Rozpierzdolili mi cały dom, pokazowa taka.

– Twoje wspomnienia są mętne jak siki po piwie, ale może Mauer to kupi – podsumował całość Brodzki. – Będziesz gadać?

– Po moim trupie. Pierdolę gliny, policję, milicję, żandarmerię, straż leśną i celników.

– Prawdę mówiąc, już jesteś trupem. Ktoś ci przeciął przewody hamulcowe.

– Niemożliwość, kurwa.

– Niemożliwe jest to, że wyjdiesz z tego na wolność.

- Nie cierpię psów i będę wolny, zanim zjesz kolację.
- No cóż. Ja jestem miły, ale może zmienisz gadkę, jak poznasz prokuratora Mauera. To naprawdę twardy skurwysyn. Ja przy nim jestem łagodny jak sweter po praniu w coccolino. Więc, jak to mawiali w Gangu Olsena, będzie klawo jak cholera! – I dodał gazu na ulicy Odrodzenia.

## 19

Resztkami sił doczłapała do okna, uchyliła je. Świeże powietrze w pierwszym haucie uderzyło jej do głowy. Złapała się mocno parapetu, żeby się nie osunąć na podłogę. Po kilku minutach objawy zaczęły mijać.

Przestraszyła się. Nie tyle z lęku o zdrowie, ile przez to, że była sama. Gdyby coś jej się stało, znów leżałaby jak wtedy, w szpitalu.

Miewała stany lękowe, bała się, że nikt jej nie pomoże i nie przyjdzie na czas. Jak Jarek.

Mimo to uchodziła za osobę silną. Jak wtedy, gdy relacjonowała protesty kobiet przed Sejmem. Jak wtedy, gdy krytykowała pracę policji i cały męski świat, który policja reprezentuje swoimi pałkami i lufami pistoletów. Nigdy nie uważała się za wojującą feministkę, ale dopiero pomiędzy dziewczuchami z organizacji pierwszy raz poczuła się częścią kobiecego świata. Pierwszy raz była otoczona kobietami w swoim wieku, mówiącymi jej językiem o jej świecie, przekonujących ją, jak fajnie być babką i do czego ma się prawo. Otworzyło jej to oczy.

Mało która dziewczyna z mniejszego miasta – niebędącego ważnym ośrodkiem intelektualnym – ma szansę poznać inne punkty widzenia, zobaczyć, do czego powinno się dążyć, otworzyć sobie oczy na świat. Wydawać by się mogło, że tylko mężczyźni mają problem z inicjacją i nieistniejącym światem męskich rozmów, w którym problemy rozwiązuje się klepieniem w ramię, szklanką whisky i wspólną wizytą w barber shopie. Tymczasem kobiety – te, które, zdawać by się mogło, całe życie rozmawiają – również mogą

być w tym świecie pogubione.

I dlatego Berenika pierwszy raz poczuła, że przynależy do kultury, którą próbowała zrozumieć, odkąd sięgała pamięcią. Kultury matek, żon, kobiet czekających, kobiet niemówiących, kobiet westalek, kobiet cierpiętniczek. Przełomowym momentem były nagrania, jakie dziewczuchy pokazały jej na spotkaniu bożonarodzeniowym w 2015 roku. Policjanci ciągnęli je po ziemi i wykręcali ręce. Śmiali się w twarz, znieważali. Dziewuchy ustaliły ich nazwiska i stopnie.

Niedługo potem, wiosną 2016 roku, media społecznościowe obieły prowokacyjne zdjęcia. Fotografie przedstawiały dwóch śpiących w radiowozie policjantów. Mieli założone różowe staniki i przypięte białe kartki z napisem: „POLSCY MĘŻCZYŹNI PRZEPRASZAJĄ POLSKIE KOBIETY”. TVN24 materiał o tym emitował co pół godziny. Tygodnik „Wysokie Obcasy” odważył się wstawić zdjęcie na jedynkę. Podobnie zrobili tytuły wydawane przez Marlowe Press Ltd.

Policjantów zawieszono, a media oszalały, podnosząc temperaturę dyskusji na temat prawa publikowania wizerunków policjantów. Bo choć fotografię rozpowszechniały wszystkie media, pierwszy był dom wydawniczy Marlowe Press Ltd. Autorką głośnego tekstu Mężczyźni jak (za)pałki była niejaka Berenika Vesper.

W apelacji stwierdzono, że zgodnie z artykułem trzynastym, ustęp drugi prawa prasowego publikacja wizerunku policjantów nie była dopuszczalna. Uzasadniono to stwierdzeniem, że wizerunek jest jednym z dóbr osobistych. Choć dziennikarze bronili Bereniki, mówiąc, że policjanci byli osobami rozpoznawalnymi, sąd uznał, że ich popularność zaistniała dopiero w wyniku wspomnianych działań prasowych. Wydawnictwo Marlowe Press Ltd. zaskarżyło decyzję skargą kasacyjną. Jego zdaniem wizerunek policjantów nie mógł podlegać ochronie, ponieważ jako funkcjonariusze publiczni wykonywali zadania w odniesieniu do ogółu społeczeństwa. Sąd odrzucił skargę – działania podjęte przez media uderzały jego zdaniem w dobra osobiste policjantów, narażając na szwank zarówno wizerunek ich, jak i instytucji, którą reprezentują. I chociaż



równoległe toczyło się postępowanie w sprawie przekroczenia uprawnień przez funkcjonariuszy i naruszenia nietykalności cielesnej protestujących kobiet, wydawnictwo sprawę przegrało. Sąd stwierdził, że dziennikarze co prawda mieli prawo napisać, którzy funkcjonariusze przekroczyli swoje uprawnienia, ale jednocześnie nakazał usunięcie wszelkich materiałów z wizerunkiem policjantów oraz publikację przeprosin na łamach wszystkich wydawanych przez Marlowe Press Ltd. magazynów.

Na tym sprawa mogłaby się zakończyć, ale finał był inny. Kilka tygodni po uprawomocnieniu się wyroku do drzwi mieszkania Bereniki Vesper przy placu Wilsona zapukała policja. Okazało się, że ktoś zgłosił się na policję, twierdząc, że widział ją przy radiowozie i może potwierdzić, że Berenika Vesper przyczyniła się do pogorszenia stanu świadomości policjantów: miała ich uspić niezidentyfikowaną substancją. Potwierdzić tego się jednak nie udało, bo policjanci nie zgodzili się na badania toksykologiczne, a Komenda Główna zabroniła im publicznych wypowiedzi. Sprawę chciano szybko zamieść pod dywan – trwały przygotowania do lipcowego szczytu NATO oraz Światowych Dni Młodzieży i polskie służby codziennie znajdowały się w ogniu krytyki.

Gdyby Berenice udowodniono wpłynięcie na stan świadomości funkcjonariuszy, postawiono by jej zarzut nieudolnego usiłowania zabójstwa.

Ostatecznie sąd powołał się na artykuł dwieście dwudziesty drugi, paragraf dwa, który stanowił, że jeśli naruszenie nietykalności cielesnej funkcjonariusza wywołane było jego wcześniejszym niewłaściwym zachowaniem, sąd może odstąpić od wymierzenia kary. Ostatecznie Bereniki nie oskarżono, ale naczelna – Anna Tekla – miała na ten temat swoje zdanie. Dziewczyna była od tej pory na wylocie.

Świadkiem, który wskazał Berenikę, była przypadkowa kobieta. Żona policjanta.

Przecinając plac Teatralny, auto wpadało momentalnie na nawierzchnię z bruku. Sygnalizował to uskok i szum opon. Policyjna vectra minęła z lewej strony budynek Urzędu Miasta, z prawej Teatr im. Wilama Horzycy. Na horyzoncie pulsowała wpadająca w Starówkę ulica Chełmińska i serce Starego Miasta w głębi. Tu Brodzki odbił w lewo. Przejechali wzdłuż rzędu kamienic, mijając kawiarnię „Wejściówka”, stado gołębi na trawniku z prawej strony i postój taksówek z lewej. Detektyw minął stojącego na postoju Henryka, ale nawet na niego nie skinął. Myślami był już w siedzibie sądu. Pozostawało tylko na wysokości Wydziału Filologicznego toruńskiego uniwersytetu odbić w lewo i przemknąć obok murów aresztu śledczego, które Leon Brodzki zdecydowanie wolał oglądać od zewnątrz. Odbił w ulicę Piekary. Od sądu dzieliło ich sto metrów.

– Co jest?! – zdążył rzucić pod nosem i gwałtownie wcisnął pedał hamulca.

Henryk kończył właśnie polerować chromowane lustro swojego beżowego fiata 125p, kiedy usłyszał huk wystrzału z broni. Echo poderwało do lotu ptaki, niosąc się po ścianach wszystkich budynków Starówki.

– Czy ktoś był w moim pokoju? – spytała Berenika. Recepcjonista w koszulce z okładką albumu Master od Puppets Metalliki nie od razu dosłyszał pytanie. Zdjął słuchawki i pokazał gestem, by powtórzyła. – Czy to możliwe, żeby ktoś był w moim pokoju?

– Nie sądzę – odparł mężczyzna, ale rząd krzyży na jego T-shircie wcale dziewczyny nie uspokajał.

– A obsługa?

– Obsługa?

– Ci starsi państwo, którzy sprzątajają... – pokazała rękoma wzrost osób, o których mówi.

- Nikt tu nie sprząta. To znaczy, oczywiście, sprzątamy... w zasadzie to ja to robię, ale nie ma tu żadnych starszych państwa.
- Słucham? – Berenika miała obłąkany wyraz twarzy.
- Nie bardzo rozumiem. Dobrze się pani czuje?
- Prawdę mówiąc, nie. – I wyszła.

## 22

Kiedy widzisz wymierzoną w ciebie lufę Škorpiona vz.61, teoretycznie – jak w szachach – masz trzy możliwości. Możesz zejść z linii strzału, zasłonić się czymś albo samemu zaatakować napastnika. Ponieważ Leon kierował autem i przewoził ważnego świadka, przede wszystkim nie chciał być ruchomym celem i nie miał zamiaru pozwolić na otwartą wymianę ognia. Nikt nie lubi być żywą tarczą dla pistoletu maszynowego. Wszystko trwało ułamki sekund, gdy zza auta tarasującego drogę na wysokości ulicy Panny Marii – w miejscu, gdzie mury aresztu przechodzą w mury sądu – mężczyzna w kominiarce otworzył do nich ogień.

Kosząca seria kul rozbiła w pył przednią szybę, maskę i grill policyjnej vectry. Od kul wybuchły przednie opony, a potem chłodnica. Rozpruły się także siedzenia i tapicerka. Napastnik przeładował dwudziestonabojowy magazynek. Po pierwszym przeładowaniu ruszył w kierunku przedziurawionego jak durszłak auta. Kiedy zajął do środka, pasażerów jednak już w nim nie było.

Kilkanaście sekund wcześniej detektyw otworzył drzwi spowitego w dymie auta.

– To zasadzka! – krzyknął do skutego z tyłu Lacza. – Otwieraj tylne drzwi i biegiem, głowa w dół!

– Jak mi się coś stanie, zapierdolę was!

– Chyba, że najpierw zapierdolą ciebie! – warknął Brodzki i pociągnął go za ubranie.

Wbiegli do kościoła od zachodu. Kolejny wystrzał zadudnił echem po ścianach kościoła i murach aresztu – pociski tuż za plecami Żółtki wbiły się w cegły.

– Szybko, w prawo! – krzyknął aspirant, przeczołgując się przez kabinę i dołączył do nich przy wejściu. Skręcili gwałtownie w stronę południowej, krótszej nawy, by schować się we wnętrzu.

Minęli rokokowy obraz Chrystusa Bolesnego i epitafia.

– Zabiję skurwysyna! – syczał Laczu. Brodzki szarpnął go mocniej za ubrania.

– Wyrażaj się, jesteś w Domu Bożym! Do cholery jasnej, gdzie mundurowi?! Dlaczego musimy się chować jak szczury w centrum miasta, przed budynkiem sądu w demokratycznym kraju? – grzmiał detektyw. „Kto to, cholera, był” – myślał. „A raczej, kto to jest?! Czy polują na Lacza, bo nie udało się go zabić na skrzyżowaniu i powrócić jak bumerang? Czy ktoś się boi jego zeznań? A zatem on coś wie i wiedzy tej boją się jak diabeł święconej wody”.

W kościele pachniało kadzidłami. Wnętrze budowli było wysokie: kiedy świątynia powstawała, jej niemal dwudziestosiedmiometrowe ściany czyniły ją najwyższą gotycką budowlą na Pomorzu. Elewacja – dotąd gładka i urozmaicona jedynie oknami – dziś ozdobiona została także pociskami z broni krótkiej. Atrakcyjność turystyczna takich artefaktów z czasem może być nie do przecenienia.

Dobiegła ich kolejna seria – cztery kule rozpruły gotyckie stalle w południowej ścianie. Przyspieszyli i zatrzymali się dokładnie pod obrazem przedstawiającym wskrzeszenie Łazarza. Brodzki spojrzął odruchowo w górę, potem na Żółtkę, potem znów na malowidło. „Do diabła – pomyślał Leon – ostatnim razem, kiedy byłem w kościele, upadłem pod stacją piątą. Moim Cyrenejczykiem okazał się Tomek, ratując mnie spod kół samochodu. Co ma oznaczać to malowidło? Kto jest kim i kto dostanie drugą szansę? Czy Łazarz nie dostał czasem szansy na powtórkę? Kto dziś zaśnie w czarnym plastikowym worku?”

– Żółtko, gdzie jest wsparcie?!

– Dzwonię, ale te ściany nie przepuszczają sygnału.

– Cholera jasna! – zagrzemiał Leon i przyciągnął Lacza do siebie. Przestępca cały czas był skuty.

– To boli, cholera!

– *Voilà*, jesteś wolny, ptaszku – rzekł Leon i go rozkuł. – A teraz wybieraj. Wolisz opiekę naszą czy Pana Boga? – Koło ich głów znów zaświszczały kule. Laczu przywarł do ściany z przestraczem. – Tak myślałem!

– Nie wybiegniemy przez zakrystię za prezbiterium, będzie miał nas na widelcu. – Żółtko wskazał wschodnią ścianę kościoła, gdzie mieściły się ołtarz i ambona.

– Nie mam zamiaru dołączać do Anny Wazówny – odparł Brodzki, kręcąc głową. Miał na myśli mauzoleum siostry króla Zygmunta III Wazy. Gdyby wiedział, że była pierwszą osobą, która zasadziła w Polsce tytoń, z pewnością poczułby do niej większą sympatię. – Dobra, to będzie szybka akcja. Z komendy powinni przyjechać w siedem minut po zaalarmowaniu przez mieszkańców. Mauer będzie wcześniej, ale nie ma broni. Może wkroczą fesze z aresztu śledczego, choć nie liczyłbym na dużo, bo nie pałają do mnie miłością. Pozostaje plan B.

– Który brzmi? – Laczu włączył się do dyskusji, jakby był członkiem Drużyny A, tym ze złotymi naszyjnikami.

– Pierwsza zasada: nie biegnij ani na strych, ani do piwnicy. To nie horror – zaczął Brodzki. W tym momencie w środkowej nawie zadudniła seria strzałów – tym razem poszedł cały magazynek. Pociski ostrzelały ławy, z furkotem wzbijając w powietrze kawałki sosnowego drewna. – Zmieniłem zdanie. Do sałek katechetycznych! Tam przy zakrystii są schody. Jest jedno wejście, zatarasujemy się!

Nie zdążył dokończyć, kiedy mężczyzna w kominiarce wychylił się zza filaru pod emporium i wycelował w ich stronę swojego škorpiona.

– Teraz! – ryknął Brodzki i puścili się pędem.

Minęli późnogotycki krucyfiks i pilastrowe filary łuku tęczowego z prawej, przecięli środkową nawę. Laczu w tym pędzie zdążył spojrzeć odruchowo w stronę ołtarza i się przeżegnać.

– Tak ci się spieszy do nieba? – Brodzki ponaglił go, by biegł szybciej.

Seria z karabinu ścięła złoczone kolumny ołtarza, gdy przedarli się

pod łukami do sklepienia krużganku w nawie północnej. Echo po odgłosie każdego wystrzału dudniło po kościele przez kilkanaście sekund. Potem słyhać było tylko ciężki odgłos kroków.

– Tutaj! – Żółtko wskazał na strzałkę z napisem „DO SALEK KATECHETYCZNYCH”.

Dobiegli do schodów. Pierwszy wskoczył na stopnie Laczu, drugi był Żółtko, na końcu Brodzki. Gdy dobiegali na wyższą kondygnację, we wnętrzach gmachu rozległ się huk pojedynczego wystrzału. Detektyw od razu odczuł różnicę. Nie był to karabinek, ale pistolet. Osiem albo dziewięć milimetrów. Leon spojrzał przez ramię. Gdzieś przy środkowej nawie, przy zachodnim skrzydle, pod organami, zdało mu się, że mignął mu... „Nie, to niemożliwe” – pomyślał.

Był to człowiek w kapeluszu. Cała trójka dotarła tymczasem do sali katechetycznej. Laczu i Żółtko wparowali do środka, Leon został przy wejściu, celując swoim P99 w stronę prześwitu u podnóża schodów, skąd mogli nadbiec napastnicy. Z sali nie była wyjścia. Żółtko wyrzwał przez jedyne okno w pomieszczeniu – wychodziło na podwórze, ale ściana była pionowa, a wysokość za duża, aby móc wyskoczyć. Złapał zasięg.

– Potrzebujemy wsparcia, natychmiast! Ukrywamy się ze świadkiem na pierwszym piętrze w północnej części kościoła Najświętszej Marii Panny! – Gdy wymawiał te słowa, za oknem słyhać było koguty policji i pogotowia. – Nadciąga kawaleria!

Laczu zakastał. Leon spojrzał w jego stronę i dopiero teraz zauważył, że mężczyzna ma ręce we krwi.

„Płuco” – pomyślał Brodzki.

– Tomek, zostań tu na czatach. – Zamienili się miejscami.

Detektyw podbiegł do Lacza, który pobladał na twarzy i osunął się na ziemię. Odsunął rękę, którą świadek przytrzymał na klatce piersiowej. Rana wylotowa.

„Niedobrze” – pomyślał Leon. Laczu przewrócił głowę na bok, jego oddech stawał się coraz płytszy. Zacharczał, a potem zajęczał z bólu.

– Kurwa... wiedziałem... wiedziałem, że miałem zginąć w samochodzie... Kurwa mać, jak boli... nie mogę oddychać...

– Zaraz przyjedzie karetka. Powtórz mi, co chciałeś powiedzieć Mauerowi.

– Kieszeń... – ledwo wy dobył z siebie słowo.

– Co?

– Kieszeń... – Wskazał na spodnie i zakasłał krwią.

Sytuacja wyglądała naprawdę poważnie. Leon wyciągnął ze spodni rannego torebkę kokainy i zwiniętą ze stułotowego banknotu rurkę.

– Mam jedną setkę, z której wciągam od siedmiu lat...

– Nie pierdol, nie będziesz teraz wciągał koksu. Mów, co wiesz...

– Daj... to po...wiem...

– Kurwa mać – syknął Brodzki. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Na mahoniowych ścianach pachnących bejcą wisiały długie teksty modłów: *Modlitwa Pańska, Pozdrowienie Anielskie, Modlitwa do Anioła Stróża, Skład Apostolski, Dziesięć Przykazań Bożych, Pięć Przykazań Kościelnych* i zdjęcie reprezentacji Polski w piłce nożnej. Leon zerwał jednym ruchem przykazania kościelne, wysypał na nie proszek. Zerwał Dekalog, złożył kartkę na cztery, rozdrobnił ostrym brzegiem papieru kokainę i podsunął Laczowi, wtykając mu zwitek do nosa. Lacz wciągnął biały proszek, zakasłał.

– Będzie bolało? – spytał spokojniejszym głosem. Twarz mu się rozluźniła.

– Nie. Bo za chwilę stracisz przytomność. Kto był Młotkarzem? Kto porwał dziewczyny. Wiesz to, powiedz mi. – Tak, Brodzki nadawał się do roli anioła śmierci.

– Święty Jakub...

Po minucie Lacz leżał w tej samej pozycji, nie oddychając.

– Nikt cię nie wskrzesi, kolego – rzekł Brodzki i opuścił mu powieki. Nie lubił tego robić, ale uważał tę czynność za coś w rodzaju mistycznej konieczności. Nigdy nie lubił patrzeć w otwarte oczy umarłaków. Bo jeśli oczy są zwierciadłem duszy, która ulatuje po śmierci, to co widać w oczach ciała jej pozbawionego? Wzdrygnął się na myśl o tym, a potem zabrał zaciśnięty w lewej ręce Lacza banknot stułotowy.

Z dołu kościoła dały się słyszeć krzyki policjantów. Radiowozy

otoczyły gmach kościoła.

Detektyw nie wiedział, kto chciał ich dziś zabić. Kogo Elf ma w drużynie? Zgodnie z zasadami do ulicznych gangsterskich porachunków nie warto brać ludzi z tej samej dzielnicy. Do miejskich strzelanin – nie z tego samego miasta. Syndykaty mają swoich łączników, czujki, mordoklepow – ludzi od brudnej roboty. Bossowie fatygują się osobiście tylko wtedy, kiedy sprawy przybierają naprawdę zły obrót. A jednak dałby głowę, że widział tam, w dole...

Na schodach rozległy się kroki i po chwili do salki wbiegł prokurator Mauer. Tym razem zdyszany i spocony na czole. Miał poluźniony krawat i spocone dłonie.

– Szczęść Boże – przywitał go Leon.

– Co z nim? Będzie mówić?

– Tak. Ze Świętym Piotrem. Nie żyje.

– Nie dało się go utrzymać przy życiu?! – Impertynencja Mauera ubodła Brodzkiego.

– Robiłem, kurwa, co mogłem, ale nie jestem doktorem House'em. Nawet apteka pod nosem mu nie pomogła.

Dopiero teraz Mauer zauważył biały proszek w nozdrzach denata.

– Rana postrzałowa z broni krótkiej – rzucił Żółtko.

– Mały kaliber. Sprawców było dwóch – dodał Leon. – Macie kogoś?

– Chłopaki przeczesują teren.

– To niech wezmą dobre grzebienie – zakpił Leon. – Ci faceci to zawodowcy. Duchy. A na duchy nie idzie się z widłami. Potrzeba siły wyższej. Czegóż nadprzyrodzonego.

W tym momencie w salce rozległ się dźwięk dzwonka telefonu komórkowego. Melodia utworu Nie liczę godzin i lat Andrzeja Rybińskiego dobiegała z ubrania martwego mieszkańca Chełmna. Dzwonek po chwili się urwał. Żółtko, Mauer i Brodzki spojrzeli na siebie zaskoczeni.

Mauer nachylił się nad ciałem i wymacał telefon w spodniach. Wyciągnął z kieszeni swojej marynarki lateksową rękawiczkę, dmuchnął w jej środek, nałożył na prawą rękę i po chwili wyjął



urządzenie. Nacisnął zieloną słuchawkę smartfona xiaomi, ale na wyświetlaczu pojawił się komunikat o konieczności odblokowania telefonu.

– Nic nie poradzimy. Technicy muszą sprawdzić.

W tym momencie Brodzki, nie czekając, aż Mauer wstanie, wyrwał mu telefon, klęknął obok i chwycił dłoń Lacza.

– Co też pan najlepszego wyczynia! – oburzył się prokurator.

– Jeśli dowody są na wyciągnięcie ręki? – spytał retorycznie Brodzki, po czym przyłożył wskazujący palec prawej dłoni martwego Lacza do czytnika linii papilarnych. Ekran się odblokował. Numer, z którego przed chwilą dzwoniło do denata, wydawał się Brodzkiemu znajomy. Wcisnął przycisk i komórka zaczęła się łączyć z 511867571. Detektyw przysunął słuchawkę do prawego ucha, trzymając komórkę w lewej ręce. Miał ten niepraktyczny nawyk przekładania ręki do przeciwległego ucha, podobnie jak to robi wielu ludzi, i – podobnie jak oni – nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Witaj, detektywie, mam dla ciebie zagadkę. Łatwą, bo jest powtórką, ale trudną, bo nie da się dwa razy wejść do tej samej rzeki. Czy na pewno jesteś gotów na prawdę, którą...

Brodzki odrzucił telefon jak oparzony. Był to głos Heraklita.

– Detektywie? – odezwał się Mauer.

– Oddajcie telefon technikom. – Brodzki bez słowa ruszył do wyjścia. Żółtko z Mauerem spojrzeli na siebie pytająco. – Gdzie, do cholery, jest Halicki? Czy ktoś panuje nad tym chaosem? Czy zstępujemy już do siódmego kręgu piekielnego i mamy na praworządność wyjebane, bo będzie nam dane?

– Detektywie, przywołuję pana do porządku.

– Prokuratorze, właśnie człowiek mi zmarł na rękach i występy kończy w plastikowym worku. Chwilę wcześniej zamaskowany zabójca strzelał do nas seriami z automatu, jakby w cholerny śmigusyngus, tylko że nie polała się woda, ale krew. Jak pan myśli, dokąd to wszystko prowadzi?

– Proszę dalej wykonywać swoje obowiązki. Rozmowę uznaję za zakończoną. A jutro złożyć raport o postępach w śledztwie. – Gdy

Mauer kończył zdanie, zorientował się, że detektyw wyszedł z pomieszczenia, mniej więcej gdy wypowiadał słowo „obowiązkii”.

Leon nie miał zamiaru odpowiadać na zbędne pytania ani Mauera, ani policjantów, ani gapiów, którzy z pewnością zgromadzili się przy zachodnim wejściu. Pod krążgankiem skręcił więc w lewo i ruszył w stronę prezbiterium. Przeszedł koło grobowca Anny Wazówny i wyciągnął z paczki papierosa.

– Twoje zdrowie, dziewczyno. – I odpalił, wychodząc do zakrystii.

– Tu nie wolno palić – usłyszał za plecami. Stał za nim wystraszony duchowny, którego raz miał już wątpliwą przyjemność spotkać.

Ksiądz zamierował puścić się pędem do wyjścia, ale Brodzki był szybszy i zaszedł mu drogę.

– Proszę mnie przepuścić, muszę pilnie zadzwonić do biskupa, poinformować o całym zdarzeniu i...

– Powiem ci, księżulku, co powinieneś teraz zrobić. – W Brodzkiego wstąpiła autentyczna złość.

– Proszę mnie puścić, bo... – Ale nie dokończył. Brodzki złapał go za krtań i przycisnął do ściany. Ostatnie dni nauczyły go unikania półśrodków. Świadomość stawki, o którą gra, aktywowała w nim dodatkowe zasoby energii. – Powiedziałbym, żeby ksiądz te groźby wsadził sobie w dupę, ale to akurat chyba byłaby przyjemność. Pamiętasz już, gdzie się ostatnio widzieliśmy? Burdello-bum-bum, kojarzymy coś?

– Nie! Na Boga! – Na te słowa Brodzki jeszcze mocniej przycisnął go do ściany. W

– Jak to możliwe, że księża pamiętają całe fragmenty z Biblii, a wypada im z głowy, gdzie moczyli dzień wcześniej?

– Tak, już pamiętam – błagał rozpaczliwie, krztusząc się.

– Żeby mi to było ostatni raz, że nie masz sumienia. Od tej pory koniec z marmurami na plebanii i mercedesami w garażu. Sprzedasz ten szajs, a pieniądze przelejesz na konta fundacji, które zajmują się pomocą dzieciom. Nagraliśmy cię w burdelu, mamy dowody, których nie zawaham się wystać do samego, kurwa, papieża. – Puścił go i ruszył do bramy, ale zatrzymał się i wskazał na niego

zakrwawionym palcem. – A, i jeszcze jedno. Od tej pory wszystkie śluby i pogrzeby za darmo.

## 23

Nie miała zbyt wielu okazji, żeby się ładnie ubrać, nie miała też dla kogo tego robić. I nie chodziło tu o facetów, ale o nią samą – Vesper nie miała potrzeby ubrać się ładnie dla siebie samej, choć miewała na to ochotę. Dzisiejsze sny i przemyślenia skłoniły ją właśnie do założenia sukienki. Była to jej ulubiona – czarna, krótka sukienka z aksamitu, kończąca się tuż przed kolanem, z długim rękawem. Nie dałoby się w niej chodzić, gdyby nie rozporek z tyłu i zakładka przypominająca origami. Całość zdobił ażurowy kołnierz wykonany haftem richelieu.

Brodzki dał znać barmance, Amelii. Gdy podeszła, wręczył jej stużłotowy banknot. Znali się wiele lat, bo od wielu lat przychodził do „Zezowatego Szczęścia”, kiedy naprawdę musiał się napić.

- Mam tylko prośbę. Umyj go pod wodą, i ręce też – zasugerował.
- Brudny szmal? – spytała, trzymając zielony zwitek za róg.
- Tak brudny, jak to tylko możliwe. – Barmanka skinęła mu i odwróciła się do zlewu.

Berenika bez słów usiadła koło niego na hokerze.

- Ładnie wyglądasz.
- Dziękuję.
- To nie ja cię rodziłem.
- Masz jakiś generator tych tekstów?
- Co pijesz? Oprócz krwi.
- Pszeniczne. Albo nie, coronę, z cytryną. Jak zmarła twoja matka?
- spytała Berenika.
- Serio? Zawsze tak zaczynasz rozmowy przy barze?
- Z ludźmi, którzy nie są mi bliscy, zaczynam rozmowy tak, jak chcę. Media piszą, że jesteś podejrzewany.
- Podejrzewany? Ha, ha. To taki trochę twór policyjny. W trybie artykułu sto osiemdziesiąt trzy kodeksu postępowania karnego

jestem świadkiem.

– Świadkiem w sprawie morderstwa, które popełniłeś.

– Zabójstwa, jak już chcesz pisać dokładnie.

– Morderstwo brzmi lepiej.

– W przypadku tego skurwysyna oba brzmią dobrze. Ale to nie ja go zabiłem.

– A co z więźniem zabitym w Koronowie? Remigiusz Śnieg, ksywa Szary.

– Osadzonym – poprawił ją Brodzki. – Szary stał się... siny. – Berenice nie podobał się ten kpiarski ton. Leon kontynuował: – Słuchaj, wiadomo, co się dzieje ze skazanymi za taki paragraf. Nie brakuje takich, co by mu wsadzili brzeszczot pod żebro. Więcej punktów za pokemony masz tylko, jak zadźgasz klawisza. Chciałbym ci przypomnieć, że Śnieg brutalnie zgwałcił Hannę Krosny i miał współudział w porwaniu i zabójstwie. Podobno bronisz praw kobiet. Słyszałem o tej akcji z policjantami w stanikach... – Leon uśmiechnął się kpiarsko.

– Równie mocno, jak podważam metody stosowane przez takich jak ty. Mów.

– Przenosili go parę razy i jakoś mu to uszło. Po mojej wizycie w zakładzie ktoś zrobił, jak to mówią, „zatrzask”. – Barmanka postawiła przed nimi whisky z lodem i piwo z plastrem niedojrzałej cytryny zatkniętym w szyję butelki.

– Co to znaczy?

– Ktoś z fesy dał znać innym osadzonym, żeby przypomnieli na kwadracie, za co Szary siedzi. I bachnął się na lince.

– Jak to się stało?

– Abrakadabra. – Brodzki rozłożył ręce, jak swego razu mechanik Magik, który naprawił kiedyś samochód, wlewając mu paliwo do baku.

– Miałeś w tym swój udział? – Vesper nie odpuszczała.

– Sama jesteś zdania, żeby przypominać o zbrodniach, które popełniono.

– Może łysunek dla pani? – przerwał im chłopak z plikiem białych

kartek i ołówkiem w ręku.

– Rafał, spieprzaj mi stąd! – Leon opędził się od niego jak od natrętnej muchy. Toruńskiego „tysownika” znali wszyscy.

– Czemu jesteś taki opryskliwy?

– Bo znam to miasto. Przy okazji. Jak spotkasz faceta, który stawia ci słonika na stole i znika, nie bierz nic. Jak spotkasz cygankę, która chce ci powróżyć, nie bierz nic. Tak po prostu jest w Toruniu.

– A ja myślałam, że tylko policji nie można ufać.

– Słuchaj... Naprawdę, takie rozmowy w każdy inny dzień, tylko nie dziś. Za dużo śmierci. – Leon wyglądał na zafrapowanego i oparł brodę o dłoń, dotykając palcem wskazującym miejsca nad ustami.

– W momencie narodzin masz całą wiedzę na temat tego, co ci się przytrafi w życiu, wiesz? – Berenika zmieniła ton. Trzymała butelkę przy ustach, ale tak naprawdę nie pociągnęła ani jednego łyka. Alkohol, podobnie jak papierosy, jest jednak niezbędnym elementem wielu scenerii w teatrze codzienności. Vesper wskazała na jego usta. – Wiesz, jak to się nazywa?

– Dobrze pytanie.

– Rynienka podnosowa.

– A to w związku z? – Pociągnął łyk złocistego trunku. Przełknął. Syknął z ulgą, jakby whisky przepłukała brud minionego dnia.

– Zanim dostaniesz prawo do życia, anioł stróż przykłada ci palec do ust, mówiąc pst... Stąd wgłębienie nad ustami.

Leon zaśmiał się gorzko i tylko położył głowę na blacie, patrząc w drinka. Na palcach policjanta Berenika zauważyła krew.

– Szklanka do połowy pusta czy pełna? Do połowy pełna smakuje podobno spełnieniem.

– Ja znam tylko tę pustą do połowy. Ma osad na dnie i jest mętna.

– I gdzie jesteś w tym wszystkim, Brodzki?

– Jestem na tafli tej wody. Dokładnie pośrodku szklanki. – Wskazał na napój, po czym wzięty głęboki oddech i spojrzał dziennikarce w oczy. – Zatrąła się. Moja mama zatrąła się kwiatami.

– O mój Boże... – Berenika zeskoczyła z hokera i zakryła usta z przerażenia.

– Co z nim? Bo akurat na temat Kościoła mógłbym dziś coś niecoś powiedzieć...

– Wydaje mi się, że ktoś chciał mnie dzisiaj otruć.

– Wydaje ci się? – Brodzki lewą ręką trzymał szklanekę, prawą podrapał się po skroni.

– Kiedy się obudziłam, na stoliku przy łóżku leżało kilka bukietów kwiatów. Miały silny aromat, a że są trujące... prawie zemdląłam, było ich naprawdę dużo i na pewno sama sobie ich tam nie przysłałam.

– Co to były za kwiaty?

– Konwalie.

Brodzkiego zmroziło. Teraz i on zeskoczył ze stołka. Oboje stali pośrodku lokalu w napięciu. Patrząca na nich z daleka barmanka obserwowała to z żywym zainteresowaniem.

– O co chodzi, Leon?

– Mówiłaś komuś, gdzie śpisz?

– Tylko Benerowi.

– To pewnie on ci powiedział, że mnie tu znajdziesz.

– Tak. Nagrałam się też komendantowi Halickiemu.

– Coraz mniej wierzę w przypadki. Odprowadzę cię.

## 24

Recepcjonista hotelu „Pod Orłem” spał. Brodzki wszedł za ladę i kucnął przy ekranach monitoringu. Obraz na nich przeskakiwał co chwila, przewijając się jak zjechana kaseta VHS z komunii.

Przez kilka minut na nagraniu nic się nie działo. W końcu Brodzkiemu udało się przewinąć do godzin popołudniowych. Gdy Brodzki przewinął do godzin popołudniowych, cztery ekrany pokazywały pusty korytarz. Piąty po chwili zaczął śnieżyć.

– Chyba jednak nic tu nie znajdziemy – mruknęła Berenika.

– Czekaj. Co to było? – Leon przewinął podgląd w śnieżącym kwadracie. Tuż przed zniknięciem obrazu w prawym górnym rogu kadru pojawił się zarys postaci. Detektyw przyjrzał jej się teraz

uważnie. Jakość nagrania była kiepska, ale jeden szczegół dał się rozpoznać.

– Co jest?

– Buty... Chyba znaleźliśmy naszego kwiaciarza. Obawiam się jednak, że wyskoczył jak filip z konopi i tą samą drogą się ulotnił.

– Co teraz?

– Szczerze? Nie mam, kurwa, pojęcia. Ale na pewno tu nie zostaniesz.

## 25

Zasnął na kanapie z pistoletem pod poduszką. Z takim artefaktem pod głową powieki natychmiast zrobiły się ciężkie, jak z ołowiu.

Gdy dwadzieścia minut wcześniej wchodzili do hotelu „Filmar”, recepcjonistka spojrzała na nią podejrzliwie. „Podejrzliwość we wzroku kobiet i mężczyzn to zupełnie co innego” – myślała Berenika.

Obejrzeni serwis informacyjny, ale Brodzki nie odezwał się ani słowem. Przetwórnia mięsa, wypadek w Ostaszewie i strzelanina w kościele były głównymi tematami we wszystkich kanałach informacyjnych w Polsce. W pewnym sensie to nawet wyjątkowe – myślała. Detektyw, który jako jedyny mógł te wszystkie sprawy połączyć, spał trzy metry od niej.

Znów była w jednym pomieszczeniu z mężczyzną i znów był to policjant.

Patrzyła na jego twarz, wyobrażając sobie, że wchodzi do jego głowy jak do świata gry komputerowej i podróżuje po niej, zaglądając po kolei do każdego pomieszczenia. A potem stopniowo odkrywa, kim jest i co zrobił. Że przytępuje go na każdym kłamstwie, które czai się w tej głowie, bo tak naprawdę wszyscy kłamią. I Brodzki też.

Nigdy nie zdarzyło jej się w ten sposób badać materiału do swojego reportażu. Nigdy też nie była tak blisko osoby, o której pisze. Wiedziała tylko, że ludzi nie można trzymać blisko, bo wtedy się ich traci. Zwłaszcza, gdy nosi się ich pod sercem.

To dlatego patrzyła na Brodzkiego z zaciekawieniem. Potrafiła odróżnić fascynację od pożądania.

Otworzyła macbooka, próbując napisać kilka zdań na gorąco, ale utknęła na pierwszych słowach:

*Leon Brodzki sprawia wrażenie...*

Wyjęła ze swojej skórzanej torby nawilżane chusteczki dla dzieci i starła Leonowi krew z palców. Patrzyła chwilę na jego twarz, mimowolnie zbliżając się do niej.

Gdy usiadła potem na swoim łóżku, zauważyła, że sama miała teraz skórę ubrudzoną krwią. Patrzyła na nią długo, gdy za oknem szelfowe chmury przesuwały się z chrobotem po napiętym, ścieśnionym niebie, nie pozwalając zasnąć nikomu w mieście.

Jeszcze nigdy nie palono świąteł w tylu oknach co tej wrześniejszej nocy.



**14 WRZEŚNIA 2016**

## 1

### *Aktualizacja, 6:22*

PRZEMYSŁAW STROLSKI, pseudonim Laczu, został wczoraj zastrzelony przez nieznaną sprawców. Władze utrzymują, że mieszkaniec Chełmna był kluczowym świadkiem w toczącym się postępowaniu. Prokuratura nie zdradza szczegółów. Jak się jednak nieoficjalnie dowiedzieliśmy, kontrowersje budzi sposób postępowania policji. Po raz kolejny padło nazwisko detektywa Leona Brodzkiego. Oskarżony o zabójstwo aresztanta policjant został zwolniony z aresztu w ubiegłą niedzielę i włączony do zespołu rozpracowującego sprawę tajemniczych morderstw. Z niepotwierdzonych ustaleń wynika, że policjant usiłował odblokować telefon Przemysława Strolskiego, używając dłoni zmarłego – aparat chroniło zabezpieczenie poprzez odcisk palca. Mieszkańcy Chełmna, skąd Strolski pochodził, są zbulwersowani. Proboszcz parafii, na której terenie doszło do strzelaniny, zaprzecza jednak, by takie działanie miało miejsce. Jego zdaniem policja dołożyła wszelkich starań, by ochronić chełmnianina przed napastnikami.

Pozostałe informacje.

Już w piątek dojdzie w Toruniu do spotkania prezydenta miasta, marszałka województwa oraz ojca Tadeusza Majbacha. Wszystko z okazji pielgrzymki, która przybyła do katedry w Santiago de Compostela, w regionie Galicji, w północno-zachodniej Hiszpanii...  
*(źródło: PAP)*

## 2

Brodzki dopalał camela w hotelowym oknie. Dym gryzł go dzisiaj w gardło mocniej niż zwykle. A może to atmosfera w tym mieście była tak gęsta? Pstryknął filtrem w powietrze i usiadł na łóżku. Po

chwili z łazienki wyszła Berenika. Miała mokre włosy – wyprostowane sięgały jej do ramion.

– W hotelach na ogół pali się po seksie – zażartował Leon.

– Mam nadzieję, że nie czujesz się rozczarowany.

– Nie. Moja żona również nie. Jak się czujesz?

– Mam wysypkę na ręce od tych konwalii. Ale dziękuję, wszystko okej – odpowiedziała, nakładając ręcznik na głowę. – Takie zatrucie może być tragiczne w skutkach. Wodą z kwiatów, owocami, wszystkim... Powiesz wreszcie, co spotkało twoją mamę?

– Znowu zaczynasz?

– Czy nie dziwi cię, że twoi rodzice mają na nagrobkach tę samą datę śmierci?

– A ty skąd to wiesz?

– Twoja żona mi powiedziała... – skłamała, odwracając się plecami. Wiedziała, że Dagmara powiedziała tylko, by sprawdziła napis na płycie. Nie zdradziła jednak, co na nim jest. Brodzki oparł brodę na dłoniach.

– Pomyliła szklanki i wypła wodę z kwiatów.

– Dziwne.

– Wiem. Ojciec twierdził, że to przez roztargnienie. Była przez niego strzępkiem nerwów.

– Nie. Dziwne jest to, że we wrześniu miała w dzbanku konwalie. One wtedy nie kwitną.

Brodzki przyłożył palec do skroni i głęboko się nad czymś zamyślił.

– Ojciec mówił, że to była po prostu tragiczna pomyłka. Nie mógł sobie tego wybaczyć.

– Dlaczego?

– Bo te kwiaty były od niego. Jedne z niewielu, które dał mamie.

– Skąd on wziął konwalie we wrześniu?

– Nie wiem... – Brodzki podszedł do okna i zawiesił wzrok na horyzoncie. – Kochałem moją mamę. Nie mówiła dużo, ale zawsze czułem jej wsparcie. Zabawne, ale ona miała wtedy mniej lat, niż ja mam teraz, a mimo to myślę o niej jak o osobie zawsze starszej i mądrzejszej. – Po czym odwrócił się do dziewczyny i odpowiedział

chłodnym, nieprzyjemnym tonem: – Nie wszystkie tajemnice można rozwiązać za pstryknięciem palca.

„Mama – zastanawiał się Brodzki – czy myślałem o tej koincydencji? Tak, myślałem wielokrotnie. Czy jej śmierć była przypadkowa? Jak niby, do cholery, miałbym to sprawdzić? Gdybym w mojej robocie rozpamiętywał latami wszystkie szczegóły i wszystkie sprawy, które mógłbym załatwić inaczej, byłbym na emeryturze od czternastu lat, wypalony i wiecznie pijany z żalu do siebie. Czasem trzeba odpuścić, inaczej śledztwo zje gliniarza. Byłem gnojkiem, kiedy mama odeszła. Sąsiedzi mówili, że oszalała, że mówiła do siebie, że Franek nią manipulował. Czy tak było? Najgorsze jest to, że nie wiem. Kolejna z poszlak w moim śledztwie życia. Kim jesteśmy, kim jest nasza rodzina, co jej się przytrafiło. Czy to możliwe, że Franek miał wrogów, którzy odegrali się na jego rodzinie? Czemu na Salomei, a nie na mnie, na moim bracie?”

– Brodzki? – zaczęła Vesper. Stała gotowa do wyjścia. – Ktoś czeka na ciebie na dole, dzwonił z recepcji.

Detektyw zmarszczył brwi, jakby wracając z hipnotycznego transu, po czym wstał i podszedł do okna. Już trzeci raz tego poranka. Na parkingu stała vectra. O jej maskę opierał się Żółtko.

– Chodźmy. Poznasz człowieka, który zawodowo zajmuje się ratowaniem mi dupy.

### 3

Gdy zjechali na parter, recepcjonistka znów odprowadziła Berenikę wzrokiem. Dziennikarka uśmiechnęła się do niej i wyszła z hotelu.

– Tomek, Berenika, poznajcie się – zaczął Leon. – Dziennikarka. Ktoś próbował ją wczoraj otruć. Píše reportaż o Heraklicie. Mam się spotkać z Halickim. Może wreszcie powie coś, co nie jest kłamstwem.

– To się raczej nie wydarzy – mruknął Tomek, ściskając rękę dziewczyny. Leon spojrzał na niego pytająco i rzucił:

– Co ze starym?

– Na stanowisku komendanta trzeba mieć mocne serce. – Żółtko zawiesił głos. – A jego jest sine i nie bije przynajmniej od kilku godzin.

Brodzki zamrugał nerwowo.

– Co?

– Breloczek. Trwają oględziny, technicy zaraz będą zabezpieczać ślady. Powinieneś tam być.

Brodzki zagryzł wargi i z zamkniętymi oczami spytał:

– Skąd technicy?

– Bydgoszcz przysłała. Polecenie Mauera.

Berenika spojrzała pytająco na obu glińiarzy i podrapała się nerwowo po ręce. Gdy wsiadali do auta, nie zastanawiając się wiele, wskoczyła na tylne siedzenie.

– A ty myślisz, że dokąd pojedziesz? – spytał Brodzki. Był wzburzony, jego szyja była napięta, a usta zaciśnięte. Gdy zawibrował mu telefon, odrzucił połączenie. Dzwonił Magik.

– A ty myślisz, że jak oczyścisz się z zarzutów? – spytała dziewczyna. – Musisz mieć kogoś po swojej stronie.

– Skąd ta zmiana frontu? – Brodzki się odwrócił i spojrzał jej głęboko w oczy. Wzrok mimowolnie zjechał mu na jej pieprzyk na nosie. Dziewczyna założyła okulary przeciwsłoneczne i zapiąwszy pasy, odpowiedziała:

– Nie wierzę w przypadki. Jedźmy.

#### 4

Salon domu Halickich pogrążony był w smolistym mroku. Od ulicy dobiegały głosy mieszkańców wsi Łysomice, którzy – na wieść o śmierci sąsiada – zbiegli się natychmiast i obstawiali, czy pan Halicki zabił się przez stres, czy też były to „niezbadane wyroki boskie”, „łaska pańska, co na pstrym koniu jeździ”, „śmierć, co przyczyny szuka”, a nawet „deszcze niespokojne”. Tak, w Łysomicach o śmierci wiedzano wszystko.

– Seryjni samobójcy krążący po kraju – powiedział Brodzki na

widok Halickiego powieszono na lince pod sufitem.

Żółtko się przeżegnał i ukrył twarz w dłoniach. Wiele razy widział śmierć, ale trzecie zwłoki w ciągu doby to nawet dla tak dziarskiego sztubaka było za dużo.

– Ja pierdolę – powiedział do siebie. Dyndające na kablu ciało wybrzmiewało całą swoją postacią, było jak finalny akt szekspirowskiego dramatu. Z rozwichrzonymi kępkami włosów na łysiejącej głowie i tym charakterystycznym wąsikiem Gromosław Halicki wyglądał groteskowo i strasznie. Przydługi płaszcz ciągnął jego sylwetkę do dołu, tworząc obraz rozpaczliwie smutny.

Na ścianie za nim wisało poroże jelenia. Pod nogami wałało się przewrócone krzesło.

– Dziś miałem się z nim spotkać. – Brodzki kręcił z niedowierzaniem głową. „Co mam myśleć, jak oceniać Halickiego?” – kłębiło mu się w głowie. „Co mam myśleć, kiedy wisi przede mną ten kawał skóry i mięsa? Nienaturalnie nieruchomy, pusty, siny i odrażający? Gdzie jest człowiek, którego tak znieawidziłem? Czy wisi na tym kablu?”

– Co dokładnie ci powiedział? – spytał Tomek.

– Trząś dupą, ale brzmiał, jakby miał coś dla mnie. Teraz już się tego nie dowiemy. Gorzej niż pies... Gorzej niż Maks.

Berenika stała w drzwiach. Nie pozwolili jej wejść do środka, ale w zawieszonym w przedpokoju lustrze dobrze widziała odbicie salonu i wiszące pośrodku ciało. Brodzki i Żółtko wydawali się wstrząśnięci tą sytuacją.

W innych pomieszczeniach i przed domem również krzatali się technicy, ale najważniejszym z nich był człowiek z ubrudzonymi rękami – zwalisty, tysy mężczyzna o potężnych ramionach. Miał na szyi łańcuch z przyczepioną na kółeczku latarką diodową i telefonem caterpillar. Materiał spodni pod wydatnym brzuchem przytrzymywał zawiązany na supeł parciany pasek. Dwóch mężczyzn weszło teraz do pokoju z aluminiową drabiną i rozstawiło ją obok ciała. Na ziemi leżał już plastikowy worek. Technik podźwignął się i wszedł na najwyższy stopień. Mężczyźni złapali nogi denata, technik odciął kabel i ciało spoczęło po chwili w plastikowej trumnie. Rosły

policjant schował nóż do pokrowca przy pasku i podszedł do Brodzkiego.

– Cześć, Szpilman. Kopę lat – przywitał go Leon.

– Brodzki, zdecyduj się, po której stronie krat działasz.

Przywitali się jak z mechanikiem – Brodzki uściśnął mu nadgarstek. To samo zrobił Żółtko.

Szpilman miał ręce ubrudzone gipsem dentystycznym i dermatolem, w prawej trzymał krótkofalówkę.

Pseudonim dali mu kilka lat temu w Bydgoszczy. Wcześniej nazywali go po prostu Pianistą – była to ksywka nadawana w zapewne co drugim wydziale kryminalnym w kraju. Chodziło o palce i odfitki linii papilarnych. Ale Szpilman? Śledczy stwierdzili, że musi się jakoś wyróżniać. A skoro pośród techników był wirtuozem, padło na nazwisko znane z filmu Pianista Romana Polańskiego.

– Godzina zgonu? – Leon wciąż kręcił głową, jakby nie mogąc przeżuć złości i żalu.

– Sekcja powie nam więcej. Wiadomo, że plamy opadowe mogą się jeszcze pojawić, jak ktoś żyje, ale jest w stanie agonalnym i siada mu krążenie. Pełne rozwinięcie to dwie, trzy, cztery godziny, zależy od warunków. Obstawiałbym wczorajszy wieczór.

– A żona?

– Nie ma po niej śladu. Na podłodze w kuchni znaleźliśmy zbitą wazę z zupą. Żadnej krwi.

– A więc był to raczej jej ostatni posiłek – skonstatował detektyw.

– Odciski?

– Czyściutko.

– Zaraz. A krzesło? – Wskazał na przewrócony mebel. – Jeśli miałby się wieszac, musiałyby je złapać, przystawić, wejść na nie, a potem, po założeniu kabla na szyję, zsunąć się z niego.

– Może podsunął je nogą – zauważył Żółtko.

– Jasne. – Brodzki pokazał na worki pod oczami. – Jedzie mi tu radiowóz? – Po czym spojrzał na technika. – Ślady butów?

– Nic. – Szpilman był cierpliwy w udzielaniu odpowiedzi.

– Sprawdźcie pod oknami.  
– Czy nie zakładamy – wtrącił Żółtko – że komendant się powiesił?  
– Czy „się”, to się okaże. Zrobią badania toksykologiczne, zobaczymy.

– Dobra. No to nawet jeśli nie „się”... – Żółtko nie ustępował. – Skoro nie widać śladów walki, to znaczy, że zabójca znał ofiarę i wszedł od frontu, a potem napadł go z zaskoczenia.

Brodzki ze Szpilmanem spojrzeli na siebie i zaśmiali się gorzko.

– Jak ty mało jeszcze widziałeś – rzucił Leon. Za oknem zagrzmiało, zbierało się na deszcz. – Nie wiesz, do czego są zdolni czyściciele w tym kraju. Na razie, panowie, zakładamy, że mamy trupa. Sprawdźmy trawnik pod oknem i rolety.

Technik przekazał polecenie przez radio.

– Dlaczego? – spytał Tomek.

– Rolety są zaciągnięte, ale okno jest uchylone. Jeśli chcesz się zabić, zamykasz mieszkanie na cztery spusty, żeby nikt nie widział. – Tu zwrócił się do Szpilmana: – A kieszenie? Miał coś przy sobie? Telefon?

– Tylko papierosy – odparł technik i ruszył do tylnego wyjścia z domu.

– Jakie.

– Co „jakie”? – spytał technik.

– Papierosy. Pokaż.

Szpilman westchnął i ruszył z powrotem w kierunku Brodzkiego i Żółtki. Za oknem zagrzmiało.

Czarny proszek spływał mu z czoła, a jego pot roznosił się po całym domu. Praca technika nie była łatwa. Do wprawy dochodziło się latami, a metod ujawniania śladów uczył się od dekady. Półroczna szkoła w Szczytnie dała tylko podstawy. To praktyka czyniła mistrza, a mistrzem nie każdy miał szansę zostać. Wystarczyło zajrzeć do Automatycznego Systemu Identyfikacji Daktyloskopijnej, by zobaczyć, że nie było policjanta, którego odbitki linii papilarnych w niej nie figurują. Wszystko z powodu nieumiejętnego zdejmowania odcisków. Większość początkujących nieopatrznie



zostawiała swoje własne ślady. A jeśli nie, to z kolei nieopatrznie niszczyli te, które odkryli. Mieszając jasny proszek z ciemnym albo rozmazując ślad, nieumiejętnie go oczyszczając pędzlem z pióra marabuta. Lata praktyki pozwalały osiągnąć precyzję porównywalną z umiejętnościami chirurga, ale nie wszystkim dane było dojść do perfekcji. Szpilman był najlepszy, ale nigdy tak o sobie nie myślał. Zawsze miał z tyłu głowy, że warto sprawdzić dwa razy, zmienić sposób, spojrzeć pod innym kątem. Zwłaszcza, gdy oddelegowano go na nowy teren, a zwłoki, które ujawniono, należały do komendanta tutejszej policji.

Gdy pokazał Leonowi zabezpieczony w plastikowej torebce dowód, detektyw spojrzał na niego pytająco.

– No co? – Szpilman zamrugał jak leniwiec.

– Zdejmowaliście już z niej odfitki?

– Jeszcze nie. Ale na moje oko to szlugi ze Składu Celnego. Nie ma akcyzy. Niewiele osób ma do nich dostęp.

– Dobrze kombinujesz... – Brodzkiemu mignęła przed oczami scena z niedzieli. Gdy wychodził z aresztu, nie zwrócono mu kilku przedmiotów z depozytu. W tym i papierosów. Nowej paczki, z której zadysponowano mu do celi dwa papierosy. – Ile jest fajek w paczce?

– Co ty pieprzysz, Brodzki? Nie dam ci zajarać, to materiał dowodowy.

– Szpilman, czy w paczce brakuje dwóch szlugów?

Technik przewrócił oczami, a potem spojrzał na torebkę pod światło. Obracał ją chwilę w ręce, w końcu otworzył i przesunął opakowanie ku brzegowi folii. A potem przeniósł wzrok na Brodzkiego.

– Skąd wiedziałeś?

– Bo to moje fajki. I jedna taka paczka niedawno mi zginęła. – Brodzkiemu znów zawibrował telefon, ponownie odrzucił połączenie.

– Sprawdzimy, zobaczymy – odparł Szpilman, ale Leon nie odpuszczał.

– Mówię tylko, że podobną paczkę oddawałem do depozytu w areszcie. Miej to na uwadze, jak będziesz się przyglądać temu pod lupą.

Szpilman wiedział, co Brodzki sugeruje. I obaj zdawali sobie sprawę, że z tą sugestią technik i tak nic zrobić nie może. Robota jest robotą, a ślady śladami.

– Nie wierzę w przypadki, Szpilman.

– A ja nie wierzę w dedukcję w stylu Sherlocka Holmesa. Wyślę do laboratorium, to się dowiem. – I skinął policjantowi. Wszystkiemu z oddali przyglądała się Berenika.

– Mamy ślad – zaszumiało mu w krótkofalówce. Szpilman złapał za urządzenie i wcisnął przycisk palcem wskazującym:

– Czyli jednak można? Dobrze, że zdążyliście przed deszczem – rzekł spokojnie.

Do salonu wszedł drugi z techników. Niższy, o drobnych rękach i nierównych zębach, z twarzy podobny do młodego Ringo Starra.

– Zabezpieczyliśmy – rzekł z dumą i wskazał na przytuszczony w kartonie odlew podeszwy zrobiony z gipsu dentystycznego. – Odcisk wskazuje na duże wgłębienie w ziemi zrobione przez wojskowy but.

– Ktoś zeskoczył z okna – dodał Leon. – Na moje oko osiemdziesiąt kilogramów wagi, rozmiar czterdzieści trzy.

– Dobra robota – zauważył Żółtko.

– Niekoniecznie. – Szpilman wziął do ręki karton z odlewem i wyjął gipsowy odcisk podeszwy. – Wiedziałem, że wszystko trzeba robić samemu, cholera. Patrz, młody. – Tu wskazał na odlew. – To jest pęknięte. Żaden sąd nie uzna takiego dowodu.

– Ale jak się złączy?

– ...to obrona powie, że to są dwa różne buty. I sąd będzie musiał się z tym zgodzić. Kiedyś w Lublinie miała być baza odlewów podeszew, ale zrezygnowali. Prawdę mówiąc, nie dziwię się – rzekł, oddając młodemu nieprzydatne artefakty.

– Zrobimy drugi. – Młody technik próbował ratować sytuację.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, ale za oknem leje. Teraz to sobie

zrobisz najwyżej odlew u ortodonty.

– Mimo to chyba możemy założyć, kim był zabójca. O ile jakiś zabójca w ogóle się tu pojawił – wtrąciła się Berenika.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Leon podszedł do niej i przemówił po ojcowsku:

– Panno Agatho Christie, damy znać, jak tylko powóz nadjedzie. A teraz pozwól, ale...

– Widziałam wczoraj komendanta Halickiego w ratuszu. Wyszedł w trakcie konferencji. Poszłam za nim...

– Bereniko, za dużo filmów.

– Jeszcze nie skończyłam. Poszłam za nim i zobaczyłam, jak rozmawiał z pewnym mężczyzną. Miał na nogach skórzane wojskowe buty.

Spojrzenia techników i Żółtki ponownie się spotkały.

– Świetnie. W takim razie sprawa rozwiązana – drwił Brodzki. – Naprawdę sądzisz, że to takie proste? Że jeden facet nosi wojskowe buty? Może miał jeszcze drewnianą nogę i tatuaż Zakonu Iluminatów?

– Nie – odparła krótko.

– No więc właśnie!

– Miał za to poparzoną twarz.

– Co? – Brodzki spojrział na nią przenikliwie. – I dopiero teraz mi o tym mówisz?

– Nie sądziłam, że to istotne. W końcu nie ja tu jestem detektywem, hm? – rzekła z dumą, ale bez triumfującej pozy.

Brodzki podszedł do leżącego pośrodku salonu plastikowego worka i klęknął nad nim.

– Był z ciebie kawał skurwysyna. Ale miałeś dobre momenty. – Po czym nachylił się bliżej ciała Halickiego.

Żółtko stał za nim. Przetarł okulary, udając, że się ubrudził. W rzeczywistości zaparowały mu od łez. Nie był naiwniakiem i doskonale zdawał sobie sprawę, że Halicki był w tej opowieści czarnym charakterem, ale miał jedną cechę wpojoną w rodzinnym domu przez dziadków: nie potrafił nienawidzić. Wzruszyło go, że

Brodzki, który pałał nienawiścią do Halickiego, teraz niespodziewanie nachylił się nad nim i go objął. Równie mocno zdziwiona była Berenika

– Mam nadzieję, że urzędzą mu normalny pogrzeb. – Brodzki zasunął worek i wstał. – Z salwą honorową. Chociaż raczej się nie wybiorę. Po czym wyszedł pospiesznie.

## 5

Człowiek o poparzonej twarzy szedł właśnie korytarzem czwartego piętra Oddziału Klinicznego Chirurgii Szcękowo-Twarzowej szpitala wojewódzkiego na toruńskich Bielanych. Jak już wspomniano, ta usytuowana pośród drzew placówka miała zapewniać spokój rekonwalescentom i ciszę tym, którzy tkwili gdzieś pomiędzy życiem i śmiercią, jakby na lustrze akwenu rozdzielającym te dwie krainy.

– A pan dokąd? – spytała pielęgniarka o szpotawych nogach. Miała siwe odrosty i nierówny zgryz. – Do pana mówię!

Mężczyzna w białym kitlu nie reagował na jej słowa, idąc swobodnie korytarzem czwartego piętra jak ktoś, kto tu pracuje. Kobieta jednak nie odpuszczała. Nie pracowała tu od dziś i z daleka potrafiła rozpoznać pacjenta, lekarza i gościa. – Halo, proszę pana! Proszę w tej chwili się zatrzymać! – krzyczała. – Arek, Grzesiek, zatrzymajcie tego człowieka.

Dopiero na odgłos ciężkich kroków pielęgniarzy, przystanął – tuż przed przeszklonymi drzwiami sali numer trzy.

Sanitariusze przewyższali o głowę mężczyznę w wojskowych butach. Ten sprężył się w środku, sięgając dłonią do kieszeni, w której miał ukryty pistolet. Otwieranie ognia w takim miejscu było dużo bardziej ryzykowne niż wczoraj, w kościele. Nie miał twarzy zasłoniętej kominiarką, dookoła kręcili się cywile, obsługa. Powinien był przyjść w godzinach popołudniowych, gdy personel szpitala jest skromniejszy. Wtedy by spokojnie kropnął Nowaka. Policjant by nawet nie jęknął. „Szkolny błąd” – pomyślał Bużka.

Kiedy w końcu się do nich odwrócił, salowa wybałuszyła oczy.

– Matko kochana. Kto pana wypuścił z sali? Czy na kwalifikację do zabiegu? – Podeszła bliżej, by przyjrzeć się bliznom. – Nie no, goi się, dzidzia. Pan pójdzie z nami, „na kontrol”. Spokojnie, wyleczymy pana, pan nie mówi, ale proszę się nie bać. W tym szpitalu nikomu nie dajemy zrobić krzywdy.

„I bardzo, kurwa, szkoda” – pomyślał. Wykonanie wyroku na policjancie, który widział Elfa, musiał odłożyć na dogodniejszy moment.

Kiedy odeszli, pacjent leżący na łóżku pod oknem się poruszył.

## 6

Mauer miał gorącą linię z Warszawą. Siedział w gabinecie Halickiego, a niezastonięte do końca żaluzje zdradzały, że pierwszy raz od przyjazdu do tego wesołego miasteczka puszczają mu nerwy. Zdjął marynarkę, poluzował guzik pod szyją. To oparł się o biurko, to o krzesło. Jego ciało zdradzało, że prokurator ma zagwozdkę. Jeśli można nią nazwać faceta dyndającego pod sufitem na kablu.

Na komendzie policjanci czuli się, jakby ktoś im rano powyjmował kości. Sawik z Malborasem rozmawiali po cichu albo wcale, ich usta poruszały się bezgłośnie. Na ich biurkach piętrzyły się pozostawione w pośpiechu papiery, a pomiędzy biurkami walały się niedosunięte krzesła. Miedziak, Bednarz i Rygolewski palili w parku maszyn z Dżonym. Dziś szlabanu nie podniesiono ani razu.

Brodzki i Żółtko zdawali sobie sprawę, że bieg wydarzeń dotarł do miejsca, z którego nie ma wyjścia. To dlatego siedzieli teraz naprzeciwko siebie w milczeniu. W komisariacie pachniało papierosami i kwaśną kawą, delikatne smugi dymu przelatywały przez pomieszczenie napędzane szumiącymi pod sufitem wiatrakami. Telewizor przekazywał bezgłośnie informacje, które tutaj, na komisariacie Toruń-Śródmieście, znano z pierwszej ręki: komendant Halicki był martwy.

„Być może czasem się zdarza – myślał Brodzki – że jakieś śledztwa idą sprawnie, od punktu do punktu, które, odpowiednio połączone,

w końcu układają się w spójny obraz. Ale ja wcale nie jestem pewien – skonstatował w myślach – czy to, co udało nam się ustalić przez ostatnie dni, w jakikolwiek sposób przybliży nas do rozwiązania”.

– Mamy kilka poszlak, a jeszcze więcej zagadek – bąknął w końcu Leon. Ślęczał nad papierami zdobytymi przez Żółtkę od Hanny Waliniak. – Wydarzenia z lat 1984 i 1985 to Młotkarz. Pierwszy na miejscu – Franek Brodzki. Słowa Lacza o tym, jakoby Elf miał znać zamordowane dziewczyny. Samochód z miejsca zbrodni: opel astra, który nie istnieje. Trzy lata później mamy zabójstwo Hanny Krosny dokonane przez Szabańskiego i Śniega, którzy być może należeli do półświatka przestępczego. A dlaczego Dziewczynę w Czerwonym Płaszczu powiesili właśnie na Garbatym Mostku?

– Mnie się pytasz? – Żółtko sięgnął po dziurkacz, który stał na parapecie chyba od czasów Hanny Suchockiej. – To ty rozwiązywałeś tę sprawę. Chciałbym ci przypomnieć, że to od niej zaczęła się twoja kariera.

– A teraz, kiedy miałem karierę kończyć, powraca jak bumerang! – Brodzki podkreślił ostatnie słowo, nawiązując do nazwy baru, nieopodal którego roztrzaskał się Laczu z niedoszlą, przyszlą, martwą żoną.

– Zastanawiam się, dlaczego Garbaty Mostek. Jak przenieśli tam ciało?

– Wiesz, jak to było wtedy z dowodami. Mój ojciec wpisał w raporcie znalezienie obcinacza do cygar, którym pozbawiono dziewczynę palca. Ja znalazłem w tunelu koło mostka jakieś jej świstki i coś z tego sąd sobie utkał. Pamiętam, jak mi mówił, że muszą ich posadzić, póki sprawa jest świeża, bo inaczej się wykpią. I miał nosa. Szabański zawisł, a niedługo potem karę śmierci znieśli i Śnieg poszedł do celi.

– Myślisz, że Elf maczał w tym palce?

– Wiem tylko, że dzieci Szabańskiego, te dwa małe gnojki, Daniel i Kosma, pracowały potem dla Elfa i toruńskiej mafii. Widziałem zdjęcie, które wykopał Maks.

– Szkoda mi Maksa.

– I dowodów, które zniknęły razem z nim.

– Idźmy dalej. – Żółtko otworzył dziurkacz, by sprawdzić czy jest w nim konfetti. – Po latach obaj zaczynają się mścić. Zaczyna się pranie brudów i rzucanie oskarżeń. Mordują Laurę Mostowicz, ja znajduję dzieciaka. Powtórka z rozrywki.

– Dlaczego, kurwa, piszą, że „Brodzki jest winny”? Wciąż tego nie rozumiem.

– Kto mógł zabić Kosmę w celi? – Żółtko znalazł w dziurkaczu to, czego szukał. Resztki papieru zapychały mechanizm.

– Szczerze? Ktoś, kto miał coś wspólnego z tymi wszystkimi zabójstwami. Ktoś, kto od początku pociągał za sznurki.

– Wiesz, że ocieramy się o teorię spiskową? To szaleństwo! – Żółtko nie odrywał wzroku od dziurkacza, który wyjątkowo go teraz interesował. – Szaleństwo, słyszysz?

– Wiem, że czegoś musimy się chwycić.

– Owszem, Leon, ale to wszystko jest grubymi nićmi szyte. Czy to naprawdę możliwe, żeby policja nie wiedziała o tych sprawach?

– A kto powiedział, że nie wiedziała? O to w tym właśnie chodzi. Policja wiedziała. Milicja też. Zawsze wiedzieli. Mój stary... – Ale nie dokończył zdania. Po chwili zaczął od innej strony: – No i Halicki. Z kim on trzymał, że go teraz powiesili jak psa?

– Nie mogę tego zrozumieć. – Żółtko rzucił dziurkaczem o blat. Zdaje się, że próbował za pomocą sprzętu biurowego odgonić myśli o wydarzeniach z poranka, ale dziurkacz nie był dobrym remedium na śmierć.

– Ja również. Wiem tylko, że coś wiedział. I że jakaś jego część chciała, żebyśmy sprawę rozwiązali.

– Skąd ta pewność?

– Inaczej nie zaginęłaby jego żona. Myślę, że go szantażowali. – Leonowi stanęła przed oczami scena sprzed blisko trzydziestu lat. Komisariat na Rubinkowie, wieczór. Dostaje wezwanie przez radio od Gromka. Przyjeżdża na parking przy ulicy Dziewulskiego. A w radiowozie siedzi Halicki z jakąś dziewczyną. Okazuje się, że się zatrzasnęli. Brodzki nie certoli się długo i po prostu wybija szybę.

Halicki jest wściekły, bo sądził, że Brodzki otworzy zamek, a nie że będzie niszczyć wóz. Ale Brodzki był pijany, więc rąbnął kamieniem i po sprawie. Obaj są młodzi, nie mają jeszcze trzydziestki na karku. Z poloneza tymczasem wysiada ładna kobieta, Zosia. Wkrótce wychodzi za Gromka i zostaje panią Halicką. A kilka lat później komendantową. – Żony gliniarzy zawsze najbardziej dostają po dupie.

Żółtko nic już nie mówił. Miał swoje zdanie na ten temat, ale wolał go nie eksplikować. Przede wszystkim dlatego, że dziewczyna, z którą wiązał przyszłość, była córką Brodzkiego.

Leon podszedł do okna z uchylonym lufcikiem i przejechał palcem po przykurzonym liściu paproci. „Jak to jest możliwe – myślał – że najokrutniejsi dyktatorzy i najstarsze ogniwa funkcjonują w patologicznej symbiozie? Tak, Halicki był patolem. Tym gościem na stołku, co rozpierała ludziom dzień i niszczy kogoś, jeśli chce, a potem wraca do domu i je z żonką obiad. Takich ludzi pełno było i pełno jest w firmach, w rodzinach, nawet w służbach mundurowych. Tak było u mnie w domu. Te ciche kolacje i ciche popołudnia. Te niezadane pytania i niewypowiedziane lęki. Tak też było w Śródmieściu. Halicki uchodził za szefa twardego, ale był niekompetentny. To ma sens – głupotę przykrywasz betonem. Potrafił być cwany, kiedy robił sobie górkę i cedował obowiązki na kogo trzeba, ale w odpowiednich momentach – jak przy prokuratorze Mauerze – poruszał się jak bezbronne dziecko. W jego głupocie był jakiś ukryty system.

W ostatnich dniach spuścił na mnie psy, ale wcześniej zawsze rozciągał parasol ochronny.

Miał swój powód.

Byłem najskuteczniejszym gliniarzem w ostatnich dwudziestu latach. Nie mnie oceniać, czemu. Bo ojciec nauczył mnie zasad? Bo miałem w nim posągowy wzór, który czasem do mnie przemawiał ludzkim głosem? Zacząłem od złapania Szabańskiego, a potem... A potem po prostu miałem szczęście. Robiłem wyniki bez pompy i spiny. Piętnaście czy dziesięć lat temu wszyscy byli szczęśliwi: nie



nagrywano policyjnych interwencji, nie było milionów grup dyskusyjnych na Facebooku. Mogłem działać, jak chciałem. Miałem swoje metody. Grunt to być blisko ulicy i wiedzieć, z kim rozmawiać. To jest aż tak proste. No dobrze, czasem nie jest prosto. Choćby ta sprawa z kibicem. Tak, postrzeliłem chłopaka, Maćka. Rzucił się z nożem na innego niebieskiego, gumowa kula trafiła go w oko. I chłopak się zawinął. Podobno to Franek go sprowokował. Tak, braliśmy udział w akcjach razem z ojcem. Kibicowska brać Elany Toruń nie mogła wybaczyć policji, ale efekt był taki, że więcej przypałów długo potem nie było. Kara spotkała przedstawiciela pewnej społeczności i to z tą społecznością się skonfrontowaliśmy. Krótka piłka. Potem Halicki mnie obronił i sprawa ucichła. Szkoda mi chłopaka, ale niepotrzebnie podnosił rękę na funkcjonariusza z orzełkiem na czapce. Tak się po prostu, kurwa, nie robi. Nie żebym celował w jego twarz. Chciałem go tylko uziemić. Ale wyszło, jak wyszło...

Gdyby zdarzyło się to dziś? Nagranie i drastyczne zdjęcia leciałyby na każdej komórce. Wyrwany z kontekstu filmik przedstawiałby tylko moment postrzału, a być może wmontowano by jeszcze mnie stojącego w triumfującej pozie, kadr wycięty z innego dnia i innej sytuacji. W efekcie jeszcze więcej osób miałyby swoje, krytyczne oczywiście, zdanie, a policjanci znaleźliby się pod jeszcze większym ostrzałem – już nie tylko kibiców, ale mediów, liberałów, helsińskiej fundacji i kogo tylko, kurwa, dupa śwędzi. Nie rozumieliby, że ten jeden chłopak zapłacił cenę za wszystkie występki kiboli. I przez jego śmierć inni przystopowali. Nie napadali przez jakiś czas ludzi, nie podpalali samochodów, a przede wszystkim – nie podnosili ręki na przedstawiciela prawa. Ta jego śmierć to był przypadek. Jedna z setek akcji, kiedy kibole rzucali się na nas z nożami i całym ekwipunkiem. Gdyby ktoś zobaczył, co oni wożą w bagażnikach na mecze, nie uwierzyłby. Ale tamtych starć nikt nie uwiecznił na filmach. A ponieważ wiem, jak jest, czasem postanawiam być mniejszym złem wobec większego zła.

Co nie znaczy, że zabiłem faceta w celi.

Kiedy doszło do tego zabójstwa, nagranie z człowiekiem przypominającym mnie z wyglądu obiegało całą Polskę i serwis YouTube. I wtedy Halicki się do mnie przypierdolił. Czy chodziło mu tylko o oczyszczenie wizerunku policji i spokój, bo chciał iść na stołek komendanta wojewódzkiego? Jaką rolę odgrywał w tym prokurator Giżycki, którego sprzątnęło ABW i którego zastąpił przysłany Mauer? Kto kropnął Maksa i za co? Co archiwista odkrył? I wreszcie dlaczego Halicki zawisł we własnym mieszkaniu?

Cóż – myślał Brodzki – dzisiaj ciągle jeszcze, niestety, kurwa, ale ciągle w społeczeństwie polskim jest takie przekonanie, że system, instytucje, że tak zwana Polska to cholerny aparat ucisku. Albo zacisku – pasa. Ot, spadek po poprzednim ustroju, w którym przez zepsucie i piramidy dyrektorów, zastępców, szefów i innych moczymord ludzie funkcjonowali w systemie zależności i poddaństwa. Milicja zamykała za byle co. ZOMO pałowało za mówienie prawdy. Poczta rozpierała paczki albo kradła ich zawartość. Państwo było marionetką na rosyjskich sznurkach. I dlatego dzisiaj, mimo upadku komunizmu, wejścia do Unii Europejskiej, rozwoju demokracji, znaczna część społeczeństwa wciąż nie wierzy w dobre pobudki i misję ludzi związanych z instytucjami państwa. Orzełek, którego niektórzy z nich noszą na mundurach, jest gównem wart. Na przykład wojsko – armia wyprzedaje zawartość magazynów i potem w takich mundurach rolnicy chodzą gnój wyrzucać. Rzecz w Ameryce nie do pomyślenia. I kiedy jestem na interwencji, to dostaję rykoszetem za pijanego listonosza albo referenta z wydziału pieczętek, który rok odpowiada na pismo.

Dlaczego wartości się tak zdewaluowały? Czyżby nie nauczono ludzi, że warto wierzyć? Może dlatego kradziono węgiel, podawano pacjentom pavulon, do chleba dodawano sól drogową, a w restauracjach podawano puszkowane szwedzkie mięso z lat osiemdziesiątych. Jak mawiano, prowizorka ma tę zaletę, że długo wytrzyma. Jak się okazuje, w demokracji również. I tak się porobiło, że w wartości nie wierzyli ludzie, nie wierzyła policja.

Ludzie tacy jak Gromosław Halicki też nie wierzyli... Dziś wrzucili nas do jednego worka, a z drugiej strony to on teraz leży w worku. I nikt nad nim nie zapłacie”.

Mauer wyszedł teraz z gabinetu i przepłynął bezgłośnie przez piętro, wzbijając w powietrze kartki papieru. Nie odezwał się ani nie spojrzął na policjantów i zniknął w pionie klatki schodowej.

Brodzki odchylił się na krzesło i upewniwszy się, że prokurator faktycznie wyszedł, wstał i zdecydowanym krokiem ruszył do biura, które do wczoraj zajmował Halicki.

– A ty dokąd idziesz? – spytał Żótko.

– Do przeszłości.

Zasunął rolety i zamknął za sobą drzwi. Podeszedł do okna – Mauer przechodził przez park maszyn.

– No dobrze – rzekł do siebie – pora sprawdzić, co chciałeś ukryć przed światem, komendancie.

Brodzki zaczął wertować szuflady jedna po drugiej.

Było to przedwojenne biurko w stylu art déco. Jego politura dawno zmatowiała, a na rantach widać było wiele obić i zadrapań. Leon obejrzał uważnie mebel, wydawało mu się, że gdzieś tu była jeszcze jedna szuflada, z której komendant rzadko jednak korzystał. Odsunął krzesło i spojrzął uważnie pod blat. Istotnie, kawał sosnowego drewna wskazywał, że w środku jest jakaś przestrzeń.

– Dokładnie tu – mruknął i podważył skobel koło metalowego zdobienia. Zasuwa rygla odskoczyła, odsłaniając otwór zamka.

Detektyw wyjął klucz z dolnej szuflady, wsadził i przekręcił.

Wysunięta szuflada już na pierwszy rzut oka wydawała się płytka. Zbyt płytka. Policjant wymacał dno, a potem przejechał po wewnętrznych ściankach szuflady. Przy tylnej ściance znalazł skobel. Zapadka odskoczyła, Brodzki wyciągnął cienką deskę i jego oczom ukazała się prawdziwa zawartość tajemniczej szuflady.

Zasadniczo była pusta. Sterylnie czysta, nieużywana i o innym odcieniu drewna, co wskazywało, że zaślepka z drugim dnem była tu od dawna, a być może od nowości.

Tak, szuflada była zasadniczo pusta, poza jednym drobnym

przedmiotem spoczywającym dokładnie pośrodku. Była to koperta z napisem „BRODZKI”.

Wyjął ją pewnym ruchem, ułożył zawartość szuflady zgodnie z zastanym porządkiem, zamknął ją, schował klucz.

– Ty szczwany lisie... – powiedział do siebie profetycznym tonem. – Wiedziałem, że pękasz i chcesz coś powiedzieć. Nie od razu otworzył kopertę. Zastrzeżenie do niej mogłoby się wydawać oczywiste w kontekście gromadzenia materiału dowodowego i logiki śledztwa. Logika śledztwa nie uwzględnia jednak emocji, a te – w kluczowym momentach – mają niekiedy większą moc sprawczą niż niezastąpiony umysł ludzki.

Leon w ciągu ostatnich dwóch tygodni wielokrotnie znajdował tropy i wskazówki. Widział swoje nazwisko na ciele ofiary. Widział swój nekrolog w gazecie. Widział martwych wrogów i martwych przyjaciół. Ten wrzesień, niepodobny do żadnego innego września z dotychczasowego życia, był biegiem przez ogród wiedzy i żmijowiska. Żaden policjant nie jest przygotowany na spotkanie ze żniwem śmierci. Myśli, że jest, ale to nieprawda.

Brodzki stanął w otwartych drzwiach gabinetu.

– Co? – spytał Tomek, na co Leon wyciągnął w jego stronę szarą kopertę z widocznym napisem. Żółtko poderwał się z krzesła. – Co tym razem?

– Zaraz się przekonamy.

Tomek jednym ruchem zgarnął papiery ze stołu. Brodzki położył znalezisko na blacie, sięgnął po nożyczki, wysunął jedno ostrze i pewnym ruchem przeciął kopertę.

– Gotowy? – Na słowa Leona aspirant skinął, włączył biurkową lampę i skierował strumień światła prosto w szary prostokąt.

Brodzki wsadził dwa palce do koperty. „Zdjęcie” – pomyślał, po czym wysunął fotografię wykonaną na papierze fotograficznym oraz dołączoną kartkę. Pozostawiono na niej odręczny napis:

*Zakładam, że jeśli ktoś to czyta, możesz to być tylko ty, Leon. Bo ty jeden masz dość odwagi, by rzucić wyzwanie systemowi i spróbować*

*wyjść z matni. Skoro to czytasz – znaczy, że nie żyję. Piszę to w powtórnym strachu o życie Zosi. Są pewni ludzie, którzy nie cofną się przed niczym, by zniszczyć to miasto. Zabójcę znajdziesz na odwrocie fotografii. Czy patrzysz uważnie? To twoja ostatnia wielka zagadka. Wiem, że jeśli ją rozwiążesz, to spotkamy się po tamtej stronie, bo nie cofniesz się przed niczym. Nie wiem, czy zabiłeś człowieka w celi. A czy ty uwierzysz w moją samobójczą śmierć? Przyjaciel, G.*

Obaj przeczytali list bezgłośnie. Potem Leon zdjął spinacz z kartą i spojrzał na zdjęcie.

Była to fotografia podobna do tej, którą już widział kilka dni temu. Wykonano ją w „Słonecznej” – restauracji, w której przesiadywali niebiescy. Widać na niej był okafelkowaną szatnię, bufet i dużą salę taneczną.

Przedstawiała kolejno: Franciszka Brodzkiego, prokuratora Giżyckiego oraz dwóch małych, podobnych do siebie chłopaków, Kosmę i Daniela. Obok nich, z prawej strony siedział mężczyzna w kapeluszu. Jego twarz nie była dobrze widoczna.

– Mikołaj Ruciński – rzekł chłodno Brodzki. – Największa menda w historii tego miasta. W latach siedemdziesiątych otrzymał pseudonim: Elf. Prezenty rozdawał jednak głównie sobie i współpracownikom. Akta wyczyszczono, nikt nie wie, jak wyglądał.

Po lewej, obok Franka Brodzkiego, zdjęcie było zagięte. Było w tym miejscu rozerwane, ale ktoś skleił je przezroczystą taśmą.

Leon odgiął ukryty fragment.

Z boku siedziało trzech mężczyzn. Twarze dwóch z nich Brodzki znał jak własne odbicie.

– Młody Przemysław Strolski z charakterystycznym złotym łańcuchem na szyi. Pseudonim Laczu – oznajmił Leon. Tomek skinął głową. Brodzki przejechał palcem po sklejeniu. – Obok Halicki. Jeszcze z włosami na głowie.

– A więc jednak... – Żółtko nie mógł uwierzyć, że losy wszystkich tych ludzi w przeszłości tak mocno się splatały. – Halicki i Brodzki

znali się od lat, to mnie nie dziwi. Nie dziwi mnie też obecność Giżyckiego.

– Którego dziś magluje ABW. Pytanie, czy macki mafiosów sięgają do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego – zauważył Brodzki. Był wyraźnie przybity.

– Kosma i Daniel? A więc mieli skąd czerpać wzory, zanim wkroczyli na przestępczą ścieżkę. Strołski, czyli Lacz, i Elf-Ruciński byli u sterów.

– I wszyscy kisili się w jednym piernikowym sosie. Po prostu nie mogę w to, kurwa, uwierzyć. – Brodzki zagryzał usta, jakby przeuwając niemoc wobec brutalnej historii.

– Czy to nie to zdjęcie wygrzebał Maks w archiwum?

– Chyba tak.

– Dlatego zginął. Szukali dowodu, który ukrył Halicki. Czyli Maks idzie na jego konto. – Żółtko kręcił z niedowierzaniem głową. – A kim jest ten ostatni gość, obok Halickiego?

– Ten gość, to... – Leon przyjrzał się fotografii uważnie. – Daj mi lupę.

Aspirant pogrzebał w biurku. W końcu wyciągnął porysowaną tanią lupę. Pożyczył ją starszym, niedowidzącym petentom, kiedy nie mogli odczytać dokumentów. Brodzki przytknął szkło, przybliżył i oddalił kilka razy, jakby kalibrując twarz, która ukazała mu się w soczewce.

Żółtko znał Brodzkiego od dwóch tygodni, ale pierwszy raz zobaczył u detektywa tak wielkie oczy. Detektyw po prostu runął na fotel, a lupa wypadła mu z dłoni i roztrzaskała się na ziemi. Patrzył teraz gdzieś w bok, jakby przenikał wzrokiem ściany komisariatu, a myślami błędził daleko w czasie i przestrzeni.

– Brodzki? – Żółtko pstryknął mu przed twarzą, ale detektyw nie reagował.

Siedział tak dobrą minutę, jakby próbując zrozumieć coś, czego nie jest w stanie pojąć nawet jego drobiazgowy umysł.

– Leon? – powtórzył aspirant.

– Musisz znaleźć adres człowieka, który z soboty na niedzielę trafił

do mojej celi przejściowej – rzekł chłodno.

– Czemu? Kim on jest? – Tomek rozłożył ręce w oczekiwaniu na odpowiedź

– Jest naszą wtyczką. – I wskazał na ostatniego bohatera fotografii.

– To człowiek Elfa. Wsadzili mi skurwysyna do celi. Ja pierdołę, wszyscy są w to umoczeni. – Po czym wstał i krzyknął: – Czy w Toruniu jest jeszcze ktoś, kto nie siedzi w tym gównie po uszy?! – Usiadł i wałnął pięścią w stół. – Dlaczego mnie nie zabił?! Miał czym! Miał jak!

– Leon, spokojnie, może...

– Nie, kurwa! Właśnie nie „spokojnie”! – Brodzki stracił nad sobą kontrolę. Znow wstał, zrzucając gwałtownym ruchem z biurka wszystkie dokumenty. – Oni chcą mnie wykończyć. Wykoszerować jak Laurę. Upuścić ze mnie życie. Najpierw mój ojciec, potem moja córka, a na końcu ja! Kurwa mać!

– Jak się nie uspokoisz, to tak się właśnie stanie! – ryknął Żółtko. – Na to właśnie czekają. Żebyś przestał racjonalnie myśleć i popełnił głupi błąd! – grzmiał, idąc w stronę detektywa, po czym zdobył się na coś, o co samego siebie by nie posądzał. Złapał detektywa za ubranie i nim potrząsnął. – Nie mamy miejsca na żadne błędy! Musimy ich udupić i zapuszkować! Słyszysz, Brodzki?!

– Znajdź adres tego człowieka – powiedział już nieco spokojniejszym głosem.

– A ty?

– A ja się dowiem, jak trafił do mojej celi. Ktoś musiał go tam wpuścić. Tak jak ktoś musiał zapierdolić mój depozyt i przekazać mordercom Halickiego.

– Papierosy...

Brodzki skinął głową. Wyglądało to tak, jakby obaj chwilowo opadli z sił. Ani Leon nie poznawał dzisiaj siebie, ani Żółtko siebie, ani obaj nie poznawali siebie nawzajem. Ich śledztwo zabrnęło stanowczo za daleko – dziś na orbicie poszukiwań dotarli do jej perihelium. I to właśnie w momencie, kiedy powinni mocno stąpać po ziemi.

Detektyw zerwał się z krzesła i wyszedł.

## 7

*Z bazy zaginionych:*

Sprawa nr 07–01748

Zofia Halicka

Aktualny wiek: 54 lata

Data zaginięcia: 2016/09/14

Wiek w dniu zaginięcia: 54 lata

Wzrost:163 cm

Kolor oczu: zielone

Znaki szczególne: brak

Ostatnie miejsce pobytu: Łysomice

Kraj: Polska

## 8

– Nagle naszły cię wątpliwości? – Redaktorka naczelna Anna Tekla chyba wcale nie słuchała Bereniki.

– To chyba dobrze, nie sądzisz? – Młoda dziennikarka czuła się jak uczennica, która nakłania polonistkę, by ta zmieniła jej temat wypracowania. – W trakcie zbierania materiałów odkryłam, że sprawa ma drugie dno. To naprawdę może być przełom.

– Kochana. Przełom to był, kiedy sklonowano owce w Ameryce. Ja nie chcę przełomu, tylko zwykłego, solidnego reportażu. Naprawdę musiałam za ciebie świecić oczami. Prawdę mówiąc, sama się dziwię, dlaczego woleli ciebie od Sylwii.

– Jacy oni? – Vesper nie do końca zrozumiała, kogo Tekla miała na myśli. – Rada nadzorcza?

– Nika, Nika. Przecież to zlecony materiał.

– Zlecony? Przez kogo?

– Nie ukrywam, że nie byłaś moim pierwszym wyborem... – ciągnęła naczelna Marlowe Press Ltd. – Po tym, w co się



wpakowałaś. Ale sami naciskali.

– Ale kto? Jak się nazywają?!

– Nazywają się „płacimy z góry i pokrywamy wydatki”.

– A co z prawem prasowym? Co z naszą niezależnością? Cholera jasna! Nawet reklamy oznacza się jako teksty sponsorowane, a co dopiero to? To jest lincz na zlecenie.

– Kto jak nie ty ma opisać tego gliniarza mordercę? Masz już tytuł?

– Tekla była nazbyt wesoła jak na tego typu konwersację. Powodem były buzujące w niej hormony ciążyowe. „Oczywiście, że mam tytuł” – pomyślała Berenika. Ale nie miała zamiaru już nic mówić. Była zła z bezsilności. Naczelną tymczasem dodała: – Znów będziesz miała swoje pięć minut. Zasłużyłaś na to!

– Nie mów mi, na co sobie zasłużyłam – rzuciła do słuchawki i się rozłączyła. Była zła, cholernie zła. Nie wiedziała, na kogo bardziej. Na siebie? Na naczelną? A może na sytuację, w której się znalazła. Sytuację, w której trzeba nagiąć siebie i swoje zasady, by wybrnąć z sytuacji, w którą człowiek się wpakował... broniąc innych zasad.

„Niestety – pomyślała Berenika – człowiek nigdy nie zmieści się w odpowiednie ramy. Zawsze będzie miał czegoś więcej i czegoś mniej. Wiary, sumienia, nadziei, konsekwencji, zemsty. Gdybym miała znaleźć przyczynę i – niczym bohaterka filmu – przeżyć wszystko jeszcze raz, ale bez popełniania błędów, to w którym momencie powinnam była podjąć inną decyzję? Trafiłam do Torunia, bo miałam nadzieję na wyprostowanie spraw w redakcji. Była to moja ostatnia szansa, by znów pokazać, że nadaję się do tej pracy. Ta praca to całe moje życie. Czemu znalazłam się w sytuacji, w której musiałam to udowodniać? Ponieważ postąpiłam w przeszłości w zgodzie ze swoim sumieniem, publikując materiał o policjantach, co skończyło się nieomal banicją. Temat stał mi się bliski przez dziewczyny, które poznałam po tym, jak przeżyłam traumę po utracie dziecka i po rozstaniu z Jarkiem. Policjantem... Mam dalej brnąć w przeszłość? Czy mogłam przewidzieć, że Jarek nie podoła sytuacji? Czy możemy wiedzieć o ludziach to, czego sami o sobie nie wiedzą, dopóki nie przyjdzie im się zmierzyć z czymś

nieznanym? A może mogłam od początku dokonać innego wyboru? Może są kobiety, które wiedzą o swoim partnerze wszystko, zanim pozwolą się zapłodnić? Czy jest to jakaś tajemna wiedza na temat świata mężczyzn? A może już od dawna powinnam być bardziej świadomą kobietą, pewniejszą siebie, waleczną, niezależną, brać od życia to, na co zasługuję? Tak... Powinnam była. Ale jak zostać taką kobietą? Jasne, można obejrzeć w telewizji albo przeczytać w gazecie o Amelii Earhart, Martynie Wojciechowskiej, Michalinie Wisłockiej. Czy jednak każda ma szansę stać się kimś takim jak one? Kiedy zaczyna się nasze bycie? Ludzie często mówią, że byli na jakimś szkoleniu, kursie, że wieczorowa szkoła albo kurs jogi otworzyły im na coś oczy. A co powiedzieć o spędzeniu osiemnastu, dziewiętnastu lat w jednym środowisku, jednym mieście i pod wpływem tych samych ludzi? To od nich zależy, ile potem rozmawiamy, ile zadajemy pytań, czego się boimy, a czego nie. Jednocześnie nie mogę ich za nic winić, ponieważ i oni gdzieś dorastali i czymś nasiąkali. To właśnie na tym polega nasza tożsamość i zapuszczanie korzeni. To coś, czego nie da się wymazać, ale z drugiej strony po co to robić? Gdybym miała znaleźć przyczynę... Cóż. Przyczyną prawdopodobnie jestem ja sama. Taka, a nie inna. Teraz, w tym miejscu, zaplątana w supty swojego życia. A supty mają to do siebie, że gdy zbyt mocno pociągnie się któryś ze sznurków, to zacisną się jak pętla. Taką pętlę mam właśnie na szyi. Jeśli się wycofam albo rzucę to, co zaczęłam, to będzie koniec. Jak więc się z tego wyplątać, pozostając w tym samym miejscu?"

W tej samej chwili zadzwoniła do dziennikarza, który irytował ją swoim sposobem bycia, ale łączyła go z Bereniką jedna niezwykle cenna i krucha rzecz. Zarówno Marek Bener, jak i Berenika Vesper całym sercem wierzyli w dziennikarską prawdę i uczciwość.

Aresztant, którego umieszczono na jedną noc w celi z Leonem Brodzkim, odnotowany został w rejestrze aresztu śledczego

w Toruniu jako Ryszard Kamyk. Z dokumentów, które aspirant Żółtko właśnie przeglądał, wynikało, że zwolniono go kilka godzin później.

W formularzu nie podano ani numeru PESEL zatrzymanego, ani jego adresu. To, jak do tego doszło, miał ustalić Brodzki.

Nazwisko Kamyk nie było jednak Żółtce obce. Tak się nazywał bezdomny, pseudonim Chudy, którego zaginięcie zgłosił w niedzielę Izidor Mokrzycki.

Kwestią czasu pozostawało to, kiedy technicy potwierdzą DNA Kamyka pośród zgliszczy na Lindego lub w szopie, w której odkryli z Leonem maszynkę do mięsa.

„Ktoś w bardzo konsekwentny sposób eliminował kolejnych informatorów i świadków” – myślał Żółtko. Pytanie dlaczego.

– Jest Brodzki? – spytał mężczyzna, który pojawił się w drzwiach tak niespodziewanie, jakby na piętrze właśnie otworzyły się drzwi windy. Miał spodnie na szelkach i rozpadające się adidas. Twarz i dłonie umorusał sobie najpewniej smarem samochodowym.

– A pan to kto? – spytał Tomek, nie odrywając się od lektury dokumentów.

– Magik. – To słowo skutecznie zaabsorbowało uwagę aspiranta, który spojrzał w stronę drzwi. Magik wyglądał jak nadchodzący z daleka pracownik stoczni.

– Ach, Magik. I z czym pan przychodzi? Przepiłowana podczas występu cyrkowego kobieta uciekła w dwóch przeciwnych kierunkach?

– Jestem mechanikiem. Wczoraj rozmawiałem z Leonem Brodzkim o pewnym samochodzie. – Magik postąpił kilka kroków w stronę policjanta. – O oplu.

– Zaciekawieś mnie. – Żółtko odłożył papiery, wstał i podszedł do gościa. Chciał się przywitać, ale mechanik uprzedził go i podsunął przegub ręki, którym Tomek potrząsnął. – Mów, proszę.

– Główkowałem wczoraj, bo to taka zagwozdka, prawda. A kto jak nie ja ma się znać na autach.

– Szukamy opla astry z połowy lat osiemdziesiątych – rzekł Tomek

zniecierpliwionym tonem. Powoli przyzwyczajają się do spotykania ludzi, którym wydaje się, że posiadli wiedzę tajemną, tylko dlatego że obejrzeni kilka sezonów *CSI: Kryminalne zagadki Miami*.

– No i tak też powiedziałem Leonowi, że to niemożliwe.

– Bo?

– Bo astry były robione od lat dziewięćdziesiątych. Wcześniej mieliśmy kadetty.

– Do tego też doszliśmy, więc, Magiku, kończ sztuczkę.

– Ale kombinowałem dalej. Bo zagwozdka, a kto jak nie ja... wiadomo.

– I coś pan tam wygłówkował?

– Rzecz niełatwa, przyznaję. Ale chyba wiem. I dlatego dzwoniłem do Brodzkiego, ale nie odbierał.

– Co wiesz? – Żółtko postąpił kilka kroków ku rozmówcy. Pytał bez ufności, ale był autentycznie ciekaw.

– Chyba wiem, jakiego wozu szukacie.

– Naprawdę? – Tomek zmienił wyraz twarzy. Spojrzał badawczo na mechanika. – Powiedz.

– Prawda to i nieprawda jednocześnie, że opła astry nie było – rzekł z dumą Magik.

– A to dlaczego?

– O nazwy się rozchodzi. Że czasem różne, chociaż jedno auto. Dajmy na to było daewoo tico, którego nie znoszę, a tico to nic innego jak suzuki alto, tylko przerobione jakby. Licencja taka. I z oplem tak samo. Nazwa vauxhall coś panu mówi?

– Pierwsze słyszę – zdziwił się Tomek.

– To samochody angoli.

– A co to ma wspólnego z oplem?

– Że vauxhall od lat sprzedaje samochody na licencji opła. Weźmy na przykład lata osiemdziesiąte. Był ten, no, opel kadett. Ale u angoli i w Australii był po prostu vauxhall astra...

– Chcesz powiedzieć, że... – Tomek próbował szybko zebrać myśli.

– Magia! – Magik rozłożył ręce na boki, odślaniając czarne dłonie. – Mówię zagwozdka taka. Kto jak nie...

– Tak, tak, kto jak nie ty. – Żółtko go nie słuchał, tylko dosiadł się do komputera i wpisał nazwę auta w bazie danych. – Er, es, te, fał...  
– Tomek sprawdzał spis alfabetyczny, gdy nagle zamarł i spojrzał obłądnym wzrokiem na mechanika. – Magia.

## 10

Według ewidencji właściciel pojazdu o numerach TOT 0706 mieszkał właśnie pod tym adresem. Właściciel jedyne go vauxhalla w historii miasta.

Jak ustalił Tomek, budynek w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym przestał pełnić funkcję mieszkalną. Pod względem architektonicznym wyglądał jak pałacyk. Białoceglany, z narożną wieżą, werandą z jednej strony i szachulcową elewacją w górnych partiach. Dziś dom wyglądał jak z ogłoszeń w serwisach z nieruchomościami – przykryty niedbale sadzą i liśćmi, pusty, zimny. Nazywano go Willą Krauzego – od rodziny, która zamieszkała tu jako pierwsza w roku tysiąc dziewięćset trzecim.

Aspirant wdrapał się na werandę po lewej stronie. Przez szpary okiennicy widać było puste wnętrza. Najwyraźniej nikt tu nie mieszkał.

Zeskoczył z gzymsu i stanął ponownie przed frontem budynku. Coś mu nie pasowało, znów. Auto, bezdomny, pusty dom? „Za dużo przypadków” – pomyślał.

A potem zamknął oczy.

Zwykł robić tak w trakcie poszukiwań. Zauważył, że im częściej je zamyka, tym częściej coś dostrzega. Powietrze było gęste, jakby brakowało w nim tlenu. Chmury wisały nisko nad miastem i lada chwila miały zrzucić na nie hektolitry wody. Przy Batorego 5 pachniało mułem – takim, jaki można poczuć przy sadzawkach lub wolno płynących ciekach wodnych. Istotnie, kilka metrów obok spod ulicy wypływała Bacha, jak nazywano Strugę Toruńską. Szumiała cicho w wielu zakątkach miasta, opływając je swoją posoką.

Z prawej strony, może sto metrów od niego, na sygnale nadjechała

karetką, po czym dźwięk ustał – to do Specjalistycznego Szpitala Miejskiego imienia Mikołaja Kopernika przywieziono pacjenta. Jeśli ktoś złamał rękę czy nogę – na gipsowanie odsyłano go właśnie tam. Z lewej strony przemknął z łoskotem tabor kolejowy. Wagony przesuwwały się wolno, przelewając się żelaznym zgrzytem podobnym do szczękania zębami podczas mrozu.

Gdy tabor zniknął za horyzontem dźwięku, Tomek otworzył oczy i spojrzał w lewo.

Dom znajdował się raptem sto metrów od Garbatego Mostka – kładki przerzuconej nad torami, prowadzącej od ulicy Sobieskiego do Chrobrego.

– Od Garbatego Mostka – powtórzył do siebie. To tam trzydzieści lat temu powieszono Dziewczynę w Czerwonym Płaszczu. Rok wcześniej dom przy Batorego 5 opróżniono. – Czyżby? – spytał na głos aspirant.

Po chwili nad miastem rozpętała się burza. Gdy lunął deszcz, nieprzyjemny zapach Bachy rozniósł się w powietrzu.

## 11

Granatowy fiat punto zjechał Ślimakiem Getyńskim i skręcił w prawo, by zaparkować pod starym mostem drogowym obok czarnej vectry stojącej przodem do ulicy. Po lewej stronie ciągnęły się stare szalety miejskie, po prawej biegły najbardziej obszczone schody w mieście – obok punkowego klubu „Pilon”, w którym jedni przechodzili inicjację za sprawą uszu przekłuwanych agrafkami, inni dzięki kolorowym pastylkom zabierającym ich na Wyspy Bergamuty.

– Powiem ci tak. – Kulkiwicz uchylił szybę auta za pomocą korbki, po czym spojrzał badawczo przez prawe okno. Odetchnął w myślach, bo nikt go nie śledził. Stali szyba w szybę. – Powiem ci tak. Do tej rozmowy nie doszło.

– Kto wpuścił pod celę tego gadułę, Spidera?

– Jak ci powiem, to już po mnie. Stary mnie upierdoli. – Kulkiwicz kręcił głową z niedowierzaniem i mamrotał do siebie: – Czemu ja to

robię? Nie powinienem tu być...

– Hej, Kulson. – Brodzki pstryknął palcami. Gdy strażnik spojrział w jego stronę, detektyw wyciągnął w jego stronę paczkę cameli. Gdyby ktoś stanął po drugiej stronie ulicy, zobaczyłby dwa auta zaparkowane dokładnie pośrodku parkingu pod mostem, z którego po obu stronach przelewały się hektolitry wody, tworząc dwie kurtyny wodne podobne do pionowego wodospadu. Dawało to wrażenie zamkniętej przestrzeni odgradzającej parking ścianami z trzech stron. Czwarta ściana, niczym w teatrze, wychodziła na otwartą przestrzeń, którą w tym wypadku stanowiły pusty parking i rzeka płynąca za nim.

Z auta po lewej wysunęła się ręka z paczką papierosów, z auta z prawej ręka sięgnęła po jednego. Po chwili w miejscu opakowania pojawiła się ręka z odpaloną zapalniczką benzynową. Wtedy z fiata wysunęła się głowa strażnika, który przysunął czubek papierosa do żaru.

Kulkiewicz zaciągnął się trzy razy i dopiero odetchnął.

– Lepiej? – spytał Leon, odpalając i sobie.

– No gorzej być nie może, nie? – zaśmiał się gorzko strażnik.

– Powiedz mi, jak to jest naprawdę w tym areszcie. Ale bez ściemniania. Myślę, że obaj wiemy, że na ściemę już nie ma miejsca. Giną ludzie. – W chwili, gdy detektyw wypowiadał ostatnie słowa, zza wodnej kurtyny wyjechał ciemny samochód dostawczy. Kulkiewicz sprężył się odruchowo i schował poniżej linii okien. Iveco zwolniło przed kurtyną wodną po drugiej stronie, po czym powoli przez nią przejechało i zniknęło za lustrem.

– Straszna sprawa z Halickim.

– Mam nadzieję, że to samo nie czeka naczelnika Dziecioła.

– Za Elfa siedziały dziesiątki osób. Tak jak za Tatę, Banana, Bewicza, Guerrero i wielu innych mafiosów.

– Nie interesuje mnie przeszłość. Interesuje mnie to, na co mam wpływ.

– Kurwa, Leon, kontrola nas dojedzie. I tak już mamy przejebane. Tłuki z betonowego lasu na górze wydają nam rozkazy, a my na

pierwszej linii czarujemy, jak się da.

– Tak samo jest u nas. Ale ktoś musi być pierwszy. Musimy to zmienić, Kulson.

– Kurwa, Leon... U mnie zasada jest taka: dopóki nie dostanę pisma z wyraźnie wytłuszczonym, że ja mam rozkaz, to nie robię. Ci nade mną też się boją i piszą na przykład takie genialne zdanie, że „zaleca się to i tamto”. Kurwa, tyle to i ja wiem, że się „zaleca”. Ale jeśli coś zrobię nie tak, to mnie potem upierdolą. Powiem: „przecież kazaliście”. Wiesz, co mi powiedzą, ucinając dodatek?

– Że zalecali, a nie rozkazali.

– Dokładnie! – przyklasnęła Kulkiewicz. – To patologia wszystkich instytucji w tym kraju. Spadek po komunie, jak chuj. Brak decyzyjności.

– To zmieńmy to. Jesteśmy na pierwszej linii, zmieńmy to, kurwa!

Kulkiewicz nic już nie odpowiedział. Pokręcił głowę, zacisnął lewą rękę na kierownicy swojego punto, a drugą odpalił silnik. Popatrzył chwilę nieobecny wzrokiem, w końcu bąknął coś do siebie i wyciągnął w kierunku Brodzkiego rękę z kartką papieru. Gdy Leon ją przejął, punto wycofało, po czym ruszyło w stronę Starówki. Auto wjechało w wodną kurtynę i zniknęło jak za magicznym lustrem.

Brodzki rozłożył zwitek i odczytał napis:

*Kozackie Góry 7. Florian Niuniewicz*

Zapiął pasy z zamiarem ruszenia pod wskazany adres, kiedy zadzwonił mu telefon. Sądził, że to Żółtko się do niego dobija, ale wyświetlacz rozwiął wątpliwości.

– Na paczce papierosów, którą miał Halicki, znaleziono twoje odciski palców. – Mauer ominął kurtuazyjne powitania.

– Te papierosy były w depozycie, kiedy siedziałem w areszcie – rzekł, odpalając silnik.

– Masz na to dowód?

– Czy wystarczającym dowodem będzie, jeśli powiem, że strażnik, który zajmował się tego dnia depozytem, zniknął i nie pojawił się w pracy?

– Mów dalej.



– Albo to, że był to ten sam strażnik, Florian Niuniewicz, na którego zmianie zabito Kosmę Góreckiego?

– Masz na myśli to zabójstwo, którego miałeś się dopuścić?

– Mam na myśli to zabójstwo, którego nie dokonałem – zripostował ostro Brodzki. – Może zamiast insynuacji skupimy się na twardych dowodach? Czy coś nowego wyłynęło?

– Przewody hamulcowe w białym bmw zostały przecięte.

– A więc jednak.

– Z kolei we krwi Strolskiego wykryto kokainę. Zdaniem patologa musiał ją przyjąć tuż przed zgonem.

– Jak on mógł to zrobić? I to w kościele? – Leon próbował ukryć drwiący śmiech. – Na pewno pójdzie za to do piekła.

– Brodzki, przywołuję cię do porządku.

– To sugeruję zacząć od wspólnej pracy na rzecz porządku.

– Brodzki, chciałem ci przekazać, że...

– Pracy na rzecz porządku w tym mieście! – fuknął i wrzucił wsteczny bieg.

– Brodzki!

– Do której gra pan bramki, prokuratorze? Proszę się zastanowić, czy nie ma w niej czasem zonka.

– Brodzki, do ciężkiej cholery! Gdybyś przestał mówić i posłuchał przez chwilę, tobyś się dowiedział, że Nowak się obudził.

Leon momentalnie zgasił silnik. Mauer usłyszał tę nagłą ciszę w słuchawce. Gdzieś w oddali szumiała spływająca woda.

– Mogę go przesłuchać? – spytał Leon.

– Idź na całość – rzekł Mauer i się rozłączył.

## 12

Sala numer trzy na czwartym piętrze szpitala oblegana była przez cztery osoby. Łóżka przy oknie pilnował młody chłopak z zabandażowanymi rękami. Po przeciwnej stronie łóżka stali Mauer, Brodzki i doktor Kaklińska.

– Panowie, macie pięć minut. Tak naprawdę nie powinno was tu

być – rzekła lekarka o brązowych oczach i bujnych, ciemnych włosach.

– Bardzo doceniam pani telefon – Mauer złapał ją obiema rękami za prawą dłoń. – Współpraca z miejskimi służbami wiele dla nas znaczy.

Kaklińska skinęła prokuratorowi i spojrzała na Brodzkiego. Nie znali się z Leonem od dziś, ale za każdym razem, kiedy się spotykali, najczęściej stawali po dwóch stronach martwego ciała. Policjant od początku kojarzył się z ponurym żniwiarzem.

– Dokładnie, dziękujemy... – wyszeptał Leon.

– Ale żeby nie było, co nie? – włączył się zabandażowany chłopak. Brodzki go znał, był to brat Nowaka nazywany Chyżym. Nastolatek z Bydgoskiego Przedmieścia, który cudem przeżył pożar na stadionie. Obaj bracia wylądowali na tym samym oddziale. Jeden z poparzeniami, drugi z kolumbijskim krawatem na szyi. – Jak będziecie go męczyć, wypadacie z hukiem. Macie minutę i cztery minuty bonusu, jak będziecie grzeczni.

Mauer spojrzał pytająco na Brodzkiego, który usiadł na krawędzi łóżka.

Aparatura monitorująca pracę serca Nowaka pracowała cicho. Niebo za oknem się kłębiło.

– Jacek. Tu Brodzki. Jeśli mnie słyszysz, porusz palcem.

Wszyscy spojrzeli na leżące na kołdrze ręce policjanta o orlim nosie, ale ten ani drgnął.

– Jacek – powtórzył Brodzki – to bardzo ważne. Jeśli mnie słyszysz...

– Jo... – wycedził cicho Nowak i powoli otworzył oczy.

Brodzki ponownie spojrzał na Mauera. Prokurator skinął, by kontynuował.

– Jacek, mam do ciebie tylko jedno pytanie. Chcemy się dowiedzieć, kto ci to zrobił, okej? – Brodzki zawiesił pytanie w powietrzu. Ciszę przetykał odgłos pompy ssąco-tłoczącej i pikanie elektrokardiografu. – Chcemy złapać skurwysyna, który ci to zrobił. Pokażę ci teraz zdjęcie. Myślę, że nie będziesz miał problemu ze

wskazaniem sprawcy.

Kaklińska i Chyży przyglądali się wszystkiemu w skupieniu. Jacek zamrugał i z wielkim grymasem na twarzy przełknął ślinę.

Brodzki wyciągnął z marynarki zagiętą fotografię, którą znalazł u Halickiego w szufladzie, i pokazał ją Jackowi.

– Nie spiesz się, mamy czas.

– Macie jeszcze pół minuty – zauważył Chyży.

Mauer zbliżył się do Brodzkiego i rzekł w stronę Jacka:

– Panie Nowak, to ważne. Może pan pomóc zakończyć śledztwo. Resztą się zajmujemy, złapiemy sprawcę. Proszę tylko wskazać napastnika – Mauer mówił tonem lektora, spokojnie i wyraźnie. Potrafił tak operować głosem, by zawsze dopasować się do słuchacza. – Wiemy, że szukał pan Człowieka w Kapeluszu. Znalazł go pan na fotografii i na nagraniach z kamer. Detektyw Brodzki sądzi, że człowiek ten znajduje się na tym zdjęciu.

Nowak powoli podniósł rękę. Cała czwórka obserwowała w skupieniu, jak jego zaciśnięta dłoń przesuwa się nad pościelą. Sierżant wysunął palec wskazujący i drżącym ruchem wycelował w zdjęcie. Przyłożył palec do podobizny Człowieka w Kapeluszu, na co Brodzki i Mauer zamruczeli z aprobatą, jakby spodziewając się takiego rozstrzygnięcia, ale wtedy stało się coś nieoczekiwanego.

– Nie... – zacharczał Nowak i jego ręka opadła bezwładnie na pościel. Zakastał kilka razy, z ust popłynęła mu strużka krwi.

– Koniec odwiedzin! – syknął Chyży i zdecydowanym gestem wskazał gościom drzwi.

– Nie – sprzeciwił się Nowak. Jeszcze raz podniósł rękę i dojechał dłonią do fotografii, po czym przejechał po niej wskazującym palcem. Mauer i Brodzki spojrzeli na siebie pytająco.

– Chyba coś ci się pomyliło – zauważył Brodzki.

– Nie – odpowiedział głośniejszym głosem Nowak i ponownie zakastał. Chyży znów się poderwał, ale Jacek, jakby w chwilowym przypięciu sił witalnych, zdecydowanym ruchem go powstrzymał. – To ten człowiek. Wiem, co widzę... co nie? Miał tylko kapelusz na głowie.

Brodzki pobladł. Palec Nowaka zatrzymał się po lewej stronie

fotografii. Człowiekiem w Kapeluszu i Elfem był wskazywany przez Nowaka mężczyzna siedzący na zdjęciu obok Halickiego. Spider. Ten sam, który przyszedł do celi Brodzkiego.

Leon zerwał się z łóżka, gwałtownie odsunął się na środek sali, jakby próbując złapać równowagę na pokładzie podczas sztormu. Słowa Nowaka uderzyły go obuchem w głowę. Zagadka, której rozwiązania tak uparcie poszukiwał, zawiązała się na jego oczach! Miał szansę ją rozwiązać, zanim rozpoczęło się śledztwo.

Nie zrobił tego. Przeciwnik był sprytniejszy, a jego ręce okazały się znacznie dłuższe.

– Nie... Nie, to niemożliwe. Rozmawiałem z nim. Miałem go przed sobą, przed oczami. To nie mogło być... On nie mógł...

– Jak widać jednak mógł – odparł Mauer.

– To tylko potwierdza moją teorię, że do aresztu mógł wejść każdy!

– Przynajmniej już wiemy, kogo szukamy – zauważył Mauer.

– Życzę powodzenia – zadrwił Brodzki.

– Powodzenia powinienesz życzyć sobie. Sporo się o tobie dowiedziałem przez ten tydzień.

– Nie rozumiem.

– Naprawdę sądziłeś, że pozwolę ci tak po prostu wyjść z więzienia? Bez żadnej gwarancji, że nie nabroisz i nie popsujesz nam wizerunku? O ile da się jeszcze bardziej...

– O czym ty mówisz?

– Wiedząc, jak nieobliczalny jesteś, porozumieliśmy się z pewnym dużym domem prasowym i zleciliśmy im napisanie krytycznego materiału o tobie. Zdaje się, że poznałeś pannę Vesper.

Jeśli coś jeszcze mogło detektywa Leona Brodzkiego wytrącić z równowagi, to była to wiadomość o szpiegującej go dziennikarce, którą zaopiekował się minionej nocy.

– Nie wierzę ci.

– Doprawdy? A płacenie brudnymi pieniędzmi w barze? Zwidy i gonienie zjaw w czerwonych płaszcach?

Brodzki nie odpowiedział. Wszystko stało się teraz zadziwiająco jasne. Widział to z całą mocą, jak nigdy wcześniej.

SMS

*Od: Leon Brodzki*

*Do: Berenika Vesper*

*14/09/2016 20:05*

Dagmara mi mówiła, że spotkała dziennikarkę, która nienawidzi gliniarzy. Nie wiedziałem jednak, że można ich nienawidzić tak bardzo, by zaprzedać duszę.

SMS

*Od: Berenika Vesper*

*Do: Leon Brodzki*

*14/09/2016 20:07*

O czym ty mówisz?

SMS

*Od: Leon Brodzki*

*Do: Berenika Vesper*

*14/09/2016 20:21*

Tak świetnie poinformowana dziennikarka nie wie, że jest pacynką prokuratury? I te zagrywki z czerwonym płaszczem. Chciałaś zrobić ze mnie wariata.

SMS

*Od: Berenika Vesper*

*Do: Leon Brodzki*

*14/09/2016 20:22*

O czym ty mówisz? Przyznaję, tekst był na zlecenie, ale jestem obiektywna. Kolejne fragmenty przesyłałam bezpośrednio do redaktorki naczelnej. Nic więcej. Nic więcej nie zrobiłam! Co masz na myśli, jakie zagrywki?

SMS

Od: Leon Brodzki

Do: Berenika Vesper

14/09/2016 20:22

Dostarczenie wiadomości nie powiodło się.

## 14

Chwilę później Brodzki gnał służbową vectrą ulicą Żwirki i Wigury, a wpadające do kabiny światła latarni pobłyskiwały na jego skórze jak słoneczne refleksy na jeziorze.

Brodzki nie był ekstrawertykiem, a jego twarz nie została stworzona do wyrażania szerokiego spektrum emocji. Kiedy się śmiał, poruszał lekko ustami. Kiedy był zły, marszczył czoło, które przecinała wtedy głęboka, pionowa zmarszczka między brwiami. Kiedy był bardzo zły, przygryzał od środka wargi i kręcił głową. Jego szyja się wtedy naprężała, przez co razem z mocną szczęką sprawiała wrażenie posągu.

Leon nie należał do ludzi, których oblatuje strach. Potrafił się jednak bać, kiedy trzeba. Bo trzeba się bać. Bez strachu człowiek dostałby kulkę w pierwszy dzień służby. Zrozumiał to wtedy, gdy poczuł lufę na potylicy. Od tamtej pory strach zawsze pomagał mu ocenić sytuację i wyzwalał w nim pokłady sprytu, szybkości i inteligencji.

Teraz jednak Brodzki czuł strach i był to strach o nieznanym dotąd amplitudzie. Rozumiał, że nowe informacje musiały wywrzeć wpływ na jego zmyśle przetrwania i podświadomości. Rozumiał, że właśnie dlatego jego dłonie się spociły, a serce w klatce piersiowej dudniło jak wirnik potężnego samolotu. Rozumiał grymas na twarzy, który dostrzegł w lusterku. Przyjrzał mu się teraz uważnie. Oczy wciąż świeciły się jak diody, ale obwódki wokół powiek poczerniały, zapadając się nieznacznie. „To stres – myślał – ciśnienie, tętno. Panuję nad tym”.

Przeciął Szosę Chełmińską, dojeżdżał teraz do cmentarza przy

Wybickiego. Minął ulicę Mohna, stare budynki fabryki „Torpo” i na skrzyżowaniu z Legionów skręcił na północ. Odbił za światłami w prawo i wjechał w słabo oświetloną uliczkę. Dawno go tu, na Kozackich Górach, nie było.

Zabudowa „Kozaków” umiejscowiona była na gęsto porośniętym wierzbiami wzgórzu, na które można było wjechać od dwóch stron. Dołem, wzdłuż garaży, a potem w lewo, do dzikiego ronda otoczonego niskimi domkami, rozpadającymi się płotami i blaszanymi garażami. Można też było wybrać wąską dróżkę od lewej strony, którą docierało się w to samo miejsce.

Detektyw zatrzymał vectrę przy garażach i ruszył pieszo. Nie było tu latarni. Mrok rozświetlały jedynie światło księżyca i migocząca łuna od ulicy. Minął zardzewiałą rampę z lewej strony i ceglany piec domowej roboty z prawej.

Nad miastem znów grzmiało. Liście szumiały jak przesypywany piasek, a w powietrzu mieszały się zapachy ozonu, ziemi i benzyny. W odległości trzystu metrów migwały czerwone światła masztu rozgłośni Radia Maryja. Okrążył teren, patrząc uważnie pod nogi, aż zatrzymał się przed niebieskim domkiem pod numerem siódmym. Stał za krzywym płotem, na którym huśtały się stare kołpaki samochodowe. To tu miał mieszkać Niuniewicz.

Brama otworzyła się z chrobotem i Leon już po chwili był przed drzwiami postawionego na dziko i rozpadającego się domu. Jego drzwi były niedomknięte.

Dopiero tutaj odpalił ledową latarkę w telefonie. Nie chciał wzbudzić podejrzeń, grasując po terenie dzikiego osiedla, bo tutaj wszyscy znali wszystkich i intruza wyczuwali na kilometr. Tylko w ten sposób byli w stanie przetrwać – jako społeczność balansująca na granicy prawa, z nielegalnie postawionymi budynkami niespełniającymi żadnych norm bezpieczeństwa. Przypominali w tym społeczność osiedla zwanego „Ohio”, czyli Dębowej Góry. Tam też mieszkano na dziko.

Wprawne oko mogło dostrzec z oddali błyski światła w domu pod numerem siódmym. Kozacy wiedzieli, że Niuniewiczza od kilku dni tu

nie było, i zdawali sobie sprawę, że wiele osób go szuka. A że Niuniewicz był jednocześnie i Kozakiem, i funkcjonariuszem Służby Więziennej, czujność była podwójnie wzmożona.

W domu Leon nie znalazł nic intrygującego oprócz nabazgranego na ścianie napisu, o którym wspominał mu już Żółtko: „BROCKI JEST WINNY”.

– Matoly... – bąknął pod nosem.

Sufit ciążył nisko nad głową, nie sięgając nawet dwóch metrów. Niewypoziomowana podłoga skrzypiała pod nogami, a izbę przenikał zapach rozpadającej się chatki na działce. Mieszkanie było splądrowane. Ciężko powiedzieć, czy taki bałagan zrobili Grubson i Sztuba. Może uczynni sąsiedzi pod nieobecność Niuniewicza postanowili zawiązać koło samopomocy i przetrzepali pokoje pod siódmką na wszystkie strony? Na komodzie bez jednej nogi leżało rozbite zdjęcie. Leon sięgnął po nie i poświecił. Niuniek i Kulkiewicz w szalikach Nesty Toruń na meczu hokejowym przy Bema. Wyposażenie domu nie prezentowało żadnej wartości dowodowej. Niuniewicz rozplątał się w powietrzu, a inwentarz lokalu nie mówił nic o ewentualnych profitach, jakie mogła mu przynosić współpraca z przestępcami. „Może właśnie wygrzewa się na Hawajach – myślał Leon – a może go teraz dziobią kruki i wrony?”

Zgasił latarkę i wyszedł z domu, domykając drzwi i bramę. Zdawało mu się, że jakiś niewyraźny cień przemknął teraz pod wierzbami, ale w takich ciemnościach zmysły co chwila płatały figle. Zszedł z górki, samochód był piętnaście metrów przed nim.

Tym razem posłyszał kroki. Odwrócił się szybko. Kozackie Góry przepelniała złowieszcza cisza przetykana jedynie szumem przesypujących się liści. Włączył latarkę i skierował ją w stronę wzniesienia. Wiedział, że zanim mieszkańcy zauważą błyski, jego już tu nie będzie. Omiótł snopem światła ziemię, piec, rampę i ścianę garażu z nabazgranym logotypem Apatora Toruń. Nie usłyszawszy ani nie zobaczywszy nic, co by go zaniepokoiło, ruszył do auta.

Włączył światła, odpalił silnik i wrzucił bieg, kiedy jakaś potężna siła z hukiem rozbiła boczną szybę. Szkło posypało się do wnętrza,



a z ciemności wynurzyły się ręce, które złapały Brodzkiego za szyję. Zaciśnięty się na niej bardzo mocno, aż poczuł potworny ból w ściśniętej krtani. Wszystko trwało ułamki sekund, kiedy bez zawahania złapał napastnika za rękę, wciskając jednocześnie gaz w podłogę. Vectra zabuksowała w piasku i wyrwała przed siebie. Ręce Brodzkiego nie puszczały, a Brodzki nie puszczał rąk napastnika. Reflektory oświetliły teraz rząd garaży i żeliwną rampę z lewej strony. Skręcił gwałtownie kierownicę. Ciało biegnące obok auta zatrzymało się na metalowej konstrukcji. Brodzki się wyswobodził, ale trzy metry dalej auto wbiło się z impetem w betonowy murek, strzelając w twarz policjanta poduszką powietrzną.

Huk uderzenia zaalarmował mieszkańców – w kolejnych domach zapaliły się światła. Brodzki otrząsnął się szybko, czując w nozdrzach ostry zapach azotu i środków pirotechnicznych. Spojrzał w boczne lusterko. Szkło było pęknięte, ale w jednym jego odprysku zobaczył sylwetkę gramolącą się z ziemi. Wyswobodził się z pasów, otworzył drzwi i wyskoczył z auta. Postawiwszy lewą nogę na podłożu, zaraz jednak stracił równowagę i wyciągnął się jak długi. Błędnik nie doszedł jeszcze do siebie – impet airbagu był potężny, można go było porównać z ciosem wyprowadzonym przez boksera wagi ciężkiej. Leon oprzytomniał szybko, podźwignął się na nogi i ruszył w kierunku napastnika. Tego jednak już nie było. Kroki dały się słyszeć na wzgórzu. Leon natychmiast ruszył w tę stronę, wyciągając broń i telefon.

– Stój, policja! – krzyknął i strzelił w powietrze, ale uciekinier ani myślał się zatrzymać. Brodzki gonił go, choć każdy krok przyprawiał go o potworny, pulsujący ból głowy. – Stój, policja! – ponownie strzelił. Włączył latarkę i skierował snop światła w stronę zbiega. Ten przebiegł przez rondo pomiędzy wierzbami, staranował ogrodzenie domu numer siedem i wbiegł do środka.

Leon po chwili również był u drzwi. Biegł przez mieszkanie, nie zatrzymując się ani na chwilę. Migoczące na horyzoncie nogi umykały z każdym metrem, to znikając, to znów się pojawiając.

Zakręt w lewo, pokój, drzwi po drugiej stronie, koralikowa zasłona, błysk światła – to lustro, odbicie. Brodzki przystanął – drzwi znajdowały się po obu stronach korytarza. W którą stronę biec? Huk z prawej, gdzieś za zakrętem – Leon natychmiast puścił się w tę stronę. Po trzech, czterech metrach nastąpił na rozbitą wazę. Było to ostatnie pomieszczenie mieszkania, dalej drzwi wychodziły na podwórze. Wybiegł nimi – sylwetka przesadzała właśnie płot u dołu wzniesienia. Brodzki się zatrzymał, wycelował swoim P99 w nogi uciekiniera, ale chybił – pocisk odłupał solidny kawał pobliskiego drzewa. Leon pognął w dół. Potknął się, zjechał na tyłku, ale broń nie wypadła mu z dłoni – zawsze trzymał ją mocno. Przeskoczył płot – tu Kozackie Góry się kończyły, a otwierał się oświetlony teren Szkoły Podstawowej numer trzy. Lądując na podmokłym gruncie, dostrzegł wyraźne odciski dwóch wojskowych butów.

Uciekinier był na końcu ścieżki – właśnie w tym miejscu wytyczono stumetrową prostą do biegów sprinterskich. Leon pokonał ten dystans w niecałe czternaście sekund. Mężczyzna przebiegł przez furtkę przy Legionów i umykał dalej, na północ, przecinając teraz ulicę Świętej Faustyny. Brodzki minął furtkę i ponownie wycelował broń. Miał już nacisnąć spust, gdy linię strzału przecięło auto skręcające od Legionów.

– Cholera jasna! – warknął i rzucił się pędem. Minął sklep Piotr i Paweł z prawej, był już na rondzie Czadcy, u zbiegu z ulicą Wielki Rów. Uciekinier najwyraźniej kierował się w stronę Koniuchów. „Albo lasów na Jarze, albo zajezdni autobusowej” – myślał Brodzki.

Nie pomylił się. Mężczyzna obiegnął płot i skręcił pod szlabanem na plac manewrowy. Brodzki skrócił sobie drogę, przeskakując przez płot przy ulicy. Zaoszczędził tym jakieś trzydzieści metrów.

Zatrzymał się i strzelił w kierunku napastnika. Ten uchylił się, nie wytracając jednak pędu – pocisk przeleciał prawdopodobnie tuż koło niego. Brodzki znów ruszył.

Był w zaskakująco dobrej formie. Nogi miał szczupłe i dobrze umięśnione, ramiona również pomagały w biegu. Tylko płuca zaczynały powoli świszczeć – trudno się przygotować do takiego

sprintu.

Obie sylwetki pruły teraz przez wielki, betonowy plac zajezdni, rzucając po osiem cieni dookoła siebie. To przez latarnie rozstawione co kilkanaście metrów. Uciekinier dobiegł do metalowych wrót hali remontowej, otworzył je z głośnym zgrzytem i zniknął w środku. Brodzki zwolnił. Wybrał numer 112 na telefonie.

– Podkomisarz Leon Brodzki. Proszę o wsparcie w zajezdni autobusowej MZK na Koniuchach. Podejrzany o morderstwo człowiek ukrywa się w halach remontowych.

Schował telefon i ruszył powoli, trzymając broń oburącz. Rozejrzał się na boki, próbując jednocześnie uspokoić oddech. Przyłgnął do ściany, sprawdził pudełkowy magazynek swojego dziewięciomilimetrowego czarnego Walthera – miał jeszcze jedenaście nabojów.

Pot spływał po jego skroniach, w spuchniętym od uderzenia przez poduszkę powietrzną nosie wciąż czuł zapach środków pirotechnicznych, które ją wyzwoliły. Serce wracało do normalnego rytmu, choć czuł, że papierosy na pewno nie poprawiały mu wydolności.

– Pierdole, od jutra rzucam palenie – wyharczał do siebie.

W głowie kotłowały mu się robaczywe myśli. Spider, Elf, Berenika, Mauer. „Wszyscy zrobili mnie w chuja” – myślał. „Pora wziąć sprawy we własne ręce. Jak zawsze w pojedynkę”.

Po czym wziął kilka szybkich oddechów, splunął i wślizgnął się do budynku.

## 15

W hotelu „Pod Orłem” wyłączył się monitoring. Recepcjonista zniknął zza kontuaru, a wejście zamknięto.

Berenika usłyszała pukanie. Kiedy tylko zwolniła zamek, ktoś naparł na drzwi i otworzył je na oścież. W korytarzu stali prokurator Cyriak Mauer oraz kobieta w ponurym uniformie ABW.

– Przyjechał mnie pan nastraszyć? – spytała dziennikarka, krzyżując

ostentacyjnie ręce na piersiach.

– Przeciwnie, chciałem zapytać o pani zdrowie. – Wskazał na kwiaty w koszu na korytarzu. – Słyszałem, że ma pani tajemniczego wielbiciela, który lubuje się w konwaliach.

– To może mieć związek z zagadką rodziny Brodzkich.

– To już nie pani zmartwienie. Pozwoli pani, że nie będziemy tak przez próg... Funkcjonariuszko, proszę przeszukać panią Vesper – rzekł, wchodząc do środka. Kiedy zamknął z hukiem drzwi, po zewnętrznej stronie odpadły złożone cyfry jeden i siedem. – Nie chcemy jednak, by skończyła pani jak Barbara Blida. Proszę nam oddać swojego iPhone’a i dyktafon kasetowy. Za chwilę szczegółowo panią zrewidujemy, więc proszę darować sobie jakiegokolwiek sztuczki. Urządzenia elektroniczne i metalowe przedmioty?

Berenika stała niewzruszona. Funkcjonariuszka wyjęła z torby Bereniki kolejno białą ładowarkę, dwa powerbanki i klucze. Następnie skinęła jej, by rozebrała się do bielizny. Dziewczyna skrzywiła się i ostentacyjnie złożyła ręce, ale pracownica ABW szarpnęła nią i przygniotła do ściany.

– To boli, cholera! – warknęła Berenika. – Może trochę kobiecej solidarności?

Po kilku ruchach rąk funkcjonariuszki, która ją zrewidowała, nie omijając biustu i krocza, wszystko było jasne. Berenika wyczuwała lesbijki na kilometr.

– Długo jeszcze? – Mauer się niecierpliwił.

– Już kończę – odpowiedziała funkcjonariuszka i odwróciła Berenikę przodem do pokoju. Teraz przeszukała jej ubrania, centymetr po centymetrze.

– W porządku. – Prokurator skinął. – Wybacz pani najście, ale musimy się upewnić, że wie pani, po której stronie działa.

– To chyba moja sprawa.

– Nie do końca. Jest pani obywatelką demokratycznego kraju, którego demokratycznie wybrane władze kierują odpowiednimi instytucjami, na przykład prokuraturą. I ja, jako jej przedstawiciel, muszę wiedzieć, że nie robi pani nic głupiego... – Mauer mówił

beznamiętnie, patrząc przez okno na ulicę. Przed hotelem stały dwa ciemne mercedesy przystane przez ABW.

– Przeciwnie. Chroni mnie prawo prasowe i mam prawo prowadzić własne śledztwo. – Berenika sięgnęła do plecaka. Chwilę w nim grzebała, jakby szukając czegoś małego, wreszcie wyjęła gruby długopis i notes. – Czy mogę notować? Nie rozumiem natomiast pana obecności tutaj. Wykupił pan last minute i pomylił pokoje?

– Cóż, tak jak mówiłem... Martwię się o panią.

– Więc niech pan sobie daruje. Nie pozwolę sobie zrobić krzywdy.

– Nie wątpię w to. – Tu Mauer zabrał jej notes gwałtownym ruchem. – Bardziej się jednak obawiałem, że może pani wyrządzić krzywdę samej sobie.

– A to dlaczego? Proszę mi to oddać! – sięgnęła po swój moleskine, ale Mauer cofnął rękę i pogroził jej palcem jak niesfornemu psu.

– Naprawdę pani sądziła, że pozwolimy jej działać na własną rękę? – pytał, przeglądając notatnik. Jakieś zapiski przykuły jego uwagę, więc przybliżył go do oczu. – Co my tu mamy? Proszę bardzo, sama pani napisała: „Czy miał motyw? Zemsta. Jakim człowiekiem jest Leon Brodzki”? I dalej podkreśliła pani, że „Do ustalenia”. I dalej pisze pani: „Winny. Niewinny. Winny. Niewinny. Nie wiem. Wiem. Bzdura. Nie wiem” – Mauer się zamyślił. – No to jak, wie pani? Czy nie wie?

– Jestem reporterką, zawsze działam na własną rękę – odparła, patrząc to na niego, to na papierowy przedmiot.

– Nawet wtedy, kiedy dosypuje pani policjantom do napojów środki usypiające i robi potem kompromitujące zdjęcia? – Mauer przybrał teraz triumfującą pozę. Vesper nabrała powietrza w płuca i długo go nie wypuszczała. W końcu odpowiedziała:

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Myślę, że pani doskonale wie, o czym mówię. Naprawdę pani sądzi, że tamta prowokacja mogła pani ująć na sucho? Że Marlowe Press Ltd. wyszło z tego obronną ręką bez konsekwencji? Nikt w tym kraju nie ucieknie przed wymiarem sprawiedliwości. Zawarliśmy z panią Anną Teklą układ. Nawiasem mówiąc, to wspaniale, że

kobieta w jej wieku jest w ciąży, prawda?

– Tak, cieszę się jej szczęściem – rzekła Berenika przez zęby.

– Oby któregoś dnia nie musiała się dowiedzieć, kto był dawcą nasienia. – Mauer był autentycznie przejęty.

– Co z was za ludzie?

– My tylko dbamy o porządek w tym kraju.

– Wszyscy tak mówią.

– Nie! – Mauer pchnął ją na ścianę i pogroził palcem. – My naprawdę dbamy o prawo i sprawiedliwość w tym kraju. Eliminujemy wrogów, komunistów i wszystkich, którzy chcieliby uderzać w praworządność. Dlatego Brodzki, syn komunistycznego milicjanta, musiał zapłacić karę za swoje występki. Tak jak pani, Bereniko Vesper, musi zapłacić karę za znieważenie funkcjonariuszy. Mnie pozostało wybranie metody.

– Poprzez zastraszanie? – spytała, zakładając ręce.

– Poprzez odkupienie. Pani demaskuje Brodzkiego i robi nam prasę, my puszczaemy w niepamięć pani występki. I nie zostaje pani oskarżona o nieudolne usiłowanie zabójstwa policjantów. – Mauer wyrównał rękawy marynarki i poprawił spinki w mankiecie koszuli. Dopiero teraz Berenika dostrzegła, że ma na nich wygrawerowane paragrafy. Prokurator pchnął ją na krzesło i stanął za jej plecami. – Działamy zgodnie z literą prawa. Karzemy tych, którzy to prawo łamią. Ewentualnie okazujemy łaskę, jeśli oskarżeni będą chcieli działać razem z nami na rzecz praworządności. Pani sytuacja jest bardzo poważna. Jeśli artykuł na temat Brodzkiego mnie osobiście nie będzie zadowalał... – Mauer nachylił się do jej ucha i powolnym, obślizgłym ruchem przejechał palcami po jej nadgarstku. Berenikę przeszył dreszcz obrzydzenia. Sięgnął po długopis zaciśnięty w jej dłoni i w dwuznaczny sposób powoli go wysunął z jej palców. Stanął teraz przodem do niej, zrównał się z linią wzroku i pogroził długopisem. – To skończy się to źle i dla pani, i dla Marlowe Press Ltd., i dla pani Tekli, która jest przecież w stanie błogosławionym. W tym wieku łatwo stracić ciążę. Pani, zdaje się, coś wie na ten temat. Bardzo mi przykro, że straciła pani dziecko. – Ostatnie zdanie

znów wypowiedział tym przezroczyście, lektorskim tonem. Po czym pożegnał się, cisnął długopis w kąt i wyszedł, a wraz z nim pokój opuściła napastliwa funkcjonariuszka.

Berenika przypomniała sobie słowa Benera o momencie, który kiedyś nadchodzi i wymaga opowiedzenia się po właściwej stronie. Zdaniem Benera, jeśli Berenika jest prawdziwą dziennikarką, poczuje, kiedy ten moment nadejdzie.

Poczuła właśnie teraz.

## 16

Buty szorowały po tłustej i brudnej od piasku posadzce. Najdrobniejszy ruch odbijał się echem po pomieszczeniu, które miało swój obieg powietrza, swój zapach i swoją akustykę.

Gdzieś pod wysokim, blaszanym sufitem buczał nadmuch. Kilka rzędów dalej syczały pompa i pas transmisyjny. Z dołu, za zakrętem dochodziło zaś dzwonienie karoserii potężnych prostowników ładujących wielkie akumulatory autobusów. Choć zdawało się, że w pomieszczeniu nie ma ludzi, to jego wewnętrzne fluktuacje dźwiękowo-zapachowe sprawiały, że zmysły policjanta mogą się mylić.

Hala była wąska, na mniej więcej osiem metrów, i podłużna, na metrów trzydzieści. Przecinało ją osiem wielkich kanałów do naprawy autobusów i hydrauliczne podnośniki nad każdym z nich. Kilka stanowisk było zajętych – stały na nich dwa białe autobusy niskopodłogowe solaris i jeden wycieczkowy autosan w kolorze wiśniowym.

Gdzieś w oddali spadł na ziemię cienki, metalowy przedmiot. „Zapewne klucz” – pomyślał Brodzki. Na dźwięk roznoszącego się jak po bazylice echa przywarł do ściany i zamarł w bezruchu. Dźwięk się rozmył. Brodzki ukucnął, patrząc teraz na przestrzał hali. Przez szyby blaszanych wrót każdego ze stanowisk wpadała łuna Księżycy, kładąc we wnętrzu poprzeczne, jasne pasy. Tym sposobem jedne elementy scenografii pogrążone były w mroku, a inne – jak teatralna

scena za sprawą reflektora, tzw. „kubła” – wyływały z niebytu.

Dźwięk powtórzył się, tym razem z bliższej odległości.

Oczywiście, Leon powinien czekać na wsparcie i zrobić dokładnie to, co doradziłby mu każdy, gdyby tylko mógł znaleźć się tam obok policjanta i mu to doradzić. Niestety, ludzka natura jest nieobliczalna. Ludzka ciekawość – niepowstrzymana, a żądza zemsty – nie do zaspokojenia. Dlatego policjant ruszył w kierunku źródła odgłosów. Minął dwa kanały samochodowe, oświetlając je latarką z telefonu. Były długie na około pięć metrów, a głębokie na dwa. Dźwięk klucza znów zabrzączał na końcu pomieszczenia, Brodzki miał do pokonania jeszcze dobre kilkanaście metrów. Skradał się na ugiętych nogach, trzymając broń oburącz. Minął stulitrową, niebieską beczkę z olejem i skład starych opon w rozmiarze dwieście siedemdziesiąt pięć, a może i większych. Warsztaty sprzedawały je najczęściej do cementowni – stanowiły dobry materiał opały.

Był na wysokości białego niskopodłogowca solaris urbino 12, kiedy gdzieś blisko, całkiem blisko, dały się słyszeć ciężkie kroki. Ponieważ autobus znajdował się w tym miejscu, w którym łuna księżycy wpadała do hali, Leon w ostatniej chwili zobaczył cień ciężkiego przedmiotu, który spada na jego głowę. Zdołał zrobić unik, nim pięciokilogramowy młot świsnął tuż koło jego głowy i wbił się ze szczykiem w blachę autobusu. Leon stracił jednak w trakcie tego manewru równowagę, niepotrzebnie przesuwając nogę wykroczną i runął do kanału pod autobusem. Spadł na plecy i uderzył się potylicą o betonową posadzkę. Telefon i pistolet wypadły mu z rąk. Kiedy otworzył oczy, zobaczył nad sobą podwozie pojazdu. Było rozbebeszone, autobus znajdował się zapewne w trakcie naprawy. Wyjęto z niego dwie kłapy w podłodze – można było wejść przez nie do kabiny. Niemniej widok kanału z tej perspektywy bardziej przypominał obraz wykopanego w ziemi grobu. Leon podźwignął się na kolana, patrząc uważnie w prześwity pod podwoziem solarisa. Nigdzie nie było widać nóg napastnika. „Cholera – pomyślał – wypadła mi spluwa”. Telefon z włączoną latarką dostrzegł w rogu, leżał tam, świecąc w stronę podłogi. Policjant chwycił za niego



i skierował światło na posadzkę. Przeszedł trzy metry, patrząc pod nogi, aż w końcu w plamie światła dostrzegł swojego walthera. Natychmiast go podniósł.

To wtedy poczuł, że w kanale nie jest sam. Gdy się odwrócił, zdążył dostrzec niewyraźną ludzką sylwetkę w czerwonym płaszczu. Było to ostatnie, co zobaczył. Potężne uderzenie w potylicę pozbawiło go przytomności. Po błysku nastąpiła nicość.

## 17

Wieczory na komendzie miały w sobie coś z tych szpitalnych. Pomieszczenia tętniące za dnia życiem, wieczorem spowijała cisza. Wcześniej wypełnione gwarem, teraz emanowały pustką i bezruchem. Mimo to, kiedy policjant patrzył na korytarz i biurka, mógł w jednej sekundzie przywołać obraz wszystkich rozmów i przesłuchań, do których doszło tu kilka godzin wcześniej. Bo wieczór był czasem gorzkich podsumowań, rozrachunków i retrospekcji.

W ten środowy wieczór Żółtko wiedział, że kilka odkryć posunęło sprawę do przodu, podczas gdy inne sprowadziły ją na niewłaściwe tory. Nowy podejrzany. Dom przy Batorego 5, samochód Młotkarza. Całość ciągle nie krystalizowała się w jasny obraz, a mimo to aspirant miał wrażenie że choć rozwiązanie jest na wyciągnięcie ręki, to równie dobrze mogą na nie nigdy nie wpaść. Wynik wciąż był niepewny.

Śmierć Halickiego nim wstrząsnęła. Nie miał o komendancie dobrego zdania, ale to właśnie on go tu zatrudnił i to on kilka razy zatrzymał się przy tym biurku, gdy Tomek wieczorową porą przekopywał bazy danych. Teraz nie było ani komendanta, ani komendy. Wszystko w rozsypce.

– Czy jest detektyw Brodzki? – spytała drobna dziewczyna w białym bawełnianym T-shircie.

– Tu nie można przebywać, proszę stąd wyjść – rzucił opryskliwie Żółtko. Zaraz jednak przypomniał sobie, że kiedy ostatnio ktoś szukał

Brodzkiego, okazało się, że miał do przekazania cenne informacje. Spojrzał więc na dziewczynę i dopiero teraz ją rozpoznał. – A, to ty... Czemu go szukasz?

– Nie mogę się z nim skontaktować. – Berenika podeszła energicznym krokiem i rzuciła torbę na biurko.

– Może dlatego, że jesteś wtyczką prokuratora? – Żółtko oparł się i spojrzał przenikliwie. – Wiesz, ja nie lubię źle myśleć o ludziach, naprawdę. Ale to...

– To bzdura. Mauer kłamie.

– Leon dzwonił do mnie niedawno. Powiedział, że to ustawka i że go wrobiłaś. I jeszcze chciałaś zrobić z niego wariata.

– To nieprawda! – broniła się. Założyła ręce na biodra. „Te ręce, nigdy nie wiadomo, co z nimi robić” – pomyślała. – Przyjechałam tylko napisać reportaż. Nie wiedziałam, że prokuratura miała z tym coś wspólnego. Jestem dziennikarką, nie hieną.

– I dlatego urządziłaś prowokację na poziomie matki małej Madzi na koniu z okładki „Super Expressu”?

– O czym ty mówisz?

– O przebierankach w czerwone płaszczyki, w których biegałaś po mieście. Myślisz, że to zabawne? – Tomek ruszył do okna. W oddali pobłyskiwały wieże kościołów toruńskiej Starówki. – Że ktoś to przeczyta w gazecie i zacznie się zastanawiać, do czego media są w stanie się posunąć? A może chciałaś zrobić z Brodzkiego czubka?

– W nic się nie przebierałam! Udowodnię ci to!

– Niby jak?

– Sprawdźmy monitoring, to się przekonasz.

– Daj mi spokój. Ta sprawa jest smutna i cholernie druzgocąca. A ty chcesz się po prostu wybić.

– Przyjechałam do Torunia z zamiarem napisania dobrego, ostrego reportażu. Przyznaję, myślałam od początku nad konstrukcją tekstu pod kątem czytelników i sama układałam sobie narrację, z góry znając zakończenie. – Usiadła i oparła głowę na dłoniach. – Ale wszystko się zmieniło, kiedy poznałam sprawę od środka. I kiedy na własnej skórze odczułam, że ktoś dybie także na moje życie.

– Nikt ci nie kazał się w to wplątać. Zachowujesz się jak te wszystkie babki z manifestacji, które najpierw kładą się na ziemi i blokują marsz, a kiedy policja chce je usunąć, wrywają się tak długo, aż same sobie robią krzywdę. Idą potem do Polsatu i mówią na antenie, że demokratyczna Polska się skończyła. – Żółtko zbliżył się do Bereniki. – To nie twoja wojenka, rozumiesz? Wpakowałaś się w to z własnego kaprysu, dziewczyno.

– Wiem, że Brodzkiemu coś grozi, tak jak wiem, że coś grozi temu miastu.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

– Na początek sprawdź monitoring... – poprosiła, odgarniając włosy za ucho. Zrobiło to odruchowo, ale właśnie w tym momencie zdała sobie sprawę, że jest to jeden z tych gestów, którymi kobiety manipulują mężczyznami. Niektóre robią tak od dziecka, inne nigdy się do tego nie posuwają. A Berenika nauczyła się tego właśnie teraz. Musiało podziałać, bo aspirant Tomasz Żółtko podszedł do komputera przy oknie i włączył aplikację z podglądem monitoringu miejskiego. – Dwunasty września, poniedziałek, ulica Podmurna, około dwudziestej drugiej.

– Słuchaj, komenda policji to nie informacja turystyczna – bąknął od niechcenia, scrollując pliki. – A policjanci to nie twoje ziomki z knajpy czy zakładu fryzjerskiego. Naprawdę mamy co robić. Mało się dziś naoglądałaś trupów?!

– Pokaż ten monitoring. Przewiń do godziny dwudziestej. Może w ten sposób przestaniesz mi wmawiać coś, co jest nieprawdą.

Żółtko pomajstrował przy podglądzie, w końcu w lewym górnym rogu pojawiła się data i godzina.

*12/09/2016 20:00:01 Podmurna / Szeroka*

*12/09/2016 20:00:01 Podmurna/Mostowa*

– A teraz patrz – wskazała na ekran. W prawym kadrze widoczna była Berenika, w lewym biegła postać w czerwieni. – Teraz!

– A niech mnie. Duchy!

Ulicą Szeroką istotnie biegła postać w czerwonym płaszczu. Kamera zainstalowana była na narożnej kamienicy empiku, pokazując perspektywę ulicy Szerokiej w kierunku Rynku Staromiejskiego. Postać zniknęła w ulicy Podmurnej, za restauracją „Róże i Zen”. Chwilę później w kadr wbiegł Brodzki.

– A teraz przełącz na Podmurną koło Dworu Mieszczańskiego, tam, gdzie zakręca do Mostowej.

Tomek poprzestawiał suwaki. W kadrze widoczna była Berenika leżąca na brukowej kostce. Po mniej więcej minucie zjawił się Brodzki. Potem opuścili kadr, kierując się w Mostową.

– Jeśli sądzisz, że potrafię się teleportować, to spójrz na godziny i minuty. Jestem tam w tym samym momencie, w którym czerwona postać biegła Szeroką.

Aspirant przytaknął. Na piętrze rozległ się dźwięk telefonu alarmowego. Tomek odebrał.

– Gdzie? Przyjąłem. – I zerwał się do wyjścia

– A co z nagraniami?

– Polowanie na duchy musimy odłożyć. Najpierw trzeba złapać kogoś, kto ma ciało. Ciało to goni właśnie Brodzki.

– Mogę z tobą jechać?

– Przykro mi. Dla dobra sprawy będzie lepiej, jeśli nasze ścieżki już nie będą się krzyżować. – I wybiegł.

Berenika zabrała swoją torbę i również ruszyła do wyjścia. Gdyby spojrzała na monitor, zobaczyłaby nagranie z 20:00:01, zrobione z kamienicy redakcji „Nowości”, gdzie kamera skierowana była w stronę ulicy Szerokiej. Z dwóch nagrań z tego samego czasu wynikało, że postać w czerwonym płaszczu po prostu rozpułnęła się w powietrzu.

Zbrodnia w mieście T.  
Reportaż Bereniki Vesper

Część szósta

*Z Markiem Benerem spotykamy się przy fontannie „Cosmopolis”. Z głośników wybrzmiewa muzyka Michała Lorenca z filmu „Bandyta”, zsynchronizowana z kolorowymi strumieniami wody. To jedna z ostatnich czynnych we wrześniu plenerowych atrakcji turystycznych. Wokół skweru zgromadziły się dziesiątki ludzi – rodzin z dziećmi, zakochanych. W tle przemykały żółto-niebieskie tramwaje i białe autobusy komunikacji miejskiej. Pachnie latem odchodzącym na zasłużony odpoczynek.*

*– Dobrze. Chcesz wiedzieć, kim jest Leon Brodzki? A może uważasz, że go poznałaś? – Bener jest spokojny i wyważony. Dostrzegam, że zniknęła z niego pyszałkowatość i ironia. Po prostu pierwszy raz traktuje mnie serio i pokazuje swoją prawdziwą twarz. Lubię go.*

*– Kiedy pierwszy raz cię o niego pytałam, nie powiedziałaś mi właściwie nic – zauważam, zakładając dżinsową kurtkę. Dopiero teraz się orientuję, że mamy podobne.*

*– A co sobie myślałaś? Że przyjedzie panienka z Warszawy i dostanie wszystko na tacy? Z tą panienką oczywiście żartuję... – Bener w porę się poprawia. Kiedy widzieliśmy się pierwszy raz, jego niewybredne żarty wzbudzały we mnie niechęć. – Coś ci powiem. Widziałem ostatnio taki filmik. Gość przedstawił algorytm na ułożenie kostki Rubika. Kilkanaście liter z jakimś symbolem w rodzaju alfa albo beta. Pokazał, jaki ruch kostką przypisany jest do poszczególnych symboli. Poprzekręcał kostkę w przypadkową konfigurację, a potem zaczął układać zgodnie ze wzorem.*

*– Może sobie darujesz te lekcje wiedzy o społeczeństwie? – pytam, ale staram się nie zdradzać zniecierpliwienia. Bener zdaje sobie sprawę, że go nagrywam, i wie, dlaczego to robię.*

*– Jak chcesz być dobrą reporterką, to słuchaj. Facet układa według*

*tego wzoru, układa. I bach, wyszło mu. Film zdobył miliony wyświetleń. No bo pomyśl tylko, nagle jest jeden prosty sposób, żeby osiągnąć zajebisty efekt. Ale po kilku godzinach zaczęły się pojawiać negatywne komentarze, a w końcu hejt. Powód? Algorytm za cholerę nie działał. Wiesz, co się okazało? – pyta, ale zbywam go milczeniem. – Masz spytać „Co było dalej?”.*

*– Co było dalej? Co było dalej, reporterze Bener?*

*– Spieprzaj! – Benerowi udało się mnie rozśmieszyć. – Facet opublikował wtedy post, w którym napisał, że ludzie są idiotami, jeśli sądzą, że zrobią coś na skrót. Gdy rozkładał kostkę na niby przypadkowe ułożenie, w rzeczywistości wykonywał tę samą sekwencję ruchów. Dlatego kostka się ułożyła. Jego przekaz był prosty. Żeby coś osiągnąć, trzeba ciężko zapierdalać. Nie ułóżysz kostki Rubika w pięć minut. Nie poznasz Brodzkiego w dwa dni.*

*– W takim razie opowiedz mi o nim. Opowiedz mi naprawdę, kim jest Leon Brodzki. Czy zrobisz to dla mnie? Proszę... Opowiedz to swoimi słowami. Jak Marek Bener, dziennikarz. Chcę cię zacytować w reportażu. Serio.*

*– Napiszesz o tym w reportażu?*

*– Tak. Wiesz, teoria decydującego momentu.*

*Widzę błysk w oku Benera. Nabiera powietrza i zaczyna:*

*– Jest taki gość, który lubi posyłać za kratki.*

*– Leon Brodzki.*

*– Pozwól, że ci go przedstawię albo zapowiem. Nie, Leon Brodzki nie należy do gości, którzy lubią, gdy się ich zapowiada. To nie ksiądz po kolędzie. Detektyw Brodzki, i tu uwaga, Bereniko, przemycamy czytelnikom ważny komunikat: Brodzki jest gliniarzem, no więc lubi puszkować morderców i obijać mordy stulejarzom w Toruniu i okolicach. Tropi dilerów, rozbija meliny. Tych, których nie lubi, nokautuje. Kocha córkę, żonę, winyle i camele z miękkiej paczki. No dobrze, była żoną.*

*– Kocha ją.*

*– To była żona.*

*– Masz problem z byłymi żonami?*

*Bener zastanawia się chwilę. Ciekawe, czy stanęła mu przed oczami Agata.*

*– Nie mówmy o mnie. Mówmy o Brodzkim, o tym, co lubi. Mało zresztą będzie o tym, co kocha i lubi. W sumie słabo wyszło, że muszę mówić za niego, ale zaraz wytłumaczę, w czym rzecz. Brodzki nie przedstawia się jak James Bond, choć w trafnych powiedzonkach go przewyższa. A ja przewyższam jego... Nie nosi drogich garniaków, jedynie kurtkę marki Henri Lloyd, granatową, T-shirt, dżinsy, półbuty. Nie chodzi w mundurze. Jako podkomisarz nosi po prostu blachę i klamkę. Tak go widzę. W płaszczu akurat wygląda śmiesznie... – Tu przerywa, by zachichotać pod nosem. Odchrząkuje i kontynuuje. – Zapisujesz?*

*Przytakuję.*

*– Lubi te momenty, kiedy goście ze złamaną szczęką mówi coś w rodzaju: „Dałbym ci gumę do żucia, ale sobie do reszty mordę spacyfikujesz”. Rozumiesz? Ma to coś. Jeśli o Bonda chodzi, to zamiast siorbania wermutu, woli ciekący płyn hamulcowy. Nie żeby gustował w estrze glikolu, ale jeśli przetnie przewody jakiegoś typowi i facet po dachowaniu odda czarny notes z nazwiskami, to ta chwila triumfu upoi Brodzkiego bardziej niż najlepsze martini z najlepszą oliwką wysysaną z falujących piersi najpiękniejszej Haitanki.*

*– Nie dam głowy, że to zacytuję.*

*– A ja nie dam głowy, że nie przeciął przewodów Laczowi, ale to inna historia. Chłopak, tak czy inaczej, lubi swoją robotę. A ta robotą lubi jego. Było tak przynajmniej do niedawna. W każdym razie Brodzki opowiedziałby o tym, jak został gliną, jak złapał pedofila mordercę i odkrył zwłoki dziecka. Taki miał początek, wyobrażasz sobie?*

*– Historię Dziewczyny w Czerwonym Płaszczu przytoczyłam w poprzednich częściach reportażu.*

*– Koniec lat osiemdziesiątych. Jesteś w akademii, jedziesz na patrol, twoja codzienność upływa na ślaniu łóżka co rano o szóstej do inspekcji. A jak paproch zostanie na kocu albo nierówno zagniesz*

rogi, to za karę robisz komety podczas treningu. Znaczy, kompania biegnie w grupie, a ty biegasz dookoła nich. Taka zaprawa. No więc jesteś w akademii. Ojciec, milicjant, ciśnie ci, żebyś był równie dobry jak on. Nie uśmiecha ci się taki ciężar, zwłaszcza że młodszy brat ma lżej i chce uciec spod ręki Franka Brodzkiego jak najszybciej. Masz dobre serce, ale wiesz, że czasy nie są dobre. Jak być szeryfem w zepsutym świecie? Jest koniec lat osiemdziesiątych. I nagle jedziesz na patrol. Zauważasz podejrzanego gościa pod jedną ze szkół. Zatrzymujesz go. Okazuje się mordercą. Rutynowy patrol w nysce, na pace starsi stopniem, co mówią „nie pijesz, nie jesteś psem. Będziesz pił, to może zostaniesz”. Ale to nie oni, ale szczeniak, syn starego Brodzkiego, łapie pedofila za rękę i tę rękę mu obrączkuje na cacy. Facet trafia na stryczek. Wyobrażasz sobie? Facet wisi przez ciebie, ale i dzięki tobie. Mocny początek. Brodzki by opowiedział, co było dalej. Jak został bohaterem. Opowiedziałby o zastrzeleniu kibica, który chciał zasztyletować jego ojca. A może i by nie opowiedział. Zależy, jaki miałby dzień. Jeśli pogoda byłaby pod psem, to zaszyłby się w jakimś barze.

– Może w „Zezowatym Szczęściu”.

– Tak, może w „Zezie”. A może wybrałby „U Kaduka”. Albo „Pod Kotwicą”.

– Tam chyba często przesiadują tacy jak on, zagubieni faceci szukający zagubionych kobiet. Jak Marek Bener...

– Ale o nim będzie kiedy indziej.

– Marek Bener ma czerwone trampki i jest dziennikarzem.

– Vesper, jak cię... – grozi mi palcem, ale nie ma co, nawet zrobiło mu się miło, jak opowiadałam o nim w trzeciej osobie.

– Przepraszam, mów.

– W każdym razie Brodzki by opowiedział, jak został gwiazdą policji. Trafił nawet na plakaty informujące o numerze alarmowym 112. Wisały na wiatach.

– To chyba duża rzecz.

– Część z nich została oblana ekskrementami, część miała dorysowane genitalia do gęby.



– Cofam poprzednie.

– Ale tak naprawdę miasto spało spokojnie. Czego nie da się o mieście powiedzieć teraz. Był szeryf z gwiazdą, więc była i cicha preria. Kilka dni temu ocalał miasto z rąk szaleńca. Na pewno widziałas w telewizji, a na pewno czytałaś w gazetach, bo mi o tym mówiłaś. Zrzucił z gotyckiej wieży faceta, a ten przeżył! Powtórzę: zrzucił faceta z wieży. Jak gdyby nigdy nic ruszył w pościg starym fiatem, była to taksówka należąca do Henia.

– Nie wierzę! Heniu i pościg? Najwyżej taki z grupą turystów przez Starówkę...

– Może kiedyś uwierzysz w Ostatniego Mohikanina.

– Może. – Odnotowuję w notesie.

– W każdym razie Brodzki dogonił faceta na toruńskiej Starówce. Trochę się poszamotali na szczycie ratusza.

– Widziałam zdjęcie. On na wieży, a facet leci w dół jak szybowiec.

– Było o co się szarpać, bo gość zamordował kilka osób, a na koniec porwał jego ojca, Franka Brodzkiego, emerytowanego glinę. Wiesz. Toruń nigdy nie był miasteczkiem Twin Peaks ani San Francisco, ale Brodzki był kimś w rodzaju Harry'ego Callahana. Oczywiście takie magnum, jaka strzelnica.

– I tacy Don Juani jaka Florencja?

– Ale roboty nie brakowało. Meliny, kopulodromy, pralnie brudnego szmalu, burdele z nastolatkami, Brodzki widział wiele.

– Można więc powiedzieć, że mamy w punkcie wyjścia szlachetnego gliniarza z zasadami, który zasady te często ustala sam. Grunt, że miasto T. śpi spokojnie.

– Tak, Bereniko. I ten gliniarz, choć nie jest gadułą, być może, mając dobry dzień, powiedziałyby co nieco o historii tego miasta i swojej parszywej robocie. Byłoby o czym opowiadać. Czemu więc się wpięprzam i mówię za niego?

– Bo Brodzki walczy teraz z całym światem?

– No widzisz. Paradoks, niby pies, a dopiero co był jak tuńczyk w puszcze. Mówią, że zabił człowieka. Mordercę, dla jasności. Ale chodzi o to, że nie na akcji, nie podczas nalotu, tylko podczas

*przesłuchania. A nawet nie podczas przesłuchania. Po prostu wszedł do „okrąglaka”, powiedział chłopakom z SW, że żąda z nim widzenia. A to było bardziej „do widzenia”. Jak wszedł, tak go zarznął jak świniaka. Ofiara świnią była jeszcze za życia, ale Brodzki zadbał o odpowiedni make-up i scenografię. Facet wykrwawił się jak prosiak.*

*– A ty co myślisz?*

*– Mówią, że to Brodzki. Utrzymywał tak komendant Halicki. Prasa niby nie wierzy, ale wietrzą sensację. Nie wierzą policjanci, ale są w szachu, bo nie mamy komendanta, a Mauer nie jest niebieskim.*

*– Spytałam, co ty myślisz.*

*– Nie wierzę. I nie wierzy też Brodzki. A ty, Bereniko Vesper? Nie odpowiadam.*

*– Odpowiedz.*

*– Myślę, że jest tym dobrym.*

*– Blisko. Jest dobrym i złym jednocześnie. Inaczej dawno by nie żył.*

*– Ale nie wierzę, że zabił tego w celi.*

*– No i masz swój reportaż. A teraz leć, agentko Starling.*

## 19

Od spotkania z Brodzkim i Mauerelem Nowak nie mógł zmrużyć oczu. Po wybudzeniu zmniejszono mu dawki leków, teraz przyjmował już samą kodeinę, bez morfiny. Pozwalało mu to trochę przytomniej ocenić sytuację, w której się znalazł. Oczywiście wciąż czuł się jak po wybudzeniu z hibernacji, ale bardziej był już jednak po tej stronie niż po tamtej. Gdy przeanalizował wydarzenia sprzed wypadku, a potem posłuchał informacji z grającego na korytarzu telewizora, zrozumiał jedno: że wciąż grozi mu niebezpieczeństwo. Zapewne dlatego jego brat zostawił mu pod poduszką pistolet.

Było już po północy, kiedy usłyszał w ciemnościach skradające się kroki. Mrużył oczy, udając sen, choć w rzeczywistości zaciskał pod poduszką walthera z lufą skierowaną w stronę wejścia. Gdy ciemna sylwetka była tuż obok jego łóżka, wyszeptał:

– Ani kroku dalej. – Aparatura monitorująca jego tętno pokazała podwyższone wartości. – Mam cię na muszce.

– Przecież to ja, orle – zaśmiał się znajomy głos. Gdy człowiek wszedł w padające zza okna światło latarni, Jacek zobaczył twarz swojego młodszego brata. – Co żeś się tak spietrał? Drugi raz już nikt cię fastrygować nie będzie.

– Jo, łatwo ci mówić, poparzeńcu – mruknął Jacek. Tętno spadło do siedemdziesięciu pięciu na minutę.

– Przyszedłem cię popilnować – odpowiedział Chyży. Był młodszy od Jacka. To on zawsze sprawiał problemy, z których starszy brat, mundurowy, musiał go wyciągać. Napadł kiedyś na Brodzkiego z kumplem, wybili mu zęba. Potem Jacek musiał za niego świecić oczami na komendzie. Teoretycznie wychowywała ich matka, a w praktyce robiła to ulica. – Matka prawie zawału dostała, jak się dowiedziała, co ci zrobili.

– Będę żył. Ty i tak miałaś więcej szczęścia – odparł Jacek. – To ja jestem starszym bratem. Ja powinienem pilnować ciebie... No nie?

– Tak, jesteś starszym bratem. I dlatego nauczyłem się od ciebie, jak o kogoś dbać. Nikt tu nie wejdzie – rzekł, pokazując mu kij bejsbolowy z niebieskimi naklejkami Elany Toruń. – Dobra nasza?

– Jo! – zaśmiał się cicho sierżant Nowak. Choć i tak wiedział, że dzisiaj oczu nie zmrúży.

## 20

„Nic nie widzę. Kurwa, nic nie widzę! Zaraz, spokojnie, co się dzieje? Zajezdnia, tunel, czerwony płaszcz. Gdzie ja jestem? Ile czasu minęło? I dlaczego tak napierdala mnie głowa? Boże, ten ból jest nie do wytrzymania. Promieniuje na wszystkie strony: od potylicy, przez skronie i całą czaszkę. I w dół, przez kark i kręgosłup. Jakbym dostał z liścia od rozpędzonej lokomotywy. Kurwa, gdzie ja jestem? Czuję wiatr, jestem na otwartej przestrzeni. Czy jest tu ktoś? Słyszać tylko podmuchy wiatru. Pod nogami mam kamienie. Jaki mają kształt? To... Zaraz, to tłuczeń kolejowy, kamienie absorbujące wibracje

pociągów! Jestem na szynach albo obok nich. Ale gdzie? Jedna szyna, podkład, druga. Pięknie, leżę na torach. Są dość szerokie, więc to tory kolejowe. Boże, czemu nic nie widzę? Jezu, jak mnie boli głowa. Moje oczy... Ręce śmierzdzą mi smarem i olejem napędowym. Jestem przy torach. Czy to... Przykładam ucho do szyny. Jest zimna, pachnie rdzą. I ten charakterystyczny dźwięk. Nadjeżdżający pociąg. Jest jeszcze daleko, szyny przenoszą dźwięk dużo szybciej. Cholera, pociąg. Pociąg! Muszę stąd spierdalać! Ale w którą stronę? Spróbuję w tę. Kurwa, wałnąłem kolanem o drugą szynę, prosto w rzepkę. Ja pierdołę, jakie to przejebane nic nie widzieć. Wpadasz na wszystko po drodze, przestrzeń jest jedną wielką zapadnią. Przeczotłuję się z torów. Idę dalej, mały parów. Czy dam radę się sturlać? A co, jeśli to jakiś wiadukt? Przesunę się jeszcze kawałek. Kurwa, rozbiłem głowę. Co to jest? Skrzynka, słup. Słup trakcyjny. Więc jeśli przycupnę przy nim, nic nie powinno mi się stać. Pociąg jest coraz bliżej. Jak ja tu trafiłem? Czemu nic nie widzę? Czemu nic nie widzę? Dotykam powiek, ruszam gałkami ocznymi. Czuję je, nie bołą mnie, ale boli mnie wszystko w czaszce od jakiegoś potwornego uderzenia. Skóra w tym miejscu jest nagrzana. Moja głowa aż paruje od tego bólu. Kurwa, nie wytrzymam. I jeszcze ten huk. Pociąg jest coraz bliżej. Coraz bliżej. Maszynista trąbi, słyszę potworny pisk. Nie! Kurwa! Nie! Głowa zaraz mi eksploduje!”

Leona Brodzkiego ani nikt nie widział, ani nikt nie słyszał. Siedział skulony przy betonowym słupie, trzęsąc się z bólu. Kiedy tabor przejechał, Leon padł wycieńczony na ziemię. Trzęsącą się ręką wymacał kieszenie spodni. Był w nich telefon. Przejechał dłońią po klawiaturze, wizualizując sobie rozkład jej klawiszy. Przy tak ćmiącym i rozrywającym bólu głowy nawet prosta czynność nastęrczała trudności. Był to ból porównywalny z zatruciem ciężkim bimbrem i nokautem przez końskie kopyto. „Jak to mówił Żółtko?” – Brodzki próbował sobie przypomnieć rozmowę sprzed kilku dni. „Żeby wcisnąć jeden klawisz z numerem do Tomka... Pierwszy z lewej, u góry. Ale gdzie jest zielona słuchawka? Chyba wyżej”. Naciśnięcie klawiatury wydało dźwięk. Po chwili trafił w słuchawkę

i w głośniczku usłyszał odgłos oczekiwania na połączenie. Próbował spowolnić oddech, ale był bliski z wymiotowania z bólu. Żółtko w końcu odebrał.

– Kurwa, nic nie widzę, nie wiem, gdzie jestem – wyjęczał.

– Mów, co się dzieje.

– No przecież, kurwa, mówię. Wywieźli mnie dokądś. Nie wiem, gdzie jestem. Leżę na torach. Nic nie widzę.

– Jakoś cię znajdę.

– Może, kurwa, przejdź się jutro po kostnicach.

– Mam pomysł, nigdzie się nie ruszaj.

– Wiesz, miałem właśnie iść pograć w hokeja. Pewnie, że nie będę się stąd ruszał. To akurat nie będzie trudne.

– Wezmę radiowóz i włączę syrenę. Będę jeździł po mieście tak długo, aż coś usłyszysz.

– Po mieście jeździ wiele radiowozów.

– Dam na 112, żeby nie włączali. Leon, znajdę cię, słyszysz?

Oddech Brodzkiego w jednej sekundzie jakby spowolnił. „Czy to możliwe – myślał – że aż tak ufam Żółtce?” Jego podświadomość najwyraźniej ufała. Przycisnął telefon do siebie i znów wtulił się we wnękę przy słupie. Wiał nieprzyjemny wiatr. Powietrze miało kamienno-metaliczny zapach, coś pomiędzy węglem a stopioną cyną.

Kilkanaście minut później telefon Brodzkiego zadzwonił ponownie.

– Słyszysz coś?

– Tylko twoje pierdolenie.

– Czekaj... – I Żółtko znów się rozłączył.

Miasto pulsowało gdzieś w oddali swoim rytmem. Klaksony przebiegały się z odległych miejsc ledwo dobiegającym echem. Gdzieś dużo bliżej, z lewej strony, Leonowi zdało się, że słyszy wycie psa. Dźwięk ten wydał mu się nawet znajomy. Bo nie tak dawno pewien czworonóg był jego towarzyszem, ale zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił.

Po kolejnych pięciu minutach gdzieś w oddali Brodzki usłyszał policyjne syreny. Zaraz potem odebrał telefon.

- A teraz? – spytał aspirant.
- Słyszę gdzieś sukę.
- To ja.
- No patrz, niby pies, a suka.
- Leon, skup się. Jak opisałbyś dźwięk?
- Rozmyty, daleko przede mną. Z prawej chyba słyszałem głośniki dworcowe.
- Słyszałeś stację?
- Obstawiam Wschodni albo Kluczyki.
- Jadę właśnie Chopina, więc to musi być gdzieś na Kluczykach. Niedługo będę.

Leon ulokował się w szczelinie przy transformatorze. Wyczuł pod nogami uskok w nasypie, był przynajmniej dwa metry od torów.

„Pracuję w nocy, żeby mieć spokój” – myślał Brodzki. „Lubię ciemność i mrok, to moje naturalne środowisko... Jak przyjadę na miejsce, to bardzo chętnie bym porozmawiał, ale mam robotę do zrobienia. A w nocy jest spokój, cicho, można działać, jak teraz. Jak znajdziemy ciało w rzece, to wydobywamy je z wody, dopiero jak przyjedzie prokurator. Bo ciało rozkłada się na naszych oczach. Wyjmiesz, kilka sekund i zaraz zmienia kolor. Tak, wolę nocą. Grunt, żeby było trochę światła i żeby było cicho. Mrok jest przyjacielem. Oplata...” Powoli zasypiał. Ból zelżeje we śnie.

Pogrążony był w kompletnym mroku. Ciemna zawiesina opłotła go i nie zamierzała ustąpić.

Po około piętnastu minutach policyjne syreny Brodzki usłyszał z bardzo bliska, ale jakby przez sen. Dudniące echem, odrealnione. W rzeczywistości Żółtko dojechał Nieszawską do Krowiego Mostka, wdrapał się na nasyp i ruszył przez torowisko.

– Leon! – usłyszał w oddali, ale nie był w stanie odpowiedzieć takim samym krzykiem. Czuł się jak w tych momentach, kiedy człowiek zasypia niespodziewanie po południu, a gdy się budzi, nie wie, czy spał pięć minut, czy pięć godzin i czy bardziej wraca stamtąd tu czy też stąd powinien się przemieścić na drugą stronę. – Leon! – znów zadudniło, tym razem bliżej.

– Ja... – próbował coś powiedzieć. Usłyszał kroki, coraz bliżej, i chrobot nadeptywanych przez czyjeś buty kamieni.

– Leon! – zabrzmiało tuż obok niego. – Jesteś, mam cię!

Po chwili oplotły go czyjeś ręce. Dotknęły głowy, oczu. Ktoś zarzucił sobie jego ramię za głowę i go podniósł. Próbował dreptać nogami, ale przypominało to senne chodzenie po tafli wody. Kiedy usiadł w fotelu, poczuł w ustach zimną wodę. Pierwszy łyk wypluł, krztusząc się, ale kolejne przyjął z ochotą. Po piątym czy szóstym powoli wróciła mu świadomość. Czuł zimny pot na rozgrzanej skórze pleców i ramion. Jego serce waliło teraz szybko, to adrenalina uruchomiona przez zmysł przetrwania pompowana była teraz do krwiobiegu.

Był w samochodzie. Ktoś zapiął mu pasy i ruszyli. Po kilku minutach znów się zatrzymali. Otworzono mu drzwi pasażera. Brodzki opierał na nich głowę, więc poleciała w dół. Ktoś go podniósł i oparł o fotel. Pachniało benzyną.

– Masz, okład... – I uczył nagle wielką ulgę. Położono mu na karku worek lodu. Z każdą sekundą wracała mu świadomość. Po chwili zobaczył świetlne plamy. Potem wzór w kształcie muszli. Żółty, w czerwonej obwódce. Rozejrzał się na boki. Był na stacji Shell przy placu Armii Krajowej. Na fotelu kierowcy siedział aspirant Tomasz Żółtko.

– Tomek... – wymamrotał. – Co tak długo?

– Wybacz, zapomniałem karty na prowadzenie śmigłowca. Jak się czujesz?

– Jakby kowal pomylił mój kark z kopytem konia i próbował mi przybić hufnałem podkowę.

– Pamiętasz cokolwiek?

– Czerwony płaszcz... Zajezdnia MZK.

– Szukaliśmy cię tam godzinę temu, ale przepadłeś.

– Gonilem kogoś przez Kozackie Góry, potem przez zajezdnę. Wpadłem do kanału w zajezdni i... obudziłem się tu.

– Czemu właśnie tu?

– Ciężko mi w tej chwili idzie dedukcja. Ale kojarzę, że mam lewą

i prawą stronę ciała, to już dużo.

– Wiesz, że leżałeś nad Krowim Mostkiem? Pięćdziesiąt metrów od ulicy Wiślanej?

– Dziewczyna w Czerwonym Płaszczu i Szabański.

– Bingo. A teraz zgadnij, gdzie mieszkał twój Spider z celi.

– Błagam. – Brodzki poprawił łód na karku.

– Sto metrów od Garbatego Mostka. Wszystko zaczyna mi się układać.

– Brawo ty. Czy masz w tym planie odwiezienie mnie do hotelu?

– Przecież jedziemy od pięciu minut.

Dopiero teraz Leon zauważył, że są już na skrzyżowaniu Odrodzenia i Szosy Chełmińskiej

– Jutro wyślemy techników. – Aspirant był bardzo konkretny. – Jeszcze raz przekopimy bazy samochodów.

– Dobrze. Jeśli tylko będę w stanie się jutro ruszyć, osobiście obję mordę Alfa, a Młotowi, jak będzie trzeba, wsadzę do gardła paralizator. Może mu się odblokuje pięta klepka i coś sobie przypomni. Może przy okazji i mi się przypomni, jak tam trafiłem.

– Słyszałem gdzieś niedawno rozmowę, że tylko czekać, aż ktoś opisze nasze zmagania w Toruniu. Doda trochę pościgów, wybuchów, hollywoodzkiego rozmachu i będzie książka. Ty będziesz Harrym Callahanem, a ja...

– Harrym Potterem.

– Bardzo śmieszne, naprawdę. – Tomek pokręcił głową. Minęli właśnie komisariat przy Grudziądzkiej. – Na pewno nie chcesz jechać do lekarza?

– Okład wystarczy. Mam swoją teorię, czemu w wiadomościach tyle się mówi o trupach.

– Czemu?

– Chodzi o zmaganie ze śmiercią. Uważam, że mamy w DNA datę końcową.

– Jak w tych głupich programach w internecie, że sobie wpiszesz i się dowiesz, kiedy umrzesz? – Tomek zajechał przed hotel „Filmar”.

– Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś nie umarł. Każdy z nas wie, że



kiedyś umrze, tak? – spytał, masując sobie obolały kark. Zaczął wreszcie widzieć wyraźnie. Jedna wiązka bólu, miażdżąca dotąd całą głowę, puściła.

– Tak, ale nie myślisz o tym, kiedy jesteś młody.

– Przez historie o Kubie Rozpruwaczu jakaś część naszej głowy wrzuca te doświadczenia do szufladki odpowiedzialnej za naszą egzystencję. Kryminały są odpowiedzią na lęk przed śmiercią i próbą oswojenia jej. – Brodzki otworzył drzwi i powoli wygramolił się z auta, nie zdejmując okładu z karku. Po jego rękach spływała rozmrożona woda.

– A czy... – Tomek również wysiadł. – Odprowadzę cię. A czy tak samo nie jest z naszą pracą?

– Chyba sobie właśnie odpowiedziałeś na to pytanie. Walczymy ze śmiercią we własnej osobie – rzekł, pokazując na swój kark.

I weszli do hotelu. W windzie nic nie mówili, choć obaj wiedzieli, o czym złowieszczo milczą. Plany Elfa wciąż pozostawały nieodgadnione. Wiadomo było jednak, jak wygląda. I że chce zrobić coś bardzo niedobrego.

**15 WRZEŚNIA 2016**

## 1

*Aktualizacja, 8:00*

Z ZAJEZDNI AUTOBUSOWEJ Miejskiego Zakładu Komunikacji na Koniuchach w Toruniu skradziono autobus niskopodłogowy marki solaris urbino 18.

– Z naszych informacji wynika, że autobus wyjechał z parku maszyn w godzinach nocnych. Nie jesteśmy na ten moment w stanie wyjaśnić, w jaki sposób pojazd uruchomiono. Stratę wyceniono na sto siedemdziesiąt tysięcy złotych – przekazał rzecznik prasowy MZK sp. z o.o. Krystian Sztafke.

Pozostałe informacje z miasta:

Już dziś o godzinie 13.00 uroczyste przekazanie pamiątek z pielgrzymki do Camino de Santiago. W konferencji wezmą udział marszałek województwa, prezydent Torunia oraz ojciec Tadeusz Majbach.

– Dla każdego ta podróż wiedzie innym duchowym szlakiem. Jedni przemierzają ten dystans, by pojednać się z Bogiem, inni dla satysfakcji, medytacji – mówi uczestnik Jan Kancelista. Wtóruje mu Tomasz Bielicki, współautor przewodnika po kujawsko-pomorskim odcinku szlaku Świętego Jakuba. – Szlak jest jak narkotyk. Cieszymy się, że władze regionu chcą się włączyć w popularyzację Camino de Santiago. (*źródło: „Nowości”*)

## 2

Historia zatoczyła koło. Po niespełna tygodniu Berenika Vesper stała przed tymi samymi drzwiami pokoju hotelowego i właśnie przekręcała klucz w zamku, kiedy dostała wiadomość tekstową.

SMS

*Od: Anna Tekla*

*Do: Berenika Vesper*

*15/09/2016 09:17*

Nie miałam wyjścia. Wołałabyś wyłudować w więzieniu? Nie mam na to nerwów. Skończ pisać i wracaj. Nie wszyscy muszą ratować świat. Ja na razie chcę uratować twój tyłek.

„Jak odróżnić wyjazd od ucieczki” – zapytała siebie w myślach. „Jak ocenić, na ile zrobiłam wszystko, co mogłam? Jaki właściwie był cel? Reportaż, zmaganie z samą sobą, a może – kolejny raz – ucieczka?”

Uciekam bardzo często, a każda ucieczka jest protezą dla życia. Uciekam w pracę, uciekam w samotność, aż w końcu uciekam w całe to uciekanie. Pędzę za informacjami o świecie, ale telefonów od samej siebie nie odbieram. Podobno Bill Gates powiedział, że „zanim zaczniesz ratować lasy deszczowe, powinieneś zacząć od posprzątania swojego pokoju”. Może na tym polega problem? Mój pokój każdego dnia jest gdzie indziej, dlatego wybrałam taką pracę. Kiedy wracam na Żoliborz i kładę się na materacu pod ścianą, to wiem, że skoro świt znów gdzieś wyjadę. Mają tak sportowcy, żołnierze, dziennikarze. Taka... «wszechcodziennosc». Bo przeżywamy ją wszędzie, gdzie się da, a każde nowe miejsce zasiedlamy sobą równie szybko, jak je porzucamy. Dzięki temu w swoim własnym życiu jestem jak kolonizatorka. Działam od zadania do zadania, od podboju do podboju. Był taki moment po stracie dziecka, kiedy zauważyłam, że coraz łatwiej mi przychodzi zapominanie o sobie. Potrafiłam nagle zaadaptować się do każdego miejsca równie szybko, jak je porzucić. Całe życie walczyłam ze światem dorosłych i światem mężczyzn, choć i z kobietami nie było łatwo. I oto, w końcu, wymyśliłam wtedy, że zamiast zmagać się każdego dnia po prostu zaakceptuję ten brak równowagi.

I od tamtej pory nie potrzebowałam wiele, by czuć się dobrze. Potrafiłam się dogadać z każdym człowiekiem, wpasować się w każdy moment, wyczuwając podskórnie fluktuacje, jakie podsuwa mi rzeczywistość. Jednocześnie coraz mniej się uśmiechałam, coraz mniej byłam spontaniczna, coraz mniej byłam sobą. Jakby moje życie

toczyło się już beze mnie, jakby to była cena, którą płaciłam za spokój. Pewien psycholog powiedział kiedyś, że stabilizacja dla motylka to szpilka.

Ukrzyżowałam się na własne życzenie.

Dużo łatwiej jest żyć życiem innych ludzi i uprawiać swoje życie bez siebie. Możesz wtedy przeżywać całą skalę emocji – jak przy telewizyjnym tasiemcu. Możesz krzyżeć na marszu kobiet, pisać reportaże interwencyjne i walczyć o czyjeś godne pensje i renty socjalne – ale na końcu, nie chodzi o ciebie. Dzisiejszy świat sprzyja «przeżywactwu». Emocje są na wyciągnięcie ręki. Kolejny rezerwat dla misiów panda? Kot uratowany z pożaru? Chłopiec, który miał nie chodzić, a teraz przebiegł maraton? Masz to wszystko. Świat potrafi być wspaniały i inspirujący, każdego dnia możesz przeżywać całą paletę emocji. I potem oglądasz na monitorze w autobusie motywacyjny speech o ratowaniu amazońskich lasów, a jednocześnie nie ustępujesz miejsca starszej osobie, która chciałaby usiąść. Autobus gwałtownie hamuje, starsza pani upada, doznaje kontuzji biodra, a niedługo potem po cichu umiera. I wtedy dopiero masz co przeżywać. Albo tworzysz sobie metrorodzinę – w Warszawie to bardzo popularne – złożoną z przyjaciół, ludzi różnych kultur, z którymi nie łączą cię więzy krwi, ale których nazywasz rodziną. I gotujecie finezyjne dania, spotykacie się na planszówki, podróżujesz i... nie dzwonicz do swojej babci. «Przeżywactwo» jest wygodne i wpadłam w jego pułapkę. Siebie zostawiłam daleko, bardzo daleko – na sali szpitalnej, trzęsącą się w nocy ze strachu, wpatrzoną w zegar, który jakby stanął w miejscu, nie chcąc podarować mi poranka.

Kogo chciałam uratować? Brodzkiego czy siebie? Ten świat czy świat Bereniki? Czy on jeszcze istnieje?” Zadawała sobie w myślach wiele pytań, po czym ruszyła skrzypiącymi schodami na dół.

Była przy recepcji, gdy zadzwonił jej telefon. Musiała zdjąć torbę z ramienia i wykonać całą sekwencję znanych każdemu ruchów, by móc odebrać. Swoją drogą to zabawne, że na telefonach komórkowych do dziś możesz znaleźć przycisk zielonej słuchawki,

która kształtem wciąż przypomina słuchawkę tradycyjnego telefonu. Mówiąc „telefon”, wcale nie mówisz o telefonie.

– Wpadniesz? – spytał Marek Bener.

– Gdzie?

– Na konferencję prasową do Urzędu Miasta. Potem może obiad? Pomógłbym ci skończyć ten reportaż, dopowiedziałbym coś. Tak żeby historia tego tygodnia jakoś zatoczyła koło...

### 3

Było przed godziną jedenastą, gdy na pierwszym piętrze komendy Toruń-Śródmieście zadzwonił telefon. Od kilku dni każdy taki dźwięk brzmiał w głowie detektywa jak dzwon pogrzebowy.

– Tylko żadnych numerów. – Głos człowieka był chłodny i pozbawiony emocji. Brodzki nakrył słuchawkę dłonią i zwrócił się szeptem do Żółtki:

– Szybko, namierzcie mi, skąd dzwoni! – Na słowa detektywa aspirant skinął i przesiadł się do biurka na końcu sali.

– Żadnych zabaw w podchody, bo wszyscy skończą z ołowiem w czaszce – dudniło w telefonie. – Gdy zjawicie się na dworcu autobusowym kwadrans przed trzynastą, ma tam też być Brodzki.

„A więc zaczęło się” – pomyślał Leon. „Antagonista nareszcie odkrywa karty. To dziś. Cała historia wydarzy się dziś. Wszystkie nitki prowadziły do tego dnia i tej chwili”. Uspokoił oddech.

– Przy telefonie – odparł opanowanym głosem detektyw. Mauer machnął mu zdecydowanym ruchem, żeby się nie odzywał i nie prowokował. Gest, który pokazał Brodzkiemu, wyglądał jednak raczej tak, jakby Mauer pokazywał jedzenie rękoma spaghetti. „Cywilni” – przemknęło przez myśl Leonowi.

– Witaj, detektywie. Mam dla ciebie zagadkę – głos w słuchawce zmienił barwę, nie mówiła już ta sama osoba. Brodzkiego zmroziło. Zdecydowanie za często otrzymywał ostatnio propozycje takie jak ta. Jak wtedy, kiedy zadzwonił z telefonu Lacza – ...łatwą, bo jest powtórką, ale trudną, bo nie da się dwa razy wejść do tej samej

rzeki. Czy na pewno jesteś gotów na prawdę, którą odkryjesz?

– Ja już to kiedyś słyszałem! To numer pięćset jedenaście, osiemset sześćdziesiąt siedem, pięćset siedemdziesiąt jeden! – szepnął do Mauera, który wyciągnął parkera z kieszonki marynarki, strzelił przyciskiem i z kaligraficzną precyzją zapisał ciąg cyfr na żółtej karteczce samoprzylepnej. Brodzki patrzył na tę sekwencję ruchów z zażenowaniem. – Może pan jeszcze szlaczek dorysujesz?

Mauer udał, że nie słyszał tej uwagi, i przekazał kartkę Żółtce, który wisiał na telefonie otoczony przez Malborasa i Sawika.

– Obaj wiemy, że moje pytanie jest kurtuazją i nie masz wyjścia. Powtórka? – zakończył głos, po czym rozległ się w słuchawce złowieszczy śmiech.

Prokurator i detektyw spojrzeli na siebie jak po usłyszeniu niesmacznego żartu. Sygnał przerwano.

– Druga część rozmowy brzmiała dziwnie znajomo. Bawią się z nami.

– Raczej z tobą. My wiemy, co mamy robić – zauważył Mauer, podchodząc do mapy rozwieszanej na ścianie. Przejechał palcem i zatrzymał się na dworcu autobusowym przy ulicy Generała Dąbrowskiego. Puknął dwa razy w punkt na mapie, po czym przejechał po skosie w lewo. – Muzeum Etnograficzne. Wiedziałem.

Brodzki strzelił oczami jak proszek błyskowy w aparacie przy robieniu fotografii sto lat temu.

– Co pan „wiedział”? Dworzec autobusowy jest trzysta metrów dalej. – Po czym krzyknął do Żółtki. – Masz?!

– Sprawdzają.

– Czekam.

– Ale to na pewno nie jest ten numer – rzekł, machając żółtą kartką. – To stacjonarny.

– Upewnij się.

Mauer dalej przypatrywał się mapie, poprawiając teraz mankiety swojej nienagannie uprasowanej, błękitnej koszuli wciągniętej pod jednorzędową, grafitową marynarkę. Wyrównał splot chabrowego krawata i rzekł:

– Rozpoczynamy akcję „Muszla”.

Brodzki spojrział pytająco na Mauera, potem na Żótkę, a potem zajrzał w głąb samego siebie.

– Coś się panu pomyliło. Oni nie planują skoku na hurtownię artykułów sanitarnych.

– „Muszla” to kryptonim akcji.

– O którym nie wiem, bo?!

– Bo pan nie musi. – Mauer dawał jasny sygnał: to on tu dowodzi. Brodzki machnął ręką. W tym samym czasie Żółtko dzwonił do kogoś:

– Zrobisz coś dla mnie?

– A co będę z tego miał? – usłyszał w słuchawce.

– Wciąż żywych kumpli – odpowiedział Tomek, po czym rzekł coś ściszym głosem i się rozłączył. Mauer tymczasem kontynuował rozmowę z Brodzkim przy mapie:

– Odpowiednio wcześniej poczyniliśmy przygotowania, instalując tu swoich ludzi – rzekł, stukając palcem w umiejscowione na mapie Muzeum Etnograficzne imienia Marii Znamierowskiej-Prüfferowej. – Amfiteatr w tym obiekcie. Odpowiednio wcześniej założyliśmy, że może chodzić o to właśnie miejsce.

– Widzę, że poznał pan Toruń jak własną kieszeń. Nie wpadł pan jednak na to, że przydałaby się panu pomoc? I że wskazówki zostawiane przez gangsterów niekoniecznie są tak oczywiste?

– Na tę chwilę mamy przygotowany plan działania. Zabezpieczamy okolice dworca, ale jesteśmy przygotowani na akcję w amfiteatrze.

– Skąd pomysł z amfiteatrem?

– To potwierdzone źródło.

– W Magdalence też tak mówili – mruknął do siebie Leon, po czym wstał, westchnął ciężko i rzekł do prokuratora najdelikatniej, jak potrafi:

– To się nie klei, prokuratorze. Słyszał pan telefon. A ja od tygodnia z aspirantem działam w terenie, prowadząc rozpoznania, rozpytując, śledząc. To nie to, mówię panu.

– Nikt pana nie pyta o zdanie. Kiedy ostatnio dowodził pan akcją,



zakończyło się to śmiercią ściganego. Zdaje się, że spadł z elewatora i roztrzaskał sobie czaszkę. A jeśli dobrze sobie przypominam, podobnie było i wcześniej, gdy ofiarą był pana ojciec. Pozwoli więc pan, że tym razem pokażemy, jak takie rzeczy załatwia się w stolicy.

– To nie jest warszawska sprawa.

– W Warszawie kierowałby pan ruchem na ścieżkach rowerowych przy Polu Mokotowskim. Tylko tu wydaje się panu, że jest bohaterem.

– Chyba ktoś inny miałby tu ochotę założyć pelerynę.

Mauer strzepnął paproch z marynarki i spojrzał na Brodzkiego przenikliwie.

– Wydaje się panu, że to ja jestem tu złym szeryfem? Muszę pana rozczarować. Kiedy się poznaliśmy, pytał pan, z kim trzymam. Z nikim, proszę pana. Wykonuję swoją pracę, trzymam się prawa i przepisów. Bez nich mielibyśmy ciągle lata dziewięćdziesiąte, w których pan się najwyraźniej zatrzymał. – Po czym ruszył do Żółtki, stąpając jak gepard swoimi czarnymi, zaokrąglonymi na czubku butami z gładkiej skóry licowej. – Co ustaliłeś?

– To nie jest niestety numer komórki – rzekł, wykonując przeproszający gest w stronę Brodzkiego. Słyszał tę rozmowę i ostatnią rzeczą, jakiej chciał, było dawanie kolejnego argumentu Maurerowi. – To numer stacjonarny.

– Namierzmy więc ten dom.

– ...dokładniej rzecz biorąc, to numer z budki telefonicznej.

– Z budki? – Brodzki spojrzał pytająco. – Są jeszcze jakieś w tym mieście?

– Usunęli większość. Nawet niebieskie telefony z oddziałów dziecięcych. Zadzwoiłem do Orange, to oni przejęli serwis.

– I co?

– Prawdę mówiąc, byłem pierwszą osobą w tym miesiącu, która zadzwoniła na wewnętrzny, który serwisuje budki. Nikt z nich już nie korzysta. Ale jest jedna w Toruniu. Szpital przy Batorego, oddział chirurgiczny.

– Jadę tam! – Brodzki ruszył energicznie do wyjścia.

– Stój, Brodzki. – Mauer podszedł do niego, odstonił mankiet ze srebrną spinką w paragrafy i puknął w cyferblat swojego srebrnego zegarka marki TAG na skórzanym pasku. – Musisz być na dworcu. Wyjeżdżamy.

– Podobno to lipa z tym dworcem?

– Lipą jest twoja kariera. – Tu zbliżył się i szepnął mu na ucho: – Pamiętaj. Nie ma Elfa, nie ma ułaskawienia.

Żółtko, widząc napięcie między detektywem i prokuratorem, zabrał głos: – Zadzwoiłem już do Jacyka. Lada moment będzie w szpitalu. Jedzie też patrol. – Mauer przytaknął mu i wyszedł swoim sprężystym krokiem, rzucając przez ramię: – Jadę ściągać saperów z Inowrocławia. Oby zdążyli, mamy niecałe dwie godziny. Choć nie sądzę, żeby ten, który dzwonił, czekał pod automatem na zaarrestowanie. Myślę, że ma ciekawsze rzeczy do roboty. – I wyszedł.

– Ciekawi mnie jedno – zagadnął Żółtkę Brodzki.

– No?

– Co on robił w szpitalu?

Tomek rozłożył bezradnie ręce, a Brodzki odwrócił się do mapy i spojrzał na nią w skupieniu.

#### 4

Siedzieli w ciszy na tyłach miejskiego ratusza. On jadł krówki, ona paliła skręcane, wiśniowego papierosa. Dym unosił się powoli, bo na podwórzu było bezwietrznie. I cicho.

Oboje ulepiani byli z podobnej gliny i lubili się dokopywać do różnych rzeczy. Dzielili ich kilkanaście lat, a jednak potrafili milczeć o tym samym. Mężczyzna w dżinsowej kurtce i dziewczyna w kraciastej marynarce. On – w długich, ciemnych włosach i ona, w swoich kręconych, długich do ramion, w stylu Natalii Kukulskiej. Duńscy naukowcy wciąż nie ustalili, jakie oddziaływanie psychosomatyczne ma wspólnie wypuszczany dym. Ani co oznacza wspólne przeżywanie ciszy przez obcych sobie ludzi. Marek Bener

i Berenika Vesper spotkali się cztery dni temu. Zdążyli przez ten czas się poobrazić, zadrwić z siebie, a w końcu sobie zaufać. Stary dziennikarski wyga, który ironią rozcieńcza żal do świata, i młoda, śliczna dziennikarka, która ciągle się zastanawia, w którą stronę potoczy się jej kariera.

Do konferencji pozostawało jeszcze pięćdziesiąt siedem minut, było tuż po dwunastej.

– Jeszcze całe życie przed tobą. Szkoda byłoby połamać się na pierwszym zakręcie – rzekł Bener.

– O to ci chodziło od początku? Żebyś dała sobie spokój z pisaniem o Brodzkim?

– Nie. Mówię tylko, że jak śledztwo może zjeść policjanta, tak samo może zjeść dziennikarza. Warto walczyć o prawdę, ale twoja skóra ma jeszcze dużo czasu, by zgrubieć. Nie szkoda młodości na żółć?

– To mówisz ludziom, którzy proszą cię o odnalezienie ich bliskich? Że szkoda nerwów?

– Mówię tylko, że prawda ma swoją cenę. A co, jeśli jednocześnie odkryjesz prawdę i się roztrzaskasz? Ideały są piękne, ale pamiętaj o wszystkich odkrywcach, którzy nie dołączyli do brzegu. Znamy nazwiska tylko kilku. A ponieważ jesteśmy z tej samej branży, to po koleżeńsku ci mówię, że masz jedno życie. To twoja decyzja. My dziennikarze musimy się trzymać razem.

– A gdybyś to ty miał taki dylemat?

– Szczerze?

– A mówiłeś kiedyś inaczej?

– Gdyby chodziło o mnie, powiedziałbym... – Bener zmiął papierek po cukierku i schował do kieszonki w kurtce. – To powiedziałbym, że my dziennikarze musimy pisać prawdę.

Berenika się rozpromieniła. Jakieś szczątkowe podmuchy ciepłego wiatru zatańczyły na podwórzu, rozrzucając jej po twarzy kręcone kosmyki ciemnych włosów. Odgarnęła je teraz, spoglądając na Benera tym swoim wzrokiem urwisa.

– Może powinieneś zostać wykładowcą? W szkole dziennikarskiej?

– Wykluczone. Wyrzuciliby mnie pierwszego dnia.

- A to czemu?
- Bo „mówią o mnie w mieście: «co z niego za typ?»”. A ciężki ze mnie typ. – Uśmiechnął się tajemniczo. I ruszyli do budynku.

## 5

– Szpital pusty – powiedział do telefonu aspirant Adam Jacyk. Stał na podjeździe dla karetek od ulicy Bażyńskich, dopijając kawę z kubka termicznego.

– Nikt nie widział? – spytał go w słuchawce Żółtko.

– Rozpytałem. Automat wisi przy wejściu na oddział chirurgiczny. Z ulicy możesz wbić, nie ma strażników, a dyżurka kilka metrów dalej. Więc facet się rozplynął w powietrzu. Gdzie ta bomba?

– Pekaesy, jesteście już na miejscu.

– Jadę! – rzekł, dochodząc do radiowozu.

– Prawdę mówiąc, mam do ciebie prośbę. Jesteś jeszcze na Batorego?

– Wsiadam właśnie do wozu.

– Słuchaj, zrób dla mnie przysługę. Sprawdź dom przy Batorego 5. To chyba niedaleko. Masz przy sobie jakiś detektor?

– Na narkotyki?

– Na materiały wybuchowe. Dom teoretycznie jest niezamieszkały od połowy lat osiemdziesiątych, ale ten adres widnieje w naszej bazie i łączy się ze sprawą. Zrobisz to dla mnie? – Na słowa Tomka łysy policjant poczuł dziwne mrowienie na swoich piegowatych rękach. Coś, czego dawno nie doświadczył w tej pracy: adrenalina.

– Mam jednorazowy tester kolorymetryczny.

– No to wiesz, co masz robić. Daj znać najszybciej, jak możesz. Szykuje się gruba akcja.

– Bez odbioru.

„Pierwszy raz od lat robię coś, do czego byłem szkolony” – pomyślał Jacyk. „Coś, co daje mi kopa, co zmusza do wysiłku bardziej niż trzymanie farelki na wylotówce. Żeby było jasne, zawsze szanowałem mundur, ale trochę w tej pracy przyrdzewiałem”.

Zakręcili schodami na pierwszym piętrze, do konferencji było jeszcze pół godziny. Vesper spojrzała po twarzach. Kilka z nich rozpoznawała – Siwa, Aleksandrowicz, dziennikarze z poprzedniej konferencji. Było tłoczniej niż ostatnio – przede wszystkim z uwagi na pielgrzymów. Wszyscy opaleni, z wisiorami, krzyżkami, w czapkach i sportowych butach.

– To naprawdę taki ważny temat to całe Camino de Santiago? – spytała niepewnie Benera.

– Województwo mocno stawia na takie tematy. Skoro ma być i prezydent, i marszałek, i jeszcze ksiądz z Radia Maryja, ten Majbach, to już grubo.

Postąpili korytarzem przed siebie, ale tłum napierał, przeciskając się jak na wyprzedaży w Lidlu. Ktoś natarł mocniej z lewej strony, zrzucając jej torbę z ramienia. Schyliła się, by ją podnieść, gdy coś przykuło jej uwagę. Pomiędzy opalonymi nogami w sandałach i trampkach, przy filarze z prawej strony dostrzegła ciężkie, wojskowe buty. Otworzyła oczy z przerażenia i poderwała się na nogi, chcąc zobaczyć twarz tego człowieka. Rzut okiem w lewo, w prawo, gdzie jest ten człowiek, gdzie zniknął?

– Wszystko okej? – spytał Bener.

– Ten śmieszny facet...

– Naprawdę, jesteś zbyt krytyczna wobec mężczyzn.

– Nie, ten w wojskowych butach.

– Wojskowych butach? – Dziennikarzowi mignął przed oczami obraz z parku, gdy został powalony na ziemię uderzeniem w tył głowy.

– Widziałam go tu na konferencji z Halickim. Szuka go też policja.

– Dzwonię do Brodzkiego – rzucił Bener i wybrał numer w telefonie. Łączył się dwa razy. – Nie odbiera. I mam dziwne przeczucie, że jak zwykle pakuje się w kłopoty.

Przy Batorego 5 Jacyk był po niecałej minucie. Zamek w drzwiach był rudy jak kłódka na wrotach starej fabryki. Wszedł na podwórze, gdzie śmierdziało stojącą wodą. A na wodzie znał się jak mało kto. Nurkował wiele lat w każdym akwenu większym od wanny i wiedział doskonale, kiedy woda jest zatruta. Ta pachniała właśnie w ten sposób.

Obszedł dom. Każda ściana budynku straszyla tablicami ostrzegawczymi: „Obiekt chroniony”, „Uwaga! Zły pies”. Dlatego, nie namyślając się wiele, wybił szybę pałką teleskopową, wymacał klamkę i wszedł do środka. Od razu poczuł się lepiej.

W powietrzu wisiał dziwny zapach. Znajomy, gryzący, przyprawiający o ból głowy. Jacyk obszedł pomieszczenia. W dużym salonie o kremowych ścianach kominek był zakryty, podobnie jak okiennice. Wąski korytarz prowadził do kuchni i dwóch mniejszych pomieszczeń. W jednym z nich na posadzce, z której ktoś najwyraźniej zdarł wykładzinę, leżała pusta butelka po wodzie mineralnej polaris z Biedronki. Kucnął i, nie dotykając przedmiotu, przyjrzał się dacie produkcji. Nadruk mówił, że wodę pobrano w Morzeszczynie w sierpniu. Ktoś tu więc niedawno musiał być.

Wrócił do salonu, w którym zapach był wyjątkowo nieprzyjemny. Wyjął tester, nachylił się i naniósł odczynnik na podłogę.

Był to najprostszy odczynnik kolorymetryczny. Nie jest wymagany na stanie, ale Jacyk – jak większość policjantów w tym kraju – nie miał zamiaru wyjeżdżać w teren z pustymi rękami tylko dlatego, że ktoś w ministerstwie nie pomyślał, żeby doposażyć ich w takie rzeczy jak latarki. Był pierwszym, który opowiedziałby o pękających oponach w radiowozach, niewygodnych butach, nieporęcznych kieszeniach, notesach i innych felerach, które niejednokrotnie wytykali mu przechodnie czy gapie podczas interwencji. A to, że w suce ma bieżnik zużyty, a to, że się mu reflektor nie świeci. A on zawsze chciał tylko dobrze wykonywać swoją robotę. Dlatego

regularnie doposażał się w sprzęt, tak jak regularnie ćwiczył, żeby być w formie. Mało kto woził ze sobą na patrol zestaw do mokrej chemii, od tego są na ogół technicy. Zabawa była prosta: jak tylko mieszanka odczynników wchodziła w kontakt z potencjalnym materiałem wybuchowym, dochodziło do reakcji barwnej. Jacyk użył sprayu, ale podłoga nie zabarwiła się ani w wymaganym czasie trzydziestu sekund, ani dwóch minut.

Wrócił do salonu. Idąc korytarzem, nagle się zatrzymał. Zrobił krok do przodu, potem do tyłu. „Podłoga – pomyślał – skrzypiała; znaczy, że budynek był podpiwniczony”. Odnalazł wąskie zejście. Miał już postąpić schodami w dół, ale się zawahał. Odpalił latarkę, kucnął i poświecił po nawierzchni stopni. Od lewego słupka biegła przez szerokość schodka cienka linka. Jacyk prowadził snop latarki po jej naprężonej powierzchni. Zakręcała przy suficie i ginęła w dole.

Zrobił ostrożny krok nad zabezpieczeniem i – świecąc uważnie pod nogi – zaczął schodzić. Przełączył latarkę na szerszy strumień ledowego światła i omiół nim piwnicę.

Nie było w niej żadnych przedmiotów ani pudeł. Wszystko stąd wymieciono. Ściany skrzyły się jednak wilgocią – to pobliski strumień musiał podmywać budynek. Mimo to ani zapach wody, ani zapach piwnicy nie był zwykłą wonią. Była zbyt ostra i zbyt chemiczna.

Przełączył na powrót strumień światła i odnalazł linkę. Dochodziła do skrzynki stojącej przy schodach. Podeszedł do niej ostrożnie, ponownie przełączył i powoli zajrzał do środka.

Skrzynka była pusta.

– Co mi tu nie pasuje? – Po czym nachylił się i naniósł spray kolorymetryczny w trzy miejsca na posadzce. Po niespełna dwudziestu sekundach poznał wynik testu.

## 8

Dworzec autobusowy PKS znajdował się dokładnie w połowie drogi między niebieskim budynkiem komendy Toruń-Śródmieście i drogą Przy Kaszowniku a nasypem na dawnych pruskich fortyfikacjach B4,

niepochlebnie nazywanym przez element przestępczy „górką pedała”. Tą samą, na której w poniedziałek, 12 września, znaleziono ciało archiwisty Maksa. Idąc od placu Towarzystwa Miłośników Torunia, mijało się samoobsługową stacją Statoil i dyskont Netto, a następnie dochodziło do dworca i peronów.

Policja zabezpieczyła zagrożony teren taśmą. Obszar był tak duży, że nie starczyło niebieskiej, policyjnej, więc we wschodniej części terenu użyto białoczerwonej od strażaków.

Patrole Straży Miejskiej, Straży Pożarnej i Policji stały przy Odrodzenia, na placu Towarzystwa Miłośników Torunia, u wlotu w Uniwersytecką oraz przy rondzie na Dąbrowskiego. Na polecenie Mauera wyłączono cały areal, tak by nikt się nie znalazł w potencjalnym polu rażenia. To dlatego w oddali słychać było klaksony i krzyki – akcja sparaliżowała całe miasto, tworząc olbrzymie korki ciągnące się aż na drugą stronę Wisły. Widać nie wszyscy słuchali radia.

Okolice na ogół tętniące życiem teraz opustoszały jak po hekatombie.

Ostatni raz było tu tak mało ludzi, gdy rozbierano starą halę modernistycznego dworca i stawiano obok nową. Jednokierunkowa wówczas ulica Dąbrowskiego stała się wielkim pobojuwiskiem, toteż kto miał możliwość, z uwagi na ryzyko zatonięcia w kałużach, na pekaesy się po prostu nie zapuszczał.

Teraz na terenie dworca i wokół nie było żywego ducha. Ciszę przerywał jedynie szum gąsienic. To Lekki Robot Rozpoznawczy „Balsa” poruszał się w kierunku budynku. Była dwunasta trzydzieści jeden.

– Sierżancie Starski, czy ta maszynka znajdzie nam bombę? – spytał Mauer.

– To najlepsza, jaką mamy – zapewnił krępy żołnierz z zajęczą wargą. Klęczał przy ciemnej skrzynce, której ekran i wykresy pokazywały odczyty z Balsy. Rękoma trzymał dżojstik, podobny do tych ze starych konsol sega. – Sprzęt wyposażony jest w rejestrator dźwięku i obrazu. Manipulator na ramieniu powinien skutecznie



poradzić sobie z ładunkiem, ale wie pan... saper myli się tylko raz.

Ulokowali się z ekipą za rondem przy hotelu „B&B”, osiemdziesiąt metrów od dworca. Był to dogodny punkt obserwacyjny, bo z zabezpieczeniem na ulicy Odrodzenia mieli i kontakt wzrokowy, i łączność radiową. Tak po prawdzie to radiotelefony osobiste Harris XG-25P były jedynym dobrym zakupem polskiej policji w ostatnich latach. Teren z tyłu był jednak niezabezpieczony – stare forty przy Wałach Sikorskiego i ogródki działkowe były obszarem zbyt dużym i niezbyt dostępnym. Malboras, Sawik, Miedziak, Bednarz i Rygolewski zabezpieczali punkt dowodzenia akcją.

Saperzy Patrołu Rozminowania z 2 Pułku Inżynieryjnego przyjechali błyskawicznie. Bazę mają w Inowrocławiu – w godzinach szczytu jedzie się i godzinę, a jak szlabany w Gniewkowie są opuszczone, to cholera wie ile. Ale saperzy akurat dziś byli w Toruniu, szukając niewybuchów na placu budowy osiedla JAR. Dlatego po telefonie zawinęli sprzęt i dojechali w dwadzieścia jeden minut. Ściągnięto ich tu na wyraźną prośbę prokuratora, który teraz przytaknął Starskiemu i spojrzął w dal.

Robot nagrywał wszystko, co znajduje się w zasięgu jego kamer.

Przed budynkiem walały się dziesiątki porzuconych w pośpiechu przedmiotów. Trzy rowery, z czego jeden, żółty holender, leżał bokiem na krawężniku w taki sposób, że z lnianej torby zawieszanej na kierownicy wysypały się pomarańcze. Ich układ na chodniku w Warszawie podpadałby pod instalację artystyczną. W Toruniu obstawiano by pijanego amatora cytrusów. Każdy majster wie, że jak wysła się murarza do sklepu, to zawsze po dwie flaszki: jadąc rowerem złapie w obie ręce po jednej i w ten sposób zachowa równowagę. Z pomarańczami być może ta zasada się nie sprawdzała.

Po lewej stronie, przy wjeździe na perony, chodnik oblepiły rozlane napoje z puszek, walające się między papierami, frytkami, pełną stoików siatką z kółkowym uchwytem oraz rozbryzgane na ziemi hot dogi i hamburgery. Ewakuacja to dobry sposób, by przeprowadzić inwentaryzację i poznać nawyki żywieniowe młodzieży szkolnej.

W tym wypadku fast food okazał się nie dość szybki.

Sensory akustyczne Balsy zanotowały dźwięki dobiegające z obiektu. Z szeroko otwartych drzwi z napisem „Bar Celona” jazgotało radio. Leciąło Miasto T. Gribojedowa, a potem piosenkę przerwano, by nadać komunikat. Mariusz Składanowski z Radia GRA sugerował kierowcom jechać Trasą Średnicową i Bulwarem Filadelfijskim. Swoją drogą wybór hiszpańskiej metropolii na patrona baru był zrozumiały – jak wiadomo, z małego dworca autobusy jeżdżą do bardziej wyszukanych destynacji, jak Papowo Toruńskie, Lulkowo, Radzyń Chełmiński czy Chełmno. Barcelona brzmiała w tym zestawieniu jak zapowiedź nieodbytej przygody.

Robot przejechał przed frontem budynku, po czym zawrócił i wjechał na prowadzący do wnętrza podjazd.

– A jak pierdolnie? – Mauer nie przestawał dopytywać.

– Panie prokuratorze, zadaniem Balsy jest rozpoznawanie zagrożeń w terenie zurbanizowanym, także w budynkach.

– Umiecie tym kierować?

– Nie dostaliśmy tego na komunię. To początek wzmocnienia polskiej armii przez Inspektorat Uzbrojenia.

– Początek?

– Tak. To jedyny taki robot w Polsce. Pozwoli mi pan pracować?

Robot otworzył drzwi i wjechał do holu budynku. Na ścianie przy wejściu wisiły zdjęcia dawnego dworca. Zabawne, ale to ten z fotografii tętnił życiem, podczas gdy w prawdziwym nie było żywego ducha.

Mauer opierał się o srebrno-niebieski radiowóz kia o numerze bocznym C401. Jego nienaganny garnitur z Wólczanki pierwszy raz od weekendu nieznacznie się pogniółł. Prokurator obserwował uważnie okolicę, zastanawiając się, gdzie się ukrywa człowiek, przez którego ściągnięto go do Torunia. Jeśli oprychy i trupy, które odnotował w ostatnim tygodniu, byłyby talią kart, ta z Brodzkim byłaby Jokerem. Mauer nie wiedział, czego się po tym policjancie spodziewać. Bywał odważny i sprawczy. Ale bywał też porywczy i honorowy, przez co wpędzał w kłopoty policję, a przede wszystkim

– łamał prawo. Był też wreszcie zamieszany w rodzinne historie, a te zawsze wypaczają ogląd sytuacji. Myśl ta przyszła Maurowi do głowy, kiedy kilka tygodni wcześniej w księgarni przy Chmielnej w Warszawie zobaczył wydane wspomnienia Moniki Jaruzelskiej.

Mauer nie odezwał się już, tylko postąpił w głąb tłumu funkcjonariuszy i zatrzymał się przy Brodzkim.

– Gdzie jest Żółtko?! – syknął.

– Zaraz powinien tu być – odparł detektyw i rozejrzał się niepewnie. Po czym dodał pod nosem: – Co ty kombinujesz?

## 9

Tymczasem Żółtko wdrapał się na fort B64. Omiótł wzrokiem okolice dworca i muzeum etnograficznego, które miał w tej samej odległości, przypatrując się zaparkowanym w pobliżu autom. Jedno z nich przykuło jego uwagę, kiedy zadzwoniła komórka. Wyświetlał się numer Jacyka i Żółtko niezwłocznie odebrał.

– Stary, tu musiało być w chuj dynamitu i C4. – Gliniarz z komendy Toruń-Rubinkowo brzmiał bardzo szorstko.

– Jak bardzo... w chuj?

– Tak bardzo, że jak pierdolnie, to możemy otworzyć w Toruniu skansen jak po katastrofie tunguskiej. Barwnik wyjechał w kilka sekund. Cała piwnica była pełna tego gówna, aż przez ściany przeszło i zatrąło wodę.

– Jesteś pewien?

– Nie, kurwa, tylko tak cię straszę. Jasne, że jestem pewien! Jest jeszcze coś.

– Mów, bo szczenę, Jacyk.

– Zaraz oddzwonię.

– Jacyk! – Połączenie zostało zerwane. – Niech to szlag!

Żółtko schował komórkę i ruszył pędem przez zarośla. Zbiegł z nasypu, przeskoczył nad taśmą i po chwili był obok Brodzkiego i Mauera na rondzie obok dworca.

– Gdzieżeś się tak upierdolił? – spytał Brodzki.

– Wybacz, Leon, ale nie zdążyłem odebrać surduta z pralni. – Żółtko zbliżył się do Brodzkiego. – Widziałem tego vauxhalla przy przychodni – szepnął, nie ruszając ustami.

– Tutaj?! – Brodzki ściągnął brwi.

– Zaparkował obok przychodni przy Uniwersyteckiej. Widziałem z górki. Wiesz, jaką mamy przewagę?

Brodzki spojrział porozumiewawczo na aspiranta, który wydawał mu się teraz wyższy niż wcześniej. I odpowiedział:

– On nie wie, że my wiemy, czym jeździ.

– Co robimy?

– To, co robi kot, gdy myszy harczą. Łapiemy! – Brodzkiemu ten pomysł naprawdę wydawał się logiczny.

– Jacyk sprawdził jego dom. Miał tam artylerię jak w Magdalence.

– Miał?

– Dom jest pusty. Ale odczynniki Jacykowi zwariowały. Myślę, że facet nie blefuje. Jak zrobimy fałszywy ruch, to naprawdę pół miasta pójdzie z dymem.

– A jak on zrobi fałszywy ruch, to ja zajebię jego.

– Myślę, że to go nie przestraszy.

– Inteligentni ludzie zawsze się trochę boją. On ma cel.

– Cel i pal.

Prokurator spojrział pytająco na aspiranta. Dopiero co tydzień temu zawezwał go na komendę i ten stał przed nim spocony, w mundurze, ściągnięty z interwencji w sprawie jakichś kiboli Elany Toruń. Teraz na napiętej linii ich wzroku przepływało pytanie: co dalej? Żółtko zbliżył się, nerwowo strzelając kostkami w palcach.

– Co z tymi materiałami wybuchowymi, Żółtko? – spytał Mauer. – Fakt czy blef?

– Raczej fakap.

– Aż tyle?

– Cytując Jacyka, „w chuj dużo”. Myślę, że jest się czego obawiać.

– Zabójca nie blefuje. – Brodzki przygryzł wargę. – Cholera!

„Naprawdę powiedział «cholera»” – pomyślał Żółtko. „A może tak, o ja pierdole, facet wysadzi pół miasta?”

– Kurwa mać! – dodał Brodzki, ku zadowoleniu Żółtki.

– Sytuacja jest poważna! – Mauer stanął teraz tak, żeby mieć obu przed sobą jak na inspekcji. – Ale nie będziemy negocjować z terrorystami!

– Spokojnie, panie kowboju. Mówił: żadnych fałszywych ruchów. – Brodzkiemu nie podobały się decyzje Mauera. „Pyszałkowaty urzędas, który niedawno siedział na dupie w kancelarii” – myślał.

Do ich trójki dołączył Starski. Po jego minie widać było, że robot coś znalazł.

– Dojechaliśmy do drzwi wychodzących na drugą stronę budynku. Na stanowisku numer trzy leży podejrzany pakunek. Sensor wyczuł na nim ślady materiałów wybuchowych.

– Bomba? – Mauer chciał znać szczegóły.

– Trzeba by sprawdzić. Jaka decyzja? Prokurator najpierw spojrzął na zegarek, a potem odpowiedział:

– Wjeżdżaj z nim! Jest dwunasta czterdzieści trzy. – Prokurator był pewny swego.

– Zaraz, zaraz. Dostaliśmy wyraźne wskazówki, żeby nie kombinować! – Brodzki się uniósł.

– Nie ty tu jesteś od poleceń. – Mauer ostentacyjnie odwrócił się od policjantów i skinął na Starskiego. – Żołnierzu, niech Balsa robi swoje.

Żołnierz spojrzął na Mauera, a potem na Brodzkiego, potem znowu na Mauera. Stał tak chwilę w niepewności, po czym przytaknął prokuratorowi i chwycił w obie ręce stery robota saperskiego.

Reszta wydarzeń potoczyła się w ułamku sekundy. Kiedy tylko robot otworzył drzwi wychodzące na peron numer trzy, za budynkiem rozległ się potężny huk. Była dwunasta pięćdziesiąt sześć.

Z okien dworca i zaparkowanych w pobliżu aut wyleciały szyby, a ziemia zadrżała gwałtownie. Funkcjonariusze odruchowo przykucnęli, wstrząs był potężny.

„Zaczęło się” – pomyślał Brodzki.

Sala numer piętnaście Urzędu Miasta w Toruniu pękała w szwach. Wypełniali ją przede wszystkim pielgrzymi. Doszło do nieporozumienia – słowa prezydenta Torunia, że „wszyscy są mile widziani” potraktowano bardzo dosłownie: przed godziną trzynastą przybyło ponad pięćdziesiąt osób. Po prostu, zrobili sobie z internatów krótką pielgrzymkę.

– Witamy państwa na konferencji poświęconej pielgrzymce śladami Świętego Jakuba – rozpoczął prezydent Michał Nalewski. Przy tego typu wydarzeniach pojawiał się bez krawata, podkreślając luźne i serdeczne podejście do tematu. – Witam zaproszonych gości, ojca Majbacha oraz marszałka naszego województwa, pana Piotra Bałeckiego. Proszę śmiało usiąść, gdzie jest miejsce, wszyscy się tu jakoś zmieścimy. W końcu to państwo są bohaterami tego wydarzenia. Mamy jeszcze kilka minut do trzynastej.

Po powitaniach na stół wniesiono pakunek: wielki kosz.

– Szanowni państwo, to zaszczyt, że nasz region znajduje się na szlaku do Camino de Santiago – zaczął marszałek, ale Berenika go nie słuchała. Jej uwagę przykuł pakunek wniesiony przez jednego z pielgrzymów. Człowiek miał bejsbolówkę głęboko nasuniętą na czoło. Teraz obfity kosz chwycił ojciec Tadeusz Majbach i obrócił go drugą stroną do zgromadzonych pielgrzymów i dziennikarzy. Berenika zamarła.

– Muszla... – bąknęła pod nosem. Bener spojrzał na nią zdzwiony.

– Tak, to symbol Świętego Jakuba. O to chodzi w tej całej dzisiejszej szopce.

– Żebyś wiedział, że o to chodzi! – Szarpnęła go za ramię. – Pamiętasz faceta, o którym ci mówiłam? – Bener skinął, choć słuchał tylko jednym uchem, z grzeczności, podczas gdy swoją uwagę starał się skupić na konferencji. Dziennikarka szarpnęła go za kurtkę. – Słuchaj mnie! Kiedy ostatnim razem widziałam tego faceta, mówił o jakiejś muszli.

– Może chciało mu się siku? – Na te słowa Berenika kopnęła go w kostkę, Bener pisnął i się poprawił: – No dobrze, może po prostu chodziło właśnie o tę konferencję, skoro to tu rozmawiali.

– Nie. Miał na myśli raczej coś złego. Jakieś wydarzenia, zbliżające się wyda... – Nie dokończyła, kiedy gdzieś w oddali, od strony dworca autobusowego coś huknęło.

Goście spojrzeli po sobie. Prezydent nachylił się do rzeczniczki prasowej, która wyjątkowo nie prowadziła dzisiejszej konferencji. Na pytanie przełożonego bezradnie rozłożyła ręce i wyszła z sali.

– Proszę państwa, to zapewne jakaś awaria gazu w okolicy, proszę się nie przejmować. Wróćmy do tematu...

– Zobacz! – Berenika znów szarpnęła Benera i wskazała na mężczyznę przy drzwiach. Mając na sobie czapkę bejsbolową i okulary przeciwsłoneczne spoglądał na zegarek. – Ten z bliźniami na twarzy. To ten facet.

Wtedy mężczyzna się zorientował, że Berenika i Bener mu się przypatrują. Spojrzał w stronę zegara wiszącego nad gośćmi, pozostawały trzy minuty do trzynastej.

Buźka ruszył gwałtownie w drugą stronę. Bener nie miał zamiaru czekać.

– Nie wiem, co tu się dzieje, ale trzeba zatrzymać tego faceta. Też mi się to nie podoba. Z drogi! – krzyknął i zaczął się przeciskać przez tłum. Po sali przeszedł szmer, ludzie zaczęli podnosić się z miejsc, atmosfera zrobiła się nerwowa. Człowiek w bejsbolówce wybiegł.

– Co tu się dzieje? – spytał prezydent.

Berenika zacisnęła pięści, po czym odezwała się najgłośniejszym głosem, jak potrafiła:

– Musimy ewakuować pomieszczenie, natychmiast. Obawiam się, że ktoś może próbować przeprowadzić tutaj zamach terrorystyczny.

Goście spoglądali po sobie zdezorientowani. Pierwszy roześmiał się duchowny. Pukając się w czoło, odpowiedział:

– Droga pani, czyżby szatan w panią wstąpił? W tę burzę włosów? Na Boga, proszę się uspokoić.

– Ja mówię poważnie! Człowieka, który był przed chwilą

w pomieszczeniu, widziano podczas strzelaniny w Kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, jest związany z serią zabójstw. Proszę wezwać policję i opuścić pomieszczenie.

– Zaraz, czy to nie pani napisała artykuł Mężczyźni jak (za)pałki? – spytał ksiądz. – Ta cała prowokacja z policją to pani sprawka? Proszę ją stąd wyprowadzić!

## 11

W pierwszym odruchu Mauer sądził, że wybuchła torba z ładunkiem. Ale w tej samej chwili zobaczył ciemną chmurę, która błyskawicznie płynęła do nich zza budynku. Była to wypalająca się benzyna.

– Skurwysyn wysadził stację benzynową! – krzyknął Starski.

Snop ognia idący z paliwa ma charakterystyczny kształt. Płomienie tworzą wyraźne kształty, kopcą się jak ognie piekielne. Strażacy obstawiający skrzyżowanie odpalili syreny i ruszyli do akcji gaśniczej.

– Mówiłem, do ciężkiej kurwy nędzy, że nie możemy się z nim bawić! – krzyczał Brodzki.

W radiowozie zaszumiało radio. Centrala znów przesyłała komunikat: terrorysta ponownie zadzwonił na komendę. Rozmowę przekierowano do radiowozu:

– Ostrzegalem was. Żadnych podejrzanych ruchów. Znaleźliście paczkę na stanowisku numer trzy. Brodzki teraz podejdzie do paczki. Podniesie ją i pójdzie z nią na środek placu. Tam ją otworzy. Potem odjedzie.

Przekaz się urwał.

– W takim razie idziesz sam, bez obstawy! – zarządził Mauer, gdy w tle wyły koguty strażackie. – Ty jesteś paliwem... dla jego zemsty.

– A jaki jest plan akcji? Czy mamy plany budynku? Gdzie jest ochrona? – Żółtko starał się odciągnąć Mauera od szalonego planu.

– Gównu mnie to obchodzi. Brodzki wypije piwo, którego nawarzył. – Po czym odwrócił się do zgromadzonych przy radiowozie policjantów i mocno gwizdnął dwoma palcami. – Słuchajcie. Po



przeanalizowaniu sytuacji podjąłem decyzję, że detektyw Brodzki wchodzi do akcji sam. Nie pozwolimy, żeby ktokolwiek więcej zginął w tym mieście.

– Jeśli pójdzie sam, skaże go pan na śmierć! – Żółtko oponował.

– Śmierć Brodzkiego... się nie liczy – rzekł chłodno Mauer. – Prawda, Brodzki? Masz swoją vendettę. – I pokazawszy mu na drogę ku dworcowi, tak jak tancerz pokazuje na parkiet, gdy prosi królową balu, dodał: – Leon Brodzki wraca do gry. Masz minutę.

– Brodzki – kontynuował Żółtko z trwogą w głosie. – Brodzki... Jeśli wyjdiesz na parking, będzie cię miał jak na dłoni.

– Od początku miałeś taki plan, co, Mauer? Zrobić porządek moim kosztem.

– Zgodziłeś się na współpracę, musiałeś się liczyć z konsekwencjami. Przypomnij sobie, jaki był początek tego wszystkiego. – Tu Mauer się zamyślił, jakby odtwarzając zapamiętaną z dzieciństwa melodię. – Brodzki... jest... winny.

Detektyw nie odpowiedział. Miał ochotę wypruć Mauerowi klawiaturę zębów z tej triumfującej gęby, ale prokurator miał mocny argument. Mimo metod i nieuczciwej gry przychodził moment zapłaty za grzechy. Za grzechy rodziny Brodzkich.

– Muszę iść. Inaczej gdzieś wybuchnie bomba.

– Musimy oszukać tego maniaka – zaaferował się Żółtko, gdy Mauer odszedł na stronę. – Tylko jak? Nie uczyli tego w szkole, kurwa!

– Autobus... – zamyślił się detektyw, masując swój obolały kark. Szukał gorączkowo rozwiązania. „Myśl, Brodzki” – powtarzał w głowie. „Gdzie ukryć sztuczkę? Jak oszukać zamachowca? Mam iść na plac, a potem najpewniej wsiąść do autobusu. Raczej nie ma w nim bomby. Będę musiał nim dokądś pojechać. Dokąd? Tej wielkości pojazd przecież nie rozptynie się w powietrzu, nie zgubię policyjnego ogona, choćbym chciał. Nawet jeśli radiowozy nie pojadą za mną, samochód widać z kilometra. Dokąd mnie zabierze? Do lasu? Do jakiegoś tunelu? Krowi Mostek? Nie, za nisko, nie wjedzie. Co on kombinuje?”

– Leon, czas ucieka – zauważył Tomek.

– Myślę. – Brodzki przyjrzał się uważnie placowi manewrowemu.

– Leon!

– Cicho, myślę. – Brodzki przypatrywał się stojącemu za ogrodzeniem pojazdowi. Pomasaował ponownie swój kark i wtedy coś przyszło mu do głowy. Ruszył w stronę radiowozu, przy którym stał strażnik z dworca. – Macie tu gdzieś podgląd placu manewrowego? Człowiek o wydatnym brzuchu i bezbłędnym wąsie na słowa detektywa odparł z werwą:

– Oczywiście, detektywie, na rozkaz! – I energicznym ruchem podsunął mu tablet.

– Brodzki, co ty kombinujesz? – szepnęła Żółtko i spojrzał nerwowo na zegarek, a potem na Mauera.

– Sprawdzam, jak zamatować naszego przeciwnika. – Po czym zwrócił się do strażnika: – Lewy górny?

Ekran podzielony był na dziewięć kwadratów. W lewym górnym rogu widoczny był autobus MZK marki solaris. Stał zaparkowany przodem do wysokiej betonowej ściany podtrzymującej nasyp, a tyłem do parkingu. Jego szyby zaklejone były wielką reklamą toruńskiego Teatru im. Wilama Horzycy, zasłaniającą okna z boku i z tyłu wozu. Brodzki postąpił kilka kroków i spojrzał w stronę ogrodzenia dworca. Za płótem wystawał tył pojazdu.

– Czyli muszę wejść pomiędzy pojazdy, a potem się wycofać... Ja to gdzieś widziałem – powtórzył Brodzki. – Ten samochód.

– Pewnie w gazecie – zauważył przytomnie strażnik. – Rąbnęli go w nocy z zajezdni na Koniuchach. Gdyby ktoś mi próbował sprędnosić buchnąć taki wóz, tobym złodziejowi skórę pasami z pleców dał.

– Na Koniuchach... – Brodzkiemu stanęły przed oczami przebiegi z gonitwy przez Kozackie Góry, zajezdnię i hale warsztatowe.

– Detektywie, macie szansę przysłużyć się społeczeństwu i uratować swój honor – instruował z daleka Mauer. – Dwadzieścia sekund.

– Może mi pan pokazać, co stoi obok? – Brodzki wskazał na tablet. Strażnik całkiem sprawnie poprzestawiał kwadraty na ekranie, tak że

okienko z solarisem znalazło się pośrodku. Równolegle do pojazdu zaparkowano dwa inne autobusy – niebiesko-turkusowy należący do przewoźnika „Arriva” i biały pojazd starego typu z napisem „PKS Brodnica”. Żółtko przysunął się i spojrzał przez ramię Leona, który wyszeptał mu coś na ucho: – Nie wiem, jak to zrobisz, ale tylko tak kupimy czas. Rozumiesz, Tomek?

Żółtko zamrugał jak człowiek, który po wybudzeniu z długiego snu przypomina sobie, że śnił o własnej śmierci. Po czym skinął głową.

– Pięć sekund – Mauer był nieugięty.

– Idę. – Leon zdjął kurtkę, spojrzał na zgromadzonych policjantów i ruszył w kierunku srebrnego budynku z czerwonym napisem „Veolia Transport”.

Mauer patrzył uważnie, jak Brodzki się oddala, i zachodził w głowę, co ten stary wyga kombinuje. Nie było jednak czasu na rozstrzygnięcie wątpliwości. Należało działać.

– Gdzie jest Żółtko? – spytał prokurator. Strażnik wzruszył ramionami i zacisnął palce na tablecie.

## 12

Brodzki zgodnie z wolą zamachowca podszedł do pakunku na stanowisku trzecim, stąpając uważnie jak po rozbitym szkłe. W oddali wypalały się zbiorniki z paliwem na stacji benzynowej, w powietrzu unosił się gęsty, duszący dym.

Podniósł powoli torbę. Była lekka. Postąpił z nią kilka kroków na środek placu manewrowego, obracając się na wszystkie strony, jakby chciał się upewnić, że zaraz nie otrzyma strzału w plecy. „Nie, Elf nie robiłby tej całej szopki tylko po to, żeby wpakować teraz we mnie ołów. On gra. A każda gra ma swój entymemat” – pomyślał detektyw, przypominając sobie rozmowę, którą odbył w ubiegłym tygodniu z pewną psycholog. „Nowy wróg jest zawsze niebezpieczny przez to, że jest nierozpoznany. Ten przejściowy stan, w którym zbrodniarz jest jeszcze nieuchwytny, wpędza go w złudzenie wszechmocy. Finalnie prowadzi to go do szaleństwa i upadku, gdyż

nie liczy się z rzeczywistością. Jednocześnie jednak ciągnie ze sobą na dno ofiary. Tacy ludzie są w stanie odgrywać różne szalone scenariusze, byle osiągnąć cel. Kto zapłaci za to tak wysoką cenę? Czy ja tutaj, na tym parkingu?”

Kiedy znalazł się mniej więcej na środku placu, zatrzymał się naprzeciwko stanowisk. W odległości dwudziestu metrów od niego stały trzy autobusy. Między lewą częścią budynku a nasypem otwarta przestrzeń prowadziła do ronda, na którym stali policjanci i przekłety Mauer. Widział stąd jego parszywą gębę, dokładnie po przekątnej, za płotem.

Wziął głęboki oddech i klęknął, stawiając pakunek na ziemi. „Otworzyć czy nie otwierać” – spytał siebie w myślach. Tyle razy śmiał się z głupich filmów, w których umięśnieni aktorzy z plamami keczupu udającymi krew główkują nad przecięciem niebieskiego i czerwonego kabelka, a teraz sam, niczym jeden z nich, obsadzony bez pytania w głównej roli policyjnego dramatu klęczał nad torbą podróżną o nieznaną zawartość. Był to klasyczny paradoks decyzyjny. Strach odcinał wolę wykonawczą, odwołując wydarzenia w czasie. „A czas płynie nieubłaganie” – myślał. „Dlaczego powiedział «kwadrans przed trzynastą»? Co ma się wydarzyć o trzynastej? Gdzie jest cholerna muszla?”

Do pełnej godziny brakowało minuty, gdy mruknął do siebie:

– No dobra, panie władzo, kończmy tę szopkę. – Po czym otworzył torbę jednym ruchem. Spojrzawszy do środka, powoli wypuścił powietrze z płuc. – A to niespodzianka.

Na wierzchu leżała kartka. Brodzki przeczytał jej treść dwukrotnie, po czym zaśmiał się gorzko.

– Co on robi? – spytał Mauer. Saper Starski, strażnik i policjanci spojrzeli po sobie niepewnie. Brodzki znajdował się około stu metrów od nich

– Może... – zaczął Sawik, ale nie miał pomysłu ani na podmiot, ani na orzeczenie swojej wypowiedzi.

– Co za szopka. – Mauer czerwieniał z wściekłości. Na jego nienagannym kołnierzyku pojawiły się plamy potu.

W oddali, za płotem, pomiędzy autobusami a ścianą dworca Leon Brodzki zdejmował z siebie ubrania i po chwili stał tam jak go pan Bóg stworzył. Nago, zakrywając swoje przyrodzenie. Obrócił się dwukrotnie dookoła własnej osi, po czym kucnął, sięgnął po kartkę i drugą jej stronę skierował do policjantów, trzymając papier na wysokości swoich genitaliów.

– Że co tam niby jest napisane? – spytał strażnik.

– Prokuratorze! – Saper podsunął Mauerowi lornetkę, ten spojrzął w wizjer i przeczytał napis:

*NIE JEDŹCIE ZA MNĄ, BO AUTOBUS WYBUCHNIE*

– To jakiś żart? – mruknął do siebie prokurator, ale Brodzki ani drgnął. – Na co on czeka?

– Chyba musi pan potwierdzić – zauważył strażnik. – Widziałem tak raz na filmie.

– Pytał pana ktoś o zdanie?!

– Wielokrotnie... – odparł spokojnym głosem strażnik, ale saper doradził mu gestem, by nie ciągnął rozmowy.

Mauer opuścił lornetkę i z wyrazem twarzy godnym kapitulującego dowódcy Wehrmachtu pokazał detektywowi uniesiony kciuk. Brodzki odpowiedział tym samym.

– Jeszcze tego brakowało – bąknął prokurator, chowając twarz w dłoniach. – Naga broń i Jaja w tropikach.

Brodzkiemu tymczasem wcale nie było do śmiechu.

Wyciągnął z torby pomarańczowe ubranie, a na dno rzucił kartkę. Napis na niej brzmiał:

*Rozbierz się. Chcę wiedzieć, że nie masz urządzeń podsłuchujących.*

*Potem pokaż im drugą stronę kartki.*

*Gdy potwierdzą, włóż to, co w torbie, i idź do pojazdu.*

*Tam otrzymasz dalsze wskazówki.*

Słuchając wskazówek, włożył jednoczęściowy kombinezon. Wsunął nogi w swoje sportowe buty i ruszył w stronę solarisa.

## 13

Drzwi vauxhalla przy ulicy Uniwersyteckiej powoli się otworzyły i smukła sylwetka usiadła za kierownicą. Mężczyzna poprawił beret na głowie, plastikową siatkę rzucił na fotel pasażera i odpalił silnik. Chwycił krótkofalówkę, nacisnął przycisk z prawej strony i rzekł:

– Pora na ostateczną rozgrywkę! Jedź na stary most. I pamiętaj. Ogon oznacza śmierć.

Słowa mężczyzny zadudniły w solarisie, a chwilę po nich poleciały przerywane dźwięki dostrajającej się częstotliwości.

## 14

Prokurator uważnie obserwował autobus, który długo nie ruszał.

Wreszcie w pojeździe zapaliły się światła, biała lampa wstecznego biegu i pojazd zaczął cofać, przeciskając się pomiędzy dwoma innymi. Wykręcił tyłem do zgromadzonych, po czym – zatoczywszy koło – ruszył przez plac manewrowy, w nieznaczej odległości od budynku dworca, z płonąca stacją benzynową w tle. Sylwetka kierowcy pozostawała niewyraźna – część szyb była przyciemniana, pozostałe wyklejone reklamą toruńskiego teatru.

Solaris dojeżdżał właśnie do końca stanowisk, gdy wtem się zatrzymał, wzbijając tumany kurzu. Policjanci obserwowali wszystko bezradnie. Po chwili, po drugiej stronie pojazdu otworzyły się drzwi. W prześwicie między podwoziem a nawierzchnią pojawiły się czyjeś buty, ktoś ruszył biegiem na tył pojazdu. Po chwili zza autobusu wyłonił się policjant. – Co?! Jak?! – krzyknął Mauer.

Postać przy solarisie był aspirant Tomasz Żółtko. Podbiegł szybko do prokuratora, który równie energicznym krokiem ruszył na spotkanie, drętwą ręką ściskając radiotelefon.

– Co tu się dzieje, co to za maskarada? – grzmiał Cyriak.

– Wystarczyło wyjść włazem w podłodze – rzekł zaaferowany

aspirant.

– Mów mi najpierw, co tu się wydarzyło!

– Prokuratorze, później! Teraz musimy jechać za nimi!

– Mów w tej chwili albo cię zawieszam! – Mauer był wściekły jak szerszeń. – Nie może być tak, że coś się dzieje bez mojej wiedzy!

– Brodzki mi wyjaśnił, jak się wślizgnąć do autobusu, bo tak się składa, że to właśnie ten autobus uprowadzono wczoraj z zajezdni. Kiedy zaatakowano detektywa Brodzkiego. Zapamiętał szczególnie związany z podwoziem pojazdu. – Tomek mówił najszybciej, jak potrafił. – Kiedy wpadł wtedy do kanału, zauważył, że solarisy miały dwa takie włazy. A ten autobus skradziono właśnie z zajezdni. Trzeba było poczekać, aż się przeturlam pod sąsiednimi pojazdami – tu wskazał na autobusy przewoźników „Arriva” i „PKS Brodnica” – wsunę się pod podwozie, uchylę właz i wejdę do środka. Nie było to łatwe.

– To jest niesubordynacja! Nie przewidzieliście, że to może się nie udać?!

– To terrorysta wszystkiego nie przewidział. Niech pan spojrzy. – Wskazał na koniec parkingu. – Autobus stał zaparkowany przodem do murku, co dawało zasadniczą przewagę: nie było widać fotela kierowcy. Poza tym pojazd ma szyby zaklejone reklamą, a przednia jest przyciemniana, więc praktycznie nie widać, kto prowadzi. Z całym szacunkiem prokuratorze, ale musimy jechać za nimi.

– Za kim?

– Brodzki zakradł się do pojazdu zabójcy. W autobusie zainstalowany był mikrofon. Dopiero co usłyszałem w nim głos Brodzkiego. Powiedział: „Mam go!”. Właśnie stąd odjechali.

– Dokąd?

– Tego nie wiem. Ale kiedy byłem w autobusie, z głośnika usłyszałem dyspozycję, żeby kierować się na stary most. Poruszają się vauxhallem.

– Czym?

– No oplem! – poprawił się Tomek.

– W takim razie jedziemy! – Mauer pobiegł w stronę pozostałych

funkcjonariuszy stojących przy rondzie. Machnięciem ręki pokazał im, żeby szybko wskakiwali do radiowozów.

Żółtce zadzwonił telefon. Szybki rzut oka na wyświetlacz: Jacyk.

– Starym sposobem poszperałem w śmieciach. Gość ma chyba poważne problemy ze zdrowiem – zabrzmiało w słuchawce.

– Nie mów szyfrem, mamy tu emergency. Co to znaczy?

– Nie jestem onkologiem, ale... – policjant przeciągał odpowiedź.

– Jacyk, nie pajacuj! – Żółtko ruszył biegiem w stronę nadjeżdżającego radiowozu. Kierował Malboras. Tomek wskoczył i pokazał, żeby kierowca wcisnął gaz do dechy.

– Na most! – krzyknął i wrócił do słuchawki. – Mów, szybko!

– Znalazłem jego papiery ze szpitala. Leczył się tutaj obok, w miejskim. Dlatego pewnie stąd dzwonił.

– To ma sens!

– Słuchaj tego. – Jacyk przewrócił jakieś papiery. – Kurwa, wszystko się lepi, próbowałem to jakoś poskładać.

– Mów, cholera!

– Już, mam. – Jacyk mówił mocno, ale był opanowany: – Czwarte stadium i tony chemii, która nic nie dała. Gość praktycznie sam jest bombą atomową. Są tu zapisane zalecenia i diagnoza. Zostały mu może dwa tygodnie życia...

– O kurwa! – Aspirant Tomasz Żółtko zamarł z przerażenia. Malboras spojrział na niego wymownie.

– Co? – spytał Jacyk. – Mów, kolego, co tam u was. Ja jestem w drodze.

– To misja samobójcza – rzekł Tomek i zapatrzył się w dal. Dźwięk silnika ustał, a horyzont za oknem się zatrzymał. Aspirant był teraz myślami daleko stąd. Stanęły mu przed oczami obrazy z minionych dni. Dłoń, która łapie go w ostatniej chwili. Wystrzał z pistoletu, który odrzucił go na kilka metrów, kiedy wspinał się na wieżę ratuszową. Nysa wyjeżdżająca zza płotu na Drodze Trzeposkiej i wdzięczne oczy Brodzkiego, który nazwał go Cyrenejczykiem.

I zrozumiał, że wyrusza właśnie z misją ratunkową. Nie wiedział jeszcze, że tego dnia i jemu przyjdzie spojrzeć w otchłań.



Kilka minut wcześniej Mikołaj Ruciński, pseudonim Elf, szamotał się z intruzem. Próbował się na niego zamachnąć wojskowym nożem, ale się poddał, kiedy poczuł na skroni lufę pistoletu P99. Przy drzwiach kierowcy stał postawny człowiek.

– Przyznaję, zaskoczyłeś mnie – rzekł z autentycznym podziwem. – Może nareszcie pora, by zmienić hasło na „Brodzki jest zwinny”?

– Nie czas na gierki. Zgaś silnik – odparł chłodno Leon i wcisnął lufę jeszcze mocniej w czaszkę gangstera.

– Niedługo poznasz odpowiedzi na nurtujące cię pytania. – Elf był dziwnie spokojny. – I na wszystkie, które nurtowały twojego ojca.

– W to nie wątpię – odpowiedział Brodzki. – Jesteś aresztowany.

– Nie sądzę – odparł z szelmowskim uśmiechem Elf. – Spójrz mi w usta. – Leon odruchowo spojrzał na wargi gangstera. Ten opuścił zuchwę i można było zauważyć, że coś w nich trzyma. – Jeśli chcesz się dowiedzieć, kim był twój ojciec, jak zginęła twoja matka, kim był Młotkarz i dlaczego Brodzczy są winni, będziesz mnie słuchał i wsiądziesz do pojazdu. W przeciwnym razie przegryzę to, co mam w zębach, i tajemnicę zabiorę do grobu.

Leon wiedział, o czym mówi Elf. Metodę tę z powodzeniem stosowali najwytrawniejsi hitlerowscy zbrodniarze. Jak widać, brał z nich przykład na wielu płaszczyznach. Wiedział, że gram cyjanku można kupić za mniej niż tysiąc złotych. A do zabicia człowieka wystarczy kilkaset miligramów wartych kilka złotych. Trucizna do śmierci doprowadzała momentalnie, uniemożliwiając oddychanie. Czy Brodzki mógł sprawdzić, że to bluff? Nie. Szansa była tylko jedna.

– Więc? – powtórzył Elf. – Liczę do dwóch. Jeden.

– Zatem jedź. Chcę wiedzieć – odparł Leon, mając na myśli uzyskanie odpowiedzi na pytanie, od którego wszystko zależało. Pytanie na temat winy i kary, tak fundamentalne w kryminalnej historii jego życia. Miał zabójcę na muszce. Chodziło tylko o poznanie prawdy. W najgorszym wypadku mógł mu po prostu

wpakować kulkę w głowę. Na przykład gdyby Elf próbował go oszukać, gdyby chciał przyspieszyć, żeby rozbić auto. I dodał: – Mów.

## 16

Nie wiedziała, czemu to zrobiła. Tak jak nikt z nas nie wie, kiedy wstępuje w niego dziwny duch, zew natury czy inny trickster. Po prostu, nie czekając na rozwój wydarzeń, podbiegła do stołu, wyrwała z rąk duchownego paczkę z symbolem muszli, podbiegła do okna i wyrzuciła ją na zewnątrz. Kosz poleciał przez kilka kondygnacji i spadł z hukiem na patio, ale... nic się nie wydarzyło. Spojrzała na zegar na ścianie, dochodziła trzynasta. Wieża ratusza zabiła za oknem, gdzieś w oddali, po lewej stronie.

– Hm... – mruknęła, rozglądając się po sali. Wszystkie oczy zwrócone były na nią, sytuacja stała się co najmniej niezręczna.

– Co pani najlepszego zrobiła?! – krzyknął prezydent. – Przecież to doniosły moment, co pani sobie myśli? Co za zachowanie?

– Od początku czułem, że panią jakiś zły duch opętał! – warknął ksiądz i rąbnął pięścią w stół. – Zabierzcie stąd tę czarownicę!

– Zapewniam, że to dla waszego bezpieczeństwa – broniła się Vesper. – Istniało poważne podejrzenie, że może tu dojść do zamachu. Nazywam się Berenika Vesper i piszę reportaż o Leonie Brodzkim. Myślę, że ktoś chciał przeprowadzić tu zamach, ale mogę się mylić...

– Dla bezpieczeństwa to palono kiedyś baby na stosie – grzmiał duchowny. Podszedł do niej, chwycił ją obślizgłymi rękami za szyję i zamierzał zmusić ją do wyjścia.

– Ojczy Tadeuszu, proszę puścić tę dziewczynę – powiedział zdecydowanym głosem prezydent. Między nim a księdzem było prawie pół metra wzrostu różnicy. – Inaczej to załatwimy. Jej zachowanie jest haniebne, ale nikt w moim urzędzie nie będzie używał siły.

– Bzdura, trzeba ją odesłać na policję! – grzmiał pulchny człowiek z zaczeską na bladym czole i zamierzał szarpnąć Berenikę, kiedy za

oknem, na parkingu, wewnątrz dziedzińca rozległ się wybuch.

Huk był na tyle głośny, że pękły szyby we wszystkich oknach. Wszyscy w pokoju upadli na ziemię, a z sufitu urwał się niby kryształowy żyrandol i rozprysnął na tysiące kawałków. Dźwięk dudnił etapami: najpierw fala napłynęła z dołu, przez ściany, ku najwyższym kondygnacjom, potem echo zadudniło na zewnątrz budynku, przenosząc się na okolicę.

Gdy drganie ustało, w dole dały się słyszeć syreny alarmów samochodowych. Przez kilka sekund nikt nie potrafił wydobyć z siebie choćby dźwięku. Szok wywołany nagłym zwrotem akcji nie mijał. Najwięcej zimnej krwi zachował prezydent, który podźwignął się z ziemi jako pierwszy.

– Czy nic się państwu nie stało? – spytał. Uczestnicy feralnej konferencji powoli wracali do rzeczywistości.

Berenika otrzepała ubranie i spojrzała na dziedziniec w kształcie studni. W opadającym kurzu widoczne były wygięte części limuzyny. Powoli dochodziło do niej, że przed chwilą udaremniła zamach bombowy, o którym nie miała prawa wiedzieć. Tylko przypadek sprawił, że zjawiła się na konferencji.

Do okna pierwszy podbiegł ojciec Majbach i na widok tego, co zobaczył, przeżegnał się, krzycząc:

– Mój samochód!

– Na całe szczęście ojciec jeździ volkswagenem polo, prawda? – rzekła z sarkazmem.

– Człowiek ranny! – krzyknęła chuda dziennikarka, wskazując na parking za szybą.

Berenika wyjrzała za okno. Pod ścianą leżał zakrwawiony człowiek w wojskowych butach i czapce z daszkiem. Żył, ale miał poparzoną twarz.

– Wezwijcie karetkę! – krzyknął marszałek.

– Kto wpuścił tego mężczyznę do budynku?! – grzmiał prezydent Torunia. Stał pośrodku sali, a jego rosta sylwetka nadawała jego słowom jeszcze większej powagi.

– To funkcjonariusz Biura Spraw Wewnętrznych – zakomunikował

siwy ochroniarz ruszający szczęką jak żyrafa. – Pokazywał przepustkę.

– Obawiam się, że został właśnie zwolniony – zauważył marszałek.

– Panie prezydencie, jest pan cały? Nie chciałbym stracić tak poważnego kontrkandydata w najbliższych wyborach.

– Tak, panie marszałku. Mnie licho nie bierze. – Po czym uściśniły sobie serdecznie ręce i ruszyli do wystraszonych pielgrzymów.

## 17

– Przechytryłem cię – rzekł Brodzki, gdy samochód jechał ulicą Wały Sikorskiego z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę. Na placu Teatralnym minęli rozkrzyczany tłum ludzi. Obaj spojrzeli na to dziwne zjawisko.

– I tak, i nie. Nazwałem tę operację „Muszlą” z dwóch powodów. Po pierwsze, właśnie w tym momencie wybuchła bomba w Urzędzie Miasta. Widziałeś tych ludzi? – Wskazał ręką na miejsce, które minęli. – Muszla jest symbolem Świętego Jakuba, a dziś prezydent, wspólnie z marszałkiem i innymi przyjmuje pielgrzymkę. Dawno temu poprzysiągłem zemstę na tych dziadach. Ale to nie wszystko. Muszle, jak wiesz, często skrywają w sobie tajemnice. I chciałem, żebyś je poznał.

– Tu się zgadzamy.

– Muszle leżą na dnie, chowając przed światem perły. Skarby. Tajemnice. Na przykład tajemnice twojego ojca. Skutecznie tuszowane morderstwa.

– Młotkarz? – Brodzki próbował nie tracić rezonu, ale każde zdanie wypowiedane przez Elfa było jak lodowa szpila wbijana w komory jego serca.

– Miło mi. Franek był jednak kawałem skurwysyna, grając na dwa fronty. Brał ode mnie pieniądze, a potem mnie zamykał. Tak samo robił z innymi. A nieuczciwi ludzie i ich rodziny zawsze źle kończą.

– Co się stało z moją matką? – spytał, gdy skręcili w ulicę Jana Pawła II. Brodzki zauważył, że jadą w kierunku mostu.

– Żałuję, że to się tak potoczyło. Gdyby twój ojciec nie kombinował, wciąż by żyła.

– Po co ta zemsta? Czemu teraz? – Leon próbował powstrzymać drżenie szczęki. Przez ostatnie dziesięć sekund dowiedział się o swoim życiu więcej niż przez ostatnie dziesięć lat.

– Ponieważ kończy mi się czas i chciałem wyrównać rachunki. Rak.

– Trzusteczka. – Detektyw przypomniał sobie nocną rozmowę z celi. – Czemu mnie wtedy nie zabiłeś?

– Morderstwo jest jak magiczna sztuczka. Wszystko musi mieć swoje miejsce i czas. Uznałem, że nie możesz umrzeć w niewiedzy. To część tego przedstawienia.

– Kończy ci się czas, więc się streszczaj.

– Czyli nie chcesz się dowiedzieć, jaki był plan?

– Chcę – odpowiedział bez namysłu Brodzki.

## 18

Bener biegł po schodach do góry, przeciskając się pomiędzy spanikowanymi pielgrzymami, którzy – nie zważając na walające się na stopniach różańce, flagi papieskie i rekwizyty – gnali na złamanie karku w dół. Gdy wbiegł do sali, Berenika stała przy oknie. Podbiegł do niej.

– Jesteś cała?

– Pst – przerwała, dotykając palcem wskazującym jego rynienki podnosowej. Na odpowiedź nie czekał nawet sekundy. W przypiływie euforii pocałowała go namiętnie w usta, tak że zaparł się ręką o krzesło. Jej wargi były miękkie i ciepłe, a skóra pachniała. Dziennikarz stał chwilę oniemiały. Zaraz po tym zbliżeniu powiedział pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy:

– Chcesz jeszcze wysadzić jakąś bombę?

Vesper zaśmiała się i cofnąwszy się w głąb sali, odrzekła:

– Boże... mieliśmy rację. – Po czym, zapomniawszy o tym, co przed sekundą zrobiła, zaczęła się emocjonować: – Przecież to mogło się skończyć tragicznie. Uratowaliśmy im życie! Nie wierzę. – Kręciła

głową. – Po prostu nie wierzę.

– O cholera! – krzyknął prezydent Torunia, odkładając telefon. – Proszę państwa, wygląda na to, że nie był to jedyny zamach bombowy w mieście. Pamiętają państwo tamten wybuch za oknem? Wysadzono stację benzynową koło dworca autobusowego. A według informacji prokuratora Cyriaka Mauera, trwa właśnie pościg za zamachowcem. W aucie jedzie z nim także detektyw Leon Brodzki.

Usłyszawszy słowa prezydenta, wszyscy zgromadzeni rzucili się do okien wychodzących na plac Teatralny. W oddali, u zbiegu Wałów Sikorskiego i Jana Pawła II tworzył się korek. Druga z ulic prowadziła właśnie na starą przeprawę przez Wisłę.

## 19

– Pokaż to, co miałeś pokazać, i kończmy tę operę mydlaną – rzekł chłodno detektyw w pomarańczowym kombinezonie.

– Właśnie to robię. Jak się podoba ubranie skazańca? – zaśmiał się. – Oto rozwiązanie zagadki twojego życia. I koniec twojej powtórki. Musisz zejść ze mną do otchłani. Jak Orfeusz. Widzisz, autobus miał pojechać drogą, którą jedziemy teraz. Już raz dostałeś wskazówkę, kiedy powiesiliśmy tu chłopaka, ale nie szukałeś dość dobrze. Teraz więc znów miałeś dotrzeć na most, nad rzekę. Sam. Ale skoro zmieniłeś plany, niech będzie i tak. Razem przez to przejdziemy.

– Co miałem znaleźć na drugim brzegu? – spytał, gdy wjechali na most.

– A kto powiedział, że miałeś dotrzeć na drugi brzeg? To Styks. – I spojrzął na zegarek.

– Kraina umarłych – wycedził Brodzki i spojrzął w odbicie lusterka. Elf odliczył od trzech do zera, po czym puścił kierownicę i wyciągnął spod siedzenia małe urządzenie w kształcie dżojstika. Oczy Brodzkiego w ułamku sekundy dwukrotnie się powiększyły, zasilone potężną dawką adrenaliny.

– Nie! – krzyknął, rzucając się na Elfa, ale było za późno. Mężczyzna

zamknął oczy i nacisnął przycisk, mówiąc:

– Abrakadabra. – Jego głowa momentalnie opadła na boczną szybę.

W tej samej sekundzie na środku mostu drogowego w Toruniu doszło do eksplozji.

## 20

*Aktualizacja, godzina 14:05*

*@LubieTuByc (Kujawsko-Pomorskie)*

Marszałek województwa Piotr Bałucki jest zaniepokojony sytuacją w mieście i przekazuje wyrazy współczucia.

*Aktualizacja, godzina 14:07*

*@Radio\_GRA\_Toruń*

Marszałek kontrkandydatem w wyborach na prezydenta Torunia?

*Aktualizacja, godzina 14:09*

*@Ministerstwo Sprawiedliwości*

Zamach terrorystyczny w Toruniu. Na miejscu @PolskaPolicja i Patrol Saperski nr 14 z 2 Pułku Inż. z Inowrocławia.

*Aktualizacja, godzina 14:46*

Boże, który jesteś Stwórcą człowieka oraz Panem życia i śmierci, bądź uwielbiony! Jeśli jest Twoją wolą, Panie, abym wyzdrowiał, proszę Cię za przyczyną Świętego Jana Pawła II o uzdrowienie ojca Tadeusza, jeśli zapadł dziś na jakąś chorobę. (źródło: Radio Maryja)

*Aktualizacja, godzina 15:40*

*@Komenda Główna Policji*

Przy #mostdrogowy w Toruniu wpadł do Wisły samochód osobowy. Pierwszy na miejscu – patrol funkcjonariuszy z Biura Prewencji, Służby na Wodach i Terenach Przywodnych.

*Aktualizacja, godzina 16:02*

*@Polska Agencja Informacyjna*

Biuro prasowe ratusza @torunpl milczy w sprawie zamachu.

*Aktualizacja, godzina 16:32*

Samochód nie stoczył się z nabrzeża, ale spadł z mostu po staranowaniu barierek, bo najechał na bombę! Tak twierdzi youtuber Climber. Wspiął się na przęsła, gdy doszło do incydentu. (źródło: wykop.pl)

*Aktualizacja, godzina 17:01*

– Nurkowie pracują w trudnych warunkach, widoczność jest zerowa – mówi starszy kapitan Piotr Wypych, oficer operacyjny z Jednostki Gaśniczo-Ratowniczej nr 1. – Miejsce zabezpieczyły nasze łodzie do czasu przyjazdu nurków z Grupy Specjalistycznej z Bydgoszczy. W Toruniu takiej nie posiadamy, ale koledzy z sąsiedniego miasta przyjechali naprawdę błyskawicznie i należą im się brawa. To pokazuje, że można współpracować w regionie. (źródło: „Teleexpress”, TVP1)

*Aktualizacja, godzina 17:03*

Film Climbera w serwisie wykop.pl! Policja nie komentuje rewelacji internautów. Na filmie słychać tylko komentarz, potem nagranie się urywa. Jak podają wykopowicze, Climber miał już problemy z prawem z powodu artykułu sześćdziesiąt sześć kodeksu wykroczeń, czyli „bezprawnego wywołania alarmu”, wielokrotnie wspinał się na kominy i wysokie mosty. Obecnie jego kanał jest zawieszony. (źródło: „Wydarzenia”, Polsat)

*Aktualizacja, godzina 18:17*

Akcja jest trudna ze względu na bardzo wysoki poziom Wisły i wzmagający się wiatr. To kolejne groźne wydarzenie, do którego doszło na tzw. „starym moście”. Być może fala tragicznych w skutkach wypadków skłoni władze do przyspieszenia zapowiadanego od lat remontu i zamknięcia przeprawy.



Najwyraźniej krąży nad nią zły duch. Nie tak dawno odcinano tu wisielca. W internecie pojawiają się kolejne zdjęcia. W serwisie Facebook Janina Rzeplińska napisała: „Nie wiadomo, co się dzieje. Może jakiś samobójca na moście? To niech skacze, ludzie do domu jadą!”. Komentujący nie zostawili na niej suchej nitki: „Jak można mieć tak mało empatii!”. (źródło: „Panorama”, TVP2)

*Aktualizacja, godzina 18:49*

*@Kinga43*

*@PolskaPolicja* Dlaczego na miejscu nie było #WOPR? Od razu by ich uratowali!

*Aktualizacja, godzina 18:52*

*@Komenda Główna Policji* W odpowiedzi do *@Kinga43*

WOPR w Toruniu ma dyżury interwencyjne nad akwenami, ale nie stacjonują 24h. Skargi do *@PrezydentTorunia*.

*Aktualizacja, godzina 18:54*

*@PolskieRadio* W odpowiedzi do *@Komenda Główna Policji*

Tagowanie prezydenta Torunia w momencie, kiedy nie są znane szczegóły co do jego zdrowia, to nietakt.

*Aktualizacja, godzina 19:01*

Jak udało nam się dowiedzieć, samochód wpadający do wody widziały dwie różne osoby. Jeden ze świadków obserwował to z przystani AZS na Kępie Bazarowej po przeciwległej stronie rzeki, a drugi z mostu drogowego, gdzie spacerował w stronę Zamku Dybowskiego. Na pytanie o obecność osób w pojeździe, świadkowie odpowiadają twierdząco. Wiadomo też, że był to samochód osobowy:

– Czy to był radiowóz?

– Być może... Ale jeśli tak, to bez włączonych sygnałów świetlnych.

Nie, chyba nie radiowóz... (źródło: „Fakty”, TVN24)

*Aktualizacja, godzina 19:15*

Strażacy znaleźli samochód, który wpadł do Wisły. Do akcji

wkroczyli nurkowie. Na miejscu jest nasz reporter.

– Pojazd znajdował się dziesięć, piętnaście metrów od miejsca, w którym wpadł do rzeki – twierdzi redaktor Tomasz Bielicki. – W tym miejscu głębokość wody wynosi około sześciu metrów. Pojazd jest zabezpieczony linami. Wciąż nie wiadomo, kto podróżował pojazdem ani do którego szpitala przetransportowano pasażerów i w jakim są stanie. Prokuratura w sprawie wypadku na Wiśle nabrała wody w usta. Mieszkańcy poruszają się wyznaczonymi objazdami. (źródło: „Nowości”)

#### *Aktualizacja, godzina 19:22*

Ruszyła zbiórka na szczytny cel. Widzowie naszej stacji oraz słuchacze Radia Maryja pragną złożyć ofiarę na nowy samochód dla naszego ojca Tadeusza Majbacha. Pragniemy, aby mógł znów podróżować bezpiecznym pojazdem, czyniąc swoją postugę. Podajemy numer konta... (źródło: „Informacje dnia”, TV Trwam)

#### *Aktualizacja, godzina 19:31*

Sensacyjne doniesienia przekazują nasi reporterzy. Udało im się dotrzeć do świadka zdarzenia, pracownika hotelu „Bulwar”, który widział moment wypadku.

– Usłyszałem wybuch i auto po prostu wzbiło się w powietrze i przeleciało między tymi metalowymi częściami. W środku były dwie osoby. Nie był to radiowóz, ale ciężko ocenić markę.

– Kto był pierwszy na miejscu zdarzenia?

– Jakiś policjant.

– I co było potem?

– Skoczył z mostu do Wisły i zanurkował.

– I co było dalej?

– Potem zarządzono u nas ewakuację i nic nie widziałem.

Istnieją ponadto podejrzenia, że atak w Urzędzie Miasta w Toruniu wymierzony był bezpośrednio w ojca Tadeusza Majbacha. Słuchacze Radia Maryja modlą się o jego zdrowie. (źródło: „Wiadomości”, TVP1)

*Aktualizacja, godzina 20:44*

*@TVP Info*

Prezydent Torunia, marszałek województwa kujawsko-pomorskiego oraz ojciec Tadeusz Majbach są bezpieczni.

*Aktualizacja, godzina 20:53*

*@TVN24*

Technicy @PolskaPolicja i @KGPSP pracują przy moście od ponad siedmiu godzin.

## 21

Gdy zegar Digitus Dei na wieży kościoła Świętych Janów wskazał godzinę dwudziestą pierwszą, potężny dzwon Tuba Dei zadudnił, niosąc się metalicznym echem po całym mieście. Szczyt budowlę widzieć było bardzo dobrze z mostu, przy którym – nieprzerwanie od momentu przyjazdu – uwijały się służby ratownicze. Zorganizowane przed godziną czternastą objazdy skutecznie odstraszyły kierowców od wjeżdżania na plac Rapackiego na prawym i plac Armii Krajowej na lewym brzegu. Ruch kołowy poszedł nowym mostem.

Tłumy gapiów zaległy na Bulwarze Filadelfijskim, obserwując nocne miriady świateł. Bo na przeprawie i nad lustrem Wisły migotały koguty policji, straży pożarnej, patrolu wodnego i pogotowia ratunkowego, niosąc się po zwierciadle aż do mostu kolejowego.

Niebo wciąż nie ciemniało do końca, razem z mieszkańcami wyczekując ostatecznego rozwiązania zagadki. W oknach wychodzących na rzekę długo palono światła. W mieście, w którym ludzie przestali mieć problemy z zasypianiem, odkąd ze strachu przestali zasypiać w ogóle.

Grupa nurków przeczesywała dno. Na moście, w okolicach środkowego przęsła, z daleka było widać wyrwę w asfalcie. To tu zdetonowano ładunek.

– Obu z auta zabrali karetkami do szpitala. Ponoć sztywni – rzekł dowodzący akcją strażak, Piotras. Pot zalewał mu twarz, pracował

nieprzerwanie od południa, choć o piętnastej miał zejść ze zmiany. – Nie wiedzą, kto i jak zainstalował tu ładunek.

– Podobno tydzień temu ktoś się tu podszywał pod roboty drogowe i podłożyli to nocą – odpowiedział policjant o aparycji kulomiotu Adam Jacyk. Dopił ostatnie krople kawy ze swojego kubka termicznego i cisnął go do kabiny radiowozu. Pracował nieprzerwanie od wczoraj. Zjeżdżał rano ze zmiany, kiedy Żółtko poprosił, by pojechał do szpitala. – Szkoda Brodzkiego.

– Ale, odpukać, trupa nie widziałem. Mówili tylko na zmianie.

– Słyszałeś o tej bombie na stacji benzynowej?

– Popierdolony dzień. – Na co obaj pokiwali głowami, patrząc w dół rzeki.

– Co tam robią?

– Przeczesują dno.

– Wykonaliście kawał dobrej roboty. Można było coś zrobić inaczej?

– A co zrobić w takiej sytuacji? Jak idziesz pod wodę, to po tobie. Ciśnienie jest takie, że drzwi w aucie nie otworzysz, o ile w ogóle jesteś przytomny, żeby się siłować, jak ci się fura w batyskał zamienia. A Brodzki chyba miał odcinkę. Jak otworzysz szybę, to w sekundę auto jest zalane wodą. A szyby nie otworzysz w sekundę. Jeszcze pół biedy jak masz na korbkę, i dysponujesz siłą, żeby kręcić. Ale jak automat? To po zawodach.

– Żółtko skoczył na ratunek. Nurkowałem trochę w życiu i powiem ci, że bałbym się walić bombę stąd do rzeki.

– Byliście tu w sześć minut od zgłoszenia. – Piotras ściągnął kask i podrapał się po swojej blond czuprynie. – Gdyby auto było widoczne, można bosakiem wybić szybę, jakby był dobry kozak. Nie mamy nurków w Toruniu, czekaliśmy na chłopaków z Bydgoszczy. – Tu wskazał na ekipę z łodzi pontonowej. Trzech mężczyzn asekurowało ekipę przeczesującą dno. – WOPR-owcy nie mają dyżuru całodobowego, policja wodna raczej mandaty za piwo wypisuje, więc jeśli pytasz, czy można coś zrobić lepiej...

– Robicie świetną robotę.

– W suchym skafandrze nasz ratownik może podjąć działania, ale bałbym się, że mi ratownika wciągnie. W górach, nad rzeką Sołą, robili ćwiczenia, ratownik wskakiwał z łodzi w suchym skafandrze przy takiej małej tamie i po prostu, taki wodospad, no nie, no i gościa wciągnęło i taki był wir, że wypłynął za czterdzieści metrów sztywny. Dlatego najlepiej nurków posyłać. Grupa z Bydgoszczy ma swoich, mają metody i przeczesują tyralierą po kwadratach. Samochód jest na tyle duży, że powinni go znaleźć.

– Nie wyławialiście tu dotąd aut z ludźmi?

– Nie. Tylko ludzi, i tylko auta, ale osobno. Był incydent dwa lata temu w okolicach Woli Zamkowej. Auto miało słaby ręczny i spadło z biegu. Właściciel miał pecha, że auto przetoczyło się przez bramę do Wisły. Nie mogliśmy go znaleźć, nikt nic nie widział, auto po prostu wyparowało... Właściciel myślał, że samochód mu zajebali. A okazało się, że samochód sam się zajebał.

– A jakieś sonary, roboty, żeby namierzyć?

– Wisła jest specyficzną rzeką i takie roboty nie sprawdzają się na akwenach. Auto tego faceta wyciągnęli na wiosnę, jak woda opadła i dach się wynurzył. Liną opasali i wciągarką do góry.

– Nie lepiej dźwigiem?

– W wypadku dźwigu trzeba obliczyć środek ciężkości. Jak wyciągasz coś, co jest niżej, to i rozkład sił jest inny. Dźwig, ramię, lina, obciążenie, to musi być bardziej w stronę dźwigu. A gdy ciężar jest dużo niżej, to i obciążenie jest dużo niżej. Jak zrobisz za szerokie ramię, to dźwig wpada do wody i trafiasz do składanki z głupimi filmikami na YouTubie. Przy wysokim nabrzeżu użycie dźwigu odpada, a co dopiero z mostu. Dlatego są prostsze metody: liną i do brzegu. Liną zawsze możesz sobie przedłużyć.

– Jak tu jest głęboko?

– Myślę, że do sześciu albo i ośmiu metrów.

– Co tam może być na dnie?

– Sam się boję. Dno jest nierówne, to jest właśnie urok Wisły. Jest jeden pogłębiony ślad i to jest oznaczone znakami żegludowymi, Wanda tak pływa, ta wycieczkowa łajba, co tu cumuje w lato. Ale

Łódka straży szorowała śrubą po dnie. Jeden był na dziobie i wypatrywał, czy łachy nie widać. Łacha jak wyspa wygląda, a są takie, że nie widać, a jest, na przykład pół metra ledwo pod wodą.

– Tu jest gęste ożebrowanie mostu. Jak ten samochód mógł przelecieć i wpaść do rzeki?

– No wiesz. Gdybyś usłyszał, że samochód się stoczył na biegu, przejechał przez bramę w murze i wpadł do rzeki, to też byś nie uwierzył. Nie zatrzymało się na krzakach... A tu się nie zatrzymało na barierkach.

– O, coś się zaczyna dziać.

– Wyływają chłopcy. – I pobiegli do końca mostu, po czym zbiegli po schodach koło klubu „Pilon”, przecięli bulwar, minęli parking i dotarli do betonowanego nabrzeża. Łódź pontonowa właśnie dobiegała do brzegu.

– O mój Boże... – Nurek, który siedział w łodzi, wciąż nie mógł złapać oddechu.

– Co ci jest? Zła mieszanka tlenu? – spytał Piotras.

– Nie, nie, tam, tam jest... – Nurek wciąż się krztusił.

– Co? Co tam jest? – spytał Jacyk.

Nurek nie mógł zdjąć butli z pleców, ręce zbyt mocno mu się trzęsły. Pomogli mu koledzy z pontonu. Wyszedł na nabrzeże i usiadł na betonowym stopniu, trzęsąc się jak oszalały. Policjant kucnął koło niego ze strażakiem.

– Co tam jest? – powtórzył Jacyk. Nurek nie potrafił odpowiedzieć.

Jacyk, nie namyślając się wiele, zdjął mundur i założył na gołe ciało strój nurka.

– Na pewno wiesz, co robisz? – spytał strażak.

– Mam uprawnienia. Musimy się dowiedzieć, co tam jest, do cholery. Chłopaki pracują cały dzień, są wykończeni. Panowie, sprawdźcie inflator i butlę – rzekł, wskazując na osprzęt. Drugi z nurków sprawdził wąż ciśnieniowy i przyciski, potem pas balastowy. Na koniec odkręcił zawór butli, ciśnienie wynosiło prawie dwieście atmosfer.

– Jeszcze octopus – zauważył nurek. Chodziło o dodatkowy

automat oddechowy potrzebny w wypadku awarii pierwszego.

– Nie, chcę iść z tym, co mam – odparł szybko Jacyk.

Nurek pokazał gestem, że wszystko jest okej. Chwilę potem Jacyk odpłynął łodzią pontonową od brzegu. W oświetlonym reflektorami i oznaczonym boją miejscu zanurkował w rzece.

Wynurzył się po pięciu minutach.

Załoga wciągnęła go na łódź i dopłynęli do brzegu. Nurek siedział na betonowym nabrzeżu, trzęsąc się z zimna, strażak Piotr obracał w rękach hełm. Gdy Jacyk zszedł na ląd, Piotr spytał:

– I co? Bo ten się trzęsie jak galareta i nie może wydusić słowa.

Jacyk ściągnął kombinezom, spojrzał głęboko w oczy strażaka i rzekł śmiertelnie poważnie:

– Chyba nie skończymy dziś tej akcji.

– Dlaczego?

– Bo tam jest cmentarzysko. Otchłań pełna śmierci.

## 22

*Aktualizacja, godzina 21:19*

*@Prokuratura Krajowa*

1/2 Biuro Spraw Wewnętrznych i @PolskaPolicja potwierdzają, że podejrzany o zamach w @torunpl człowiek, to ich funkcjonariusz...

2/2 ...i został przewieziony na oddział chirurgii szpitala MSWiA w Gdańsku. Wkrótce zostanie przesłuchany.

*Aktualizacja, godzina 21:30*

*@Prokuratura Krajowa*

1/2 W Urzędzie Miasta w @torunpl zdetonowano ładunek wybuchowy. Nikt nie ucierpiał, zniszczono limuzynę ojca Tadeusza Majbacha...

2/2 ...i zdetonowano ukryty w konstrukcji mostu ładunek. W rzece znaleziono zwłoki i szkielety ludzkie. W wypadku brał udział detektyw Brodzki.

Jest po godzinie trzynastej, kiedy vauxhall astra w wyniku eksplozji podłożonego na moście ładunku wylatuje w powietrze. Materiały wybuchowe wchodzi w reakcje tuż przed najazdem auta, w wyniku czego nie rozrywają pojazdu, jednak siła odśrodkowa wybuchu jest tak duża, że przód auta podrywa się gwałtownie do góry. Wybuch rozrywa osłonę silnika, niszcząc belki przednie, przymocowaną do nich chłodnicę i reflektory. Auto przechyla się na lewo bok i obracając się wzdłuż własnej osi, przelatuje między żerdziami mostu.

Huk wybuchu miesza się ze szczękiem blachy. Tysiące części, z których złożone jest auto, odrywają się teraz jedna od drugiej ze zgrzytem i piskiem. Grawitacja działa bezbłędnie.

Leon uderza głową o podsufitkę, zaraz potem o szybę i ląduje po przeciwnej stronie kabiny, tuż za fotelami, wyginając kark w nienaturalny sposób. Czuje chrobot w czaszce, spięte mięśnie gwałtownie się rozluźniają, broń wypada z ręki.

Horyzont przewijają się jak na końcu taśmy filmowej. Mgnienie za mgnieniem. Powtórka za powtórką. Klatka po klatce. „Znów ten cholerny most” – dudni w półprzytomnej głowie detektywa. Auto szybuje w dół, wbijając się niczym nóż w taflę wody gładką jak pamięć lustra. Brodzkiego podtrzymują oparcia foteli, tylko dzięki temu nie leci na przednią szybę. Kierowca nie ma tyle szczęścia.

Rzeka robi się czerwona – to krew sącząca się z głowy Elfa. Ten uśmiecha się do Brodzkiego resztkami sił, po czym przegryza umieszczoną w zębie fiolkę z trucizną. Zaraz potem oczy bieleją, a z ust sączy się piana.

Samochód spada na dno, klejone szyby wytrzymują uderzenie. Brodzki nie może zacisnąć pięści, odzywa się znów potworny ból w tyle głowy, przez który zmysł wzroku zaczyna się powoli wyłączać.

Auto dryfuje jak batyskaf, warstwy wody zdają się nie mieć końca, wsysając go w swą smolisto-malachitową otchłań. Nie może się



z niej wydostać. Spogląda przez boczną szybę. Jest teraz pasażerem z *20 tysięcy mil podmorskiej żeglugi*.

O szybę od zewnątrz uderza ludzka czaszka. To szkielet zaplątany w metalową siatkę, a za nim kolejne i kolejne szkielety. Czy to zwidy? Efekt zmieniającego się ciśnienia w kabinie? A może objawy niedotlenienia mózgu? Zdaje się, że widzi światło. Pisk w uszach narasta. Nagle odwraca się. Widzi dziewczynę w czerwonym płaszczu. Pokazuje mu, żeby poszedł za nią. Dziewczyna zdejmuje kaptur. Jest śliczna. Mówi, że wszystko będzie dobrze. Sądził, że w takich momentach widzi się światło w tunelu. On tymczasem widzi dwa tunele i nie wie, którym podążać. Widzi ludzi, dla których czas się zatrzymał i którzy wciąż snią swoje życie. Ofiary Młotkarza – Teresa, Ewa, Ania. Hania, zabita przez Szabańskiego i Szarego. Laura, Daktyl, Patrycja, Janka zabite przez Heraklita. Zosia Halicka, Gromek Halicki. A na końcu... jego rodzice. Stoją w oddali, Franek i Salomea. Matka węża bukiet kwiatów. Wtedy Leon dostrzega, że jego ojciec wskazuje palcem w niebo.

Spogląda w górę. Malachitowa maź pulsuje, drga jak membrana. Gdzieś w górze, nad jej taflą, stoją ci, którzy przeżyli. Sara, Dagmara, Tomek... Kocha ich. Są bezpieczni.

Leona Brodzkiego oblewa ciepłe światło. Śledztwo jego życia właśnie dobiegło końca, a elementy układanki nareszcie trafiły na swoje miejsce.

I wtedy – niczym, ważąca dwadzieścia jeden gramów, ćma – detektyw rusza ku migoczącemu w otchłani światłu.

## **EPILOG**

### *Aktualizacja, 9:43*

NA MIEJSCU TRAGEDII przeprowadzono eksperyment procesowy, podczas którego policyjny pies tropiący rozpoznał ślad zapachowy zabójcy o pseudonimie Elf i wskazał drogę do domu przy Batorego 5, który typowany był jako kryjówka. Kolejny eksperyment procesowy potwierdził, że oskarżony miał możliwość dokonania zabójstwa przy Lindego. Przypomnijmy, że miało tam dojść do zaproszenia ognia, w wyniku czego śmierć poniosła jedna osoba. Wkrótce na zapleczu kamienicy dokonano wstrząsającego odkrycia: policja znalazła tam urządzenie do ćwiartowania ludzkiego mięsa.

Sekcja zwłok wyłowionego z rzeki ciała zabójcy wykazała, że zmarł w wyniku przegryzienia ampułki z cyjankiem potasu. Patolog stwierdził u niego karminowe zabarwienie skóry oraz tej samej barwy charakterystyczne plamy opadowe. W następstwie wypadku doszło u Mikołaja Rucińskiego, pseudonim Elf, do pęknięcia czaszki w wyniku uderzenia o słupek drzwi. Śmierć nastąpiła w ciągu kilkudziesięciu sekund.

### *Ciąg dalszy informacji.*

W Willi Krauzego przy Batorego 5 odnaleziono liczne ślady biologiczne. W najbliższych dniach laboratorium kryminalistyczne w Bydgoszczy porówna DNA z próbkami z wyłowionych w rzece ciał. Przypomnijmy, że na odkrytym cmentarzysku zidentyfikowano dotąd ciała Zofii Halickiej i Floriana Niuniewicza, a także szkielety mężczyzn i kobiet w stopniu znacznego rozkładu. Mogą one mieć związek z bazą osób zaginionych. (*źródło: TVN24*)

### *Aktualizacja, 10:02*

Rafał Madej, toruński rysownik, stworzył portret zabójcy, którego, jak twierdzi, widział w okolicach mostu już tydzień temu. Rysunek dotarł właśnie do naszej redakcji. Możemy państwa zapewnić, że

gdyby policja dysponowała nim wcześniej, zabójcy nie zatrzymano by ani o minutę szybciej... (źródło: „Gazeta Wyborcza”)

## 2

Świat za oknem szpitala na toruńskich Bielanach był tak cichy, jak ciche potrafią być małe jeziora w bezwietrzne dni. Cichy jak pojedyncze krople spływające po szybie, cichy jak zamknięte powieki. Ciche było toruńskie niebo i dawno nieotwierane, obdrapane okno. Nawet mucha, skryta w jego drewnianej okiennicy, zwarła się w sobie na podobieństwo komarów z bursztynowych komnat.

Prostokąt szyby wyznaczał czterema bokami ramy portalu, przez który Brodzki mógł w każdej chwili ulecieć duszą ku niebu, łąkom lub świetlistym dyskom, gdyby jego serce postanowiło o wybiciu ostatniego akordu. Teraz, otumaniony przez leki, spał z nadzieją, że lunarna poświata ustąpi o świetle miejsca słonecznej, a on się obudzi.

Każdy, kto spędził na szpitalnym łóżku czas dłuższy niż aplikacja odkręconej na wolny przepływ kroplówki z morfiną wie, że sterylna przestrzeń medycznej sypialni ma swoje jednostki czasu. Odmierzane są obchodami, brzękiem metalowego wózka z lekami, odślanianiem żaluzji przez pielęgniarkę, wrzucaniem monet do automatu odpalającego telewizor. Lub, jak w Czarodziejskiej górze, porcjami zupy.

Prawda na temat czasu, jaki miał do dyspozycji detektyw Leon Brodzki, zawieszona była obok kroplówek i okablowania sprzętu monitorującego pracę serca i mózgu. Policjant, który mokry trencz zamienił na szpitalną piżamę, nie walczył teraz o podtrzymanie pulsu miasta, lecz o swój własny puls.

– Proszę nie oddychać – rzekła Dagmara i go pocałowała, a potem spojrzała za okno. Las stroszył swoją iglastą sierść, a niebo malowało się obiecującym błękitem. I dodała: – Można oddychać.

Ale Leo nie odpowiadał.

Wista nie była czerwona od krwi, gdy siedząca na Bulwarze Filadelfijskim kobieta w czarnej woalce zarzuconej na twarz zaczerpnęła powietrza. Woda wpadała w błękit, pieniać się przy przęsłach dwóch mostów, a panorama gotyckiego miasta odbijała się w aksamitnym lustrze Wisły. Toruń wyglądał w odbiciu dostojnie. Jakby życie za jego murami płynęło swoim spokojnym rytmem tak samo jak rzeka.

Kobieta w Czerni siedziała na wysokości limnigrafu – czarnego drewnianego budynku, który pokazywał poziom wody. Podniosła teraz rękę i wskazała palcem w niebo, jakby chcąc się upewnić, że po ciężkiej membrane chmur, która do niedawna wisiała nad Toruniem, teraz nie został żaden ślad. Zsunęła woalkę na swoje nadwrażliwe oczy, zamknęła powieki i wzięła głęboki oddech. Gdy wypuściła powietrze, otworzyła oczy. Odbijał się w nich błękit spokojnego nieba.

Za jej plecami przesuwiał się sznur aut, które z powodu objazdu kierowały się na Rubinkowo, w stronę nowego mostu drogowego. Odgłosy silników zlewały się ze stukotem mknących po moście kolejowym wagonów w kolorze krzemu, które kobieta widziała po lewej stronie. Z prawej migotała w oddali konstrukcja starej przeprawy samochodowej, która okazała się niezniszczalna, choć eksplozja uszkodziła jej nawierzchnię i most wyłączono z ruchu. Na nabrzeżu Wisły mały chłopiec bawił się patykiem. Potem otworzył dłoń i rozpakował słodkiego irysa, którego następnie radośnie pogryzł. Poprawił beret na głowie i uśmiechnął się do kobiety.

Starsza pani również posłała mu uśmiech, po czym wstała i ruszyła kaczkowatym chodem w stronę ulicy Łaziennej. Na wysokości przejścia dla pieszych minął ją beżowy fiat 125p z numerem bocznym 02 – taksówka Ostatniego Mohikanina.

– Czekolady? – Dziadek uśmiechnął się w lusterko i podsunął otwarte opakowanie wedlowskiej gorzkiej czekolady. Berenika pokręciła głową.

Wnętrze pojazdu wypełniała muzyka z radia. Leciąca akurat piosenka Antka Smykiewicza Pomimo burz.

*I jeszcze miejsca trochę mam.*

*Na wybuchy, słowa skruchy, na ten niepokoju stan.*

*I jeszcze znajdę więcej sił.*

*Będę walczył, będę kochał, będę się o siebie bił...*

– Nie chcę się wtrącać, panienko Bereniko, ale jeśli można, za pozwoleniem powiem coś, bo znieść nie mogę, że taka smutna.

– Nie jestem smutna, tylko... – Ale nie dokończyła. Heniu prowadził takie rozmowy tysiące razy. Potrafił bezbłędnie rozpoznać, kiedy pasażer za czymś goni, kiedy od czegoś ucieka, a kiedy odpływa. Nie lubił się wtrącać, raczej czuwał nad pasażerami jak dobry duch. Vesper oparła głowę na zagłówek, a pukiel kręconych włosów opadł jej na twarz.

– Miłość jest najwspanialszym uczuciem, jakie wymyślili na ziemi – rzekł, a jego oczy jarzyły się w lusterku jak szklane paciorki. – Niektórzy mówią, że sam Bóg jest miłością.

– Wierzy pan w to? Wierzy pan, że wszystkim kieruje miłość? Nawet jeśli los nam coś zabiera?

– To zależy – odparł taksówkarz. – Zależy, w co panienka wierzy. Los, mawiają, jest wtedy, gdy godzimy się z tym, co nam życie podsuwa. A gdy walczymy o miłość, wtedy jest to przeznaczenie.

– Czasem się to nie udaje.

– Człowiek czasem odpuszcza. Zapomina. To też jest część naszej walki.

Wiedziała, że po przyjeździe do Warszawy najpierw kupi kwiaty i zaniesie je na Powązki, pod pewne drzewo. I tam je złoży. Z miłości do swojej nienarodzonej córki, którą tam, wbrew prawu,

pochowała, nie godząc się na utylizację ciała ani na złożenie go w grobie dzieci nienarodzonych. Sama wybrała miejsce.

Myśląc o nienarodzonej córce, widziała samą siebie z dzieciństwa. Z czerwonymi koralami na szyi, w góralskim kapelusiku, z aparatem fotograficznym w rękach. „Tak – myślała – tak mogłaby wyglądać moja córka. Miałyby to samo dźwięczne nazwisko”.

– Czasem warto zapomnieć – powtórzył Henryk.

„Czy jednak powinnam wyjeżdżać, zostawiając wszystko za sobą? Czy ktoś opublikuje reportaż, w którym bronię Brodzkiego? Co mnie czeka? Przecież tak naprawdę mam jak się bronić i mam jak obronić Leona Brodzkiego” – myślała Berenika. „Czy jestem Amelią Earhart?”

– Skąd to? – spytała, wskazując na tylną kanapę. Dopiero teraz zauważyła, że od kilku minut grzebała palcem w dziurze w obiciu. – To wygląda jak...

– Kiedyś się pani dowie – odparł tajemniczo Henryk i uśmiechnął się w lusterku. Dojeżdżali już do Dworca Głównego po drugiej, lewobrzeżnej stronie Torunia.

– Czy to ślad po kuli?

– A jakie to znaczenie? – spytał, kiedy zatrzymali się przed budynkiem. Za dnia dworzec wyglądał przyjaźniej niż wtedy, nocą, gdy tu przyjechała.

– Czy jest pan bohaterem?

– Nie trzeba być bohaterem, żeby zmienić bieg wydarzeń. – Heniek zgasił silnik i poprawił beżowy kaszkiet na głowie. W radiu leciała cicho piosenka Sultans of swing zespołu Dire Straits. – Czasem wystarczy chcieć, panienko Bereniko. To dobre na początek, to całe chcenie.

– A odwaga?

– Ona czasem przychodzi na samym końcu. Patrzy człowiek na rzeczy, które już za nim, i po jakimś czasie dopiero rozumie, że robił coś z odwagą. Najważniejsze to chcieć coś zmienić. Gdybym nie chciał nic zmieniać, po śmierci żony usechłbym jak paprotka. Musiałem coś zmienić i iść do przodu. Dziś widzę, że żyję sam, czego nie robiłem wcześniej przez wiele, wiele lat. Życie w pojedynkę dla

niektórych to też jest odwaga. – Taksówkarz odwrócił się teraz do niej, posłał uśmiech i spojrzał na napis wydziergany na kołnierzyku jej koszuli.

– Żyj chwilą.

– Słucham?

– Żyj chwilą, carpe diem. Zauważyłem ten napis, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz. Co on dla panienki oznacza?

Berenika głęboko się nad czymś zamyśliła.

– Pamięta pan, kiedy jechaliśmy tydzień temu?

– Doskonale pamiętam, panienko Bereniko.

– Mijaliśmy wtedy w nocy na moście ekipę remontową. Z wczorajszych wydarzeń wynika, że to właśnie mogli być zamachowcy. Może właśnie wtedy montowali tam ładunki wybuchowe.

– Zawsze byłem zdania, że więcej przestępców jest na wolności niż w więzieniu. Przechodzą koło nas, a my po prostu o tym nie wiemy. Przecież wtedy panienka nie mogła tego wiedzieć... Skąd teraz takie myśli przyszły do głowy?

– Bo pomyślałam, że nawet jeśli wtedy nie mogłam nic zrobić, to po to życie podsuwa nam lekcje, żebyśmy następnym razem byli mądrzejsi od losu.

Z radia poleciały dźwięki kolejnego utworu.

*... Wisły brzeg i miasto,*

*Miasto T.!*

## 5

Samotna pompa tłoczyła krew, bulgocząc jak rozpruty hydrant.

Szpitalny sprzęt w rzeczywistości nigdy nie wygląda tak jak w serialach medycznych. Zwłaszcza w Polsce. Biała szafka przy łóżku skrzypi i trudno wysunąć z niej szufladę. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby oliwiono szuflady w polskich szpitalnych szafkach. Na wierzchu kilka butelek wody mineralnej. Takich z dziubkiem, jak dla dzieci,



choć Brodzki i tak nie wypije z nich choćby łyka. Nie tylko dlatego, że po szyciu jamy ustnej ciśnienie rozerwałoby szwy, jakie założono mu na naderwane podczas intubacji wargi. Przede wszystkim dlatego, że Brodzki jest nieprzytomny i płyny przyjmuje dożylnie. Kółka łóżka są przyrdzewiałe, a z czterech pozycji regulacji oparcia działają tylko dwie – pion i poziom. Wybrano poziom, przez co Brodzki rozdziawia usta. Umieszczony pod oknem stary żeliwny grzejnik również nie posiada regulacji i grzeje jak piec kaflowy. Powietrze jest suche, spierzchnięte usta Leona Dagmara zwilża co chwila wodą. Są też kwiaty – Żółtko przyniósł z komendy paproć. Wytarł ją z kurzu, pielęgniarce podlały. Mówią, że do pokoiów z kwiatami śmierć nie wchodzi.

Pompa tłoczy krew, a z krwią tlen, ale z tlenem nie tłoczy życia. Nie da się go zapakować do kroplówki, upchnąć do strzykawki ani podłączyć encefalogramem. Życia nie da się nikomu zaaplikować. Dlatego życie Brodzkiego wisi w pokoju, gdzieś nad łóżkiem, pomiędzy wolno obracającym się wiatrakiem a wykrochmaloną pościelą. Brodzki tonął w ciszy otoczony martwymi ciałami bez twarzy. Ludzie zawsze toną w ciszy. Bo otchłań wody jest cicha. Wciąż był tam, pod jej powierzchnią, w batyskafie ciała, w pomarańczowym stroju opadającym na dno jak stary, wyłączony sonar. Można oddychać! – słyszał gdzieś w oddali, ale tutaj, przed nim, przemykały fantastyczne obrazy podwodnego świata, w którym – niby w gabinecie luster – migotały przebłyski wspomnień.

Miał pięć lat, kiedy pierwszy raz widział ludzkie zwłoki. Sąsiad zaalarmował ich rano, kiedy jeszcze spali. Wszyscy dorośli krzatali się po ogrodzie rozdzielającym podwórze na pół, ktoś pobiegł do najbliższej budki telefonicznej, ktoś inny po dzielnicowego. Niczym bohater Niewidzialnego człowieka, młody Leon przemknął między dorosłymi. Nie słyszał nic z tego, co mówili i krzyczeli, za to przysięgłby, że wszyscy poruszali się w zwolnionym tempie. Szedł po prostu, w swojej wymiętolonej piżamie w smoki, przez podwórze, ganek, chłodny przedpokój, w którym zawsze pachniało zaprawianymi ogórkami, potem miękko skrzypiącymi schodami na

górze, pod galerią zabawnych zdjęć z twarzami wąsatych przodków.

W sypialni na łóżku leżała sąsiadka. Była bladolina, zupełnie jak bohaterka dziecięcych baśni. Cień rosnącej w ogrodzie wiśni biegł po pokoju, a przebłyskujące między firankami ciepłe światło spływało na pogodną twarz pani Basi, którą nazywał ciocią Anią. Nie rozumiał wówczas śmierci, a tym bardziej nie mógł przewidzieć, że kiedyś będzie się z nią zmagać zawodowo. Bo w tym wieku śmierć jest równie magiczna jak smoki. Dziecięca aksjologia często kończy się na potworach w szafie.

Leon dotknął jej ręki i przysięgłby, że dłoń zacisnęła się na jego palcach. Przysięgłby też, że ciocia Ania patrzyła na niego pogodnym wzrokiem, dopóki do pokoju nie wbiegli ratownicy. Próbował im tłumaczyć, że ciocia śpi, że słyszał, jak burczy jej w brzuchu, ale nie słuchali. A on nie wiedział, że gdy śmierć ściska nam dłoń, to nigdy nie żegna się na zawsze.

Dostał później od ojca lanie za zakradanie się do domu sąsiadów. Ojciec tłumaczył, że ciocia była martwa, a jej serce przestało bić. Dlatego kiedy przyszło iść na pogrzeb, Leona rozboleł brzuch i został w domu. Nie wiedział wciąż, czym jest śmierć, ale wiedział, że to coś, czego trzeba unikać za wszelką cenę.

Tonął w ciszy, choć miał wrażenie, że światła migoczące w ciemności są przez chwilę nieco bliżej. Że płynie teraz na plecach jak w słoneczny dzień po jeziorze w Kamionkach, a zwielokrotnione słońce przewija mu się przed oczami jak lampy pod sufitem korytarza. Rodzice krzyczeli z plaży, żeby wrócił, choć ich głosy brzmiały obco, a sami ubrani byli dość osobliwie jak na wycieczkę – mieli białe kitle. Spojrzał teraz na swoje dłonie: były pomarszczone. Tak jak po długiej kąpieli w ciepłej wodzie. Tak jak u starszych ludzi.

Pierwszy raz otworzył oczy pod wodą, gdy miał siedem lat. Gdy słyszał krzyki ojca i matki, zamykał się w łazience i leżał w wannie. Było to najbezpieczniejsze miejsce na świecie, jeśli nie liczyć zimnych kropli, jakie skapywały z zawieszonego na linkach prania. Nie lubił tych zimnych szpilek. A gdy dochodziły do niego podniesione głosy, nurkował pod taflą wody. Tam było cicho i bezpiecznie. Tak jak

teraz. Znów nurkował. „Proszę nie oddychać” – pomyślał.

– Proszę nie oddychać – usłyszał.

Zegary biły dwunastą, kiedy powoli otworzył oczy. Czyjaś chłodna ręka dotknęła jego rozpalonego czoła. Czyjeś usta pocałowały jego usta.

– Można oddychać – odpowiedział.

Dagmara wtuliła się w niego. Kiedy poczuł jej słone łzy na swoich ustach, powoli otworzył oczy.

– Już myślałam, że stamtąd nie wrócisz – mówiła, całując go.

– Też tak myślałem. Szczerze mówiąc, dalej nie jestem przekonany, czy to nie sen.

– Leo, to ja, jesteś w szpitalu, jest sobota. Spałeś od wczoraj.

– Dwa plus dwa... – wymamrotał.

– Co mówisz?

– Dwa plus dwa to...

– Cztery, kochanie.

– Dzięki Bogu.

– Czemu?

– Bo z tego wynika reszta. – Po czym zamrugął i spojrzął na nią odmienionym wzrokiem: – Wróciłem.

## 6

Na zapleczu baru „Panda” od piętnastu lat leciała ta sama stacja radiowa. Odpadł plastik w potencjometrze i nikomu nie zależało na tym, aby to naprawić. Bo w „Pandzie” wszystko było zawsze takie samo. Młot kotlety robił po swojemu: odcinał kawałek schabu, rzucał na deskę, a gdy jego pięść lądowała w soczystym mięsie, kotlet był gotowy. Kończył właśnie obtaczać mięso w bułce tartej, kiedy lecącą w radiu audycję sportową przerwano, by nadać ważny komunikat.

– Nie uwierzysz, Mrozek – zaczął wesołym głosem Mariusz Składanowski. – Znaleźli detektywa Brodzkiego.

– Masz na myśli zwłoki? – spytał reporter redakcji sportowej.

– Tak. Zwłoki poprosiły o camele w miękkiej paczce! – Po czym poleciał skoczny dżingiel. – Do sprawy wczorajszych wydarzeń na antenie będziemy jeszcze wracać, ale w tej chwili jest to wiadomość dnia. Proszę państwa, detektyw Brodzki żyje i najwyraźniej ma się całkiem nieźle.

Młot przysiadł na wąskim taborecie, ściągnął kucharską czapkę i odpalił czerwonego chesterfielda.

– I b-b-bardzo dob-b-brze – wyjąkał z uśmiechem, patrząc na swoje sękaty dłonie.

## 7

– Brodzki, jak ty wyglądasz? – spytał Żółtko. Stał w drzwiach z Adamem Jacykiem. Obaj mieli na sobie nienagannie uprasowane mundury i czapki garnizonowe w prawych rękach zwrócone orzełkiem do przodu.

– Lepiej wyglądam na zdjęciach, ale tylko rentgenowskich, wybaczone – odparł z trudem detektyw. Na jego twarzy widać było grymas.

Dagmara pocałowała Leona w czoło i wyszła, przesuając dłoń po jego prawym ramieniu. Policjanci rozstąpili się na boki i skinęli jej na pożegnanie.

– Jak się czujesz? – spytał Tomek, podchodząc do szpitalnego łóżka. Po lewej stronie zauważył cewnik, w którym było trochę krwi. Potem spojrzął na twarz policjanta. Był bledszy od ścian w pokoju, wycieńczony, miał zszytą lewą skroń, zszyte ucho i lewą rękę w opatrunku elastycznym. Zauważył badawczy wzrok Tomka i pomachał mu temblakiem. – Ale najbardziej wkurwia mnie ta szpitalna piżama. – Wskazał na ciągnące się ubranie bez kształtu. – Każdy w takich ciuchach by zachorował.

– Może to cię wskrzesi. – Jacyk postawił na stoliku opakowanie termiczne. – Zupa klopsowa mojej mamy.

– Dzięki, kulomociu. Nie chcesz wrócić do kryminalnych? Przydałby nam się czwarty muszkieter.

– Czwarty? – spytał Tomek.

– Chyba nie sądzisz, że pozwolę Nowakowi wypisywać mandaty? – Policjanci się zaśmiali. – Słuchajcie. Czy...

– Elf nie żyje – skinął Żółtko. – Sytuacja opanowana.

– Kto mnie wyciągnął z auta?

Jacyk skinął na Tomka, ale ten uniknął wzroku obu kolegów. Odchrząknął tylko i wskazał na telewizor. Na ekranie pojawił się prokurator Mauer – rozpoczynał się właśnie briefing prasowy w ratuszu. Dopiero teraz spojrzenia jego i Leona się skrzyżowały.

– Zrób głośniej – poprosił detektyw.

W głębi serca Żółtko był wzruszony i miał ochotę wyściskać Brodzkiego. Nie tylko dlatego, że detektyw był dla niego mentorem, ale ponieważ byli przyjaciółmi. A nikt nie lubi znajdować pod wodą swoich przyjaciół bez pulsu. Tak właśnie stało się wczoraj.

To Żółtko był w rzece pierwszy. Nie zastanawiając się ani sekundy, skoczył z mostu do Wisły. Vauxhall zdążył już opaść na dno. Woda była mulista i latarka ledwo przebijała się przez jej zielonkawą maź.

Tomek z trudem odnalazł pojazd. Ubrany w pomarańczowy kombinezon skazańca Leon miał otwarte oczy i nie oddychał. Na przednim siedzeniu falowały zwłoki Elfa – szyba przecięła mu tętnicę szyjną i krew przepływała wokół niego, jak czerwona mgławica. Gdy Żółtko wyswobadzał detektywa, dostrzegł, co znajdowało się na dnie Wisły. Przy betonowych słupach przytwierdzone były zwoje metalowej siatki. Spomiędzy drutów wystawały kikuty ludzkich kości.

Gdy wyciągnął go na brzeg, reanimował go z doktor Kaklińską. Zachowała zimną krew, choć podczas przejazdu do szpitala jej oblicze zdradzało ogromne emocje. Pokrzykiwała na ratowników i sanitariuszy, nie chciała stracić ani sekundy. Brodzki nie dawał oznak życia.

## 8

W sali numer piętnaście na pierwszym piętrze Urzędu Miasta w Toruniu piętrzył się tłum żurnalistów. Ostatni raz tyle kamer

widziano tu, gdy koncert grał Rod Stewart.

Za stołem prezydyjnym siedzieli funkcjonariuszka ABW, Mauer oraz prezydent Torunia. Ten ostatni jako pierwszy zabrał głos:

– Możemy państwa zapewnić, że kryzys w Toruniu został zażegnany. – Przemawiał na stojąco, umiejętnie gestykulując prawą ręką. Z racji wzrostu górował nad wszystkimi w sali. – Możemy oficjalnie potwierdzić, że złapano sprawców zbrodni. Winni zostali ukarani. Na własnej skórze doświadczyliśmy wczoraj, tutaj, w tej sali, do czego zdolni są niedobrzy ludzie. Ale i z tego wyszliśmy obronną ręką. Bo my, tu, w Toruniu, się nie boimy. Z tych wydarzeń wynika też pewien pozytyw. Otóż po konsultacjach z Miejskim Zarządem Dróg i Miejską Pracownią Urbanistyczną postanowiliśmy wyjść naprzeciw oczekiwaniom mieszkańców i przyspieszyć remont starej przeprawy mostowej przez Wisłę. Wczorajszy wybuch co prawda tylko nieznacznie uszkodził jego nawierzchnię, ale jest to chyba dobry moment, by rozpocząć rozmowę na temat tego, jak według torunian powinien wyglądać most Piłsudskiego. Czy ma tam zostać przywrócony ruch tramwajów, czy ma zostać poszerzony pas jezdni? O tym wszystkim będziemy rozmawiać w najbliższej przyszłości. Tymczasem oddaję głos prokuratorowi Mauerowi.

– Dziękuję, panie prezydencie – Mauer poprawił plik kartek, po czym oparł dłoń na blacie. Mankiety koszuli nienagannie wystawały spod marynarki, błyszcząc srebrzystymi spinkami. Twarz prokuratora, sprężysta i w kształcie diamentu, była nieprzenikniona. Biła z niej jednak pewność siebie. – Możemy potwierdzić, że zidentyfikowaliśmy osobę kierującą zorganizowaną grupą przestępczą. Mikołaj Ruciński, pseudonim Elf, przez lata wymykał się wymiarowi sprawiedliwości, siejąc postrach w mieście. Był wielokrotnie zatrzymywany, za każdym razem zdołał uciec i często zmieniał miejsce pobytu. Możemy potwierdzić, że wznowiono postępowanie w sprawie tak zwanego Młotkarza z Torunia. Ruciński może mieć związek z tą sprawą, podobnie jak z morderstwem Hanny Krosny dokonany przez Stanisława Szabańskiego. Wydaje się, że w tak zwane „wydarzenia toruńskie”, jak możemy określić pierwszą

połowę września tego roku, są uwikłane grupy przestępcze, które działały na terenie Torunia od lat osiemdziesiątych. Zajmowały się wymuszeniami, kradzieżami, porwaniami. Być może odkrycia dokonane pod konstrukcją mostu rozwiążą sprawy licznych zaginięć z przeszłości. Na ten moment prokuratura krajowa jest zadowolona z postępów w śledztwie.

– Panie prokuratorze, Grzegorz Giedrys z „Gazety Wyborczej”. A jaki udział w tym wszystkim miał detektyw Leon Brodzki, bo to najbardziej interesuje mieszkańców.

Mauer poprawił krawat.

– Wobec Leona Brodzkiego wciąż toczy się postępowanie...

– Ludzie nazywają go bohaterem – zauważył Giedrys.

– Bohaterem... – bąknął pod nosem Mauer. – Proszę państwa, prawdziwe wydarzenia to nie hollywoodzki film, a rozwiązywanie spraw kryminalnych nigdy nie jest dziełem jednego człowieka.

– Panie prokuratorze – wtrąciła się reporterka o aparycji Julii Roberts. – Iwona Muszytowska-Rzeszotek, Radio PiK Toruń. Czy to prawda, że każdy funkcjonariusz organów bezpieczeństwa Polski Ludowej, który został zatrudniony w policji, ma równe prawa z powołanymi do tych służb po raz pierwszy od połowy roku dziewięćdziesiątego, w tym równe prawa do korzystania z uprzywilejowanych emerytur? Czy to samo spotka Leona Brodzkiego?

– Myślę, że w swoim czasie polski sejm zajmie się odpowiednią procedurą legislacyjną...

– Ale tak stanowi orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z dwa tysiące dziewiątego roku. Że służba w policji traktowana jest jednakowo, nawet jeśli dany funkcjonariusz uprzednio pełnił służbę w organach bezpieczeństwa Polski Ludowej.

– Na orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego w tamtym składzie radziłbym patrzeć z dużą ostrożnością...

– Czy przykład detektywa Leona Brodzkiego nie pokazuje jednak, że polskie służby działają rzetelnie i są w stanie tropić przestępczość w swoich szeregach? Jak ustalono, jego ojciec, milicjant, miał

kontakty ze światem przestępczym, a mimo to detektyw Leon Brodzki wyjaśnił sprawę do końca, ryzykując własnym życiem.

– Detektyw Leon Brodzki wciąż jest oskarżony o... – Ale nie dokończył, bo przez salę przebiegł szmer, a dziennikarze wszystkie mikrofony i kamery skierowali w stronę wejścia. W drzwiach stała drobna dziewczyna z pieprzykiem na nosie. Miała na sobie białą koszulę z wyhaftowanym na kołnierzyku napisem *carpe diem*, sięgającą za pośladki marynarkę vintage i przewiązane parcianym paskiem grafitowe, sięgające nad kostkę spodnie w kant. Powolnym krokiem przeszła przez pomieszczenie, okrążyła stół prezydialny, po czym stanęła obok gości.

NieZRęczna cisza trwała dobre pół minuty, przerwał ją dopiero prezydent Torunia. W sytuacjach medialnych czuł się jak ryba w wodzie. Wstał, zaplął guzik marynarki i – pokazując rzecznicze prasowej, by zrobiła miejsce – podsunął Berenice krzesło. Usiadła między nim a Mauerem.

– Dość niespodziewanie dołączyła do nas pani Berenika Vesper. Proszę państwa, śmiało, poproszę o brawa. – Dziennikarze nagrodzili Vesper oklaskami. Mauer był wzburzony.

– Panie prezydencie, czy możemy... – Ale Michał Nalewski go nie słuchał i zwrócił się do Bereniki:

– Co prawda nie spodziewaliśmy się pani na tym spotkaniu, ale zawsze jest tu pani mile widziana. Pragnę jeszcze raz pani podziękować. Jest pani prawdziwą bohaterką.

– Przepraszam, że przerwę – wtrącił się zniesmaczony Mauer – ale może wróćmy do meritum. Obywatele chcą wiedzieć, czy w mieście jest już bezpiecznie.

– Odbyłam niedawno rozmowę z prokuratorem Cyriakiem Mauerem – wtrąciła się niespodziewanie Berenika, wskazując na mężczyznę w garniturze Wólczanki. – Zapewnił mnie, że Leon Brodzki zostanie całkowicie oczyszczony z zarzutów.

– Czyżby? – spytał z podstępny uśmiechem i spojrzał na funkcjonariuszkę ABW.

– Pan prokurator woli stać w cieniu – rzekła mocnym głosem. – Jak



wszyscy ludzie, którzy w tym kraju dobrze wykonują swoją pracę. Ale nie mogę nie podzielić się z państwem pewną informacją.

– Co ty pleciesz? – Mauer szarpnął ją za ubranie pod stołem, uśmiechając się jednocześnie do kamer. Mówił, niemal nie poruszając ustami. – Co to za cyrk?

– Cyrk to był w czwartek – odparła, patrząc z pięknym uśmiechem w stronę kamer, po czym odwróciła się do niego i z zupełnym spokojem odparła: – Wszystko mam nagrane, całą naszą rozmowę. Nie wyłgasz się.

– Co niby nagrałaś? Zabraliśmy ci sprzęt.

– Miałam zapasowy.

– Zostałaś zrewidowana! – Mauer spojrzał pytająco na funkcjonariuszkę ABW, która rozdziawiła usta.

– Jak widać, nie dość dokładnie... – odpowiedziała tajemniczo Berenika. Mauer poblądł. Po czym wyjęła z kieszeni znajomy długopis i pomachała mu nim przed nosem, tak jak on wtedy w hotelu.

Moment nagrywania prokuratora w hotelu „Pod Orłem” nie należał do najłatwiejszych. Gdy sięgnęła wówczas do torby, udając, że czegoś w niej szuka, w rzeczywistości wymacała przycisk długopisu. Nie był to jednak zwykły przedmiot do pisania, ale gadżet z kamerą i dyktafonem, który pożyczyła od Sylwii z redakcji, ale którego nie miała wcześniej okazji przetestować. Wcisnęła główkę długopisu, poczekała, aż zapali się na nim niebieska dioda, po czym wróciła do rozmowy. Mauer zabrał jej wtedy notes, sądząc, że bez papieru nie da się niczego zapisać. Cóż, był w błędzie...

– Ty wstrętna babo... – syknął prokurator. Przed oczami przeleciała mu cała rozmowa. Wszystkiego, co powiedział, teraz cholernie żałował. Zawiodła go pycha. Nabrzmiał na twarzy, która przez wszystkie odcienie czerwieni przeszła teraz w kolor purpury.

– Może pan nam zdradzić szczegóły? – dopytywała Paulina Błaszkiwicz z redakcji „Nowości”, a Mauer tylko puchł i puchł.

– Pan prokurator nie przywykł do gwiazdorzona w mediach – dodała z rozbijającą szczerością Berenika. Na jej twarzy rozbłysnął

flesz aparatu. To Grzegorz Olkowski z lokalnego dziennika próbował uchwycić dobry kadr. Szybki rzut oka w wizjer nikona utwierdził go w przekonaniu, że dziewczyna ma okładkową twarz. – Ale to dobry człowiek. Wzór dla wszystkich pracowników wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Tak jak państwu wspominałam, Leona Brodzkiego oczyszczono z wszelkich zarzutów.

– Panie prokuratorze! Czy to prawda? – Grzegorz Giedrys podsunął dyktafon jeszcze bliżej. To samo zrobili pozostali reporterzy. Mauer spojrział z wściekłością na Berenikę, która wyszeptwała:

– Już się ciebie nie boję. Ani policji, ani prokuratury, ani żadnego faceta pod krawatem. Decyzja należy do ciebie.

Jej spojrzenie było obłudnie pewne siebie. Prokurator rozluźnił krawat, przygryzł kilka razy usta, po czym rzekł cicho:

– Tak, detektyw Brodzki zostanie uniewinniony... W sali rozległy się szelest papieru i dźwięk spustu migawek aparatów błyskających fleszami po twarzach Mauera, Vesper i Nalewskiego. Prezydent Torunia nagroził słowa prokuratora oklaskami, do których dołączyła cała sala na cześć nieobecnego tu policjanta.

– A jak pani skomentuje swój udział we wczorajszych wydarzeniach? Natalia Waloch, „Wysokie Obcasy”. Dzięki pani nie doszło do katastrofy. Kobieta, która ratuje świat? Czy to pani?

– Bycie dziennikarzem i bycie kobietą łączy jedna zasadnicza cecha. – Tu spojrziała w kamery. – I dziennikarze, i kobiety często muszą brać sprawy w swoje ręce. Inaczej mężczyźni by się pozabijali. – Jej słowa zgromadzeni na konferencji nagrodzili oklaskami. Zwłaszcza reporterki, które odłożyły dyktafony i były brawo ze wszystkich sił. Były dumne, że Berenika jest jedną z nich. Berenika, której imię oznacza „przynosić zwycięstwo”.

## 9

Marek Bener wypunktował w notesie nazwiska ludzi do sprawdzenia. Niedawno otrzymał następne zgłoszenie: kolejna zaginiona osoba i kolejny urwany trop. Jeśli policja nie wyrabiała się

z robotą, ludzie przychodzili właśnie do niego. A ponieważ policja nie wyrabiała się z robotą nigdy, Bener zajęcie miał zawsze.

Był piątek, kolejny numer „Echa Torunia” trafił właśnie w ręce czytelników. Z powodu wczorajszych wydarzeń nad składem ostatniego numeru siedział do rana, o czym informowały worki pod oczami, rozchodzące się po jego zmęczonym obliczu jak kręgi na wodzie. Tak, Bener zasłużył dziś na odpoczynek.

Gdy widział się z Bereniką przy fontannie, czuł, że dziennikarka nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa w sprawie Brodzkiego. I się nie przeliczył. Przyglądał się teraz relacji w wiszącym nad barem karczmy „Pod Kotwicą” starym telewizorze kineskopowym. Gdy Berenika wyszła z kadru, zamówił jeszcze jedną porcję pierogów, oparł się na ławie, odgarnął swoje długie włosy i się zamyślił. Przyzwyczyił się, że kobiety w jego życiu na ogół znikają na zawsze. „Polubiłem ją, cholera” – pomyślał, po czym krzyknął do barmana:

– Szefie. Włącz coś.

– Może Dżem. Tak dla odmiany! – zaśmiał się serdecznie barman, po czym podszedł do starej wieży marki Pioneer, wygrzebał ze stosu album Absolutely live, wsunął nośnik i nacisnął play. Z głośników poleciało koncertowe nagranie:

*Poznałem go po czarnym kapeluszu  
Wszedł chwiejnie do małego baru  
Hej, przyjacielu – zawołałem za nim  
Lecz nie, nie odwrócił się...*

## 10

*Zbrodnia w Mieście T.*  
Reportaż Bereniki Vesper

Część siódma, ostatnia

*Jechałam tu z przekonaniem, że najgorsi są policjanci, bo to z ich rąk doświadczyłam niesprawiedliwości. Teraz wiem, że są*

*najodważniejsi i najwięcej biorą na barki. Najgorsi są politycy.*

*Policjanci chodzą na manifestacje albo zgromadzenia bez względu na swoje przekonania. Mają obowiązek pilnować jednych i drugich, a potem i jedni, i drudzy ich nienawidzą. Za plecami uczciwych funkcjonariuszy skrywają się ludzie postawieni wyżej. Przedstawiciele represyjnych jednostek – jakimi są służby specjalne – namaszczeni przez polityków robią krzywdę ludziom. Służby to dziś państwo w państwie. Pozostają poza jakąkolwiek kontrolą, tracąc zaufanie społeczne i całkowicie odrywając się od rzeczywistości. Zamiast wspomagać obywateli, politycy zmuszają służby do zbierania haków na polityków, policjantów, a nawet dziennikarzy. Wszystko to jest kapitałem i pożywką, które politycy wykorzystują do ciągłego poszerzania stref wpływów.*

*Moim zdaniem Polska stoi przed bardzo trudnym zadaniem odpolitycznienia służb, odbudowania ich struktur i przywrócenia im szacunku oraz zaufania społecznego. Zdaję sobie jednocześnie sprawę, że gdyby miało się to stać w ciągu jednego dnia, zbyt wielu ludzi z miejsca poszłoby siedzieć.*

*Dopóki służby – podobnie jak telewizja i spółki skarbu państwa – będą traktowane jak zdobycz polityczna w wyborach, dopóty rządzić będą nami macherzy. Pamiętajmy o tym, oceniając pracę innych ludzi, pamiętajmy o tym, idąc na wybory, i pamiętajmy o tym na co dzień. Bo praworządność zaczyna się od nas samych.*

*Brodzki od początku był niewinny. Choć nie zdawałam sobie z tego sprawy, kiedy jechałam do Torunia.*

*Dziś policjant ten walczy o życie. Złapał groźnego przestępcę i rozwiązał najmroczniejszą zagadkę w historii miasta T. Zapłacił za to najwyższą cenę. Ilu z nas postąpiłoby tak samo?*

*Z bazy zaginionych:*

Sprawa nr 94-0998

Agata Bener

Aktualny wiek: 38 lat

Data zaginięcia: 2010/11/01

Wiek w dniu zaginięcia: 32 lata

Ubiór w dniu zaginięcia: pikowana kurtka, ciężowe dżinsy z rozszerzanym, elastycznym pasem, czarny sweter, adidas

Wzrost: 165 cm

Kolor oczu: niebieskie

Ostatnie miejsce pobytu: Toruń, ulica Legionów

Kraj: Polska

## 12

– Planujesz emeryturę? – spytał Żółtko, gdy Leon wyłączył telewizor. Ostatnim kadrem, który ukazał się ich oczom, był ten z pogrzebu komendanta Halickiego. Nie dostał salw ani obstawy. Detektyw leżał teraz na łóżku dziwnie spokojny i patrzył w okno. Tomek przeniósł wzrok na punkt, w który, jak mu się zdawało, wpatrywał się Brodzki, ale na niebie nie wisiała ani jedna chmura, po czym powtórzył: – Leon?

– Ja już byłem na emeryturze – powiedział nieobecny głosem i uśmiechnął się do niego. – I nie, nie planuję powtórki. Mimo że świat, który znaliśmy, odszedł do lamusa, a ludzie, którzy byli dookoła, nie żyją. Psy idą do piachu tak samo jak ludzie...

– Grunt, że ten koszmar się skończył. – Aspirant oparł się o ścianę, podpierając dłońmi swój przeforsowany krzyż. – Nie uda im się już chyba wyjaśnić, jak doszło do zabójstwa w celi, skoro nie żyją i strażnik, i Elf, a monitoring nie wyjaśnia sprawy jednoznacznie. No, chyba że to jednak ty go zabiłeś. – Zaśmiał się.

Brodzki spojrział na niego dziwnym wzrokiem i patrzyli tak na siebie przez dobrą minutę.

– Leon?

– Jestem zmęczony.

– Leon? – powtórzył Tomek. Reakcja Brodzkiego była co najmniej dwuznaczna. – Co to za mina? Przerażasz mnie.

– Myślę, że znasz odpowiedź – odparł detektyw, po czym uśmiechnął się jak doktor Jekyll i pan Hyde w jednej osobie.

Nieboskon łagodniał, roztopiając się w błękicie, a wraz z tym topnieniem łagodniała twarz detektywa. Tomek nie miał zamiaru ciągnąć rozmowy, która przybrała dziwny obrót. Nagranie z monitoringu w areszcie śledczym oglądał dziesiątki razy. I za każdym razem widział na nim człowieka o twarzy podobnej do tej Leona. „Zrobienie takiej maski czy odlewu nie było trudne” – myślał Żółtko. „Robili to studenci na Wydziale Sztuk Pięknych, robiły to też japońskie firmy specjalizujące się w odlewach z żywicy, robili to także makijażyści z teatrów i planów filmowych. Mimo to efekt wprawiał w osłupienie. Człowiek o twarzy, która wygląda znajomo, omija strażników, wchodzi, wyciąga długi, wojskowy nóż. Jego ostrze pasować będzie potem do śladu na szyi Nowaka – to samo pociągnięcie, ten sam ślad. Czy morderca był praworęczny, czy leworęczny? Tego się już nie dowiem” – skwitował Tomek. Ruszył więc do wyjścia i otworzywszy drzwi, zatrzymał się nagle w pół kroku, jakby o czymś zapomniał.

– Chciałeś spytać o coś jeszcze? – Brodzki podźwignął się i usiadł na skraju łóżka. Żółtko obrócił się przez ramię.

Stał tak chwilę w drzwiach, zastanawiając się nad czymś głęboko. Leon przypatrywał mu się, próbując wyswobodzić się z okablowania. Naraz poczuł jednak, że Żółtce coś chodzi po głowie. Spojrzał na niego z zaciekawieniem i nagle, nie wiedząc czemu, wyłonił mu się z pamięci pewien obraz.

Hala przy ulicy Sportowej. Drugi wrześnie, południe.

– Dzień dobry, detektywie, zawsze chciałem pana poznać! – rzekł wtedy do niego szczuły, niepozorny okularnik.

– Tylko nie spuść się w majtki – odpowiedział mu Brodzki. Detektyw właśnie teraz zdał sobie sprawę, że było to nie tyle szorstkie, ile po prostu głupie i bezczelne, że w taki sposób przywitał młodego policjanta, który miał go za wzór na długo przed tym, zanim się poznali. I rozumiał, jak długą drogę przeszli razem przez te kilka dni. Ile razy otarli się o śmierć, ile razy ich życie wisało na

włosku. – Kto znalazł trupa? – spytał potem w hali Leon, a Halicki wskazał na młodego policjanta o wyglądzie sztubaka jakby wyjętego za uszy prosto z akademii. Tomek odnalazł wtedy noworodka wiszącego u stóp martwej matki, a Brodzki skwitował to słowami: – Dzieciak zawsze umiera. Im szybciej się z tym pogodzisz, tym lepszym gliną będziesz, Żółtek.

Pomylił się. Dzieciak przeżył, prawdę mówiąc, leżał teraz w tym samym szpitalu i był w lepszym stanie niż Brodzki. A Żółtko stał teraz w galowym mundurze w przeciwieństwie do Leona zaplątanego w wiązaną na plecach piżamę szpitalną. Był to ten sam Żółtko, który znów uratował mu życie.

Leon chciał coś powiedzieć, coś mądrego, coś, co mówi się synowi albo chociaż chrześniakowi. Coś, co człowiek zabiera ze sobą w podróż przez życie. Coś mądrzejszego niż „nie pijesz, nie jesteś gliną, pijesz – może zostaniesz”, które on usłyszał, gdy był w jego wieku. Tak, bardzo chciał powiedzieć coś, co wyrazi jego odczucia wobec aspiranta, ale gdy ten wreszcie spojrzął mu w oczy, obaj zrozumieli, że myśleli właściwie dokładnie o tym samym.

– A gdybyś jednak się już nie obudził... – spytał niespodziewanie aspirant. Leon sięgnął do szafki i wyjął zapalniczkę. Strzelił środkowym palcem w paczkę cameli, tak że wysunął się z niej jeden papieros, chwycił go zębami i odpalił. Tomek powtórzył: – Gdybyś nie przeżył wczorajszego wypadku. Co byś chciał, żeby ci napisali na nagrobku?

Detektyw Leon Brodzki zaciągnął się, po czym – wypuszczając dym – obejrzał uważnie żar papierosa. Wziął jeszcze dwa wdechy i dopiero wtedy przeniósł wzrok na partnera. Uśmiechnąwszy się, odpowiedział:

– „Uwaga. Zły pies”. Tak powinni napisać.

Patrzyli sobie w oczy z pełną powagą, po czym obaj naraz wybuchnęli serdecznym śmiechem. Skinęli sobie głowami, jak to zwykli czynić mężczyźni i, bez słów się pożegnali.

Brodzki zaciągnął się znowu, wstał powoli ze skrzypiącego łóżka, wyciągnął nie bez jęknięcia czerwoną rurkę cewnika i bezbarwną

kroplówkę, która syknęła na podłogę śmierdzącym płynem, a potem podreptał boso do lustra.

– Chyba jestem żywy – rzekł do siebie cicho, przecierając zaparowane, okrągłe zwierciadło wiszące na niebieskich kaflach ściany. – Ani martwy, ani żywy. Chyba żywy. – Po czym oparł się o blat małego zlewu i – z papierosem w ustach – spojrzął w odbicie.

Obejrzał je dokładnie. Musiał przyznać, że z wiekiem coraz bardziej upodabniał się do ojca i, prawdę mówiąc, był z tego dumny. Była to jego krew z krwi, jego tożsamość i jego historia. Czasem bolesna i trudna, ale prawdziwa. Zauważył, że przez ostatnie kilkanaście dni znacznie się postarzał. Skronie, które jeszcze w wakacje poprzetykane były raptem kilkoma siwymi włosami, teraz całe skrzyły się srebrem.

Odsunął się od lustra i nie bez bólu stanął prosto. Choć wzrok wciąż miał przytępiony od leków i – prócz obrażeń z wypadku – czuł również ból po uderzeniu młotkiem w tył głowy, w odbiciu widział dwa skrzące się punkty. Uczepił się ich teraz myślami, jakby próbując się przebić na drugą stronę, by wyszarpać od nieubłaganej upływającego czasu jeszcze odrobinę życia tłącego się w jego oczach.

Położył papierosa na brzegu zlewu, po czym cofnął się do sali, sięgnął po ubrania wiszące na krześle i włożył je w pośpiechu. Jęknął przy zawiązywaniu butów i wrócił do lustra, oddychając ciężko. Camel już prawie się dopalał. Brodzki rozsmakował się ostatnim zaciągnięciem jak sommelier w wybornym winie i wypuścił dym w stronę lustra. Postać wyłaniająca się spośród jego kłębow odpowiadała:

– Witaj wśród żywych, detektywie.

Chwilę potem wyszedł awaryjnymi drzwiami na niższe piętro, zjechał windą na parter i przemknął bocznym wyjściem. W oddali, przy głównych drzwiach, stały wozy stacji telewizyjnych.

Poprawił granatową kurtkę, przejechał dłonią po szczecinie i ruszył alejką w kierunku wyjścia z terenu szpitala. Zdało mu się, że gdzieś



pomiędzy szumem wierzb i lip, gdzieś w oddali słyszy szczekanie psa. Mógł przysiąc, że poznałby je wszędzie.

Nie wiedział, że pies rasy border collie faktycznie przysiadł pod drzewami i przekrzywiając pysk, pilnował swojego pana z daleka. Szarik, zwany także Bundym, popatrzył, jak postać człowieka maleje na horyzoncie, a gdy zupełnie rozpułyła się w powietrzu, zawył z całych sił, najmocniej, jak tylko psy potrafią. Dźwięk ten rozniósł się po okolicy, dochodząc do Chełmionki, Wrzosów, Jakubskiego, Bielán i Bydgoskiego Przedmieścia.

Po szelfowych chmurach nie było na niebie ani śladu, a zegary wybiły dziewiątą. Tutaj, w Toruniu, który – od tej pory – znów stał nad taflą wody gładką jak pamięć lustra.

KONIEC

*Toruń, 19 maja 2018 r.*

## ENDING CREDITS

NIC NIE POWSTAJE w próżni. Nawet jeśli idea przypomina błysk wypełnionej wolframem żarówki. Wszyscy podlegamy wpływom innych ludzi i jak kamienie rzucone na szaniec lub kręgi rozchodzące się po wodzie, tak i my żyjemy w świecie obustronnych fluktuacji. Książki poświęcone warsztatowi pisarzy, kompozytorów czy sportowców mówią o tym jednoznacznie: za każdym nazwiskiem stoją osoby najbliższe, przyjaciele, mentorzy. Tak też jest i w moim przypadku.

Musicie wiedzieć, drodzy Czytelnicy i drogie Czytelniczki, że każdy z nas jest narratorem naszego życia (zabawne, że Microsoft Word podpowiedział: „żucia”) i każdy z Was ma z pewnością wiele historii do opowiedzenia – historii o tyle niesamowitych, że zwyczajnie prawdziwych! Gdzie więc do tego choćby najbardziej finezyjnej fikcji?

Dziękuję, Czytelniczko i Czytelniku, za wspólne dotarcie do końca tej opowieści o Leonie Brodzkim. Nie miał łatwo nasz Leon, ale dzięki Waszej wyobraźni czuł, że ciągle żyje!

I ja czułem, drodzy Przyjaciele, że ciągle żyję dzięki Waszej pomocy i dzięki Waszemu dobremu słowu.

Wiedziałem, że – tak jak Leon Brodzki – muszę stawić czoła przeciwnościom losu, o których być może kiedyś, przy kominku – gdy wysiądzie internet – opowiem na starość. O pisaniu książki w szpitalu, o przyjaźniach wystawianych na próbę, o pomysłach rodzących się o czwartej nad ranem, o chęci rzucenia wszystkiego w cholerę z bezsilności i o zwrotach akcji godnych *Powrotu do przyszłości*.

Nie byłoby *Otchłani*, gdyby nie moja najukochańsza dziewczyna. Jureczku, Nosaczu, dziękuję Ci za wszystkie niedospane noce, wieczory na kanapie przy nocnej lampce, za kurkumę, miłość, *Peaky*

*Blinders*, a przede wszystkim – Berenikę. Wiesz, co nie byłoby możliwe, gdyby nie Ty.

Dziękuję serdecznie moim kochanym rodzicom, Mirosławie i Krzysztofowi, którzy wspierali mnie w literackiej podróży, nie tylko mobilizując dobrym słowem i miłością, ale także lekturą powstających fragmentów i mądrością.

Nie byłoby trylogii o Brodzkim bez plejady wspaniałych przyjaciół, których warto trzymać blisko. Bartku – za niezliczone rozmowy w tico i suzuki, za kilometry żartów i rozmów o życiu. Piotrusiu – za wiele lat wspólnej wędrówki przez mieszkanie przy Konopnickiej, Sferę, Santiago de Compostela, poligony wojskowe i kolejne miejsca, które przed nami. Majkelu – dziękuję za naszą historię, która jest lepsza niż stare, czarno-białe filmy. Łukasz z nad stygnącej zupy – myślę, że w prawdziwym życiu jesteś jeszcze mądrzejszy i bardziej romantyczny niż Twoje książkowe alter ego – barman. Ekipo Polefki – za prawdziwy poligon, który trwał dwa lata.

Nie byłoby tej opowieści bez wsparcia i pisarskiej sztamy z toruńskimi kryminalistami – Robertem Małeckim i Przemkiem Semczukiem. Wam obu, panowie, wysoka piątka za tę wędrówkę przez pole minowe. Markowi Benerowi, z kart książek Roberta, za przyjaźń dziękuję w imieniu Leona Brodzkiego. Ich ścieżki przecinają się w 2018 roku ponownie na kartach powieści Koszmary zasną ostatnie. Tradycyjnie sklejam piątkę także z innymi kolegami po piórze – Martą Matyszczak, Przemkiem Borkowskim, Gabriellą Gargaś, Małgosią Rogalą, Asią Opiat-Bojarską, Mariką Krajniewską, Agnieszką Lingas-Łoniewską, Verą Eikon, Michałem Larkiem.

Dużą wdzięczność czuję również wobec kadry naukowej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, gdzie podejście akademickie wychodzi naprzeciw pragmatyce i literaturze. Serdecznie dziękuję dr. hab. Maciejowi Wróblewskiemu, dr. hab. Wacławowi Lewandowskiemu, dr. hab. Dariuszowi Pniewskiemu i prof. Andrzejowi Stoffowi.

Osobliwe podziękowania kieruję także w stronę chłopaków i dziewczyn z Michigan, o czym się przekonają, kiedy wrzucą kiedyś

książkę do tłumacza Google: Plitz, Rolling, Rodenberg, Mott, Pettinger, Van Duzer, Sexton, Smith, Dake, (It is I) Leclair, Braud, Britton, Everman, Ormsbee, Sovey, Beck, Suszek, Wodenka, (Master of) Yoder, Thompson, Perez, a także polskiej ekipie – Krzyśkowi (za dzielenie trosk i śniadań), Siwemu (za podkradanie tych śniadań), Adamowi (za jajka), Marcinowi (za opowieści z frontu), Edycie (za biurko), Monice (za fanklub), Martynie (za rzetelną lekturę), Kamilowi, Dominice i Piotrowi (za długie rozmowy).

Serdecznie dziękuję Wydawnictwu Poznańskiemu i Czwartej Stronie za fantastyczną współpracę i powołanie do życia tych bohaterów. Ukłony w stronę Patryka Mierzwy, redaktora prowadzącego *Powtórki i Mgnienia*, który ma anielską cierpliwość i w nawet najskrajniejszych momentach potrafi cytować z pamięci Tomasa Manna albo Szekspira (oczywiście tylko w przekładzie Barańczaka!). Dziękuję również Adrianowi Tomczykowi, który nie zawahał się przed skokiem w Otchłań i Witkowi, redaktorowi tej części, za cierpliwość do imiesłowów!

Książki żyją w głowach Czytelników.

Przekonałem się o tym, rozmawiając i korespondując z odbiorcami moich książek. Pewien mieszkaniec Śląska nadłożył drogę autostradą, by dokończyć audiobooka. Dziennikarka radiowa z Poznania przez zacytowanie przegapiła przystanek autobusowy.

Wiem jednocześnie, jak wielkim kredytem zaufania Czytelnik obdarza pisarza, kiedy wzajemnie zapraszamy się do swoich światów. Do tych niezmaconych codziennością krain, w których pozwalamy sobie wspólnie marzyć i podróżować po świecie literatury.

Za tę właśnie podróż każdemu z głębi serca dziękuję, a sam? Cóż, wyruszam w kolejną!

Marcel Woźniak  
wozniakmarcel@gmail.com  
fb.com/wozniakmarcel